

OLGIERD HURKA

ZNAMIE



OLGIERD HURKA

ZNAMIE



*Śmierć jest wielka.
Ze śmiejącymi się ustami
należymy do niej.
Kiedy sądzimy, że jesteśmy w środku życia,
ona śmie płakać
w środku nas.*

Rainer Maria Rilke
(przełożył Julian Przyboś)

To nie był dzień, w którym muzyka mogła poprawić nastrój.

Michał Tumski nacisnął guzik pilota i wsłuchał się w dzwoniącą ciszę. Whisky dobrze wchodziła. Pociągnął łyk i zapatrzył się w blask bijący od podłogi wyłożonej egzotycznym drewnem.

W piątek wieczorem prosił Swietlanę, która u niego sprzątała, żeby już dała spokój froterowaniu i szła do domu, a ona odpowiedziała ze wschodnim zaśpiewem:

– Żeby panu Michału było miło w weekend.

I dalej na kolanach pucowała podłogę miękką szmatką na wysoki połysk.

Wielkie dzięki, Swieta. Jest miło jak cholera.

Rozejrzał się po pokoju. Minęły trzy lata, odkąd mieszkał sam, i rok od postanowienia, że sprzeda mieszkanie. Nie podjął jednak kroków w tym kierunku. Powstrzymywała go awersja do obcowania z ludźmi w typie agenta nieruchomości i potencjalnymi kupcami. Mdlilo go na myśl, że miałby wpuścić tu kogoś obcego i zachwalać atuty mieszkania: „Oto, proszę państwa, doskonale wyposażona kuchnia, gdzie można przyrządzić rodzinny posiłek. Tu, w jadalni, zjecie kolację przy świecach. Prawda, że duży stół? Gabinet będzie oazą ciszy i skupienia dla pana domu. W każdej z dwóch sypialni znajdują państwo podwójne łóżko i garderobę. Łazienka ma prawie dwadzieścia metrów kwadratowych – tyle co spory pokój, jest też osobna toaleta. Jak widać, sercem apartamentu jest salon urządony na antresoli pod panoramicznym oknem. Wspaniałe światło i widok na park, komfortowy zestaw mebli robionych we Włoszech na zamówienie, wybrała je żona, ale oczywiście można zmienić”.

W przypadku singla trzeba byłoby inaczej: „Weź kogoś do sprzątania, bo nie ogarniesz tych stu sześćdziesięciu metrów i we śnie zabije cię kurz. W lodówce zmieści się zapas jedzenia na dwa tygodnie albo piwa na kilka dni. Tutaj jest panel do sterowania żaluzjami – ważna sprawa przy kacu – trzeba ustawić w tej pozycji, żeby nie było za jasno”.

Dźwignął się z fotela i podszedł do regału. Musiał mieć drzwiczki, bo inaczej – tak twierdziła Anka – będzie się kurzyć. Przesunął wzrokiem po grzbietach książek. Rozpoznał te, które przywiózł dwadzieścia lat temu przy przeprowadzce do Warszawy. Czytał je w liceum i żadnej nie przeczytał drugi raz.

Zamknięty rozdział.

Wszystkie rozdziały się zamykają.

Na ścianie nad biblioteczką wisały oprawione w ramy szkice przywiezione

z długiego weekendu w Wenecji. Pod nimi porcelanowy wazon wypatrzony kiedyś na targu staroci na Kole. Ciągle tkwił w nim bukiet wrzosów, suchy od pięciu lat.

Trącił palcem kwiat. Osypał się proch.

Podszedł do okna w salonie. Zbliżała się wiosna. Chodniki były już suche, tylko przy krawężnikach leżały jeszcze zakonserwowane brudem pryzmy śniegu, sączące czarne strużki do studzienek.

Podniósł wzrok ponad burozielonym obszarem trawy, krzewów i pojedynczych drzew. Spojrzał w okna bloku po drugiej stronie parku i dostrzegł w nich odbicie swojego budynku. Gdyby mógł dojrzeć szczegóły, zobaczyłyby swoje okno, w nim siebie oraz odbicie domu, i tak w nieskończoność.

Zakręciło mu się w głowie. Przyłożył czoło do chłodnej szyby.

Nie ma – jest. Nie ma – jest. Obraz za oknem znikał za mgłą z każdym wydechem i powracał z wdechem, jakby Michał wciągał parę z powrotem do płuc.

Co jest pierwsze? Nie ma czy jest?

Spojrzał w górę. Niebo sunęło szarą płytą.

– Jest pierwszy wdech i ostatnie tchnienie – rozwiązał dylemat na głos. – Czyli jest, a potem nie ma.

Poczuł znajomy ucisk w piersiach. Wewnętrzny sufler podawał dobrze znany tekst: „Nic się nie dzieje. Tutaj nic się nie dzieje. Wszystko jest tam – w świecie za oknem. Tutaj nie ma nic”.

Serce pęczyło między żebrami, brakowało tlenu. Musiał coś zrobić. Oderwawszy się od szyby, ruszył do korytarza.

Ubrał się i szedł schodami na parter, mocno wspierając się na poręczy. Każdy pokonywany stopień to o jedną kreskę łęku mniej. Przystanął na ostatnim półpiętrze i zmobilizował się, żeby iść naturalnie. Zaraz kogoś spotka.

Ochroniarz, który drzemał za pulpitem recepcji budynku z głową opuszczoną na piersi, ocknął się, słysząc kroki Michała.

– Dzień dobry! – Wstał, prezentując zawodową czujność.

– Dobry – mruknął Michał i poklepał się po kieszeniach z grymasem dezaprobaty dla własnego zapominalstwa.

– Kurde, komórka!

Podszedł do windy. Na szczęście była na dole. Nacisnął guzik z numerem trzy i oparł się o ścianę wyłożoną drewnopodobnymi panelami. Przygniotło go zmęczenie tak wielkie, że winda ledwo ciągnęła. Trzymając się ściany w korytarzu, trafił do drzwi. Jak dobrze, że nie zamknął ich na klucz! W drodze do sypialni zrzucił kurtkę i zsunął buty. W ubraniu wpadł na łóżko. Zanim zgasła świadomość, przemknęła mu myśl, że kolejny raz udało mu się przechytryć dzina, którego wypuścił z butelki. Dzisiaj akurat glenfidich. Jego osobisty demon nie był widać zbyt lotny.

*

Gdyby zrobić ankietę wśród pracowników warszawskich firm i zadać pytanie, czy słyszeli o kancelarii prawniczej Marshall & Greensberg, może jeden na tysiąc

stwierdziłby, że kiedyś zetknął się z tą nazwą. Nie byłby jednak w stanie powiedzieć, w jakich okolicznościach. Połowa po prostu błędnie skojarzyłaby ją z czymś podobnie brzmiącym albo uznała, że skoro pytają, to coś musi być na rzeczy. Druga część mogła zobaczyć tę nazwę na planszy z listą najemców w recepcji jednego z biurowców przy alei Jana Pawła II. Oko odnotowało nazwę, która wpadła na najniższą półkę świadomości, pomiędzy te wszystkie rzeczy, których byliśmy w życiu świadkami, a nie zdajemy sobie z tego sprawy.

Nieobecność firmy w przestrzeni publicznej nie była rezultatem zbyt małego budżetu marketingowego ani nieudolnych działań promocyjnych. To starannie przemyślana strategia. Gregory Marshall i Michael Greensberg, uznani nowojorscy prawnicy, którzy połączyli swoje siły w połowie lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku, nie poznaliby swojej kancelarii. Po ich odejściu na emeryturę zaczęły następować zmiany, które nabrały tempa kilka lat po śmierci obu ojców założycieli. Stery w firmie objęła grupa młodych partnerów, z których większość do dzisiaj wchodziła w skład jej najwyższego kierownictwa. W latach dziewięćdziesiątych podjęli dwa śmiałe kroki. Po pierwsze, zakończyli wieloletnią współpracę z włoskimi rodzinami z Chicago (spekulowano, że nie była to zupełnie swobodna decyzja i że zbiegła się w czasie ze śledztwem FBI, po zakończeniu którego paru prawników otrzymało na kilka lat darmowy wikt i opierunek). Po drugie, stojąc na rozdrożu, postanowili nie podążać śladem innych kancelarii, które zmieniały się w globalne korporacje – nieruchomości kolosy, bardziej zainteresowane problemem optymalnej liczby ludzi w przeliczeniu na metr kwadratowy powierzchni biurowej niż interesami klientów.

Skupili się na niszy związanej z przejęciami firm, a te usługi ani nie wymagały, ani nie lubiły rozgłosu. Same przejęcia, owszem, bywały szeroko relacjonowane w mediach, zwłaszcza takie, gdzie w grę wchodziły ogromne pieniądze. Ludzie z MG, jak w skrócie nazywano kancelarię, woleli pozostawać w cieniu.

Michał Tumski kierował polskim oddziałem Marshall & Greensberg od początku jego istnienia. W czerwcu miało minąć dziesięć lat, odkąd w Londynie powierzono mu misję zorganizowania biura w Warszawie w zamian za zasilające jego konto ponad milion euro rocznie. Należało uznać, że przedsięwzięcie zakończyło się sukcesem – w ciągu dekady zgromadził zespół pięćdziesięciu prawników, a firma zdobyła renomę, za którą szedł udział w najważniejszych transakcjach na lokalnym rynku kapitałowym.

Ostatnio jednak sprawy toczyły się w nieciekawym kierunku. Wprawdzie wcześniej też zdarzały się okresy posuchy, ale tym razem trwało to już prawie pół roku. Wpadające od czasu do czasu zlecenia wystarczały na pokrycie kosztów, nie tego jednak oczekiwała od Michała europejska centrala MG w Londynie. Zaczynały stamtąd dobiegać pomruki niezadowolenia. Kontroler operacyjny nadzorujący polski oddział przysłał w zeszłym tygodniu długi, obfity w liczby mail, w którym ostrzegał Michała, że nie ma szans na wykonanie planu rocznego, jeśli biznes będzie się kręcił w takim tempie. Może wkrótce spodziewać się „przeglądu praktyki”, jak eufemistycznie określano nalot dywanowy z centrali. Tydzień upokarzającego tłumaczenia się, przeglądu dokumentacji, sesji z udziałem pracowników, spotkań

z klientami, opracowywania planów naprawczych. Michał słyszał od kolegów z innych krajów, że to doświadczenie, samo w sobie nieprzyjemne, często bywało również punktem zwrotnym w karierze szefa biura. Dawano szansę rozwoju poza organizacją, czyli kopa w tyłek.

Gdyby zapytali Michała o przyczyny kłopotów kancelarii z pozyskiwaniem zleceń, tłumaczyłby, że rynek przejęć zamarł. Fala transakcji, których skala jeszcze przed rokiem biła historyczne rekordy, niespodziewanie opadła. I stało się tak, mimo że spółki wciąż przybierały na wartości, zwiększając przez to swą zdolność do pozyskania bankowego kredytu – paliwa niezbędnego dla przeprowadzania zakupów innych spółek. Wyjaśniłby, że przyczyn zastoju należy upatrywać w wysokich oczekiwaniach co do wycen spółek. Nie bardzo wiadomo, jak podejść do konsumpcji, kiedy kasek cały czas rośnie. Ile w jego rynkowej wartości stanowi mięso i tłuszcz, a ile jest powietrza, które spowoduje zgagę w rok po przejęciu? Żaden zarząd nie lubi wydawać komunikatów, że owszem, dokonaliśmy rok temu wspaniałej transakcji, ale obecna sytuacja wymaga, żebyśmy połowę wydanej kwoty wpisali w straty. Michał przeczuwał, że sentyment rynku wkrótce się zmieni, a wtedy wartość spółek zacznie się kurczyć niczym przekłuty balon. Wtedy będzie czas na zakupy dla tych, którzy będą mieli pieniądze. Kiedy to nastąpi? Sądził, że niedługo, skoro inwestowanie w akcje, prezentowane jako sposób na pewny zarobek, zaczęło być tematem rozmów w telewizji śniadaniowej. Zarządzający funduszami inwestycyjnymi wiedzą, że kiedy na rynek wchodzi niedoświadczeni inwestorzy, należy sprzedawać akcje i realizować zyski. Konsekwencją jest korekta kursów akcji w dół, nierzadko przeradzająca się w gwałtowną przecenę.

Ale był też inny powód pogorszenia wyników. Powód być może ważniejszy. Pewnie wpadliby na to, gdyby przejrzeł jego kalendarz. „Czy mógłbyś pokazać listę spotkań z potencjalnymi klientami, funduszami inwestycyjnymi i bankami z ostatniego roku?” – tak mogłoby brzmieć pytanie. „Nie ma czego oglądać, zacząłem unikać tych interesownych sługusów. Nudzą mnie i powodują niesmak, który muszę zmywać etanolem” – to byłaby szczerza odpowiedź.

Z zadumy wyrwał go ruch wycieraczek, które wystartowały pod wpływem pierwszych kropel deszczu. Wybrał drogę przez Chłodną, ale tutaj też był korek. Choć jeździł tą pokrytą kocimi łbami ulicą niezliczoną liczbę razy, zawsze czuł się nieswojo pomiędzy obskurnymi pawilonami. Relikt Peerelu. Jeszcze niedawno zagłębienie sex-shopów i dziupli samochodowych. Może inwestorzy omijali to miejsce z obawy przed znalezieniem czegoś, co zostało w ziemi po ekshumacjach w czterdziestym szóstym?

Nie, prawnicy skupujący roszczenia od spadkobierców przedwojennych właścicieli nie stworzyli jeszcze dostatecznie dobrej legendy, żeby wyszarpać parcele od miasta. To kwestia czasu.

Skręcił w Żelazną, potem w Pereca. Otworzył okno i przystawił kartę do czytnika, szlaban się uniósł. Manewrował ostrożnie swoim bmw w studni parkingu. Obtłuczony tynk na zakrętach i czarne smugi wzdłuż ścian świadczyły o przegranej walce kierowców z ograniczeniem przestrzeni. Garaże w biurowcach przy alei Jana Pawła II od kilkunastu lat były takie same, podczas gdy samochody stawały się coraz większe.

Przyjdzie moment, że będą tu mogli wjechać tylko goście w obcisłych gaciach na wypasionych rowerach.

Ustawił się na swoim oznaczonym kopertą miejscu. Było w pół do ósmej – parking świecił jeszcze pustkami. Wyjął z bagażnika teczkę i przeszedł do szybu wind. Chwilę trzymał palec na przycisku, w końcu ciężarem ciała opadł na guzik. Z góry dobiegło stęknienie ruszającego silnika dźwigu.

Wszedł do holu przy recepcji i przeszedł korytarzem wyłożonym beżową wykładziną w stronę gabinetu. Zuzy (jego asystentki) jeszcze nie było. Odłożył teczkę i spojrzął przez okno na dokonujące się po drugiej stronie ulicy wyburzenie. Ostry trzpień umieszczony na długim wysięgniku dziobał szkielec kamienicy na wysokości drugiego piętra, krusząc go po trochu. Wyższych pięter już nie było. Zmieniły się w leżący u podstawy stos gruzu, który ładowarka wrzucała na podjeżdżające co jakiś czas wywrotki. W miejsce budynku z lat sześćdziesiątych powstanie czterdziestopiętrowy apartamentowiec. Na parkanie wokół placu budowy umieszczono w regularnych odstępach ułożony w logotyp napis „Radmes”.

*

Do pokoju zajrzała Zuza, wpuszczając mydlany zapach perfum. Współgrał z białą koszulą i garsonką, dzisiaj szarą. Musiała mieć tych kompletów więcej niż on garniturów – nie pamiętał, żeby dwa razy przyszła ubrana tak samo. Dobiegała czterdziestki, nie można było odmówić jej atrakcyjności. Mimo to z nikim się nie spotykała. Michałowi zawsze wydawała się nieskazitelna. Może w tym tkwił problem?

– Cześć! Chcesz kawy?

– Zanieś, proszę, do konferencyjnej. Zaraz zaczynamy. – Przekładał papiery na biurku w poszukiwaniu notatnika.

W sali czekali już dwaj partnerzy kancelarii. Brakowało Joanny. Michał spojrzął na zegarek.

– No dobra, co mamy w tym tygodniu? – Odchylił się na krześle i założył ręce za głowę. – Marek, zacznij.

– Tak jak przewidywaliśmy, Jastrzębski przygotowuje zaskarżenie uchwały o podwyższeniu kapitału. Rozesłał zapytanie do kilku kancelarii, przyjaciele o nas pamiętali. Być może uda się zdobyć jakąś wersję wstępną i będziemy w stanie ocenić siłę argumentów.

– Nie sądzę, żeby wymyślili coś odkrywczego, ale pilnuj terminów. Może spotkam się z nim w tym tygodniu i spróbuję ustalić, czy gra pod kogoś. Niewykluczone, że robi tylko szum i czeka na naszą propozycję. Rozesłał zapytania... Jakby chciał dać sygnał. – Zastanowił się chwilę. – Czy mamy jeszcze ten kontakt w kancelarii sądu? – zapytał.

– Tak, pani Bożenka ciągle tam pracuje. Poproszę ją, żeby dała znać, jeśli wpłynie wniosek od Jastrzębskiego – odpowiedział Marek.

– I niech się postara, żeby przez tydzień trafiał pod spód stosu na biurku

referendarza.

Interes klienta był najważniejszy i wymagał czasami przyśpieszenia, a niekiedy opóźnienia działania sądu. Każda kancelaria robiła takie rzeczy. Jak brzmiało to powiedzenie pochodzące przecież z kraju o podobno najbardziej rozwiniętej demokracji? „Dobry prawnik zna prawo, świetny – zna sędziego”. Pamiętał sprawę siostrzeńca pani Bożenki. Zwróciła się do nich, bo polubiła Zużę, która często dostarczała dokumenty do sądu. Kancelaria wyciągnęła z poważnych kłopotów złodzieja i oszusta. Że sprawę zaraportowali jako działalność *pro bono* ? Cóż, wszyscy są zadowoleni. No, może oprócz firmy, której wniosek będzie teraz tygodniami prasowany pod kilkoma kilogramami papieru.

Michał ponownie spojrzął na zegarek.

– Co z Aśką?

Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek bez uprzedzenia opuściła poniedziałkową odprawę. Był ciekaw, co ze sprawą, którą prowadziła. Oczekiwał, że dzisiaj zaprezentuje dalsze szczegóły. W ubiegłą środę miała spotkać się z klientem. Wyglądało na to, że jeden ze akcjonariuszy dużej firmy budowlanej poszedł na całość i w zмовie z notariuszem sfałszował protokół walnego zgromadzenia. Prymitywny numer, ale mógł przejść pod warunkiem, że posiedzenie nie było rejestrowane. Michał liczył się z ewentualnością jakiejś dodatkowej pracy, może nawet dostaliby zlecenie prowadzenia sprawy w sądzie. Łatwe pieniądze przez kilka lat.

– Pewnie stoi na moście. Był jakiś wypadek na Trasie Toruńskiej – powiedział Krzysztof i przeszedł do omawiania statusu projektu, któremu w kancelarii nadali kryptonim Montezuma.

Odezwał się kac i słabo przespana noc. Michał poczuł, że opanowuje go otępienie. Krzysztof coś mówił, gestykułował, rysował schemat na tablicy, a Michał odbierał nieostry obraz i przytłumiony dźwięk. Jakby ktoś nakrył go słojem. Zdania ulegały rozszczepieniu na pojedyncze słowa, traciły integralność niczym światło przechodzące przez grube szkło. „Marża... rynkowe... transfer...” – to wszystko było tak nieistotne i całkowicie pomijalne.

Ze stanu pomiędzy jawą i snem wyrwało go słowo „Aśka”.

– Nie odbiera. Dzwoniłem, ale odzywa się skrzynka. Ma wyłączony telefon albo jest poza zasięgiem – rzekł Marek.

„Znaleźć się poza zasięgiem” – tak, to mogłoby być jego życiowe motto. Dlaczego więc poczuł niepokój? Istnieją ludzie, na których się polega. Joanna należała do tego gatunku. Tacy wysyłają wiadomość, jeśli coś się dzieje.

Chyba że nie są w stanie.

*

Michał siedział w fotelu w swoim gabinecie z nogami na biurku i osuwał się w drzemkę, kiedy zadzwonił telefon. Zuza. Nacisnął guzik.

– Co tam? – zapytał, powstrzymując ziewnięcie.

– Michał, dzwonili z Radmesa. Ich prezes, zaczekaj, zapisałam, aha... Jan Winter,

chce się z tobą spotkać w czwartek gdzieś w Śródmieściu. Konkrety podadzą później. Potwierdzamy?

Michałowi chwilę zabrało przyswojenie informacji.

– Oddzwoni do nich za godzinę i potwierdź. Ustal też, gdzie się mamy spotkać.

– Dobrze. – Rozłączyła się.

Jan Winter. Kto by pomyślał? Poznali się dziesięć lat temu, mniej więcej wtedy, kiedy Winter przyjechał do Warszawy z Londynu. Podobnie jak Michał był prawnikiem, ale obracali się w innych kręgach, ich orbity przecięły się raz na imprezie rocznicowej którejś z kancelarii. Chociaż warszawskie środowisko prawnicze nie było wielkie, nie spotkali się od tamtego czasu. Kariera Wintera przyśpieszyła pięć lat temu, kiedy został prezesem zarządu Radmesa – firmy deweloperskiej, realizującej projekty apartamentowe w Warszawie i Trójmieście. Widać trafił na właściwe miejsce, bo wprowadził spółkę na giełdę i potroił jej wartość. Jeśli działasz w biznesie luksusowych apartamentów, dostajesz bilet na salony. Winter obracał się teraz w środowisku ludzi mediów, polityków i bankierów. Pokazy mody, otwarcia wystaw w Zachęcie, bale charytatywne. Łatwo było go wypatrzeć na zdjęciach w kolorowych magazynach – czarne włosy, przystojna, smągła twarz, olśniewający uśmiech, zawsze w towarzystwie niezwykle ozdobnej dziewczyny, prawie za każdym razem innej.

Dziesięć lat temu Michał uznał, że żona Wintera (od dawna już eks) jest urocza, a Winter to pozer. No cóż, musiał mieć też inne przymioty, skoro jest tym, kim jest, a przez okno w Michała gabinecie można podziwiać proces powstawania flagowego projektu jego firmy – Warsaw Centurion. Czy Winter chciał się spotkać w sprawie jakiegoś zlecenia dla Radmesa? Przydałoby się rzucić coś większego na żer Londynowi. Zyskałby trochę czasu, zanim głodna pieniędzy centrala zacznie dobierać mu się do skóry.

*

Pierwsze kroki po przybyciu do biura Michał skierował do gabinetu Joanny. Pusty. Po raz kolejny zadzwonił na jej komórkę. Automat już nie prosił o pozostawienie wiadomości, ale informował o przepełnionej skrzynce.

– Wpadnij na chwilę – rzucił do Zuzy, wchodząc do siebie.

Gestem poprosił, żeby zamknęła za sobą drzwi.

Obciągnęła spódniczkę i przysiadła na brzegu kanapy.

– Joanna nie pojawiła się wczoraj i dzisiaj. Wiesz, co się z nią dzieje?

– Nie. Ktoś z jej zespołu pytał mnie dzisiaj o nią. W każdym razie nie widziałam jej od czwartku. Może jest chora?

– Być może, ale ma wyłączoną komórkę. To dziwne.

– Ej tam, od razu dziwne. Może chce mieć spokój albo gdzieś zostawiła ładowarkę, może się jej zepsuła – przecież to się zdarza, nie? A ona leży w łóżku z wysoką gorączką. W czwartek koło południa zaglądała do ciebie, ale już wyszedłeś. Sama też zaraz poszła. Wcześniej jak na nią. Może już coś ją brało? Mówią, że teraz jest szczyt zachorowań na grypę.

– Tak, to byłoby wytłumaczenie, chociaż powinna dać jakoś znać, że bierze wolne. Pojeźdź do niej i sprawdź, czy nie trzeba pomóc, zrobić zakupy albo kupić leki. Przejrzyj też jej kalendarz. Trzeba odwołać spotkania albo wysłać kogoś w zastępstwie.

– Okej.

Zadzwoń ją po pięciu minutach. Głos jej drżał.

– Michał, mam na linii mamę Joanny. Pyta, czy nie wiemy, gdzie jest.

– Połącz.

Kiedy odkładał słuchawkę, był pełen złych przeczuć. Umówiły się na zakupy na niedzielę. Joanna nie przyszła, a telefon nie odpowiadał. W poniedziałek rano matka pojechała do niej, zastała zamknięte drzwi. Nie, nie miała kluczy do mieszkania. Zadzwoń ją do kilku koleżanek Joanny – z żadną nie kontaktowała się ostatnio. Kobieta bardzo się niepokoiła, bo Joanna nigdy tak nie zniknęła. Michał rzucił kilka zdań, które miały zabrznieć uspokajająco, ale jemu samemu wydały się nieprzekonujące, i obiecał, że zadzwoni, kiedy czegoś się dowie. Poprosił o to samo matkę Joanny.

Co właściwie miał zrobić? Nie znał żadnych jej znajomych. Kilka razy zapraszała go na wyjście na piwo z ludźmi z innych kancelarii, ale zawsze czymś się wymawiała. Co wiedział o Joannie?

Zdarzało się, że razem jeździli jego samochodem na spotkania z klientami. Kiedyś Anka znalazła włos Joanny na siedzeniu pasażera. Wzięła go w palce z miną, jakby trzymała tasiemca.

– Mówią, że żenicie się z blondynkami, ale wolicie brunetki. Oto dowód, iż nie należy dawać wiary porzekadłom.

Joanna świetnie sobie radziła w męskim świecie zarządów i rad nadzorczych. Kiedy się uśmiechała, to jakby ktoś włączył grzejnik na podczerwień. Za atrakcyjną powierzchownością, którą z premedytacją wykorzystywała do przełamywania pierwszych lodów, kryły się błyskotliwy intelekt i ironiczne poczucie humoru. Mógłby powiedzieć, że Joanna była jednym z filarów kancelarii, co zabrzmiałoby jak oksymoron, zważywszy na jej filigranową figurę.

Nie ma co, kompletne *dossier*.

Coś więcej? Jakiś narzeczony, jeszcze ze studenckich czasów. Ktoś, chyba Zuza, wspominał, że to nieaktualne.

Joanna zawsze pamiętała o jego urodzinach, co roku dostawał od niej jakiś drobiazg. Przypomniawszy sobie gustowną zakładkę do książek z tkaniny o wzorze perskiego dywanu i monografię o brytyjskich konserwatystach.

Joanna pamiętała o jego urodzinach... Ta myśl wywołała wspomnienie słodczy i smaku piernika. Jaki miało to związku z Joanną? Nie był w stanie stwierdzić.

Wziął telefon i wyszukał kontakt: Marcin Horodyński.

*

Michał współpracował z Horodyńskim od początku istnienia kancelarii. Trzeba mieć

kogoś takiego, jeśli zajmujesz się sprawami o wartości kilkudziesięciu czy kilkuset milionów.

Poznali się przez wspólnego znajomego. Horodyński wtedy dopiero co przeszedł na wczesną mundurową emeryturę. Jako były oficer śledczy policji, potem CBS, był nie tylko doświadczonym detektywem i znawcą technik operacyjnych, ale miał też rozległe znajomości w branży. Przyjaźnił się z kilkoma komendantami wojewódzkimi policji, znał wielu wysokich oficerów w różnych służbach. Po roku znajomości relacja klient – zleceniobiorca przerodziła się w zażyłość, którą od czasu do czasu wzmacniali pół litrem zimnej wódki i tatarem w Lotosie na Belwederskiej.

Kiedy Michał zadzwonił, Horodyński był za Rawą Mazowiecką. Wracał z Częstochowy z porcją dokumentów gromadzonych do jednej ze spraw. Mimo że zbliżał się do sześćdziesiątki, wciąż najlepiej czuł się w terenie. W prostych sprawach, jak odbiór dokumentów, Horodyńskiego mógłby wyręczyć któryś z jego młodszych współpracowników. Michał wiedział, że nie jest łatwo zasiąść za biurkiem komuś, kto przez całe zawodowe życie biegał po mieście z nosem przy ziemi i spędził w sumie kilka lat w samochodzie na obserwacjach. Poza tym praca dla MG była dla Horodyńskiego największym stałym zleceniem i zawsze dawał jej priorytet. Michał odwdzięczał mu się poradami w kwestiach prawnych, które czasami wymagały rozpoznania w związku z innymi zleceniami obsługiwanymi przez firmę Horodyńskiego.

Otworzyły się drzwi i do gabinetu Michała wszedł niewysoki, korpulentny mężczyzna z czarnym wąsem na okrągłej twarzy.

– Kończ oglądać gołe panienki i bierz się do roboty – powiedział Horodyński, rzucając papierową teczkę na biurko.

– Ja też cię kocham, ale dzisiaj to ty będziesz miał robotę.

Horodyński rozsiadł się na kanapie.

– Co jest? Przez telefon brzmiałeś, jakby zdechł ci pies. I czemu jesteś taki sztywny? Przewiało cię?

Michał przez chwilę dobierał słowa.

– Joanna... Nikt nie wie, co się z nią od kilku dni dzieje.

Horodyński nie przerywał, kiedy Michał zdawał relację.

– Idę do ochrony budynku – skwitował na koniec. – Powinienem wrócić w ciągu godziny. Będziesz jeszcze?

– Tak, nie mam dzisiaj spotkań.

Zjawił się po dwóch kwadransach.

– Według danych z systemu w czwartek tuż po trzynastej użyła swojej karty przy wyjeździe z garażu. To ostatni zapis. Jadę do niej. Zadzwonię. Aha, daj mi jeszcze numer telefonu do jej matki.

Kiedy Horodyński wyszedł, Michał zgasił światło w gabinecie i usiadł w fotelu. Patrzył przez ociekające deszczem szyby będące ścianami narożnego gabinetu. Szare niebo, szare budynki, nieliczni przechodnie chowający się pod czarnymi parasolami, samochody na alei Jana Pawła II pokryte brudem niczym kamuflażem. Pomalowane

na żółto maszyny żwawo manewrowały wokół stosu gruzu na placu budowy Radmesa. Zdawały się pochodzić z innego świata, takiego, w którym źródło energii stanowi destrukcja.

*

Aromat wanilii i cynamonu. Siedzi pod kocem w fotelu na antresoli. Słońce rozświetla pokój. Harmonia, więcej niż spokój – błogostan.

Z ulicy dochodzą głosy i grafitowa chmura gasi słońce. Zrywa się. Czy to oni?

Sąsiad mówił, że chodzą od domu do domu i wypytują. Czekać na nich czy iść załatwiać sprawy? Nie wyjdzie – to będzie podejrzane, pomyślą, że jest winny.

Słowo drażni jak grudka zaschniętej gliny w bucie. Chce je wymazać, nie może. Czy idą po niego? Przecież nie zrobił nic złego. Okres ostatnich dwudziestu lat pamięta dokładnie. Skąd więc to dojmujące poczucie winy? Tak, coś mogło zdarzyć się dawniej, a on latami sączył masę zapomnienia, wokół raniącej drobiny utoczył perłę i ukrył ją wśród innych, w podwójnym sznurze. Wspaniały naszyjnik – Anka w urodziny śmieje się przed lustrem. Zapominał już wcześniej – dziewczyna w liceum – wróciła z niebytu listem, który wypadł z książki. Czy ktoś jest niewinny? „Popatrz, wnucusiu” – mówi babcia i pokazuje brązowe znamię na jego stopie. „To jest znamię Kaina, pieczęć twojego występku, każdy ma swoją”.

Nie, on się nie przyzna. Nic mu nie udowodnią.

Odchyła brzeg firanki i wygląda przez okno. Policjant idzie, patrzy w notes. Chyba minie furtkę! Nie, cofnął się i szuka dzwonka. Serce pod gardłem. Musi otworzyć.

– W jakiej sprawie?

– Dzień dobry, ja tylko na chwilę. Sprawdzamy piwnice.

Coś, co nie powinno, poruszyło się w pamięci niczym ciało w grobie niedługo po pogrzebie. Piwnica – cień wspomnienia, prawie nic, wyblakłe zło, jego wina.

Schodzą po wąskich schodach, policjant rozgląda się po zagraconym wnętrzu. Patrzy na podłogę, szura czarnym butem i robi głębokie rysy, ślady szponów.

– Kiedy była robiona wylewka?

Śledczy jest na tropie, blisko odkrycia prawdy, dla niego zakrytej, bo nie zniósłby jej mroku. Nie pamięta, dawno chyba...

– Ja nie...

– Pan nie... co? Wygląda na świeżą. – Policjant znów spogląda na podłogę, teraz podejrzliwie.

– Ja nie schodziłem do piwnicy!

Natychmiast musi stąd uciec i znowu zapomnieć, ale nie może się ruszyć. Nogi zapadają się w rozmiękły nagle cement, w podłogę wciska go ciężar, który usiadł mu na ramionach. Próbuje go zrzucić, na próżno.

– Zaraz sprawdzimy – mówi policjant. – Jest niezawodny test. Wszystkich winnych bolą plecy. Czy bolą pana plecy?

– Nie, w ogóle, nic a nic. Co to za absurd!

– Nowa metoda. Sto procent wykrywalności. Skłon. No, dalej!

Musi zrobić, inaczej go zdemaskują! Próbuje, ale nie może się schylić. Jest już zagłębiony w podłogę po uda! Jeśli będzie dalej zwlekał, dojdzie do pasa i wtedy skłon będzie niemożliwy do wykonania. Odkryją prawdę! Napina mięśnie i rzuca ciało do przodu w ostatniej rozpaczliwej próbie.

*

– O kurwa! – Michał zawył z bólu.

Leżał w skotłowanej pościeli. Nie mógł poruszyć głową. Rwała go szyja. Ból przy najmniejszym ruchu przeszywał aż do mdłości. Obrócił się wokół własnej osi i sięgnął po telefon. Szósta siedem.

Niespodziewanie aparat w jego ręce zawibrował. Horodyński.

– Kancelaria, słucham.

– O, jaki rześki! Jesteś w domu?

– A gdzie miałbym być o tej porze?

– Jadę. Będę za jakieś pół godziny – powiedział Horodyński i się rozłączył.

Michał przeturlał się na skraj łóżka i sięgnął po fiolkę tramalalu. Począł, aż lek zacznie działać.

Horodyński przyjechał po czterdziestu minutach. Wniósł ze sobą zapach wiatru.

– Zrób nam dobrej kawy – zaordynował w korytarzu. – Ale ziąb! – Zatarł dłonie.

Usiadł przy stole w kuchni i patrzył, jak Michał nastawia ekspres.

– Brakuje ci jej, co?

Michał milczał, słyhać było jedynie syk pary. Ekspres zawarczał i po kuchni rozszedł się aromat kawy.

– Przyzwyczaiłem się – odparł w końcu.

– To już trzy lata, może czas wrócić do żywych? – Horodyński otaksował wzrokiem butelki po whisky ustawione na blacie pod oknem.

– Dam ci znać, jeśli będę potrzebował życiowych porad.

Postawił filiżankę przed Horodyńskim i usiadł ze swoją po drugiej stronie stołu.

– Co cię sprowadza przed wschodem słońca?

– Na dziewiątą jadę na lustrację mieszkania Joanny, a potem mam kilka spotkań. Nie wiem, czy miałbym czas spotkać się z tobą później.

– Lustrację?

– Wejście, oględziny. Zawsze się sprawdza, czy czasem lokator... – odchrząknął – ...nie przebywa u siebie, że tak powiem. No i czy nie ma śladów przestępstwa. Wczoraj pojechałem z jej matką na komisariat. Zgłosiła zaginięcie. To jeszcze nic nie znaczy – dodał, widząc pytanie we wzroku Michała. – Standardowe postępowanie, żeby służby podjęły działania. I tak musiałem wykonać kilka telefonów, bo przy osobie dorosłej zazwyczaj nie śpieszą się z podejmowaniem czynności.

Przez chwilę obydwaj milczeli.

– Sprawdziłem jej służbową skrzynkę pocztową. Nie zauważyłem nic

niezwykłego – oznajmił Horodyński.

Wyjął z kieszeni kilka złożonych kartek i podał Michałowi.

– To jej kalendarz z ostatnich czterech tygodni. Musisz sam ocenić, czy jest tam coś nietypowego. Aha! Jest jedno spotkanie oznaczone krótko jako KP. Kilka takich wpisów pojawiało się wcześniej, ostatni dotyczy ubiegłego piątku. Z maili wynika, że może chodzić o księdza Piotra Michalskiego. Ustaliłem, że ktoś taki... jak to się mówi?... pracuje?... w kościele Wszystkich Świętych przy placu Grzybowskim. Duża szansa, że to on, choć do końca nie wiadomo – nazwisko jest dość pospolite.

– Dobrze, przejrzę kalendarz i dam ci znać, jeśli coś znajdę. Myślisz, że warto pójść do tego księdza?

– Może dobrze ci zrobi rozmowa z kimś z innego środowiska.

Michał podążył za jego spojrzeniem w stronę okna.

– Zbieram do segregacji.

– Oczywiście. Takich nie przyjmują na wymianę, co? – Horodyński wstał. – Dobra, idę.

Michał chwilę jeszcze siedział przy stole, patrząc w okno, po czym z głośnym szurnięciem odsunął krzesło.

– Też pojedę. Może się na coś przydam.

– Szczerze wątpię. Lepiej zajmij się swoimi sprawami – zaproponował Horodyński, ale Michał już zakładał płaszcz.

– To jest moja sprawa.

*

Stali oparci o ścianę i przyglądali się, jak ślusarz pracuje przy zamkach w drzwiach mieszkania Joanny. Nie było jak w filmach. Żadnych wytrychów. W ruch poszła wiertarka. Horodyński sprowadził fachowca na koszt firmy, bo twierdził, że policja wzywa do asysty strażaków, a ci uwielbiają robić miazgę z drzwi.

W głębi korytarza szczęknął zamek. Z mieszkania wyszedł młody mężczyzna w garniturze. Zobaczywszy grupę ludzi, stanął niezdecydowany i zaczął się cofać z powrotem do wnętrza. Dzielnicowy żwawo ruszył w jego stronę.

– Moment, moment! Młodszy aspirant Marian Zarzycki, szósta komenda rejonowa policji. Czy zna pan sąsiadkę spod siódemki?

– Z widzenia, a o co chodzi? Coś się stało?

– Kiedy widział ją pan ostatnio?

– No nie wiem... Ostatnio to chyba w sobotę rano, jak wychodziłem na tenisa. Spotkaliśmy się w korytarzu.

– Która to była godzina?

– Zajęcia mam o jedenastej. Wychodzę mniej więcej za dwadzieścia. To musiało być wtedy.

– Czy miała coś przy sobie?

– Nie zwróciłem uwagi.

– Walizkę, dużą torbę?

– Nie, raczej nie.

– Sezam otwarty! – Ślusarz uporał się z drugim zamkiem.

– Później do pana przyjdę – rzucił mundurowy do mężczyzny. – Na razie proszę wracać do siebie.

Ruszył w stronę grupy skupionej koło drzwi w drugiej części korytarza.

Michał drgnął, ale Horodyński przytrzymał go ręką.

– Najpierw policja.

Ślusarz pakował narzędzia do torby, policjant podszedł ostrożnie do uchylonych drzwi. Przyłożył nos do szpary i wciągnął powietrze.

– No, to już będzie więcej jak trzy dni. Jakby co, to już nie świeżynka – wytłumaczył się.

– Psi chuj! – Horodyński postukał się w czoło.

Dzielnicowy założył foliowe ochraniacze na buty i naciągnął rękawiczki. Pchnął drzwi łokciem.

Michał skupił wzrok na pęknięciu tynku w kształcie rzeki z kilkoma dopływami. Nil... Amazonka... lasy deszczowe... liany... węże... Prawie poczuł żelazisty zapach krwi. Napiął mięśnie, oczekując jakiegoś poruszenia. Nic takiego nie nastąpiło. Policjant wyszedł po minucie.

– Czysto – powiedział. – Niczego nie dotykajcie, bo będzie, że grzebiemy w rzeczach bez nakazu. I jakby co, to nie wchodziliście.

Wręczył im po parze ochraniaczy na buty.

Michał ruszył za Horodyńskim, ale zatrzymał się. Wejście do mieszkania Joanny pod jej nieobecność wydało mu się naruszeniem tabu jej intymności. Nie był policjantem, nie należał do rodziny, nie miał prawa tu być. Wycofał się na próg, skąd otaksował wnętrze.

Jasność biła po oczach. Kremowa wykładzina z długim, miękkim włosiem pokrywała podłogę obszernego salonu. Ściany wyłożone materiałową tapetą, tłoczoną w delikatny pastelowy deseń. Biała komoda, sofa i fotel. Tego samego koloru, porozstawiane w różnych miejscach bibeloty – wazon, misa na owoce i ramki ze zdjęciami na ścianie.

– Raffaello, jak Boga Kocham! – zauważył Horodyński. Zorientował się, że Michał został w tyle.

– Idziesz?

Wezwanie przełamało skrupuły i Michał zrobił krok, zapadając się w miękkie podłoże.

Jego uwagę zwrócił oprawiony w antyramę szkic na ścianie. Z początku pomyślał, że to przeniesione na karton wierne studium *Dawida Michała Anioła*. Po chwili dało się dostrzec, że artysta dokonał własnej interpretacji. Ten Dawid nie epatował skupieniem i powagą oryginału. Nieznacznie wykrzywione kąciaki ust i przymrużone oczy przemieniały go w łobuza.

Oderwał wzrok od obrazu i podążył za Horodyńskim do kuchni.

Ten zajrzał tam do lodówki, kosza na śmieci i zmywarki, używając przy tym jednorazowej chusteczki, żeby nie zostawić śladów.

– Pusto, pusto... – powiedział bardziej do siebie niż do Michała.

Dłużej zabawił w łazience. Otwierał szafki, przypatrywał się pod różnymi kątami pustej półce pod lustrem. Na koniec przyklęknął i zlustrował fugi między płytkami na podłodze, potem przeciągnął paznokciem po wnętrzu wanny.

– Sprawdzasz poziom czystości? – zapytał Michał.

– Żebyś wiedział. Nie lubimy sterylnych łazienek w oparach domestosa. Życie nas nauczyło. – Dźwignął się ze stęknieniem. – W porządku, chodźmy dalej.

Z sypialni dochodziła poświata bijąca od amarantowych ścian. Równo pościelone łóżko przykryte wzorzystą kapą, na nocnej szafce kilka książek i szklanka z wodą. W połowie pełna, wzbudzała irracjonalne wrażenie, że Joanna zaraz wejdzie do pokoju i zapyta, co oni wszyscy, do cholery, robią w jej sypialni.

Na ścianie naprzeciw łóżka wisiał drewniany krzyż. Wokół niego przymocowane pinezkami obrazki świętych i wydrukowane teksty modlitw, całość ułożona w kolaż. Pod ścianą stał klęcznik. Michał podszedł i spojrzał na kartkę leżącą na pulpicie. Kilka linii zapisanych odręcznym pismem.

*Cóż przyjdzie człowiekowi z całego trudu,
jaki zadaje sobie pod słońcem?*

*Pokolenie przychodzi i pokolenie odchodzi,
a ziemia trwa po wszystkie czasy.*

Znał to.

Po powrocie ze szpitala Anka lubiła godzinami siedzieć w fotelu na antresoli. Otumaniona lekami patrzyła w okno. Kiedy Michał przynosił jej herbatę i siadał w drugim fotelu, spoglądała na niego i uśmiechała się, a potem odwróciwszy głowę, wracała do obserwacji. W pierwszych dniach starał się ją czymś zająć. Opowiadał, co działo się w pracy, proponował partię scrabble, wspólne obejrzenie filmu. Kiedy zdał sobie sprawę, że ona zgadza się na jego propozycje tylko dlatego, że nie chce sprawić mu przykrości, był zły na siebie za to, iż zamiast dbać o jej komfort, pozwalał, by ona dbała o niego. Odtąd pozwalał jej spędzać czas tak, jak chciała.

Niekiedy siadał obok i patrzył na jej twarz – bladą, prawie przezroczystą. Fotel stał blisko okna. To był pochmurny styczeń i światłu wystarczało energii jedynie na przejście przez szybę, potem szybko oddawało pole ceniom. Te leżyły się w fałdach koca i rozpełzały w głąb mieszkania, tkając coraz głębszy mrok.

Jedyny ruch widać było w oczach Anki. Szeroko otwarte, bladoniebieskie, wpatrzone w zimowy park, były jak ekran, na którym wyświetla się film. Nieczęste i powolne mrugnięcia oddzielały kolejne ujęcia obrazu przesuwających się chmur. Czasami przelatywał ptak i zostawiał w jej oczach smugę dostrzegalną jeszcze chwilę po tym, jak zniknął. W oczach Anki odbijał się obraz świata albo ona tworzyła świat swoją projekcją. Nie był pewien.

Właśnie w czasie jednego z takich milczących *tête-à-tête* Anka powiedziała:

– Jakakolwiek jest boleść, będzie więcej boleści.

- Co mówisz? – Drgnął zaskoczony.
- Takie rzeczy mi się przypominają.
- To nie brzmi zbyt optymistycznie. – Nie wiedział, co powiedzieć.
- Nie przejmuj się tym wszystkim za bardzo.

Wieczorem tego samego dnia, kiedy już spała, Michał odszukał te słowa w internecie. To był wiersz, który w całości wydał mu się przepojony rodzajem pesymistycznej prawdy. Wiedziony ciekawością, przeczytał analizę na stronie z gotowcami dla uczniów. Sięgnął nawet do tekstu źródłowego, który według autora omówienia był natchnieniem dla poety. Stąd wiedział.

Horodyński stanął obok Michała i przeczytał słowa z kartki.

- To jej pismo?
- Tak.
- Święte, kurde, słowa.
- Tak jakby. To z *Księgi Koheleta* ¹.
- A ty co? Z nudów zapisałeś się na kurs biblijny? Jakaś kobietę byś lepiej przytulił.

– Jasne.

Wyszli z mieszkania. Ślusarz zabierał się do wstawiania nowego zamka do drzwi, a mundurowy zapisywał coś w notatniku. Oderwał się na chwilę i zapytał Horodyńskiego, jakby ten był jego przełożonym:

- I co? Organizować ekipę z lampą?

Horodyński zajrzał jeszcze raz do wnętrza.

– Niech wasi zdecydują, ale moim zdaniem nie ma potrzeby. Przekaż, żeby zabezpieczyli mikroślady.

Stanęli przy samochodach zaparkowanych pod blokiem.

– Wyjechała? – dziwił się Michał. – Nikomu nic nie mówiąc? To zupełnie do niej niepodobne.

– Być może.

– Być może? Co masz na myśli?

Horodyński chwilę milczał, pocierając brew.

– Być może wyjechała. Jej samochód stoi w garażu – stwierdził.

– Pewnie wzięła taksówkę, na lotnisko albo na dworzec.

– Oczywiście. Tak mogło być. Powiedz, czy ostatnio zachowywała się jakoś inaczej? Była przybita, podekscytowana, cokolwiek odbiegającego od normy?

– Rozmawiałem z nią chyba we środę. Zachowywała się zupełnie normalnie.

Horodyński pokiwał głową i spojrzął na zegarek.

– Jadę. Widzimy się jutro.

Michałowi cisnęło się na usta pytanie, dokąd wybiera się szef ochrony kancelarii w momencie, gdy zaginął jej ważny pracownik. Powstrzymał się. Horodyński i tak by nie powiedział. Jedną z niepisanych zasad ich współpracy zakładała całkowitą swobodę działań Horodyńskiego.

Michał oparł się o samochód i rozejrzał po okolicy. Droga osiedlowa, wiodąca wzdłuż bloku, z jednej strony dochodziła do większej ulicy, z drugiej kończyła się ślepo przy pasie zieleni. Dalej chodnik wiódł w stronę strzeżonego parkingu i parku albo działek, sądząc po łysych teraz koronach niewysokich drzew. W którą stronę poszła Joanna kilka dni temu?

*

Michał cztery razy okrążył trójkąt ulic w pobliżu politechniki, zanim znalazł wolne miejsce do zaparkowania. Wysiadł z samochodu i postawił kołnierz płaszcz. Zrobiło się przenikliwie zimno, wiatr zacinał mokrym śniegiem. Z Winterem umówiony był w restauracji Dogmat na Pięknej. Nie znał tego miejsca. Miał już pięć minut spóźnienia.

Kiedy zatrzymał się przed jezdnią, żeby przepuścić samochody, podniósł wzrok. Nad chodnikiem po drugiej stronie ulicy zamontowano stalową siatkę dla ochrony przechodniów przez tynkiem odpadającym z fasady kamienicy. Na siatce siedział gołąb, a tuż obok niego wrona. Zwrócone dziobami do ulicy ptaki jakby obserwowały strumienie aut i przechodniów. Dzielilo je nie więcej niż pół metra i wyglądały jak para dobrych przyjaciół, którzy od lat spotykają się w tym miejscu i zgodnie milczą, bo wszystko, co mogliby powiedzieć, dawno zostało już powiedziane. Gołąb od czasu do czasu stroszył pióra, jakby chciał nabrać ciała i zrównać się ze swoim o kilka rozmiarów większym towarzyszem.

Michał uśmiechnął się. Gdyby nie był spóźniony, chętnie popatrzyłby dłużej na ten obrazek – wydał mu się budujący.

Miał właśnie ruszyć z miejsca – nastąpiła przerwa w ciągu samochodów – kiedy wrona obróciła łeb w stronę gołębia, przyskoczyła, na chwilę znieruchomiła i trach! Ciężki, ostry dziób zadał cios tak szybki, że wydawał się przywidzeniem. Uderzony w głowę gołąb zakręcił kilka bączków, bijąc przy tym rozpostartymi skrzydłami. Nie uciekał.

Leć, durny, leć! Michał rozejrzał się za kamieniem, którym mógłby rzucić we wronę i przerwać egzekucję.

Gołąb najwyraźniej inaczej oceniał sytuację. Siedział bez ruchu, tylko momentami przebiegający przez jego ciało dreszcz podnosił pióra i zamieniał go w duże puchate piskłę. Wrona na chwilę jakby straciła zainteresowanie ofiarą i rozglądając się na boki, zakrakała. Może upewniała się, że nie pojawił się żaden konkurent, i wysłała sygnał do pobratymców: „To ciepłe mięso jest moje, a wy grzebcie dalej w śmietnikach i żryjcie śmierdzące truchła przy krawężnikach”.

Tymczasem gołąb zaczął dreptać w stronę wrony. Czyżby rozpaczliwy kontratak? Nie, to wyglądało raczej jak: „Ach, to ty? Wybacz, że cię nie rozpoznałem. Wiesz, ostatnio miewam migreny. Pozwól, że cię uściskam”. Tym razem nie było niespodzianki. Trzask w łeb! I znowu taniec ze skrzydłami.

Pieprzony samobójca!

Michał odwrócił wzrok z wyrazem niesmaku na ustach, przebiegł ulicę i po chwili

był już przy drzwiach Dogmatu.

Kiedy wszedł na salę, Winter, który był jedynym gościem w restauracji, spojrzął wymownie na zegarek. Wstał i wyciągnął rękę na przywitanie.

– Dzień dobry.

– Cześć. Minęło kilka lat.

– Czyżbyśmy spotkali się wcześniej? Niestety nie pamiętam. Proszę usiąść.

Stali przez chwilę przy stole i żaden z nich nie siadał. Winter wykrzywił kącik ust w grymasie, który jedynie przy dużym udziale dobrej woli można byłoby uznać za uśmiech.

– Okej, siadamy? – zapytał i w końcu usiadł pierwszy.

Wielebny fiut – pomyślał Michał, patrząc na stójkę śnieżnobiałej koszuli, wyzierającą z przerwy mandaryńskiego kołnierza czarnej marynarki Wintera.

Podszedł kelner i wręczył im menu. Winter odłożył swoje bez przeglądania.

– Tylko szklanka wody. Niegazowana z cytryną.

Michał zamówił colę.

Winter oparł się o stół i pochylił w stronę Michała. Nic nie mówił, czekał, jakby dawał penitentowi czas na ostateczny rachunek sumienia przed przystąpieniem do wyznawania grzechów.

– Jak idzie biznes? – zapytał w końcu. – Poprosiłem pana o spotkanie, bo być może będziemy mogli razem zrobić interes.

Michał poprawił się na fotelu i oparł łokcie o blat. Zaczynało się interesująco.

– W czym mogę pomóc? – Wytrzymał spojrzenie Wintera.

– Powiem panu coś w zaufaniu. Niech to zostanie między nami, tajemnica adwokacka, dobrze?

– Oczywiście. Chociaż nie jestem pańskim adwokatem.

Winter zignorował jego uwagę.

– Jak pan być może się orientuje, w Radmesie do tej pory koncentrowaliśmy się na rozwoju organicznym – skup nieruchomości, realizacja budów i sprzedaż lokali – normalna deweloperska działalność.

– I idzie wam, z tego co wiem, bardzo dobrze. Z okna biura widzę wasz nowy projekt przy Jana Pawła.

– Tak, wszystko idzie jak należy. A jednak mamy apetyt na więcej. Wie pan, pozyskiwanie nowych działek to sprawa tyleż delikatna, ile czasochłonna. Ile ich jest, tych atrakcyjnych, na rynku? – zapytał Winter i zaraz sam sobie odpowiedział: – Tyle co nic. I tutaj, i w Trójmieście trzeba wyrywać je z gardła miastu albo szukać spadkobierców po całym świecie. To trwa, trzeba przy tym uważać na oszustów i funkcjonariuszy trzyliterowych agencji, zresztą trudno odróżnić jednych od drugich.

– Hmm... – Michał sięgnął po szklankę.

Winter dysponował zadziwiająco szerokim repertuarem uśmiechów. Tym razem zaserwował przebiegły.

– Proszę o chwilę cierpliwości. Zaraz wszystko stanie się jasne. Radmes ma w tej

chwili na tyle wysoką wycenę giełdową i dostęp do finansowania, że możemy rozpatrywać ewentualność przejęcia kilku konkurencyjnych deweloperów. To szansa pozyskania gotowego pakietu nieruchomości i projektów na różnych etapach przygotowania. Możemy wykonać skok, zamiast dalej dreptać.

– Brzmi sensownie, ale nie słychać, żeby ktoś chciał się teraz sprzedawać. Wszystkim biznes idzie dobrze.

Winter wyprostował się i uderzył dłonią w rant stołu.

– Trafił pan w sedno. I dlatego przejęcie w tych dniach wymaga więcej przygotowań. Trzeba upuścić nieco krwi, doprowadzić wycenę do racjonalnego poziomu, a przy tym odpowiednio nastawić właścicieli do transakcji.

– Nie jestem pewien, czy rozumiem.

– No dobrze, powiem wprost. Pańska kancelaria, panie Tumski, stanęła mi na drodze. Wierzę, że przez przypadek znaleźliśmy się po przeciwnych stronach i wszystko da się naprawić. Chciałbym, żeby MG była moim sojusznikiem i dlatego zaproponowałem spotkanie. Proponuję kontrakt na obsługę Radmesa. Na razie na rok. Miesięczny ryczałt niech wyniesie, powiedzmy, trzysta tysięcy. To ponad trzy i pół miliona rocznie. Co pan na to? – Szeroki uśmiech z odsłoniętymi zębami nie objął oczu, które nie zmieniły wyrazu.

– O jakie wejście w drogę i usługi chodzi? – Michał zaczął odczuwać ekscytację siedmiocyfrową kwotą, która rozwiązałaby na jakiś czas problemy z finansami kancelarii. Problem w tym, że nie miał pojęcia, o czym Winter mówi.

Ten momentalnie zgasił uśmiech i popatrzył spod przymrużonych powiek. Sekunda, dwie, pięć – cisza zaczynała ciążyć Michałowi.

Winter kilka razy przebiegł palcami po stole, zanim się odezwał.

– Tę sytuację można zrozumieć dwojako. Wybiorę na razie pierwszy scenariusz i założę, że pan nie wie, o czym mówię. Proszę porozmawiać ze swoją współpracownicą... – Wyjął kartkę luźno włożoną w leżący na stole portfel i odczytał: – Joanną Szymalak, o sprawie pewnego walnego zgromadzenia akcjonariuszy, na którym jednego z nich reprezentowała jako pełnomocnik. Gdybym miał się założyć, obstawiłbym, że protokół ze zgromadzenia wiernie oddaje jego przebieg, chyba że ktoś miałby dowód, iż jest inaczej. Na przykład nagranie.

Michał usunął z rzęsy nieistniejący pyłek.

– Oczywiście, rozmawiam z Joanną o tej sprawie. Prowadzi ją samodzielnie i nie znam szczegółów.

– Bardzo dobrze. Proszę się do mnie odezwać, kiedy czegoś pan się dowie. Proszę dzwonić na komórkę. – Winter wręczył Michałowi wizytówkę i spojrzał na zegarek. – Teraz przepraszam, ale czekam jeszcze na kogoś.

– Jasne. – Michał się podniósł.

– W międzyczasie prześlemy wstępną wersję umowy pomiędzy Radmesem i MG – powiedział Winter, kiedy wymieniali pożegnalny uścisk dłoni.

Michał szedł do samochodu, rozchlapując kałuże śniegowej brei. Zamyślony, nie zwracał uwagi na wodę wlewającą mu się do butów.

Z jakiegoś powodu ostatnia sprawa, którą zajmowała się Joanna, okazała się istotna dla Wintera i był on gotów dużo zapłacić za to, aby Michał ukręcił jej łeb. Problem w tym, że nic o niej nie wiedział, a Joanna zniknęła. Czyżby miała nagranie feralnego walnego zgromadzenia? Jeśli tak, byłby to wystarczający dowód dla skutecznego zaskarżenia w sądzie tych uchwał, które protokół dokumentował inaczej niż zapis posiedzenia. Prokurator mógłby dobrać się co najmniej do notariusza – to pewnie byłby jego zawodowy koniec. Chociaż nie, ten wykpiłby się pewnie pomyłką i dostał co najwyżej karę dyscyplinarną od własnej korporacji. Czy Winter był zamieszany w ten przekręt? A jeśli zniknięcie Joanny miało związek ze sprawą, którą się interesował? To rzucałoby dodatkowe światło na całość i mogło oznaczać coś gorszego niż próba przekupstwa, której Michał został chwilę temu poddany. Musiał sam ustalić, o co chodziło ze sprawą tego feralnego walnego zgromadzenia akcjonariuszy.

Wytań mokry śnieg, który osiadł mu na rzęsach. Rozpadało się na dobre. Widoczność spadła do kilkudziesięciu metrów. Dostrzegł wronę na siatce nad ulicą. Dziobała martwego gołębia, wiatr porywał pierze. Idąca ze spuszczoną głową kobieta zauważyła małą kałużę krwi na chodniku, przystanęła i obeszła ją. Nie mogła poczuć ciężkiej kropli, która spadła na puchaty kaptur jej śnieżnobiałej kurtki.

*

Kiedy Michał wrócił do firmy, pracownicy zaczęli już wychodzić do domów. Poprosił Zuzę, żeby przyniosła mu kanapkę z bistro na dole.

Usiadł za biurkiem, zapalił lampę i wpatrywał się w wydruk firmowego kalendarza Joanny. Nadal nie dostrzegał w nim nic szczególnego. Kolejno skreślał spotkania wewnętrzne w biurze i takie, które dotyczyły znanych mu spraw. Wykreślił też kilka kolejnych, przy których widniało zdrobnione imię albo opis wskazujący na prywatną sprawę.

Pozostały trzy pozycje, które mogły być interesujące. Na jedną z nich zwrócił wcześniej uwagę Horodyński – spotkanie, prawdopodobnie z księdzem, wpisane na piątek, szóstego marca, na trzynastą. Dwa pozostałe to: „NWZA Prodeve SA” dziesiątego lutego i spotkanie bez wpisanego tematu z Funduszem Zion II w środę czwartego marca. Tę nazwę Michał skądś kojarzył. Otworzył w komputerze system ewidencji klientów kancelarii i odnalazł Zion II. Tak, to był nowy klient, którego Joanna wprowadziła do systemu na początku stycznia. Michał musiał zatwierdzić wpis, choć zupełnie tego nie pamiętał. Pewnie kliknął machinalnie, a Londyn zaakceptował klienta dwa dni później – nie figuruje na liście sankcyjnej, brak konfliktu interesów, brak zagrożenia dla reputacji firmy.

Otworzył załączony formularz wniosku. Właścicielem Zion II była firma z siedzibą w Szwajcarii; wiadomo – korzyści podatkowe i dyskrecja, nikt nie ustali prawdziwego właściciela.

Przewinął dokument, szukając informacji o spółkach, których właścicielem był Zion. Wszystko jasne. Posiadali znaczący pakiet akcji Prodeve. Joanna reprezentowała Zion II jako akcjonariusza na walnym Prodeve. Można zacząć

poszukiwania.

Przez kilka następnych godzin szukał informacji w internecie i opracowywał listę kwestii do ustalenia. Na koniec wysłał ją do Marka.

Wrócił do domu po dwudziestą pierwszą. Zastanawiał się, czy nie zamówić jakiegoś jedzenia. Nie, nie chciał czekać. Był głodny. Zdecydował się na gotowe danie z mikrofalówki.

Stanął przy szybie na antresoli i patrzył na światła w oknach bloku naprzeciwko. Wszyscy w domach. Pewnie już posprzątane po kolacji. Może siedzą razem, cała rodzina na kanapie przed telewizorem, oglądają serial albo talent show. Ona z lampką wina w dłoni, on z piwem, dzieci zapijają colą chipsy. A co tutaj?

Odwrócił głowę i spojrzał na stolik ozdobiony piękną butelką macallana, wczoraj ledwie napoczętą. Obok stała szklanka z rżniętą szklą. Tak jak butelka, rozszerzała się zgrabnie ku górze, ale bez bursztynowej zawartości wydawała się jej nedorobioną młodszą siostrą.

To można łatwo naprawić. Nic prostszego.

Głośne „kling!” wybiło go z rozważań.

Pieprzyć to!

*

Kilka razy próbował dodzwonić się do kancelarii parafialnej kościoła przy placu Grzybowski – bezskutecznie. Próbowala też Zuza – raz odebrała jakaś kobieta, ale kiedy okazało się, że nie chodzi o chorego w pilnej potrzebie duchowej ani o pogrzeb, poprosiła o osobistą wizytę w kancelarii w godzinach dyżurów.

Michał wybrał się tam w porze lunchu. Kiedy skręcił z Królewskiej na plac Grzybowski, pomiędzy gałęziami nagich drzew zajaśniała neoklasycystyczna fasada z dwiema wieżami. Musiały być kiedyś najwyższymi punktami w okolicy. Teraz stanowiły mało efektowne urozmaicenie dla grupy błękitnie połyskujących wieżowców.

Przeszedł przez jezdnię i włączył się w strumień podobnych do siebie pracowników okolicznych biurów, którzy korzystając z ładnej pogody, grupkami zdążali do okolicznych restauracji albo spacerowali po tej niewielkiej śródmiejskiej enklawie.

Zbliżył się do schodów u podstawy arkadowego portalu i przystanął. Zawahał się i ruszył dalej, w stronę Próżnej. Po kilkudziesięciu krokach zawrócił. Szedł pod prąd rozstępującego się przed nim strumienia młodych ludzi. Bez wątplenia przyjechali z daleka i oczywistym było też, że są w pewnym sensie stąd, z warszawskiego getta. Widział teraz kościół z innej perspektywy. Stojąca na postumencie u szczytu pustych schodów rzeźba polskiego papieża z wyciągniętą ręką wyznaczała linię biegnącą ponad głowami przechodniów. Tak jakby pasterskie pozdrowienie, czy co to tam miało być w zamysle autora, skierowane było do zamieszkujących dawno temu tę okolicę olbrzymów, a nie noszących się na ciemno napływowych, którzy w każdy dzień roboczy roili się z wysokich na dwieście metrów termitier ze szkła i stali.

Michał wstępował na puste schody, czując, jakby wchodził po trapie na pokład statku. Był sam, a to oznaczało, że mógł być równie dobrze pierwszym, jak i ostatnim z okrętujących się.

To przez figurę papieża. I tę piosenkę – *Barka*, *Arka* ?

Chwycił żeliwną, umocowaną dziwacznie wysoko kłamkę i wszedł do szerokiej, płytkiej kruchty. Drzwi zamknęły się za nim z hukiem. W pomieszczeniu był tylko bezdomny, który klęczał przy drugim wejściu. W ramach rekompensaty za spowodowany hałas Michał wygrzebał z kieszeni płaszcz kilka monet i rzucił je na tekturowy talerzyk z wizerunkiem idących za rękę Kubusia i Prosiaczka. Kiedy się schylał, wniknął w strefę kwaśnego odoru niemytego ciała. Obdarowany chował twarz za zasłoną skołtunionych siwych włosów. Na dźwięk brzęku monet zareagował lekkim kiwnięciem, jakby wiedział, że nie należy wykonywać energicznych ruchów, kiedy się śmierdzi.

Michał pchnął drzwi do kościoła, wszedł i się rozejrzył. Podążył wzrokiem w stronę, którą wskazywała wyciągnięta ręka wielkiej figury Chrystusa. Nie dostrzegł nic nadzwyczajnego, jedynie ścianę przeciwległej nawy. Kościół był pusty, nie licząc kobiety zmywającej posadzkę. Ciszę mąciły na przemian chłupot wody w wiadrze i plaśnięcia ścierki o podłogę. Przy wyłączonych światłach kościół tonął w półmroku. Przez okna pod sklepieniem południowej ściany wpadały promienie słońca. Wykrawały z szarości stożkowate, rozszerzające się ku dołowi tunele, które opadały ku posadzce, znacząc ją jasnymi plamami. Trudno było oprzeć się iluzji, że te świetliste podpory mają materialną strukturę.

Ruszył wzdłuż nawy. Minął ozdobiony wotami oświetlony obraz w bocznym ołtarzu i wyszedł przed prezbiterium. Zobaczył to, czego szukał – drzwi. Było ich nawet kilkoro. Niestety, wszystkie okazały się zamknięte. Zawrócił w stronę wyjścia.

Mimo że nie załatwił sprawy, w związku z którą tu przyszedł, nieśpieszno mu było wychodzić. Niczym turysta zatrzymywał się przy obrazach i pamiątkowych tablicach. Na koniec usiadł w przedostatniej ławce w nawie głównej.

Rzadko bywał w kościołach. Najwięcej odwiedził ich we Francji i Włoszech w czasie wyjazdów z Anką. Lubiła szczególnie Toskanię, dlatego wracali tam kilka razy. We Florencji potrafiła spędzić kilkadziesiąt minut przed obrazem albo freskiem. Opowiadała Michałowi życiorys malarza, z pasją wnikała w znaczenie ukrytych w dziele symboli. Zazwyczaj po kilku minutach dawał za wygraną i siadał w pobliżu, obserwując, jak ona z zadartą głową studiuje szczegóły malunku. Przepływający strumień turystów zwalniał koło niej, ludzie odwracali głowy w stronę, w którą skierowana była jej uwaga, po chwili ruszali dalej – przecież tyle jest jeszcze do zobaczenia. W końcu, nie patrząc w jego stronę, wyciągała rękę gestem zaaferowanej matki przywołującej dziecko. Podchodził, brał jej dłoń w swoją, odwzajemniał lekki uścisk. Szli do następnej stacji i wszystko się powtarzało.

Ostatni raz był w kościele nieco ponad trzy lata temu, na mszy pogrzebowej Anki. Niewiele z tego pamiętał. Mdlący zapach kwiatów i kadzidła, ciężar jej matki na swoim ramieniu. Wcześniej, w domu pogrzebowym, był ostatnim z żegnających. Pracownicy zakładu się postarali. Anka ubrana była w długą, łososiową sukienkę –

sama ją wybrała tydzień wcześniej. Michał dodał od siebie sznur pereł, zawsze uważał, że wyglądała w nich szykownie. Głowę miała okrytą kremową chustą ułożoną też na dekolcie i ramionach. Pokrył swoimi dłońmi jej splecione palce, chłodne i woskowe w dotyku. Patrzył na twarz, tak dobrze znaną, kiedyś czyjąś, teraz należąca do czegoś. Cień uśmiechu błędzący na ustach – nigdy Anki takiej nie widział, policzki zbyt odważnie potraktowane różem. Przyczernione brwi i rzęsy niepotrzebnie maskowały delikatne, jasne obramowanie oczu. Przez chustę pogładził ją po włosach, kiedyś długich, jasnych, w słońcu ujawniających rude pasemka.

Wiele lat temu stali w jednej z cel klasztoru Świętego Marka we Florencji i podziwiali fresk Fra Angelico.

– Zobacz, jaka jesteś do niej podobna – powiedział, wskazując jasnowłosą postać na malowidło; drugą ręką chwycił ją za pośladek. Pisnęła i z udawaną powagą powiedziała:

– *Noli me tangere!*²

Michał oparł łokcie o kolana i schował twarz w dłoniach.

Trzaśnięcie drzwiami rozniosło się echem po kościele.

Zaskrzypiała ławka za Michałem.

Poczuł ciężar ręki na ramieniu i przyjacielski uścisk, który pomimo kilku warstw ubrań wywołał uczucie gorąca na skórze. Przeszył go dreszcz.

Po chwili uścisk zelżał, obca dłoń wycofała się. Wokół rozniósł się kwiatowy zapach.

Siedział bez ruchu, nie wiedząc, jak się zachować. W końcu zebrał się na odwagę i spojrzał za siebie.

Rzucił się na ławkę przed nim, przesuwając ją ze zgrzytem. Patrzył w ziejącą bezzębną czeluść szerokiego uśmiechu na okolonej siwymi strąkami pomarszczonej twarzy. Różowa jama zdawała się rozwierać coraz szerzej, jakby chciała go pochłonąć. Bezdomny z przedsonka wpatrywał się w niego płonącymi od gorączki oczami, śmiał się bezgłośnie i trząśł głową w parkinsonowskim rytmie. Zapach kwiatów przeszedł w fetor. Michał wyskoczył z ławki, potknął się o klęcznik, odbił od kolumny i nie oglądając się za siebie, ruszył do wyjścia.

Na dole schodów zakreśliło mu się w głowie od świeżego powietrza i oślepiającej jasności. Na rogu ulicy zatoczył się i oparł dłońmi o mur. Przytknął czoło do chropowatego tynku. Wyrównał oddech.

Po chwili ruszył przed siebie. Idący z naprzeciwka ludzie przechodzili na drugą stronę, jakby omijali zadżumionego.

Skreślił w Świętokrzyską i włączył się w strumień przechodniów. Zaludniona ulica przywróciła mu komfort poczucia anonimowości. Im bliżej biura się znajdował, tym bardziej nierealne wydawało mu się to, czego doświadczył. Co to właściwie było?

Kiedy wchodził do windy, już żywił przekonanie, że właściwie nic się nie wydarzyło. Żebrak chciał pieniędzy, a on przesadnie zareagował. Wspomnienia lekko go rozstroiły. Każdemu może się zdarzyć.

*

Siedzieli w sali konferencyjnej. Grono jak przy cotygodniowych odprawach, tyle że bez Joanny. Był za to Horodyński doproszony przez Michała.

– No dobrze, skoro wszyscy są, możemy zaczynać. W pierwszym kroku musimy ustalić podstawowe fakty. Później poszukamy powiązań. Marek?

– Zacznę od końca. Byłem w sądzie. Akta Prodeve leżą u asesora. Nic nie budzi kontrowersji. Wkrótce wyda postanowienie i wpiszą zmiany do rejestru.

– Jakie zmiany?

– Zwiększenie liczby członków rady nadzorczej z trzech do pięciu i powołanie jej dwóch nowych członków.

– Czyli te dwie uchwały przeszły większością głosów? – upewnił się Michał.

– Tak wskazuje akt notarialny. – Podał Michałowi kilka zszytych kartek, które ten przestudiował.

– Bardzo ciekawe – stwierdził Michał, odkładając papiery. – Na pierwszy rzut oka wszystko wygląda *lege artis*. W zawiadomieniu były te dwa punkty, a statut spółki daje zgromadzeniu wspólników prawo do zmiany liczby członków rady nadzorczej. Przegłosowane, uchwalone, zaprotokołowane.

– To w czym problem? – zapytał Horodyński, nie podnosząc głowy znad telefonu, na którym bez skrępowania układał pasjansa.

– W tym, że to niemożliwe – stwierdził Michał.

Horodyński oderwał wzrok od rozgrywki.

– Że niby co jest niemożliwe?

– Zważywszy na listę obecności na walnym, te uchwały nie mogły przejść, jeśli Aśka nie zagłosowała za ich przyjęciem.

– No to zagłosowała, co w tym niezwykłego?

– Ano to, że nie mogła tego zrobić, bo pełnomocnictwo, które otrzymała od Zion II, kazało jej głosować przeciw. Marek, podaj mi akta.

Michał otworzył kartonową okładkę i wyszukał dokument.

– Instrukcja głosowania. Ostemplowana i podpisana przez zarząd Zion. – Podał kartkę Horodyńskiemu. – Instrukcja dla Joanny była jednoznaczna: głosować przeciw zwiększeniu liczby członków rady nadzorczej i powołaniu jej nowych członków. Jak już wiemy, protokół stwierdza coś przeciwnego, czyli przegłosowanie tych punktów.

– Przecież możliwe, że Aśka zagłosowała po swojemu, niezgodnie z instrukcją, prawda? – zapytał Horodyński.

– Teoretycznie tak, ale brałaby w ten sposób na siebie osobistą odpowiedzialność za szkody, które mógłby ponieść zleceniodawca. Po co miałyby to robić?

– No to jak to wyjaśnisz? – drażył Horodyński.

– Na spotkaniu w ostatni poniedziałek przed swoim zniknięciem wspominała o możliwym przekręcie i że musi coś jeszcze wyjaśnić z klientem w tej sprawie. Sądzę, że protokół z tego walnego został sfałszowany przez notariusza. Na czyjeś zlecenie.

Horodyński postukał się długopisem w nos, jakby pobudzał go do węszenia.

– Kto to jest?

– Nie jestem jeszcze pewien, choć mam pewne podejrzenia. Zostawmy na chwilę kwestie prawne. Zakładając, że było tak, jak podejrzewamy, trzeba pójść tropem akcjonariuszy Prodeve. Co o nich wiemy, Marek?

– O Zion II już mówiliśmy. Nie udało mi się znaleźć nic ciekawego na ich temat. Być może nie grali w tym wszystkim istotnej roli.

Podszedł do tablicy i rozrysował strukturę właścicieli Prodeve. Podkreślił nazwę firmy Istrel.

– Istrel ma trzydzieści dwa procent akcji Prodeve. Podobnie jak Zion II kupili akcje kilka lat temu od banków, które objęły je w ramach restrukturyzacji zadłużenia po poprzednim kryzysie w budownictwie. Prodeve zajmuje się generalnym wykonawstwem budowlanym, prawie wtedy zbankrutowali. Istrel naciskał na jak najszybsze wejście Prodeve na giełdę – chcieli w ten sposób z zarobkiem wyjść z inwestycji, tak samo zresztą kombinowali również inni akcjonariusze – w prasie sprzed około roku można znaleźć wzmianki o planach giełdowych spółki. Problemem wtedy okazał się brak porozumienia co do wyceny i zmian w statucie. Istrel to ciekawa spółka – ciągnął Marek. – Prywatny fundusz inwestycyjny należący do dwóch braci, zrobili kilka transakcji w ostatnich latach. Wydaje się, że fortuna im sprzyja – kupowali tanie spółki, podnosili ich wartość i sprzedawali, najczęściej innym, większym funduszom. Specjalizowali się w branży transportowej. Dużo też zarobili na nieruchomościach. Tutaj pojawia się zastanawiający wątek. Nie tak dawno, bo w styczniu zeszłego roku, utworzyli spółkę z Radmesem. Istrel wniósł do spółki grunt – dobra lokalizacja, w Gdańsku przy plaży. Radmes opracował projekt architektoniczny i realizuje budowę osiedla apartamentowców.

Marek dopisał na tablicy „Radmes” i poprowadził przerywaną linię do Istrela.

– No proszę, coś się zaczyna z tego wyłaniać. – Horodyński zanotował kilka słów w notesie. – Co dają im te zmiany w radzie nadzorczej?

– Spójrz... – Michał pokazywał na palcach. – Było trzech członków rady nadzorczej, pojawiło się dwóch nowych. Teraz jest pięciu, w tym dwóch z nowego rozdania. Wystarczy, że jeden z poprzednich zagra w tercie z nowymi i mogą zmienić zarząd. Chodzi o przejęcie kontroli nad spółką.

– Jedno mnie zastanawia – włączył się Marek. – Przecież Zion orientuje się, że w rejestrze sądowym są wpisane zmiany, które wynikają z odrzuconych w ich przekonaniu uchwał, i natychmiast to zaskarżą.

– Być może. Pamiętaj też, że zaskarżenie uchwał co do zasady nie blokuje ich wykonania. Sąd rejestruje zmiany, a później zaczyna się zabawa ze skarżeniem. Jeśli nie znajdą się twarde dowody, to obstawiam trzy lata na uzyskanie wyroku i odwołania we wszystkich instancjach, włącznie z kasacją do Sądu Najwyższego. A życie toczy się dalej, spółka musi działać.

– Mogą wystąpić z wnioskiem o zabezpieczenie powództwa i wstrzymanie wpisu tych uchwał. – Krzysztof nawet nie starał się brzmieć przekonująco.

Horodyński podniósł rękę i zastukał długopisem w stół.

– Panowie, wiem, że kochacie sobie tak popitolić, ale ja mam trzy proste pytania, na które nie znam odpowiedzi. Po pierwsze – jak sprawdzić, czy miał miejsce przekręt, czy może tylko Aśka miała zły dzień i przysnęła na głosowaniu? Po drugie – jeśli był, to po co to robią, i trzecie, kto za tym stoi?

W sali zapadła cisza. Michał stanął przy oknie i patrzył w dół na tworzący się w alei Jana Pawła II popołudniowy korek.

– Nie chcę rzucać oskarżeń, ale sądzę, że stoi za tym Radmes. Nie wiem, po co to robią. Bez potwierdzenia pierwszego punktu, o którym mówisz, Marcin, możemy tylko wróżyć z fusów. Muszę to przemyśleć. W międzyczasie – zwrócił się do Marka – zbierz, co się da na temat działalności Prodeve w ostatnim roku. Jakie projekty realizują i dla kogo, plany, zamierzenia – cokolwiek znajdziesz. Jeśli ktoś postanowił zachybotać tą łodzią, to nie dla zabawy. Musi chodzić o grubszy interes.

*

Nie zwrócił uwagi na oficjalny ton głosu Zuzy, która zaanonsowała gościa.

– Szefie, ktoś do pana.

– Słucham? – Nie oderwał wzroku od papierów.

– Gość.

– Nie mam spotkań w kalendarzu. – Położył przed sobą teczkę z dokumentami zdjętą ze stosu na biurku.

– Jeśli nie w porę, to zapraszamy do nas.

Podniósł wzrok. W pierwszej chwili pomyślał, że to kurier – skórzane spodnie, trekkingowe buty za kostkę, golf, motocyklowa kurtka. Brakowało tylko kasku w jednej i kartonu z przesyłką w drugiej ręce.

– Aspirant Agnieszka Moroz, szósta rejonowa komenda policji. – Wyciągnęła legitymację. Zza poły kurtki wychynęła srebrno-niebieska śnieżynka na skórzanej podkładce. – Czy możemy teraz porozmawiać?

– Tak, oczywiście.

– Może czegoś się pani napije? – zaoferowała Zuza.

– Poproszę czarną kawę.

Zuza wyszła, zamykając drzwi gabinetu.

– Proszę usiąść. – Wskazał gościowi kanapę. Sam usiadł w fotelu po drugiej stronie szklanej ławy.

Policjantka w milczeniu wyjęła z torby gruby notatnik w czarnej oprawie i wertowała go w skupieniu, nie zwracając uwagi na Michała.

Mogła mieć trzydzieści kilka lat, bliżej czterdziestki, sądząc po dłoniach. Skóra zaczęła już robić się cienka i przebijały spod niej błękitne żyłki, kilka brązowych plam – przebarwień od słońca – znaczyło upływ czasu. Długie, szczupłe palce, brak obrączki i śladu po niej, żadnego pierścionka; krótko, po męsku przycięte paznokcie. Kiedy zatrzymywała na chwilę dłoń nad stroną notatnika, dostrzegał lekkie drżenie palców. Czyżby objaw tremy?

W błyszczącej czarnej strukturze ciasno upiętych włosów widać było pojedyncze siwe nitki.

Całe to zaniedbanie i męska stylizacja nie mogły przesłonić faktu, że miała ładną twarz. Kształtny owal, wyraźnie zarysowane kości policzkowe i usta – gdyby użyła szminki, można by przy odrobinie łaskawości uznać je za zmysłowe. Ale coś odcisnęło na jej twarzy piętno. Błada cera, czoło przecięte bruzdami poprzecznych zmarszczek i wyraźne cienie pod oczami – może skutek nietypowych godzin pracy, a może tych wszystkich rzeczy, które przez oczy i uszy wnikają do organizmu i zatruwają go stopniowo jak małe, codzienne dawki arszeniku?

Zapisywała coś w notesie, nieświadomie poruszając skrzydełkami nosa. Michał z fascynacją obserwował tę atawistyczną mimikę.

Musiała wyczuć, że się w nią wpatruje, bo podniosła wzrok i przeszyło go intensywne spojrzenie ciemnoniebieskich oczu.

Na szczęście w tym momencie Zuza weszła z kawą, maskując jego zmieszanie.

– Bardzo dziękuję. – Uśmiech aktywował promienistą sieć zmarszczek przy zewnętrznych kąciach oczu.

Kiedy zostali sami, potoczyła wzrokiem dokoła.

– Ładny gabinet.

Michał kiwnął głową. Pewnie nie wiedziała, że to jedna z tych rzeczy, które przynależą do statusu, a nie do niego osobiście. Bez wątplenia jej pokój w komendzie prezentował inny standard, prawdopodobnie rzadko miała okazję bywać w takich biurach.

– Rozumiem, że wie pan, w jakiej sprawie przychodzę?

– Domyślam się, że chodzi o zniknięcie mojej współpracownicy.

– Tak. To jest zwykła rozmowa, nie chodzi na razie o zeznania, ale zorientowanie się w sytuacji. Oczywiście może pan odmówić.

– Nie ma takiej potrzeby. Bardzo się cieszę, że policja robi coś w tej kwestii. Wszyscy zachodzimy w głowę, co się stało. I bardzo się martwimy.

– Normalnie dalibyśmy sobie jeszcze chwilę, w końcu to dorosła osoba, ale pojawiły się naciski z góry, żeby od razu wziąć tę sprawę na warsztat.

Wybrzmiał w tym wyrzut. Michał powstrzymał się od komentarza, że przecież każdemu zaginionemu należy się uwaga policji. Nie chciało mu się słuchać pouczeń o tym, że większość dorosłych, którzy znikają, odnajduje się sama, a angażowanie zasobów w ich poszukiwania to zmniejszanie szans w sprawach pilnych, jak poszukiwanie dzieci i nastolatków.

– Zacznijmy od początku.

Zadawała pytania. Odpowiadał. Ostatni raz widział Joannę bodajże w zeszłym tygodniu, w środę, bo w czwartek przez cały dzień miał spotkania poza biurem. Jest dobrą koleżanką, wszyscy ją lubią. Nie, nigdy wcześniej nie zniknęła bez uprzedzenia. Wrogowie? Nie, nic nie wie o żadnych wrogach Joanny. Być może miała kogoś bliskiego, ale nie interesuje się osobistymi sprawami współpracowników, o ile sami z czymś nie przyjdą. Jego asystentka wspominała, że rozstała się z partnerem kilka

miesiący temu, ale o nikim nowym nie słyszał. Nie dopytywał.

Nie wiedział, czy jego odpowiedzi uznała za wartościowe, w każdym razie zasłużyły na notatki w notesie.

– Dobrze, porozmawiam później z innymi pracownikami kancelarii. Czy możemy teraz pójść do jej pokoju?

– Jasne. – Wstali

– Aha, jeszcze jedno pytanie. Czy po tym, jak znaleźliście jej samochód, ktoś go używał?

– Z tego, co wiem – nie.

– Proszę nic z nim nie robić, dopóki nie obejrzą go technicy.

– Przekażę.

Otworzył drzwi do pokoju i puścił policjantkę przodem. Po raz pierwszy od czasu zniknięcia Joanny poczuł ukłucie lęku. Wejście policjanta do gabinetu Joanny stanowiło przekroczenie granicy pomiędzy zwykłą, życiową sprawą, z której wszyscy będą się kiedyś śmiali, a czymś, co wybrzmiało złowieszczo, jak zapowiedź z wróżby.

Wydało mu się niestosowne, że policjantka usiadła za biurkiem w fotelu Joanny. Uderzyło go, jak bardzo ta chłopczyca różni się od dziewczęcej Joanny.

– Czy coś było stąd zabierane?

– Musieliśmy wziąć kilka teczek klientów, żeby prowadzić dalej sprawę.

Okręciła się powoli na fotelu, wzrokiem taksując otoczenie. Nierówno ułożone stosy teczek i prasy zawałające biurko, przypięte pinezkami do ściany wydruki z żartobliwymi rysunkami, żółte karteczki z przypomnieniami poprzyklejane wszędzie dookoła, na komodzie stosy starych gazet, książki i wydruki. Nieład wykraczający nawet poza pojęcie „artystycznego”.

– Bałaganiara z niej, co?

– Taka już jest, jej gabinet – jej środowisko. W takim widocznie czuje się najlepiej.

– Ciekawe... A mieszkanie wysprzątane na błysk.

Zaczęła przeglądać listy z pudełka na korespondencję przychodzącą. Zajrzała do szuflad w szafce przy biurku.

Z ostatniej wyciągnęła plik paragonów i zaczęła je uważnie studiować. Odłożyła kwitki na miejsce i zanotowała coś w notesie.

– Dobrze by było, gdybyście państwo zostawili na razie ten pokój tak, jak jest. Myśli pan, że to możliwe?

– Tak, nie ma problemu. Ale kwiaty można podlewać?

Nie odpowiedziała.

– Tyle na dzisiaj. Wrócę jutro, żeby porozmawiać z kilkoma pracownikami. Czy może pan poprosić o przygotowanie listy spraw, którymi się ostatnio zajmowała, i kalendarza spotkań z... powiedzmy... ostatnich dwóch miesięcy? Będę też wdzięczna za plik z jej służbową pocztą mailową z tego okresu. Da się zorganizować?

– Tak, przygotowujemy. Czy nie potrzeba nakazu? Tam będą sprawy związane

z tajemnicą adwokacką.

– Proszę na razie pominąć wrażliwe informacje.

Odprowadził ją do windy. Wymienili uścisk dłoni.

– Wiem, że to wszystko jest stresujące, ale oby tylko na tym się skończyło – powiedziała.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi, sięgnął po chusteczkę i wytarł dłonie. Czyżby puszczały mu nerwy?

*

Agnieszka nie lubiła tych co drugich piątków, kiedy po południu przyjeżdżał Adam i zabierał Marcinka. Zazwyczaj jej przy tym nie było, bo wracała z pracy później. Jej matka dawała Adamowi torbę z rzeczami dziecka i udzielała instrukcji, jak chłopca ubrać na spacer w zależności od pogody. Potem jechała do siebie na Ochotę.

Agnieszka usiadła przy stole w kuchni i wsłuchiwała się w ciszę. Nie grał telewizor nastawiony na kanał z bajkami, Marcinek się nie naprzykrzał, żeby zagrała z nim w makao. Miała czas dla siebie i to właśnie stanowiło problem, bo czasu dla siebie nie potrzebowała, a może potrzebowała, ale nie wiedziała, co z nim zrobić.

Nastawiła wodę w czajniku. Czekając, aż herbata się zaparzy, przyjrzała się skrętnikom, których doniczki zajmowały cały parapet w kuchni. Żadnego kwiatu i obwisłe liście. Włożyła palec w ziemię. No tak, przelane, a prosiła matkę, żeby nie podlewała.

Czy to był jeszcze jej dom? Przy swoim trybie pracy nie poradziłaby sobie sama z opieką nad dzieckiem. Była wdzięczna matce za pomoc i za niewypominanie. Wiedziała, że ta nie pochwałała jej decyzji o rozstaniu z Adamem (kiedy było już bardzo źle, namawiała córkę nawet, żeby wzięli ślub, bo wtedy „niektóre sprawy same się ułożą”). Zawsze go lubiła, a i teraz mieli świetne relacje. Tak, potrafił być czarujący, jeśli mu zależało. Agnieszka wiedziała też, jaki jest, kiedy zdejmuje maskę.

Gdy się rozstali dwa lata temu, Marcinek miał trzy lata. Musiała odprawić opiekunkę, bo nie starczało pieniędzy, mimo że Adam płacił uzgodnione alimenty na czas. Przez rok korzystała z prawa do pracy w normalnych godzinach, bez nocek i dyżurów weekendowych. Rozważała w tym czasie przejście do administracji albo do wydziału analiz w komendzie głównej, a nawet zmianę formacji (od znajomych wiedziała, że w CBA płacą lepiej niż w policji). Problem sam się rozwiązał, kiedy przed rokiem matka zaoferowała pomoc przy Marcinku. Wtedy ona wróciła do normalnego, czyli zwariowanego rytmu pracy. Teraz babcia spędzała całe dni z małym, gotowała, prała, robiła zakupy i sprzątała. Agnieszka starała się każdego dnia odprowadzić go do przedszkola. Wieczorami, jeśli była, grała z Marcinkiem w karty albo planszówki, oglądali razem kreskówki, przy których zazwyczaj drzemała. Potem była kąpiel w pianie z obowiązkowymi bitwami piratów (jeśli miała w ostatnim czasie sprawę topielca, zwłaszcza dziecka, poprzestawała na prysznicu) i czytanie do snu. W weekendy oraz dni wolne, które odbierała za robocze soboty, niedziele i święta, chodzili na spacer po okolicy. Latem wybierali się czasami na

duży plac zabaw w parku Ujazdowskim, a zimą, o ile był śnieg, na sanki na Moczydło.

Wszystko w porządku, byli szczęśliwą rodziną. Tylko czasami, w słabsze dni, irytowało ją, kiedy Marcinek kwestionował jej zakazy swoim sakramentalnym: „A babcia mi pozwala”. I kiedy nie mogła znaleźć rzeczy we własnym mieszkaniu, bo ułożone były w niewłaściwych miejscach.

Przeszła z kubkiem do salonu. Pozbierała zabawki z kanapy i stolika, zniosła je do pokoju Marcinka i ułożyła w szafie. Wróciła, usiadła wygodnie na kanapie i położyła nogi na ławie.

Ciekawa sprawa z zaginięciem tej Szymalak.

Wczoraj wezwał ją Mischczuk – i zakomunikował:

– Jest nowa robota. Zaginięcie prawnika. Prawniczki – poprawił się. – Bierzesz to.

– Nie możesz dać komuś innemu? Mazur ma trochę luzu, Wieniewski chyba też się ostatnio nie przepracowuje.

– Mazur nie nadaje się do tej sprawy z powodu niewyparzonego języka. A Wieniewskiemu właśnie urodził się syn.

– No to co? Ja też mam dziecko.

– Ale nie karmisz już piersią, prawda? Widać po tym, że cycki ci oklapły.

– A widzisz... zastanawiałam się, dlaczego Wieniewskiemu nabrzmiały. Zainteresuj się tym, co tobie oklapło.

– Posłuchaj... – podjął Mischczuk. – Miałem wczoraj wieczorem telefon z głównej w tej sprawie. Chcą, żeby podjąć czynności jak najszybciej. Nie będę zgadywał dlaczego. Najlepiej się do tego nadasz, bo chodzi o kobietę taką jak ty – młodą i samotną.

– Dzięki za „młodą”. I nie jestem samotna.

– Aga, przecież wiadomo, że to potrwa tylko kilka dni. Okaże się, że wyjechała z jakimś facetem albo przyłączyła się do sekty. Albo obie rzeczy naraz. I będzie po sprawie.

Wróciła do pokoju z cienką teczką wręczoną jej przez Mischczuka. Położyła ją na biurku. Szara tektura, wzór ten sam od lat. Ktoś gdzieś produkował te teuczki, a oni (policja) je zamawiali i wkładali w nie swoje papiery, akta życia lub śmierci. Na okładce wypełniono tylko kilka rubryk. Ślad grubego czarnego markera dokumentował hipotezę policji: „Zag. Joanna Maria Szymalak l. 35”. Jej rówieśniczka.

Przejrzenie materiałów nie zabrało dużo czasu, bo znalazła tylko zgłoszenie zaginięcia i pobieżną notatkę dzielnicowego. Spojrzała na załączone zdjęcie. Wyglądało na to, że zrobiono je na profesjonalnej sesji fotograficznej – na stronę internetową albo do firmowego folderu. Joanna Szymalak stała w gabinecie, opierając się o biurko. Na stole obowiązkowa lampa z zielonym kloszem, w tle szafa z książkami i okno. Tylko postać na portrecie była wyraźna – fotograf dobrze popracował nad głębią ostrości. Szare albo niebieskie oczy – Agnieszka zajrzała do rysopisu – niebieskie, twarz o kształtnym owalu, jasne, pokarbowane włosy upięte

w kok rzymski, lekki uśmiech, proste, białe zęby. Czy uroda pomaga w życiu? Taka na pewno.

No dobrze, trzeba obejrzeć lokal. Zadzwoiła do prewencji i umówiła się z dzielnicowym, który przeprowadził wczoraj pierwszą lustrację. Poprosiła, żeby wziął klucze z depozytu. Spotkali się na miejscu.

To nowe osiedle na Tarchominie składało się z kilku bloków ściśniętych na małej powierzchni na planie pięciokąta. W środku – w studni – urządzono mały plac zabaw z huśtawką, zjeżdżalnią i piaskownicą. Na ławkach po słonecznej stronie siedziało kilka kobiet z wózkami. Oglądały się na dzielnicowego z zainteresowaniem. Był atrakcją przedpołudnia.

– Idziemy? – zapytał.

– Chwila. – Agnieszka patrzyła w górę, w okna mieszkań. – Na którą stronę wychodzą jej okna?

– Na tę, na podwórko.

– Które piętro?

– Parter. Tamten blok, po przeciwnej stronie.

– Chodźmy – zakomenderowała.

Pod klatką bloku policjant wyjął klucze z dołączonym kartonikiem, na którym zapisany był numer lokalu i kod do domofonu. Wstukał go i weszli na klatkę schodową.

– Jest tu jakaś ochrona albo monitoring?

– Nie, takiej ogólnej nie ma. Niektórzy lokatorzy mają indywidualne umowy. Widać po tabliczkach na drzwiach. Ale ta nasza nie ma.

Dzielnicowy zerwał nienaruszoną taśmę i otworzył drzwi.

Od razu wyczuła charakterystyczną woń gumy i kleju, na tyle słabą, że zniknęłaby w minutę po otwarciu okna. Widok pokoju potwierdził pierwsze wrażenie. Niedawno, najwyżej kilka miesięcy temu, wymieniona była wykładzina – to ona rozsiewała ten zapach. Agnieszka zdjęła lateksową rękawiczkę i przeciągnęła dłonią po ścianie. Na farbie nie zdążył zadomowić się kurz. A więc było też malowanie. Podeszła do kanapy i powąchała oparcie – tak, też nowa. Dzielnicowy przyglądał się jej. Czyżby pod wąsem chował pogardliwy uśmieszek? Debil!

Zajrzała do lodówki. Opróżniona, podobnie jak zmywarka i kosz na śmieci. W sypialni połączonej z garderobą zainteresował ją nietypowy, jak na mieszkanie w bloku, element wyposażenia – klęcznik. Na ścianie obrazki świętych i jakieś teksty. Trochę niczym w sypialni jej babci z Przasnysza, poza klęcznikiem. W szafie pustawo, podobnie w szufladach komody. Wyjazd na dłużej? W łazience brak podstawowych kosmetyków, nie było szczoteczki do zębów – czyli wyjazd. Jeśli dzisiaj wyśle zapytanie, jutro powinna dostać dane z lotnisk, nawet bez najwyższego priorytetu kwerendy. Dzień dłużej zajmie sprawdzenie, gdzie Joanna Szymalak korzysta obecnie z kart kredytowych i w jakim kurorcie przebywa jej telefon komórkowy – najlepsze na świecie urządzenie szpiegujące. Miszczuk miał rację – odnalezienie panny nie potrwa długo.

To było wczoraj, a dzisiaj rano do pokoju, który dzieliła z przebywającym na urlopie okolicznościowym Wieniewskim, wszedł Mischczuk i wręczył jej kartkę z nazwiskiem oraz numerem telefonu.

– Komendant dostał greps z głównej. Masz tu namiary na szefa bezpieczeństwa kancelarii, w której pracuje twoja zaginiona. Zadzwoń do niego. Mówią, że mamy współpracować.

Zadzwońska, zgodził się przyjechać.

Wszedł do pokoju bez pukania. Nie miała pojęcia, jak się dostał do komendy. Zgodnie z procedurą powinien go ktoś wprowadzić.

– Marcin Horodyński – przedstawił się i wyciągnął dłoń.

– Aspirant Agnieszka Moroz. – Odwzajemniła uścisk. – Proszę usiąść. – Wskazała krzesło.

Mischczuk nic o tym nie wspominał, ale Agnieszka była pewna, że ma do czynienia z kimś z branży. Nie, nie chodziło o wygląd. Horodyński był niskiego wzrostu, z początkami nadwagi. Okrągła twarz o ciemnej karnacji z dawno nieprzystrzyżanym wąsem w stylu Burta Reynoldsa. Mógłby być statystą grającym Meksykanina w filmach. Więc nie wygląd świadczył o przeszłości w służbach. Chodziło o pewność ruchów, brak jakiegokolwiek skrepowania. Przyjęła w życiu wielu interesantów i przywykła do ich onieśmielenia policyjnym gabinetem i towarzystwem funkcjonariusza. Nerwowe ruchy dłoni, chrząknięcia, wzrok błędzący po ścianach albo wbity w podłogę. Podświadomy lęk przed policją był w Polsce chyba genetycznie przekazywany z pokolenia na pokolenie. Może to dziedzictwo ostatnich dwustu lat historii?

Ale w przypadku Horodyńskiego nie mogło być o tym mowy. Sposób, w jaki obrócił krzesło i usiadł, pochylił się, oparł ręce na stole, a potem spojrział na nią brązowymi oczami, nie pozostawiał wątpliwości, że kiedyś dowodził.

Postanowiła zacząć. W końcu była gospodarzem.

– Chciał się pan spotkać.

– Dzięki za czas. Mam kilka informacji do przekazania. Mogę też coś doradzić. Masz duże doświadczenie?

Jeśli miała jakieś wątpliwości co do tego, które z nich dwojga jest alfą, to właśnie została ich pozbawiona. Skoro komenda główna każe współpracować, Agnieszka nie zamierzała stawać okoniem.

– Spore, ale dobra rada zawsze jest mile widziana – powiedziała.

Zaśmiał się.

– Kim pan właściwie jest?

Horodyński nie przejął się obcesowością pytania.

– Pilnuję bezpieczeństwa w Marshall i Greensberg. A poza tym jestem emerytem. Odszedłem z CBS jako podinspektor.

– Przystępczość zorganizowana?

– To pod koniec, ostatnie kilka lat, przedtem kryminał. Przejdźmy na ty. Marcin. – Wyciągnął rękę.

– Agnieszka.

– Na jakim jesteś etapie?

– Zleciłam kwerendę baz lotnisk, systemu bankowego i telefonii komórkowej. Dzisiaj albo jutro powinny być wyniki.

Horodyński był konkretny, nie wchodził w spekulacje na temat tego, co mogło się wydarzyć, nawet kiedy wprost go o to zapytała. Przypomniała jej się szkoła policyjna i dodatkowy kurs, na który zapisała się, bo zaintrygował ją tytuł: *Heurystyka – dlaczego hipotezy śledcze prowadzą (czasami) donikąd*. Zajęć nie prowadził policjant, ale emerytowany profesor psychologii (jakieś gościnne występy, może dawali zarobić znajomemu). Gargamel – tak go nazywali ze względu na urodę – tłumaczył kilkunastu kursantom, że jeśli nie jest oczywiste, co się zdarzyło, błędem byłoby skakać od razu do hipotez. Te powinny wynikać z całościowego oglądu dostępnych faktów i śladów, nie mogą być niekontrolowanymi wykwitami nadinterpretacji pierwszych informacji, przeczuć, uprzedzeń i skrótów myślowych. Zbyt szybko przyjęta hipoteza to prawdziwa kotwica dla śledztwa.

– Popatrzcie na tę czystą kartkę – mówił. – Rozwiązanie to jeden punkt, który jest gdzieś na niej, nie wiadomo gdzie, ukryty wśród faktów, przesłanek, osób, motywów. Rozpoczynając skomplikowane śledztwo, stajesz jakby na brzegu kartki. Kiedy stawiasz hipotezę, wycinasz z niej fragment, na którym się koncentrujesz. – Narysował ostry trójkąt. – Siłą rzeczy ignorujesz, a w najlepszym razie odsuwasz na dalszy plan wszystko, co znajduje się poza polem hipotezy. Jeśli zgromadziłeś mało informacji albo idziesz na skróty, to twój bukiet hipotez wygląda tak. – Naszkicował promieniście rozchodzące się wąskie kształty. – Zobaczcie, jak niewielką część powierzchni kartki w ten sposób pokrywacie. Oczywiście możecie mieć szczęście i jedno z waszych założeń okaże się trafne. Ale czy należy aż tyle pozostawiać losowi? W śledztwie trzeba zbudować solidną podstawę z faktów. Zajmijcie choć część pola, zbadajcie przyczółek... – Zakreskował część kartki. – Dopiero stamtąd stawiajcie tezy, badajcie je, obalajcie i w razie potrzeby wracajcie na rozpoznany obszar. Zobaczycie – czas poświęcony na przygotowanie zapoczątkuje w dalszym toku sprawy.

Agnieszka zapełniła kilka kartek informacjami od Horodyńskiego. Wieniewski, który znał jej skrupulatność w robieniu notatek, drwił, że powinna zażywać coś na poprawę pamięci, i pytał, jak będzie prowadziła sprawę, kiedy zgubi notes. Sam niewiele zapisywał. No cóż, może nie była cyborgiem, ale Wieniewski też nim nie był. Sprawy, które prowadzili, nigdy nie zamieniały się w skomplikowane dochodzenia. Kiedy zaginięcie albo odnalezienie ciała okazywało się mieć związek z przestępstwem, przekazywali papiery do dochodzeniówki i tamci dalej ciągnęli temat. Ale gdyby kiedyś miała poprowadzić śledztwo, na co liczyła i o czym regularnie wspominała zbywającemu ją Mischukowi, to notatki mogły się przydać. Dlatego zapisywała wszystko.

Gdyby nie spotkała się z Horodyńskim, zapewne nie uważałaby za konieczne od razu składać wizyty w biurze Szymalak. Ale jakieś niezrozumiałe dla niej (dla Horodyńskiego chyba też, bo nie był w stanie jej tego objaśnić) konteksty biznesowe

wprowadzały nowe okoliczności, które uznała za warte rozpoznania.

W recepcji budynku przy alei Jana Pawła II pokazała odznakę i poprosiła o wezwanie szefa ochrony. Czekając na niego, usiadła na kanapie w holu i przyglądała się mijającym ją ludziom. Było tuż po szesnastej, zaczynał się popołudniowy ruch.

To nie jest praca dla starych ludzi – taka była jej pierwsza refleksja. W ciągu kilku minut minęło ją nie mniej niż trzydzieści osób i nie udało jej się wytypować z tej grupy nikogo, kto mógłby być starszy od niej. Byli młodzi, ładni i radośni – może ze względu na atrakcje, jakie miał przynieść nadchodzący weekend. Niektórzy ciągnęli za sobą walizki na kółkach. Pójdą prosto z pracy na dworzec, wrócą do rodzinnego domu, bo nie założyli jeszcze swojego w tym mieście. Czy ona mogłaby być kimś takim – prawniczką albo księgową? Przychodzić do pracy o ósmej i wychodzić o szesnastej, ubierać się w garsonki i buty na obcasie, czekać na windę z kawą w papierowym kubku i szczebiotać z koleżankami? Czy to nie byłoby lepsze niż słuchanie Wieniewskiego przeżywającego każdą minutę ostatniego meczu Legii i wdychanie smrodu jego przepoconych swetrów?

Może mogłaby być jedną z tych zadbanych i dobrze zarabiających kobiet, gdyby kiedyś okazała się wystarczająco bystra, żeby pójść do właściwej szkoły. Czy byłaby zadowolona? Trudno powiedzieć, bo jak to sprawdzić? Miała przeczucie, że tak jak ją pociągało stabilne, czyste życie księgowej, tak znudzone księgowe mogły marzyć o ekscytującej pracy w policji, więc każdemu zawsze czegoś brakuje. Tyle że po księgowości można chyba robić różne rzeczy, a po policji zostaje praca w ochronie. No właśnie.

Do recepcji podszedł niewysoki, szczupły mężczyzna w średnim wieku, ubrany w ciemny garnitur. Siedząca za pulpitem kobieta wskazała na Agnieszkę. Sprężystym krokiem ruszył w jej kierunku.

Z szefem ochrony przeszli do centrali monitoringu budynku. Pomieszczenie bez okien rozświetlało kilka dużych monitorów z ekranami podzielonymi na cztery strefy, na których zmieniał się czarno-biały obraz z poszczególnych kamer. Klimatyzacja nie nadążała z chłodzeniem i w pokoju panował upał. Przed monitorami siedział rozparty na obrotowym fotelu mężczyzna w granatowym polo. Kiwnął ręką na powitanie i powrócił do obserwacji.

Agnieszka usiadła na wolnym krześle. Czekając, aż pochylający się nad jej ramieniem szef ochrony uruchomi plik na jednym z komputerów. Szymalak w windzie, patrzy w telefon, u dołu data i czas odmierzany w sekundach. Kolejny plik: Szymalak idzie przez garaż i wsiada do białej mazdy, wyjeżdża. W sumie nic ciekawego, ale poprosiła o zachowanie nagrania.

Szef ochrony odprowadził ją do recepcji biura MG. Spojrzała do notatek ze spotkania z Horodyńskim i zapytała o Michała Tumskiego. Spłoszona na widok odznaki recepcjonistka wybrała numer i zaanonsowała gościa. Po chwili do recepcji przyszła elegancka kobieta.

– Zuzanna Zdanowska – przedstawiła się. – Jestem asystentką mecenasa Tumskiego. Zapraszam.

Idąc korytarzem, Agnieszka zastanawiała się, czy jej buty zostawiają błoto w miękkiej wykładzinie i co Zuzanna Zdanowska robi z włosami, że tak wspaniale się układają. Pomyślała też, że gdyby ta pracowała u nich, dostałaby ksywę Zizou, bo jej imię i nazwisko wypowiedziane razem brzmiały podobnie jak nazwisko słynnego piłkarza reprezentacji Francji.

*

W międzyczasie na dworze zrobiło się ciemno i pokój pogrążył się w mroku. Agnieszka wciąż siedziała na kanapie. Przekonanie, że sprawa tego zaginięcia szybko się rozwiąże, tak silne jeszcze wczoraj, teraz osłabło. Czuła, że Joanna Maria Szymalak nie przymierza w tym momencie sukienki ani nie robi makijażu, przygotowując się do wyjścia na imprezę z ukochanym.

Właściwie nie miała żadnej nowej informacji, która uzasadniałaby zmianę oceny sprawy. Owszem, dane z krajowych lotnisk, które przysły dzisiaj, wskazywały, że poszukiwana nie wylatywała nigdzie od czasu, kiedy ostatnio była widziana, ale to jeszcze nie znaczyło, iż nie wyjechała. Mogła poruszać się samochodem albo pociągiem. Na przykład pojechać do Berlina i skorzystać z oferty *last minute* na trzytygodniowy pobyt na Malediwach.

Kilka elementów nie pasowało do schematu. Na przykład brak wiadomości przekazanej komukolwiek – żadnego maila do szefa, esemesa do matki, telefonu do koleżanki – nic. Kim jest osoba, która – jak wskazywały na to zeznania świadków – prowadzi poukładane życie, a pewnego dnia znika, nie zostawiając nikomu wiadomości? Bajzel w gabinecie firmowymi i wysprzątane na błysk mieszkanie. Może psycholog połączy te sprzeczności w jakiś ekscentryczny profil, ale Agnieszce wydawały się nie do pogodzenia.

Rozmowa z szefem kancelarii, Tumskim, nie wniosła nic nowego. Zdawało się, że niewiele wie o szczegółach życia swojej współpracownicy. A może nie chciał się odkryć? Nie, to raczej coś innego. Siedziała w jego pokoju, rozmawiała z nim i miała wrażenie, jakby nie był w pełni obecny. Udzielał logicznych, wyczerpujących odpowiedzi, nie uciekał przed kontaktem wzrokowym (w pewnym momencie tak intensywnie się jej przyglądał, że poczuła zmieszanie – ona!). Był zamyślony na sposób kogoś starającego się trzymać fason w trakcie ważnej rozmowy, podczas gdy jego myśli krążą wokół otrzymanej rano informacji o śmierci matki albo złych wyników badań lekarskich. Coś mrocznego, rodzaj cierpienia krył się z drugiej strony ciemnych oczu. Czyżby depresja? Nie jej sprawa.

Wstała, zaciągnęła zasłony, zapaliła światło i poszła do łazienki. Odkręciła wodę, wsypała sól do kąpielii, po czym się rozebrała. Czekać, aż wanna się napełni, stanęła naga przed lustrem. Rozpuściła włosy i potrząsnęła nimi. Boże, co ona miała na głowie! Jutro obowiązkowo fryzjer. Może uda się też dostać do kosmetyczki. Spojrzała na piersi. Podniosła je dłońmi, przytrzymała chwilę i pozwoliła opaść. Może rzeczywiście zaczęły obwisać? Mogła mieć rację babcia, która mawiała, że im człowiek starszy, tym bardziej ciąży ku ziemi. No nie, nie jest jeszcze tak źle.

Poczuła mrowienie w lewej dłoni. Boże, czyżby znów to? Zakręciła wodę, wyjęła

korek z odpływu. Rzuciła ręcznik na wiklinowe krzesło i usiadła. Oszczypała dłoń, sprawdzając czucie. Skupiła wzrok na szczoteczce do zębów, przesłoniła jedno oko, potem drugie. Nic się nie działo, ale nie powinna ryzykować ciepłej kąpieli. Musi się trzymać. Jeszcze pięć lat do wczesnej emerytury, potrzebne, żeby mieli z Marcinkiem sensowne finansowe zabezpieczenie. Nie po to przez lata odgrywała rolę okazu zdrowia, żeby pod sam koniec poddać się, chodzić do lekarzy i skończyć karierę w zagrzybionym archiwum albo w cywilu, z rentą jako jałmużną.

*

Spotkanie z Zion II było oczywistym kolejnym krokiem. Michał miał coś więcej niż pretekst, żeby złożyć tam wizytę, w końcu to klient firmy. Poprosił Zuzę, aby dzwoniąc do nich, wspomniała, iż szef kancelarii chce się spotkać i porozmawiać o ewentualnym rozwoju współpracy.

Wyglądało, jakby czekali na ten telefon, bo wyrazili gotowość do natychmiastowego spotkania w ich biurze w budynku na rogu Świętokrzyskiej i Emilii Plater.

Michał szedł od ronda ONZ. Było przed dziesiątą i zaczął się już wir porannych spotkań. Ludzie szybko przemieszczali się ulicą z biurowca do biurowca, po ulicy krążyły taksówki, licząc na łatwy łup.

Zatrzymał się przy witrynie sieciowej kawiarni i zajrzał do wnętrza. Wszystkie stoliki zajęte. Głównie młodzi ludzie, ładne kobiety perorowały, gestykulowały. Białe bluzki, gustowne garsonki; byli też mistrzowie świata w ciemnych garniturach, olbrzym w nich może już się przebudził, modne fryzury, krawaty, śmiechy, potakiwania, Mulat za ladą błyskał nieskazitelnie białymi zębami, przybił z kimś piątkę. Prawie słychać było ten gwar. Młynek do kawy ruszył nisko, z grzechotem, a skończył ze świstem wysokich obrotów; trzy stuknięcia kolbą z fusami o obity blachą blat nad koszem, warkot, syk, aromat kawy. Żyje się. Tak się żyło. Teraz obserwował wnętrze akwarium, kompletny, samowystarczalny ekosystem – jeśli patrzeć od wewnątrz, bo samowystarczalny wydaje się jego biotycznym mieszkańcom. Na swoim etapie rozwoju nie znają jego granic, więc jawił się im nieskończony i nie dostrzegali, że muszą być dokarmiani z zewnątrz, że gdyby nie sumy na paskach płacowych przypisane ich numerom kadrowym w systemach korporacyjnych, nie mogliby tu przeżyć. Nie przetrwaliby, bo byli jeszcze niedojrzali, zbyt cieni na to, żeby wytworzyć wartość odpowiednio dużą, taką, która mogłaby zacząć krążyć, namnażać się i ich karmić.

Nie mógłby tam wrócić, w każdym razie nie na długo. Dawno temu wypełził na ład, zasklepiły się skrzela, płetwy przyschły do ciała. Ale pamiętał to stadium: nic w głowie, a cały świat na zewnątrz – ciekawy, wibrujący, pełen obietnic i dobrych zapowiedzi. Cała uwaga skierowana od siebie. Odwrotnie niż teraz.

Dziewczyna siedząca przy oknie odwróciła się w jego stronę. Towarzyszka przy stoliku przerwała potok słów i podążyła za jej wzrokiem. Miał ochotę zastukać w szybę, żeby się poruszyły, ale dał spokój i odszedł.

Obrotowe drzwi wypłuły go do holu biurowca. Podeszedł do lady recepcji i podał

dowód osobisty dziewczynie o dziobatej cerze, ubranej w za duży, bury uniform z logo firmy ochroniarskiej na lewej piersi.

– Do jakiej firmy?

– Zion.

– Proszę się wpisać. – Wskazała otwartą księgę leżącą na blacie.

Wypełnił odpowiednie rubryki. Zauważył wpis wejścia do Zion sprzed dziesięciu minut i się uśmiechnął.

Wziął od dziewczyny identyfikator z nadrukiem „Gość” i odebrał dowód.

– Czternaste piętro. Środkowe windy.

– Dziękuję.

Wyszedł z windy na pusty korytarz. Nie było tablicy z informacją o lokatorach tego poziomu. Ruszył w lewo, studiując tabliczki przy wejściach do kolejnych biur.

Kiedy natrafił na drzwi, przy których w plastikowej ramce tkwiła kartka z napisem „Zion II SA”, nacisnął dzwonek. Odczekał chwilę, nacisnął ponownie. I znowu nic się nie wydarzyło. Drzwi były niedomknięte, pchnął je i wszedł.

Nikogo w sekretariacie. W jednym z pomieszczeń wydzielonych z przestrzeni ścianami z piaskowanego szkła widać było ruch. Jak w chińskim teatrze cieni ktoś stał i machał ręką, jakby tłumaczył coś drugiej osobie. Nie dało się rozróżnić słów i choć wysokie dźwięki były odcięte, Michał nie miał wątpliwości, że stojący mówi podniesionym głosem.

Podszedł do drzwi i zastukał w szybę. Głosy umilkły.

– Tak? – zapytał elegancko ubrany mężczyzna, który stanął w drzwiach.

– Michał Tumski. Jestem partnerem zarządzającym kancelarii Marshall i Greensberg.

– A, tak. A gdzie Marzenka? – Mężczyzna wyjrzał do sekretariatu. – Gdzie ją znowu poniosło? Ciągłe gdzieś łązi. Mówi, że siedzenie tutaj wpędza ją w depresję. Kobieta w ciąży! No nic. Ale, ale, ja przecież jeszcze się nie przedstawiłem, przepraszam. Jaskóła Zbigniew, prezes, miło mi. – Wyciągnął dłoń do Michała.

Był w tym nieokreślonym wieku, w który wkraczają mężczyźni, gdy kończą pięćdziesiąt lat i trwają w nim do wejścia we wczesną starość, koło sześćdziesiątych piątych urodzin. Kartoflany nos pokrywały sine naczynka – ślad zmagania się z trudami życia na poważnie i od dłuższego czasu. Obwisłe policzki nabiegłe intensywnym rumieńcem – wyraz emocji albo wpływ pierwszego przyjętego dzisiaj drinka. Brązowe, mokre oczy z opadającymi kącikami powiek przywodziły na myśl poczciwy pysk bernardyna.

– Miszyn! – dobiegło z wnętrza urzędzonego na małą salę konferencyjną. – Ja cię walę! Wspaniale cię znowu zobaczyć, mistrzuniu!

Kiedy zakończyli przywitanie w formie uścisków z poklepywaniem po plecach, mężczyzna witający się z Michałem zwrócił się do Jaskóły.

– Wie pan, jaki on wist kiedyś mi odwalił? Załatwił mi klienta wadą oświadczenia woli. Myślałem, że będzie piękny spór. Roszczenie pauliańskie? Bardzo proszę, szanse pół na pół, dwa lata procesu. A on – nie. Zrobił zmyłkę, poszedł w inną stronę.

Uprawdopodobnił, że delikwent był pijany, kiedy podpisywał kwity. Jak? Ano, miał wszystkie dowody na tacy, bo kiedy mój wyszedł od notariusza, to wszedł do auta, od razu zgarnęli go niebiescy i dalej z nim na badania na izbę przyjęć. Nie słyszałem, żeby ktoś przedtem i potem tego próbował, to był normalny, pieprzony precedens. Nikt się nie tyka tej części Kodeksu cywilnego, nie w naszej branży. Zakuwa się przed egzaminem i zapomina. A Tuma? Proszę bardzo! Żeby chociaż słowo koledze szepnął, to może jakaś ugoda by była albo coś... a tak klient mi się powiesił, normalne, ludzkie sprawy, chyba chciał oddłużyć rodzinę. Klient obwieszony i wynagrodzenie w pizdu poszło, przecież wdowy nie będę szarpał. Ach, Misza, stare, dobre czasy, co nie?

Jaskóła uśmiechał się z wyrazem cierpliwego politowania, jakby słuchał paplaniny małego dziecka.

Michał zastanawiał się, czy ten wie, że pod maską niegroźnego gaduły, jaką mecenas Jan Mirosław epatował otoczenie, kryje się mięsożerca. Inteligentny na tyle, żeby wiedzieć, kiedy polować, a kiedy poprzestać na posileniu się padliną przy okazji czyjejś uczyty. Przy tym z wyglądu nie przypominał prawniczej hieny, wręcz przeciwnie. Był, jak to kiedyś ujęła Anka, nedorobiony. Wysoki i chudy, co podkreślały jeszcze zbyt obszerne marynarki (nosił je chyba z premedytacją, bo odpowiedzialny sprzedawca w sklepie nie mógłby pozwolić odejść mu z takim zakupem do kasy; zresztą z pewnością było go stać na krawca i szycie na miarę). Miał nietypowy kształt czaszki: od kości jarzmowej radykalnie zwężała się ku wyraźnie nedorozwiniętej szczęce i dlatego drobne zęby ściśnięte były mocno, przez co mecenas Jan albo – do wyboru – mecenas Mirosław, seplenił. Kiedy mówił, a mówił dużo, to strzelał dookoła śliną. Jego fizjonomia przywoływała na myśl postaci z klasycznych filmów science fiction o przybywających na Ziemię przedstawicielach obcej cywilizacji. Pomimo tej, oględnie rzecz ujmując, nieszablonowej urody, Mirojad, jak nazywali go na roku, nigdy nie cierpiał na brak zainteresowania u kobiet (Michał przekonał się o tym, kiedy przez rok dzielili pokój na stacji), a później nie brakowało mu klientów. Michał widział dwa możliwe wytłumaczenia powodzenia tego człowieka. Albo Mirojad perwersyjnie pociągał ludzi urokiem wrodzonej brzydoty, albo też ewolucja, w ramach rękoi mi za błąd skutkujący ukształtowaniem jego ciała według wzorca z innego świata, obdarzyła go działającym na niektórych magnetycznym czarem i inteligencją czegoś, co akurat miała pod ręką – może aligatora? W każdym razie był tutaj, ciekawe, w jakiej roli.

– Było, minęło – powiedział Michał. Udało mu się kiedyś zapomnieć o tamtej sprawie.

– Panowie, powspominaliście, a teraz usiądźmy – zaproponował Jaskóła i szerokim gestem zaprosił Michała do sali. – Jak coś do picia, to za chwilę, kiedy nasza sierotka się odnajdzie.

Michał i Mirojad zasiedli po jednej stronie stołu, a Jaskóła po drugiej. Zapadła cisza. Michał poprawił mankiety koszuli, Jaskóła zatarł dłonie, jakby je mył.

– No i? – Mirojad nie wytrzymał, widać cierpliwości nie dostał jednak od aligatora.

– Przeszedłem w związku ze zleceniem, jakie realizowaliśmy ostatnio dla Zion. Chciałbym zapytać, czy wszystko jest w porządku i czy możemy się rozliczyć?

Ręce Jaskóły zastygły w pół ruchu.

– Oczywiście wszystko jest w najlepszym porządku. Od tygodnia czekamy na tę wizytę. Cieszę się, że mogłem pana poznać. Trzeba przyznać, że personel pańskiej kancelarii to klasa sama w sobie. No, miałem możliwość poznać tylko mecenas Joannę, ale to wystarczy, aby gratulować. Prawdę mówiąc, próbowaliśmy się z nią skontaktować, lecz rozumiem – wypadki chodzą po ludziach, choroby i takie tam. Więc nie ma sprawy. Możemy się rozliczyć z panem. To może nawet lepiej.

Skinął w stronę Mirojada, który wyszedł z sali i stanął przy stalowej szafie w sekretariacie. Klucze zastukały o blachę.

– Umawialiście się na kontakt z Joanną? – zapytał Michał.

– Och, nie mogę tego tak określić. Dzwoniliśmy i ja, i mecenas. – Wskazał brodą w stronę sekretariatu, gdzie Mirojad szukał czegoś w szafie. – Ale włączała się skrzynka. Chcieliśmy się dowiedzieć, czy może jednak postanowiła przyjąć naszą propozycję. Na szczęście pan się dzisiaj odezwał. A co z nią? Chora?

– Coś w tym stylu. Janek pracuje dla Zion? – Michał zmienił temat.

– Kto? Ach, on. Tak, od niedawna. Kwestia kilku tygodni. Polecił go znajomy. Docieramy się jeszcze, tak bywa na początku. Mecenas został u nas prokurentem. – Ostatnie słowo wypowiedział z emfazą.

Czyżby prezes nie był zadowolony ze współpracownika? Powołanie Mirojada nie było chyba jego decyzją. „Został prokurentem” brzmiało, jakby ktoś z zewnątrz podjął decyzję, a Jaskóła musiał podpisać pełnomocnictwo. Michał z doświadczenia wiedział, że często za fasadą samoistnej prokury chowają się osoby w rzeczywistości kierujące spółką z tylnego siedzenia. Prokurent wyposażony w odpowiednie pełnomocnictwa może tyle samo, co zarząd, przy tym nie wisi nad nim bat ustawowej odpowiedzialności członków zarządu.

Z sekretariatu dobiegł łoskot zatraskiwanych metalowych drzwi i zgrzyt klucza w zamku. Uwadze Michała nie umknął grymas na twarzy Jaskóły – ciekawe, jemu też nasunęło się skojarzenie z odgłosem zamykanych drzwi celi?

– Tadam! – Mirojad rzucił na stół dwie wypchane brązowe koperty z grubego papieru.

Jedna uderzając o stół, otworzyła się i z wnętrza wysunęło się kilka paczek stułotowych banknotów owiniętych w banderole.

– Panie mecenasie! – obruszył się Jaskóła. – Nie bądźmy ordynarni. – Z powrotem zapakował rozsypane pieniądze, kilka razy przejechał dłonią po brzegu koperty i przesunął oba pakunki na środek stołu.

Michał poluźnił węzeł krawatu. Wpatrywał się w brzuchate koperty tkwiące jak wyspy na połyskującym oceanie blatu.

– Dwieście tysięcy. Szymalakowej zaoferowaliśmy sto pięćdziesiąt, ale powiedziała, że jej się takie rzeczy w czymś tam nie mieszczą i że przekaże sprawę tobie. Więc uprzedzając fakty – dwieście. W końcu jesteś starszy stopniem.

Potrzebujesz reklamówki? – Mirojad się wyszczerzył.

– Panie Janie, bardzo proszę! – Jaskóła postanowił do końca być strażnikiem pozorów.

Michał musiał dalej prowadzić grę, choć nie miał żadnych atutów, ba, nawet nie wiedział, w co gra. Zawistował blotką – może uda się rozpoznać chociaż rozkład kart.

– To... To jest za...

– Za mało? No nie, zawsze sądziłem, że to ja jestem ten najgorszy. Zaczynasz mnie zadziwiać, Michał.

– Nie w tym rzecz. Pytam, za co to jest.

– Aha! No to dobrze. Nic się w tym zakresie nie zmieniło. To zapłata za trzymanie gęby na kłódkę i przekazanie nam nośnika. Nikt nie prosił o nagrywanie walnego. Czyli ogólnie można powiedzieć, że to jest za nic.

Jaskóła poruszył się niespokojnie.

– Panie Michale, tak jak tłumaczyłem pana koleżance, postanowiliśmy ufundować znaczącą premię dla prawnika, który dla nas pracował. Z naszej winy nastąpiło pewne nieporozumienie i chcielibyśmy w ten sposób – wskazał na pieniądze – wynagrodzić dyskomfort, jaki to mogło spowodować. No i przy okazji uzyskać pewność, że ślad tej niefortunnej pomyłki, utrwalony na urzędzeniu, nie wypłynie gdzieś za jakiś czas. Daliśmy pani mecenas, kiedy była u nas z wizytą, poprawioną, właściwą instrukcję głosowania. Prosiliśmy, żeby starą zniszczyła. I żeby przyniosła nam ten dyktafon z nagraniem. Na to liczyliśmy i dalej liczymy.

– No tak... – Michał potrzebował chwili na zastanowienie.

Jedna rzecz się wyjaśniła – Joanna nie pomyliła się podczas głosowania. Głosowała zgodnie z otrzymaną od Zion instrukcją. Tyle że Zion zmienił później zdanie i chciałby teraz mieć czyste papiery. Czyli to nie oni byli inicjatorem oszustwa. Dołączali do niego *post factum*. Powstawało pytanie, dlaczego ktoś, zapewne Winter, silił się na takie kombinacje? Dlaczego nie dogadał się z Zion przed walnym? Wtedy wszystko przebiegłoby jak należy, zgodnie z prawem i bez ryzyka. Być może przyczyna była prozaiczna – ktoś, z kim Winter był dogadany, jeden z pozostałych akcjonariuszy, nie stawiał się na posiedzeniu. Oczekiwali większości głosów za sprawą Istrela i jeszcze kogoś. A tu, proszę, stłuczka, zwichnięta noga, teściowa w szpitalu, morderczy kac – cokolwiek – i pełnomocnik nie dojechał na miejsce. Aśka zagłosowała według swojej kartki i nieoczekiwanie, dysponując większością głosów na zgromadzeniu, doprowadziła do odrzucenia kluczowych uchwał. I wtedy zaczęło się kombinowanie. Trzeba było przekreślić notariusza i ograniczyć ryzyko zaskarżenia. Tak, Aśka nieświadomie znalazła się w środku przekrętu i miała na to dowód. Chyba miała, bo jak teraz to potwierdzić?

Michał popatrzył w mokre oczy Jaskóły. Żeby dowiedzieć się więcej, musiał uciec się do prowokacji.

– Co kombinujecie z Makuchami? – Celowo nie zapytał od razu o Wintera, ale wpierv o właścicieli Istrela.

– Oj, Miszoł. – Mirojad od początku ich znajomości chyba nigdy nie nazwał

Michała dwa razy tak samo. – Weź się nie czepiaj, nie dopatruj, nie niuchaj. Bierzesz kasę, dajesz dyktafon i zapominamy o sprawie. Znasz przecież zasady. Klient nie chce mówić? Nie pytasz. Chce zapłacić? Bierzesz.

– To twoje zasady, Janek.

– Istotnie moje. A jakie są twoje? Chcą zapłacić, to wyszarpać jeszcze więcej? Pociągnąć do końca? Żeby nic już nie zostało, jak tamtemu, tylko rura w piwnicy i linka na pranie, dycha za szpulę? Ty mi tu nie pieprz o zasadach. Zasada jest jedna – dzisiaj żyjesz, a jutro? Może muchy będą w tobie składać jaja. Dlatego trzeba podejmować właściwe decyzje, żyć, korzystać. Nie ma tak, że wszystkie opcje są nieustannie dostępne.

Drobinki śliny rosily stół, a zdawało się, że to przebiegająca w spodnich warstwach lakieru fermentacja tworzyła na blacie wykwyty białego musu.

Michał odruchowo otarł twarz rękawem.

Trzasnęły drzwi w sekretariacie. Po matowej szybie przesunął się cień.

– A, jest Marzenka – zauważył Jaskóła. – Może coś do picia, mecenasie?

– Nie, będę już szedł. – Michał wstał i nie patrząc na koperty, ruszył do drzwi.

– Ej, czekaj! Co z naszym dilem?

– Nie ma żadnego dila. Dostaniecie fakturę za usługę i to wszystko.

– Co to ma niby znaczyć?

– Niech to będzie, powiedzmy... Zmiana paradygmatu.

– Że co? Jaja sobie robisz? Jakiego paradygmatu?

Michał wyszedł z pokoju i ukłonił się obrzmiałej młodej kobiecie, która z trzaskiem otworzyła pojemnik z daniem na wynos.

W windzie oparł się o ścianę i próbował oddechem uspokoić bijące w przyspieszonym tempie serce. Spojrzał na dłonie – drżały, jakby dopadła go ostra hipoglikemia.

*

Po zrobieniu kolejnej rundy w rejonie placu Grzybowskiego Agnieszka gotowała się z wściekłości. Niepojęty był tupet warszawskich, kierowców, którzy wypełnili co do jednego miejsca objęte zakazem parkowania w okolicy. Miała gdzieś, że nie przestrzegają przepisów (może stać ich na mandaty i opłaty za odholowanie). Problem w tym, że nie było gdzie stanąć.

Przez chwilę rozważała wezwanie straży miejskiej, aby odwiozła choć jeden złom na swój parking przy Chmielnej, ale uznała, że szkoda czasu.

Jechała powoli wzdłuż ciągu samochodów, wypatrując takiego, który najmniej pasował do kobiety z małym dzieckiem albo seniora. Wybrała lśniące czystością bmw X5 i stanęła obok, zastawiając je kompletnie. Wyjęła ze schowka identyfikator policyjny i położyła na desce rozdzielczej. Zrobiła zdjęcie na wypadek, gdyby delikwent postanowił się przebijać na rympał.

O dziesiątej rano plac był pusty. Przy osuszonych na zimę betonowych sadzawkach siedziało dwóch bezdomnych i przeglądało zawartość swoich worków.

Trzeci, zawinięty w wielowarstwowy kokon, leżał na kamiennej ławce.

Zostawiła po lewej schody do kościoła i przez arkadową bramę przeszła do budynku, w którym mieściły się plebania oraz kancelaria parafialna. Matka i najbliższe koleżanki Szymalak nie dostarczyły Agnieszce żadnych tropów, które mogłoby naprowadzić ją na ślad zaginionej prawniczki. Dzisiaj zamierzała porozmawiać z ludźmi z kancelarii. Najpierw jednak ten adres.

Nacisnęła guzik domofonu. Drzwi ustąpiły i weszła do wyłożonej boazerią poczekalni.

Wyszedł do niej ksiądz, mniej więcej w jej wieku, ciemnowłosy, o pociągłej twarzy. Zawsze zastanawiało ją, dlaczego sutanna nie odbiera człowiekowi atrakcyjności. W przeciwieństwie do habitu.

– Szczęść Boże!

– Dzień dobry. Chciałabym porozmawiać z księdzem Michalskim.

– To ja. W czym mogę pomóc?

Nie spieszył się na widok policyjnej legitymacji. Zaprosił Agnieszkę do gościnnego saloniku. Poprosiła o herbatę. Czekał na jego powrót, usiadła w angielskim fotelu.

Ciszę mąciło tykanie zegara stojącego. Jeśli był antykiem, na co wyglądał, to odmierzył już życie kilku pokoleń. Donośne akcentowanie każdej mijającej sekundy wybrzmiewało nachalnym *memento mori*. Wiedziała, że jej czas upływał, nie potrzebowała przypominania.

Przeniosła wzrok na wiszący na ścianie krucyfik. Najgorsza chwila. Chrystus już umarł. Ciało zdawało się ściekać z krzyża.

Znikąd pocieszenia.

Sięgnęła po pierwszy z wierzchu album leżący na stoliku. Rosyjskojęzyczny, bogato ilustrowany wolumin traktował o ikonach.

Przerzuciła kilka stron i zmroziło ją. Replika obrazu, na który patrzyła, wisiała na ścianie pewnego mieszkania na Białoleśce, nad kanapą, na której siedziała tamta młoda Białorusinka.

Kobieta kiwała się, kurczowo tuląc jasiek. Ładna dziewczyna, która postarzała się o dziesięć lat przez te kilka dni, kiedy trwały poszukiwania jej sześćoletniego syna. Niestety nie odnalazł się u ojca w Niemczech, jak wszyscy sądzili, ale kilkaset metrów od domu, na dnie wypełnionego wodą wykopu na porzuconej budowie.

– Czy rozumiesz, co do ciebie mówię? – pytała policyjna psycholog wytrenowanym, spokojnym tonem. – Czy jest ktoś, kto może z tobą dzisiaj zostać?

Kobieta nie odpowiadała. Zamknęła oczy i zaczęła się szybciej kiwać. Myślały z początku, że skamle z rozpacz, ale po chwili dało się rozróżnić powtarzane w kółko: *Ciapier i u chwilinu smierci naszaj. Amen*.

Nie można się do tego przyzwyczaić. Wystarczyło na chwilę opuścić gardę i dostrzegało się w takiej matce siebie. To mogło doprowadzić do nieprofesjonalnego zachowania, na przykład rozryczenia się. Na to był czas w domu. Wieczorem każdy taki dzień wracał.

Wtedy, dla utrzymania dystansu, podniosła wzrok i zajęła myśli rozważaniem, kim były trzy przedstawione na obrazie postacie, zupełnie niepodobne do znanych jej wyobrażeń świętych.

Nie zauważyła, kiedy ksiądz przyszedł.

– *Trójca Święta* Rublowa. Czy wie pani, że najprawdopodobniej została namalowana w roku bitwy pod Grunwaldem? Goście Abrahama pod dębami Mamre we wspaniałej syntezie teologicznej Trójcy Świętej. – Postawił tacę z filiżankami na stoliku.

No to po latach się dowiedziała. Goście pod dębami.

Zamknęła album i odłożyła na miejsce. Nie była w nastroju do wysłuchiwanie wykładów z ikonografii.

Wzięła filiżankę z tacy.

Ksiądz usiadł w drugim fotelu, opuścił wzrok i podparł twarz dłonią. Nie było w tym ponaglenia, cisza nie krępowała. Odgłos zegara teraz już nie drażnił, ale wywoływał wyciszenie, jak metronom w gabinecie hipnozy. Czy tak też odczuwała to Joanna Szymalak, kiedy tu przychodziła? Czy to w ten sposób ludzie otwierają się na aspekty duchowe i zaczynają rozumieć, że grzechy to nie tyle przekraczanie narzuconych norm, ile wywoływanie zaburzeń w systemie, który przeznaczony jest do trwania w równowadze opartej na radości i pokoju?

– Zawód policjantki to wielka sprawa.

Agnieszka drgnęła, wyrwana z zamyślenia.

– Ogromna odpowiedzialność. I ciężar – dodał duchowny.

Odstawiła filiżankę i wyjęła z torby notes.

– Czy zna ksiądz Joannę Szymalak?

– Tak, znam Joannę. Czy coś się stało?

– Staramy się to ustalić. Od kilku dni nie można się z nią skontaktować.

Przez twarz księdza przemknął wyraz zaskoczenia.

– Niepokojące – stwierdził i zapadł się w fotelu.

– Jaki rodzaj stosunków was łączy?

– Słucham? – Wydawał się nieobecny.

– Co was łączy?

– Ach, tak. Jestem jej spowiednikiem.

– To znaczy?

– Spotykamy się co jakiś czas. Mniej więcej raz w miesiącu Joanna przystępuje do sakramentu pokuty i pojednania.

– Myślałam, że do spowiedzi chodzi się do konfesjonału i... jak by to powiedzieć... trafia się na księdza, który tam akurat jest.

Uśmiechnął się niewyraźnie.

– Wielu wiernych wybiera stałego spowiednika. I konfesjonał nie jest nieodzowny.

– Kiedy ostatnio się spotkaliście?

Wyjął z kieszeni sutanny telefon i sprawdził kalendarz.

– Trzeciego lutego.

– A potem ksiądz jej już nie widział?

– Nie. Mieliśmy się spotkać na początku marca... – Zajrzał do telefonu. – Szóstego, ale nie przyszła. Czasami tak się zdarzało. Wiadomo, zawsze może wypaść coś nieprzewidzianego. Tamtego dnia przysłała wiadomość.

Zapisała dokładną godzinę wysłania i treść esemesa. Nic szczególnego, krótkie przeprosiny bez podania przyczyny.

– Czy mógłby ksiądz opowiedzieć, jaką osobą jest Joanna?

Na początku zastrzegł, że obowiązuje go tajemnica spowiedzi. Poznał ją ponad dwa lata temu. Kilka razy przychodziła, kiedy miał dyżur w konfesjonale. Za którymś razem zapytała, czy mógłby zostać jej stałym spowiednikiem, a on się zgodził. Nie, nie była w żadnym stopniu niezrównowazona. Nie sądzi, żeby miała jakieś problemy psychiczne, depresję czy myśli samobójcze. Wręcz przeciwnie – stąpała twardo po ziemi, tylko że w pewnym momencie straciła poczucie sensu. I właśnie jego poszukiwanie po wielu latach przywiodło ją do Kościoła. Dość typowy schemat – sakrament bierzmowania jako akt uroczystego zerwania z Kościołem i potem życie w oderwaniu od wartości. To prędzej czy później doprowadza do cierpienia. Niektórzy znajdują właściwe rozwiązanie. O jej sprawach zawodowych wiedział tyle tylko, że lubiła swoją pracę. Miała świadomość, iż ludzie są poddawani próbom każdego dnia, starała się postępować właściwie.

– Wiem już, że rozstała się kilka miesięcy temu z wieloletnim partnerem. Czy ostatnio była z kimś w związku? – zapytała Agnieszka.

Zawahał się.

– Nie mogę o tym mówić. Proszę tego nie nadinterpretowywać – zastrzegł, kiedy długopis Agnieszki ruszył po kartce notatnika niczym rysik wariografu. – Proszę – powtórzył.

Przerwała notowanie. Nie ma potrzeby stresować księdza, że ujawnił coś, nic nie mówiąc. Jeszcze uzna się za ekskomunikowanego.

Idąc ku wyjściu, myślała o nowej postaci w tej historii – tajemniczym, zwiewnym kimś. Mężczyzna nieosiągalny z jakiegoś powodu? Nieodwzajemnione uczucie? Żonaty? Ciekawy trop. Trzeba będzie się nad nim pochylić.

– Niech Bóg panią prowadzi – rzekł ksiądz w drzwiach.

Nie zdziwiłaby się, gdyby nakreślił nad nią znak krzyża, kiedy już się odwróciła. Jak nad żołnierzem ruszającym na front.

Nie wiedzieć czemu, poczuła się przytłoczona.

Zziębnięty facet w eleganckim płaszczyku stał pod budynkiem i obserwował Agnieszkę, jak szła chodnikiem. Kiedy otworzyła drzwi golfa, spojrzała na niego. Uciekł wzrokiem w bok.

Uśmiechnęła się do siebie. Czasami małe rzeczy potrafią zdecydowanie poprawić humor.

*

W każdy inny pogodny dzień pokonałby kilometr dzielący go od biura spacerem, zamiast brać taksówkę. Dzisiaj gotowy był znieść obrażoną minę kierowcy, który za marne kilka złotych stracił miejsce w kolejce na postój. Chciał jak najszybciej znaleźć się w biurze i w spokoju przemyśleć, czego dowiedział się w Zion.

Nie było mu to pisane.

Kiedy zmierzał do swojego gabinetu, zatrzymał się przy biurku Zuzy. Zaczerwienione oczy i nos nie pozostawiały wątpliwości, że przed chwilą płakała.

– Co się stało?

– Nic. – Usta jej zdrzęzały. Poderwała się i drobiąc kroki w obcisłej spódnicy, uciekła w stronę łazienki.

Po kilku minutach wyjrzał – jeszcze nie wróciła. Ruszył w głąb biura. Ludzie nie siedzieli jak zazwyczaj: w ciszy, wpatrzeni w monitory laptopów, ale rozmawiali zbici w grupki w swoich sekcjach biura. Poruszenie. Ostatnio widział coś takiego kilka miesięcy temu w dzień ogłoszenia wyników wyborów parlamentarnych.

Zatrzymał się przy sali konferencyjnej. Spojrzał przez szybę i natrafił na wzrok aspirant Moroz. Rozmawiała z dwoma prawnikami z zespołu Joanny.

Wszystko jasne.

Zawrócił do siebie.

– Jutro o dziesiątej spotkanie wszystkich pracowników – rzucił do Zuzy, która w międzyczasie wróciła do biurka. – I ma być Horodyński.

Zamknął się w pokoju. Otworzył leżącą na biurku teczkę z dokumentami, ale litery skakały mu przed oczami. Odrzucił ją na bok.

Nie, nie będzie martwił się na zapas. Dopóki nie wiadomo, co się stało, rozsądnie jest zakładać, że nic złego. W przeciwnym razie może się okazać, iż zmartwienie przeżywało się dwa razy.

Włączył komputer i otworzył program pocztowy. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w wytłuszczony nagłówek nowej wiadomości. Nadano jej priorytetowy status, o czym świadczył nachalny, czerwony wykrzyknik.

Nie musiał wyświetlać treści maila z centrali w Londynie, żeby wiedzieć, jak brzmiało jego pierwsze zdanie.

„Zawiadamiamy, że w odniesieniu do polskiego oddziału MG wszczęto procedurę przeglądu. Prosimy...”

Zaklął, zdarł płaszcz z wieszaka i wyszedł z biura.

– Coś się stało? – Zuza aż podskoczyła przestraszona trzaśnięciem drzwi.

– Nie wracam już dzisiaj.

– Poczekaj! Jutro rano...

– Jutro zupełnie mnie nie interesuje – rzucił, znikając za zakrętem korytarza.

*

Agnieszka oderwała wzrok od ekranu komputera i rozmasowała piekące oczy.

Dzienny urobek nie przedstawiał się imponująco. Z całego dnia rozmów nie miała nic, poza niejasną wizją, że Szymalak mogła być z kimś w związku. Problem w tym, iż nie potwierdzała tego ani matka, ani znajomi. Może to coś świeżego i nie rozniosło się jeszcze po środowisku?

Coś niepokojącego wyłaniało się za to z danych z systemu bankowego i operatora komórkowego, które analizowała od kilku godzin.

Ostatnie połączenie, trwające mniej niż minutę, miało miejsce tuż po czternastej w sobotę (zapotrzebowała już dane właściciela numeru). Zapis śladu logowania do sieci pokazywał jeszcze pętlę po okolicy. Potem Szymalak, a precyzyjniej rzecz ujmując – jej telefon – nie przemieszczał się, pozostając w rejonie mieszkania. Dziwna rzecz – w niedzielę o pierwszej w nocy sygnał zniknął i pojawił się o trzynastej dwadzieścia cztery w stacjach bazowych obejmujących zasięgiem Dworzec Centralny. Po dwóch minutach komórka Joanny Szymalak wylogowała się i nie wróciła już do sieci; ani w kraju, ani poprzez roaming z zagranicy.

Wizyta na Centralnym mogła sugerować wyjazd, ale kto wyjeżdża bez pieniędzy? Szymalak wypłaciła trzysta złotych z bankomatu w pobliżu biura w czwartek rano. W sobotę przed południem zapłaciła kartą kredytową za zakupy w hipermarkecie. A potem nic. Może przez jakiś czas gromadziła gotówkę? Agnieszka przewinęła kilka stron wstecz, szukając większych wypłat w ostatnich kilku miesiącach. Nic takiego nie miało miejsca. Nietknięte od tamtej soboty saldo na koncie przekraczało trzysta tysięcy złotych.

Nie śpieszyła się z konkluzjami. Na razie widziała trzy możliwości. Teoretycznie Szymalak mogła nie chcieć, żeby ją odnaleziono. Uciekła dokądś i się ukrywa. Była pewnie na tyle bystra, żeby wiedzieć, iż komórka czy korzystanie z konta pozwoli stosunkowo łatwo ją odnaleźć. Musiała zniknąć nagle, nie miała czasu. Na dworcu na chwilę włączyła telefon, może chciała przekazać matce uspokajającą wiadomość, ale zmieniła zdanie? Wsiadła do jakiegoś pociągu. Czy w takim scenariuszu nie powinna jednak jednorazowo wybrać większej kwoty z bankomatu? Agnieszka tak by zrobiła.

Porwanie? Jej rodzina nie była bogata, a poza tym nie pojawiło się żądanie okupu, mimo że minął już ponad tydzień.

Pozostawał trzeci wariant, najbardziej prawdopodobny – Joanna Maria Szymalak nie żyła. Popelniła samobójstwo albo została zamordowana. Agnieszka nie brała pod uwagę, że bez dokumentów trafiła do jakiegoś szpitala. Musiałoby to być za granicą, bo w bazie pacjentów „NN” przyjętych na oddziały w kraju w ostatnich tygodniach nie było nikogo, kto odpowiadałby jej rysopisowi.

Otworzyła na komputerze szablon dokumentu i zbierała myśli, wpatrując się w migający kursor. Zaczęła pisać. Wątpliwości zniknęły z każdym kolejnym zdaniem uzasadnienia, pojawiającym się na ekranie. Udało się jej przekonać samą siebie. Wkrótce okaże się, czy prokuratura podzieli jej pewność co do zasadności wydania postanowienia o wszczęciu śledztwa. Oczywiście, jeśli wniosek w ogóle tam dotrze. Musiał jeszcze przejść przez Mischuzka.

Kiedy z wydrukiem weszła do jego gabinetu, podniósł głowę znad papierów i spojrzał na nią przekrwionymi oczami. Zerknął na zegarek.

– To jednak nie masz dziecka? Już po dobranocce. – Ziewnął i się przeciągnął. – Pieprzona statystyka. – Spojrzał na leżące na biurku arkusze, wykrzywiając twarz w grymasie obrzydzenia. – Co tam?

Podawała mu wniosek. Gestem wskazał, żeby usiadła. Podparł czoło dłonią i zajął się lekturą. Ciszę przerywał jedynie szelest przewracanych kartek. Skończył i spojrzał na Agnieszkę w zamyśleniu.

– No, ładnie. Masz już pomysł na plan śledztwa?

– Ja? To przecież robi dochodzeniówka.

– No tak, ale ułatwiłabyś im robotę. A może... – Przeciągnął dłonią po szczecinie zarostu.

– Co?

– Może byś dołączyła do ich zespołu na tę sprawę? Znasz wszystkie szczegóły, złapałaś klimat i obskoczyłaś już kilku świadków. Oczywiście, jeśli prokurator zgodzi się z wnioskiem, chociaż... – postukał dłonią w dokument – ...byłbym zdziwiony, gdyby tego nie zrobił.

– Zagonią mnie do spisywania zeznań.

– Od czegoś trzeba zacząć. Słuchaj. – Pochylił się do niej. – Nadajesz się do dochodzeniówki, potrafisz kombinować, lubisz szczegóły. I praca tam bardziej unormowana niż w kryminalnym. Masz małe dziecko. Po co ci to babranie się w największym syfie? Przemyśl sprawę.

Milczała. Uznał to za zgodę.

– Pogadam z prokuratorem i Hubertem, żeby wziął cię do zespołu, powiedzmy w ramach stażu. W wianie wniesiesz projekt planu śledztwa. Zacznij od razu pisać. Nie musisz dziękować – dodał, widząc uśmiech wypływający jej na twarz.

*

Dym papierosowy drażnił oczy. Przy przeciwległej ścianie stało rzędem kilka automatów do gry, ustawionych obok siebie. Trzy były zajęte. Gracze różnili się wiekiem, ale byli podobni do siebie, jakby pochodzili z jednego szczepu – zniszczone, ciemne twarze, papierosy w kącikach ust, dżinsy, które od lat nie widziały pralki, rozczłapane adidas. Wpatrywali się w wirujące bębny z kolorowymi polami z napięciem, jakby od tego zależało ich życie. Może zresztą zależało. Dźwięk automatów przebijał się przez pozbawioną basów rockową muzykę sączącą się z podwieszonych pod sufitem głośników. Nieobsadzone maszyny wygrywały od czasu do czasu jarmarczne melodyjki, zachęcające do sprawdzenia, czy czasem nie jest to szczęśliwy dzień. Kiedy padała wygrana, monety sypały się z donośnym brzękiem do metalowej kieszeni. Wygrywający przyjmował to z pełnym spokojem. Nawet nie wyjmował wszystkich monet. Brał tylko ich garść i wrzucał po kolei w szparę slotu.

Czasami któryś z grających wstawał i podchodził do czytającego „Przegląd Sportowy” mężczyzny za barem, żeby rozmienić pieniądze. Oglądał się przy tym czujnie, czy aby ktoś nie siada na jego miejscu. To mogło wydawać się racjonalne –

maszyny do gry miały zapewne zaprogramowany poziom zwrotu wygranych. Przy odpowiednio długiej grze hipotetycznie wzrastała szansa na sukces. Michał był kiedyś w kasynie w Las Vegas i widział, jak przy automatach przyjmujących pięciodolarowe zakłady kręciły się sępy, czyhające na miejsca przy maszynach, od których odchodził ktoś zniechęcony brakiem wygranej. Problem w tym, że to błąd poznawczy. Złudzenie gracza – objaśnił mu kiedyś znajomy (miłośnik rachunku prawdopodobieństwa i pisarstwa Dostojewskiego) – polega na oczekiwaniu, że skoro dziesięć razy z rzędu w ruletce padło czerwone, to zaraz musi paść czarne. Nic z tych rzeczy. Choćby czerwone padło sto razy, to prawdopodobieństwo, iż padnie kolejny raz, pozostaje bez zmian.

Ciemny, błagający o remont pub Geronimo w Śródmieściu znajdował się bardzo daleko od Las Vegas. W każdym sensie. Wystrój nawiązujący do słynnego indiańskiego wojownika-mściciela był przeciwieństwem wystudiowanego blichtru tamtego wyrastającego z pustyni lunaparku. Przy barze wisiał poster przedstawiający najbardziej znane zdjęcie Apacza – dzikie oczy i zawzięta mina, przyklęk na kolano, winchester w rękach. Na ścianie przymocowano ciężki od kurzu, wystrzępiony pióropus, a pod nim dwa skrzyżowane tomahawki – zapewne tania imitacja. Surowe sosnowe deski, którymi pokryte były ściany, ciemne i lepkie od wchłanianego przez lata brudu, dopełniały obrazu prawdziwej spelunki.

Trzech zapalonych graczy, barman i Michał – w pubie nie było nikogo więcej. Nic dziwnego – poniedziałkowe południe. Ludzie w pracy, do pory lunchu jeszcze chwila, zresztą, kto by się wybrał na lunch w takie miejsce?

Michał dopił whisky.

– Coś jeszcze podać, wodzu? – Barman podniósł wzrok znad gazety.

– To samo. Woda ognista. Podwójna.

– Się robi.

Telefon na stoliku zakręcił się pod wpływem wibracji. Piąte nieodebrane połączenie od Mirojada. Niech dzwoni do woli.

Barman postawił przed Michałem kolejnego drinka i orzeszki ziemne, kiedy do knajpy wszedł Horodyński. Stał chwilę przy drzwiach, żeby przyzwyczaić wzrok do ciemności. Michał pomachał ręką jak rozbitek dający znaki statkowi mijającemu jego wyspę.

– Tuś się zaszył, gagatku! Długo musiałeś szukać, żeby znaleźć taką norę?

– Przywiodła mnie tu magnetyczna siła jego wzroku. – Michał wskazał na zdjęcie Geronima. – Oto on, ostatni wódz Apaczów, Ten, który ziewa.

– Kto ziewa? – Horodyński rozejrzał się skonsternowany.

– No, on ziewa, to znaczy ziewał. To znaczy nazywał się: Ten, który ziewa. Barman mi powiedział, możesz sam spytać.

– Usiądź, ty, który bełkoczesz. Długo już tu się bawisz?

– Przyszedłem dosłownie przed chwilą, ale to było jakiś czas temu. Dobrze, że przyjechałeś. Nie będę musiał pić z Apaczami. Czego blada twarz się napije?

Horodyński roześmiał się i usiadł przy stoliku.

– Lotos to to nie jest, ale może trzeba dać szansę. Poczekaj, wyślę tylko wiadomość starej, że wrócę później. A ty zadzwoń do Zuzy, że cię nie będzie w fabryce.

Michał machnął ręką.

– Teraz. Potem może się nie udać.

Zadzwiećwał sygnał wiadomości na komórce Horodyńskiego.

– Co napisała?

– Żebym nie zapomniał wyjść z psem wieczorem.

– No to pies cię wyprowadzi na spacer. Wiesz, miałem fantastyczny początek dnia. Trzeba to oblać. – Prosimy do nas! – zawołał Michał do barmana. – Będziemy zamawiać.

*

– Wstawaj! Już czas! Idziemy! – Szarpanie. Wzięli go pod ramiona.

Tak bardzo chciał spać. Nadludzkim wysiłkiem podniósł głowę – zobaczył Horodyńskiego, przez gęstą mgłę, z drugiej strony jakiś facet, nie rozpoznał go. Rozwarł oczy szeroko – nic nie widać, zmrużył – lepiej, napiął mięśnie gałek ocznych, gdzieś już widział tego gościa... a, tak... współpracownik Marcina, tego Marcina, jego przyjaciela najlepszego, jedyne.

– Wypijmy! – Czknął.

– Michał, czas do domu! No wstawaj, i raaz! – Podźwignęli go z krzesła, a on słał się na nogach.

– Zostawcie mnie. Tutaj mnie zostawcie, z nim. – Pokazał na zdjęcie, a ręka zaraz opadła swobodnie, jak marionetce, nie mógł też utrzymać głowy, broda wsparła się na piersi. – Zostawcie mi konia i ciepłą derkę – wymamrotał. – Weźcie złoto, ale konia zostawcie, dwieście sztuk złota, nikt się nie dowie.

– Ale faza! – Młody niewiele jeszcze widział w życiu.

– Zamknij dziób! – upomniał go Horodyński. – Idziemy z nim do auta! – wydawał rozkazy. Tak, jego słuchają, ale on, Michał, iść już nie mógł. Życie minęło jak chwila i teraz uchodziło z niego.

– To koniec, widzę ciemną chmurę, co opada. Zabierzcie moją odznakę! Zostawcie mnie tu! – Szarpnął się.

– Michał, pamiętasz? Nie zostawiamy rannych na polu bitwy. No już, noga za nogą!

Poszedł. Tak trzeba, to jest słuszne. Trzeba robić rzeczy słuszne. Poczul na policzku przyjemny, chłodny dotyk skóry tapicerki samochodowej.

*

Wypowiedział życzenie śmierci. Jeszcze raz. Nic, zaklęcie nie działało. Jęknął. Rozszerzone naczynia w mózgu wytrwałym pulsem napierały od spodu na szarą masę, ucierając ją w mózdzierz czaszki. Powinien był zostawić toporek na nocnym stoliku, mógłby teraz odrąbać sobie głowę. Nie, to by się nie udało, może w takim

razie dłoń albo stopę, bo najważniejsze, żeby cholerny czerep przestał boleć. Świeży kikut musiałby dać chwilę ulgi, świeży ból nadpisałby się nad tępym łomotem. Toporka nie ma, skąd miałby go mieć? To może chociaż złamać sobie palec?

Wezwać odtruwanie z kroplówką? Znajomy stosował, podobno po godzinie jest już dobrze, a po trzech możesz iść na spotkanie i nikt nie posądzi cię o bycie zombi. To łatwe, w internecie jest pełno ogłoszeń, wystarczy zadzwonić, przyjadą, podłączą, postawią na nogi. Ale nie, byłby wstyd. Czy lepiej cierpieć, czy wstydzić się? Cierpieć, żeby się nie wstydzić – jakie to ludzkie i jakie wzniosłe.

Fala mdłości sprawiła, że ból głowy na chwilę przestał mieć znaczenie – istotna jest kolejność potrzeb, piramida odruchów. Głowa w muszli, z każdym chlustem lepiej – uwolnienie, oczyszczenie, wybawienie. Kilka razy szarpnęło nim jeszcze na jałowym biegu.

Wstał i spojrzął w lustro. Kolor oczu? Winny. Odcień zbliżony do produktów apelacji Tavel w Dolinie Rodanu. To minie, kiedyś na pewno, zło ma swoją miarę, tylko dobro może przetrwać dłużej.

Dobrem jest zimne piwo i ciepła kąpiel. Szedł do kuchni, trzymając się ściany. Zatrzymał się w salonie. Czy on to zrobił wczoraj? Książki powyrzucane z szafek, wymieszane z zawartością komody, rozbity wazon, rozsypane zdjęcia. To potem, nie żał róż, kiedy potrzebna odtrutka. Wrócił do łazienki z butelką bursztynowego serum. Wszedł do wanny, ciepła woda, organizm pije przez skórę. Przyłożył oszronioną butelkę do czoła. Jest ulga, będzie żył.

*

Sprzątając, starał się dojść, czego mógł szukać w nocy. Może pod wpływem pijackiego rozrzewnienia zapragnął obejrzeć stare zdjęcia? Ale po co przy tym rozrzucał książki? Pudełka ze zdjęciami trzymał od zawsze w tym samym miejscu – w dolnej szufladzie komody. Nawet będąc nie wiadomo jak pijanym, nie zapominałby o tym, tak jak nie zapominał, gdzie stoi łóżko. No nic, trzeba będzie spuścić na to zasłonę, jak na całą końcówkę wczorajszego wieczora. I tak nie pamiętał, co się od pewnego momentu działo. Oczywiście Horodyński może zechcieć uraczyć go swoimi wspomnieniami. Ale nie, pod tym względem zawsze można było liczyć na jego dyskrecję.

Posuwając się na kolanach, zbierał na szufelkę skorupy rozbitego porcelanowego wazonu, tego wazonu, który przywieźli z Anką z targu staroci na Kole. W lutowe niedzielne przedpołudnie kilka lat temu wazon wysłał do nich sygnał z brezentowej płachty, na której stał wśród starych żelazek z duszą, aluminiowych tar do prania, zdekompletowanych zestawów sztućców, blaszanych pudełek na tytoń, pojedynczych filiżanek, mosiężnych świeczników i innych niezliczonych oraz nierozpoznawalnych dla zwykłego człowieka rupieci. Wychodzili już z targu, nic dotychczas nie kupili i dali sobie ostatnią szansę, żeby nie wracać do domu z pustymi rękami. Śmiali się, że nie oni wybrali wazon, ale on wybrał ich, wybrał ich mieszkanie na swój dom na kolejne, nie wiadomo które życie. Sądzili, że był stary, co najmniej dziewiętnastowieczny. Na podstawie miał blady stempel manufaktury – trzy lilijki na

tarczy.

Wspólnie snuli historie kolejnych domów oraz rodzin, w jakich wazon się znalazł, i losu, który przekazywał go w ręce nowych właścicieli, by ostatecznie sprowadzić na honorowe miejsce w ich salonie. Nie pomyśleli wtedy o tym, że każda rodzina, do której trafiał wazon, sądziła, iż pozostanie z nimi na zawsze. Nie dostrzegli, rzecz jasna, też tego, że sami uznali to za oczywiste w ich przypadku. Ulegli temu samemu złudzeniu, co wszyscy poprzedni właściciele – że istnieje najściślejszy z możliwych związek pomiędzy czymś żywym i żywym otaczających go przedmiotów oraz stworzeń. Nie dostrzegli, że ludzie i inne elementy świata przemieszczają się względem siebie na poplątanych, sunących z różnymi prędkościami pasach transmisyjnych. Bez względu na to, co posiadamy – dom, kolekcję obrazów, rodzinę, znajomych – dostajemy to tylko na pewien czas. Coś jest z nami, a potem odchodzi. Niekiedy wraca po wykonaniu pobocznych pętli, ale prędzej czy później znika ostatecznie z horyzontu. Posiadacze wazonu umierali albo popadali w ubóstwo, a on, nienaruszony w swej substancji, wciąż tak samo atrakcyjny, szedł w nowe ręce w ramach swojej dalekobieżnej misji.

Życie wazonu za sprawą Michała dobiegło końca. Doczesne szczątki naczynia wylądowały z chrzęstem w koszu na śmieci.

*

W sali odpraw był już cały zespół dochodzeniowy. Czekali tylko na Motyckiego i prokuratora. Agnieszka знаła wszystkich, z kilkoma wcześniej pracowała. Sami faceci. Tak jak w jej macierzystym wydziale kryminalnym. W prewencji było więcej dziewczyn. Przyszła na odprawę pierwsza i obserwowała, jak wchodzi, niektórzy z plastikowymi kubkami kawy z automatu. Pozdrawiali ją skinieniem głowy i siadali na rozstawionych w pokoju krzesłach. Zagadywali do siebie, żartowali. Nie przeszkadzało jej, że jest ignorowana.

Zbyszek Maciurski, nazywany Maciorą, wyglądał na zmęczonego. Efekt niewyspania czy przeholowania z wodą? Raczej to drugie, sądząc po czerwonej, obrzękniętej twarzy i nadaktywności w szafowaniu dowcipami. Pewnie gorzała jeszcze mu krąży we krwi. Tak, poczuła odór, kiedy usiadł za nią.

Trzasnęły drzwi i wszedł Motycki. Rozmowy ucichły, zaszurały krzesła. Naczelnik wydziału dochodzeniowego rzucił teczkę na biurko. Zdjął kraciastą marynarkę i powiesił na oparciu krzesła stojącego pod białą tablicą. Potarł dłonią łysinę i potoczył wzrokiem po pokoju.

– Prokurator się spóźni. Zaczynamy bez niej. Wasyl, ty pierwszy. Błagam, powiedz mi, że mamy dość materiału. Justyna zapowiedziała, że nie złoży wniosku o przedłużenie aresztu, jeśli nie znajdziemy więcej dowodów. Znowu wypuścimy Luisa? Całe miasto będzie się z nas śmiało.

Agnieszka nie mogła się skupić. Nie dlatego, że omawiane szczegóły postępowań i plany czynności operacyjnych jej nie interesowały. Wręcz przeciwnie. Ale zaczęła się czuć jak nieprzygotowana do lekcji uczennica wpadająca w panikę na myśl, że za chwilę zostanie wyrwana do odpowiedzi. Styl Motyckiego do złudzenia przypominał

jej ten, którym pewna nauczycielka matematyki w grodziskim liceum odciskała niezapomniane piętno na kolejnych rocznikach uczniów.

Motycki wywoływał poszczególnych śledczych do referowania postępu swoich spraw. Słuchał, przeglądając akta. Kiedy delikwent skończył, podnosił na niego wzrok ze zbolalym wyrazem twarzy, gładząc się przy tym po łysinie, jakby pragnął sam się pocieszyć.

– Zorbi! Chcesz dwie załogi obserwacyjne na siedem dni? Czterech ludzi na wczasach pod gruszą? Mój drogi, masz słuszność, powinniśmy pokładać wiarę w Najwyższego, że wrzuci podejrzanego wprost w nasze sidła, ale mam wątpliwości, czy z takim podejściem ludzkość wylądowałaby kiedykolwiek na Księżycu. Jesteś policjantem, musisz okazać waleczność i spróbować przełamać ten straszny ból głowy wywoływany myśleniem. Co więcej, zobacz, wpadniesz na inny dobry plan i ulżysz czterem kolegom – nie będą musieli przez tydzień sikać do butelek. Figurant ma dziewczynę? Dobrze. Ale ma może też matkę, siostrę i zaraz... – Zajrzał do akt. – A niech mnie! Ma też brata i ze dwudziestu dobrych kumpli, sądząc po środowisku. Czemu nie obstawić wszystkich? Za dwie godziny u mnie. – Dopiero ostatnie zdanie wybrzmiało jak reprimenda.

Inni musieli nawyknąć do tego sarkazmu, nikt się nie śmiał, za to Agnieszka po dwóch wystąpieniach śledczych czuła, jak opanowująca ją panika przesuwa się z brzucha do gardła i zaczyna ścisnąć tak, że zaraz nie będzie w stanie wydobyć z siebie głosu. Mrowienie przebiegło po nodze. Niech to się już skończy, nawet blamażem, ale natychmiast!

– Mamy nową sprawę – powiedział Motycki, sięgając po kolejne akta. – Postanowienie prokuratora jeszcze ciepłe, obiekt może zimny. Od szukaczy z kryminalnego dostaliśmy do pomocy aspirant Moroz.

– Mieczu ci u nas dostatek – dobiegło z sali.

– To i pochwa się przyda. – Teatralny szept zza pleców Agnieszki wywołał ogólny rechot.

Odwróciła się. Maciurski patrzył w sufit z miną niewiniątka.

– Maciora! – rzucił Motycki.

– Tak, szefie?

– Zejdź do dyżurnego. Dostali nową partię alkomatów i martwią się, czy są dobrze wyskalowane. Dmuchnij na próbę.

– Tak, szefie. – Podniósł się z krzesła.

– A ty dokąd?

– Mówił szef...

– Siadaj!

– Tak jest!

– Moroz, chodź tutaj i przedstaw sprawę.

Agnieszka wstała i starając się nie utykać, przeszła pod tablicę. Motycki zwiesił głowę nad dokumentami.

Spojrzała na kolegów. Patrzyli z ciekawością, na kilku twarzach błędził

uśmieszek.

– Joanna Maria Szymalak – zaczęła. – Trzydzieści pięć lat, prawnik w renomowanej warszawskiej kancelarii, samotna. Brak jakiegokolwiek znaku życia od niedzieli ósmego marca. Ostatnio widziana...

Kiedy skończyła, Motycki wstał i zwrócił się do ludzi na sali:

– I co wy na to?

Po chwili milczenia odezwał się Miro Sławczyk:

– Z dotychczasowych ustaleń właściwie nic nie wynika. Zakładając, że nie jest to coś przypadkowego, a pewnie nie jest, skoro po tylu dniach nie znaleziono ciała, to trzeba głębiej pogrzebać w jej życiu...

– A ty, Maciora, co myślisz?

Wywołany Maciurski poprawił się na krześle, na którym prawie leżał.

– Zgadzasz się z... – Zawahał się. – Z nią. – Machnął ręką w stronę Agnieszki. – Zabezpieczenie śladów w mieszkaniu i jak najszybsze przesłuchanie ustalonej listy świadków. I analiza ostatnich tygodni przed zniknięciem.

– Bardzo się cieszę, że słuchałeś i zgadzasz się z Moroz, bo w tej sprawie będziecie pracować w zespole. Macie pół dnia na przygotowanie planu działań procesowych i operacyjnych. Spotkamy się... – Spojrzał na zegarek. – O trzynastej u mnie. Powinna być już wtedy prokurator. Może mieć jeszcze jakieś pytania. – Powiódł wzrokiem po sali. – Tymczasem – do roboty.

*

Zuza skoczyła z miejsca, kiedy Mirojad, ignorując apel o chwilę cierpliwości, minął jej stanowisko i wparował do gabinetu Michała.

– Od przedwczoraj do ciebie wydzwaniam. Mógłbyś, kurde, odebrać. Daj mi kawy, złotko, tylko szybciotko, na jednej nóżce! – rzucił do Zuzy, która stanęła za nim w progu gabinetu.

Michał dostrzegł groźne błyski w jej oczach. Przewyższała Mirojada o pół głowy i wynik ewentualnego zwarcia wcale nie był przesądzony.

Skinął do niej i posłusznie zamknęła drzwi za gościem. Mirojad rozsiadł się na kanapie.

– Niezła ta twoja cerberka. Posuwasz ją tu czasami? – Sprawdził dłonią twardość siedziska.

– Czego chcesz?

Mirojad wyprostował się i poprawił poły marynarki.

– Michu, możesz mnie nie lubić, chociaż wiem, że lubisz, bo mnie nie da się nie lubić. Możesz mnie też nie szanować, tutaj mogę się zgodzić, mimo że ja cię szanuję, a jesteśmy tacy sami, ale nasyłać na mnie policję?

– Nikogo nie nasyłałem.

– To skąd wczoraj wzięła się u mnie w biurze ta psica? Nie powiem, dałbym się jej ścisnąć udami, mogłaby mi nawet przy tym pogrozić pistoletem. Ale chyba nie wpadłem jej w oko. Pewnie się zraziła, kiedy powiedziałem jej, że ma mnie chyba za

idiotę, jeśli oczekuje współpracy bez znajomości kontekstu rozmowy i mojego w niej statusu. Chociaż, może mam jeszcze jakieś szanse, bo zapewniła mnie, że wkrótce znowu się zobaczymy. – Zarechotał. – Co jej nagadałeś? Chyba nie o naszym spotkaniu?

– Nie rozmawiałem z policją ani na wasz, ani na twój temat.

– A na jaki rozmawiałeś? Skąd wiedziała o Prodeve i dlaczego wypytywała o Aśkę... o to, kiedy u nas była, po co, dlaczego?

– Szukają jej. Zniknęła ponad tydzień temu. Dostali od nas kalendarz jej spotkań i pewnie teraz po kolei sprawdzają.

– Jak to zniknęła?

– Tak to. Była i nie ma, zapadła się pod ziemię niedługo po spotkaniu u was. Czyżbyś był zaskoczony?

– Hej, coś sugerujesz? – Przymrużył oczy.

– Nic nie sugeruję, ale nie uważasz, że to dziwny zbieg okoliczności? Aśka odmawia wzięcia od was pieniędzy, nie oddaje dyktafonu i znika. *Cui bono* ?

Mirojad patrzył w podłogę, poklepując kolano.

– Masz ten cholerny dyktafon?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, wstał i podszedł do drzwi. Położył dłoń na klamce i odwrócił się do Michała.

– Janek Winter prosił, żebym dogadał z tobą umowę z Radmesem. Po to przyszedłem. W świetle tego, co mówisz, możesz o sprawie zapomnieć. Aha, powiedział też, że jeśli nie zechcesz się dogadać, to i tak masz trzymać gębę swoją i twoich ludzi na kłódkę, bo inaczej cię zajebie. To znaczy wyraził się jakoś inaczej, bardziej profesjonalnie, ale taki był sens.

– Wiesz co, Janek?

– Co?

– Spieprzaj z mojego biura!

Mirojad wyszczerzył się i wyszedł. W drzwiach wyminął Zużę z tacą. Spojrzała pytająco na Michała.

Wzruszył ramionami.

– Musiał już iść. Przepraszam za jego zachowanie – dodał po chwili. – Daj mi tę kawę.

– O nie, zrobię ci nową. Ta jest... nie całkiem dobra. – Uśmiechnęła się z zakłopotaniem i odeszła w stronę kuchni.

Michałem wstrząsnął śmiechem.

*

W zaanonsowanej przez Zużę kobiecie Michał ledwie rozpoznał aspirant Moroz. Efektowna fryzura z włosami przy brodzie podkreconymi do przodu, delikatny makijaż i normalne ubranie – dwuczęściowy ciemnoszary kostium i pantofle na średnim obcasie zmieniły ją w atrakcyjną kobietę. Czyżby z zespołu infiltracji

gangów motocyklowych przeszła do korpusu poszukiwań zaginionych prawników?

– Co robił pan w weekend siódmego i ósmego marca? – zapytała, kiedy Zuza przyniosła im napoje i zniknęła za drzwiami.

Michał zastygł na chwilę, a potem wybuchnął śmiechem.

– Nie wierzę, normalnie nie wierzę!

Nie podzielała jego przyływu dobrego humoru.

– Byłem w domu.

– Sam?

– Tak. Weekendy spędzam samotnie. Czy mogę zapytać, skąd to pytanie?

– Staram się tylko wykonywać moją pracę. O czym rozmawiał pan z Joanną Szymalak w sobotę siódmego marca?

Michał zamrugał kilka razy.

– Nie rozmawiałem z nią. Nie widziałem jej od środy tamtego tygodnia.

Policjantka dłuższą chwilę patrzyła Michałowi w oczy. Westchnęła i spojrzała w notatnik.

– Sobota, siódmy marca, godzina czternasta zero siedem.

– Tak?

– Dzwoniła do pana, a pan odebrał. Pół minuty połączenia.

– Słucham?

– Tak wynika z danych billingowych.

– To nonsens! Pamiętałbym, gdyby dzwoniła, zwłaszcza w weekend, nigdy tego nie robiła. Zaraz!

Wziął swój telefon i zaczął przeszukiwać historię połączeń.

– Siódmy marca, tak? – Przewijał listę tak szybko, że linie zlały się w jeden rozmazany ciąg. – Jest!

Nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Telefon pokazywał połączenie, którego – mógłby przysiąc – nie było. Nie mogło być!

Wpatrywał się w aparat, jakby otrzymał wiadomość od ducha.

– Znalazł pan?

– Tak, ale to niemożliwe. Nie rozmawiałem z nią. Jestem pewien.

– A co pan właściwie robił tamtego dnia?

Michał się zawahał.

– Nic szczególnego. Byłem w domu. Pewnie oglądałem coś w telewizji.

– Czy telefon miał pan cały czas przy sobie?

– No, tak, pewnie miałem.

– Jak pan w takim razie to wyjaśni?

– Nie potrafię. To się po prostu nie wydarzyło.

Nie pamiętał tamtej soboty. Jeśli była typowa, to jeszcze przed południem mógł rozpocząć leczenie kaca po piątku. Jedno, drugie piwo, a potem w zależności od nastroju – jeszcze kilka piw albo przesiadka na whisky. Tak, z całą pewnością mógł mu się zdarzyć zanik pamięci, może nawet zdarzał się regularnie. Problem w tym, że

kiedy żyjesz sam, nie ma jak tego zweryfikować – nikt nie opowiada ci tego, co robiłeś albo mówiłeś. Choć rzeczywiście, kilka razy Horodyński wspominał ich wspólne przygody, z których Michał nic nie pamiętał. Przeczytał kiedyś, że palimpsest nie polega na tym, że się zapomina, ale że wydarzenia w ogóle nie zapisują się w pamięci. Jeśli tak jest, nie miał najmniejszych szans przypomnieć sobie, o czym rozmawiał z Joanną, o ile w ogóle z nią rozmawiał.

– No dobrze, a niedziela? Co wtedy pan robił? Nigdzie pan nie wychodził? Może na spacer albo do kina?

– Nie. Do czego pani zmierza?

– Do ustalenia faktów.

– No więc fakty są takie: w sobotę i niedzielę byłem sam, nigdzie nie wychodziłem, z nikim nie rozmawiałem.

– Proszę się nie irytować. Na razie musimy sprawdzić wszystkie tropy. To była ostatnia rozmowa z jej telefonu.

– Być może... Mogłem nie zapamiętać tej rozmowy. To znaczy, nie pamiętam jej w ogóle, jeśli rzeczywiście miała miejsce.

– Jak to możliwe?

– Niewykluczone, że imprezowałem trochę w tamten weekend? – Jego słowa wybrzmiały jak tłumaczenie się gimnazjalisty ze spóźnienia – stwierdzenie wypowiedziane z intonacją pytania. No, ale nie było z czego być dumnym. Nie był w kinie, teatrze, ogrodzie botanicznym, na koncercie kwartetu smyczkowego ani w żadnym innym miejscu, dokąd w weekendy wybierają się porządni ludzie.

– Gdzie?

– W domu.

– Z kim?

– Sam.

Czy prawie niezauważalny grymas, który przemknął przez jej twarz – ściągnięcie ust i kiwnięcie głową – to był wyraz ulgi, że najwyraźniej nie siedzi jednak naprzeciwko przestępcy? A może zawodowej satysfakcji, iż dobrze go rozegrała, bo tak szybko pękł i zaprzestał dziecinnego mataczenia?

Istniała też możliwość, niezależnie od pozostałych dwóch, że doświadczył zrozumienia. Było bardzo prawdopodobne, że niejeden jej kolega z pracy oddawał się w wolnych chwilach takiemu samemu hobby jak on. A może sama to robiła, próbując wypłukać brud niesiony z każdą prowadzoną sprawą – ucieczki nastolatków, dysfunkcyjne rodziny, ciała w kostnicach dopasowywane do zdjęć, a w gorszych przypadkach do dokumentacji dentystycznej? Może była, jak Michał, samotna, i musiała wszystko trawić sama? Zagłuszać obcy głos poddający prosto do mózgu słowa o bezsensie odgarniania cuchnącego mułu, który skądś ciągle napływa. Obserwować własne powolne starzenie się bez szansy na przełom. Żałować utraconych szans robienia rzeczy pięknych i dobrych – cokolwiek to jest, musi istnieć, skoro funkcjonują te pojęcia.

Zamknęła notatnik i siedziała chwilę z wzrokiem wbitym w czarną okładkę.

W palcach obracała długopis.

– W świetle tych informacji będziemy musieli zaprotokołować pańskie zeznanie. Czy mógłby pan przyjść do komendy w piątek około dziesiątej? – Nie czekała na potwierdzenie Michała. – Proszę dyżurnemu powiedzieć, że przyszedł pan do mnie.

– W porządku, będę. Ale...

– Tak?

– Przesłuchanie to już czynność procesowa. Czy...?

– Tak. Zostało wszczęte dochodzenie w sprawie zaginięcia Joanny Szymalak.

Poczuł ukłucie lęku. Był naiwny, myśląc, że wszystko dobrze się skończy.

– Czyli pojawiły się jakieś nowe okoliczności? Coś wskazuje na przestępstwo?

– Nie mogę o tym rozmawiać.

Po chwili dodała:

– Powinam poinformować o tym na początku. Nie pracuję już w sekcji poszukiwań. Przeniesiono mnie do wydziału dochodzeniowego i przydzielono do sprawy Joanny Szymalak.

*

Michał postanowił złamać rutynę dnia i po powrocie do domu wybrał się na spacer. Wyjście z domu zamiast gapienia się w telewizor i sączenia drinków – świetny plan. W repertuarze kin nic ciekawego. Zresztą – iść samemu do kina? Niby zgadzał się z Anką, że w kinie każdy jest właściwie sam, ale widział różnicę.

Zrobiło się już późno, dochodziła dziesiąta. Szedł chodnikiem wzdłuż ulicy prowadzącej obrzeżami parku. Okolica opustoszała – nic dziwnego, zważywszy na porę. Ciemny wieczór był zadziwiająco ciepły i wietrzny. Posadzone kilka lat temu, wciąż rachityczne drzewa kołysały się poruszane podmuchami. Cienie rozczapierzonych gałęzi tańczyły dziko na płytach chodnika.

Przypomniała mu się zabawa z dzieciństwa – chodzenie w taki sposób, żeby nie dotknąć fugi łączącej płyty chodnika (wyobrażał sobie wtedy, że jeśli skusi, wybucha mina). Zaczął iść, starając się utrafić butem dokładnie w środek betonowego kafla. Wydawało mu się, że kiedy był dzieckiem, wyzwanie polegało na stawianiu dużych kroków. Teraz drobił i nie potrafił znaleźć odpowiedniego tempa.

Szedł chwilę w ten dziwaczny sposób. Mijający go przechodzień musiał zejść na skraj chodnika.

– Panie, co jest? – fuknął.

Proszę o wybaczenie. Mój chód stał się ostatnio wyjątkowo głupi – odpowiedział Michał w myślach i się roześmiał.

Wtedy zauważył dziwne zjawisko. Kiedy zbliżał się do latarni, jej światło przygasało. Gdy odchodził, zaczynała świecić mocniej, aż w końcu natężenie światła wracało do normalnego poziomu. Za pierwszym razem uznał, że to przypadek, jakaś awaria zbiegła się w czasie z jego przemarszem. Przy drugiej latarni, która zachowała się dokładnie tak samo, zwątpił, przy trzeciej stanął skonsternowany. Spojrzał dalej przed siebie. Chodnik i jezdnia puste aż po koniec tunelu kiwających się drzew. Na

granicy całkowitej ciemności ktoś stał. Spacerowicz z psem? Nie, człowiek z twarzą skrytą w kapturze. Stali przez chwilę, patrząc na siebie. Mężczyzna ruszył w kierunku Michała.

Ten odwrócił się i zaczął iść, powoli, potem coraz szybciej. Rzucił się biegiem, kiedy usłyszał za sobą kroki.

Bez tchu dopadł klatki bloku. Wstukał kod i plecami dopchnął zamykające się drzwi. Słaniając się, wszedł po schodach.

– I pan też zaczął biegać? Gratuluję!

Michał machnął ręką do ochroniarza.

Wszedł do mieszkania, zamknął wszystkie zamki, nawet ten trzeci, którego nigdy nie używał, i nie zdejmując wierzchniego okrycia, podszedł do stolika na antresoli. Nalał pół szklanki whisky, podniósł i spojrział przez kryształ w światło lampy. Czy rzeczywiście pragnął teraz przyjąć tę mieniącą się bursztynową melasę zrodzoną ze słodowanego ziarna i niosącą słodycz? Niełatwą słodycz, o nie. Dawała moc, ale wprawdzie potrzebowała chwili słabości – uchylenia bramy. Przez tę szparę wleje się palącym strumieniem i wzmocni, da zrozumienie, wyciszy.

O, tak! Chciał oświecenia i spokoju, chciał pogodzić się ze wszystkim, choć na kilka godzin. Zdążyłem na czas – to była pierwsza myśl. Ta utorowała drogę drugiej – w sprawie walnego Prodeve. Tam też chodziło o czas.

Przyłożył krawędź szklanki do ust. Nozdrza wypełnił mu dymny aromat. Zamknął oczy i przechylił szklankę. Złota fala nie zdołała jeszcze dotrzeć do przygotowanych na piekący płyn warg, kiedy zadzwonił leżący na stoliku telefon.

Spojrzał na wyświetlacz. Szklanka wysunęła mu się z zeszywniałej nagle dłoni. Uderzyła o podłogę, rozrzucając setki kryształków z rzęsistym grzechotem. Z ekranu uśmiechała się do niego Anka. Nie podnosząc telefonu, kilka razy przesunął drżącym palcem po zielonej słuchawce, nie mogąc w nią trafić. Po kilku dzwonekach telefon umilkł i ekran zgasł. Michał wziął aparat do ręki i wybrał nieodebrane połączenie. „Abonent czasowo niedostępny” – usłyszał. Spróbował po chwili, ale efekt był ten sam.

Głupiec! Trzeba było wykasować kontakt Anki z telefonu! Zwolniony numer wrócił do puli operatora, przydzielono go komuś, kto się pomylił. To się zdarza codziennie – palec nie trafia we właściwą cyfrę. Teraz tak samo. Ale jakie jest prawdopodobieństwo, że obecny posiadacz tego numeru w wyniku pomyłki dodzwonił się akurat do niego?

Ominął płamę rozlanej whisky i zaczął chodzić w tę i z powrotem wzdłuż panoramicznej szyby, tłukąc pięściami o skronie. Co to było? Omamy, pieprzone zwidy! Czy zwariował? Pójść do psychiatry? Nie, w papierach zostanie ślad. Co robić? Nic, to wszystko się zdaje. Co powiedziałyby lekarzowi? Że gasną przed nim latarnie, gonią go osobnicy w kapturach, a ostatnio dzwoniła zmarła żona? Lekarz zacznie mówić uspokajającym głosem i wezwie pogotowie z kaftanem bezpieczeństwa. Nie, nie tędy droga.

Spojrzał w okno, zaczęło padać. Dlaczego krople płyną do góry, zamiast spływać

w dół? Spokojnie, przy silnym wietrze może się zdarzyć, że napór powietrza pcha krople przeciwnie do kierunku działania siły grawitacji – pomyślał. Ale nigdy wcześniej to się nie zdarzyło. Dlaczego dzisiaj? Zdało mu się, że na szybie widzi ślady macek. Podszedł do sterownika i zamknął żaluzje.

Nie zmruży oka tej nocy. Mógłby się napić, to by pomogło od razu, ale czy jest inne rozwiązanie? Wolałby inne, bo czuł się zapędzony do tego mieszkania, stolika i butelki na nim, jakby był zwierzyną podprowadzoną na łowisko. Strzelić teraz drinka znaczyło dać się ustrzelić. Tak łatwo z nim nie pójdzie! Zresztą dostał ostrzeżenie od Anki. Od Anki? To szaleństwo! Co robić? Zostać w domu i oczekiwać kolejnych niespodzianek czy wyjść, zmienić otoczenie? Mógłby pojechać do jakiegoś hotelu. Zadzwoić do Horodyńskiego? Przyjedzie, ale co potem? Poprosić, żeby został do rana? Nie obyłyby się bez tłumaczenia – a on tłumaczyć nie chciał.

Włączył komputer i zaczął przeglądać strony. Skrzywił się. Dlaczego twarze są rozpixselowane? Nie, nie o to mu chodziło. Jakie zapytanie wpisać do przeglądarki? Może... Tak, to mogło być to!

Więcej tych stron, niż się spodziewał. Zrobił szybką selekcję. Sięgnął po telefon i wybrał numer.

Posprzątał szkło z rozbitej szklanki, wytarł podłogę i odkurzył. Upewniwszy się, że nic nie kryje się w łazience, wziął szybki prysznic i włożył wygodne bawełniane spodnie oraz lekką bluzę. Zapalił światło we wszystkich pomieszczeniach. Włączył wieżę i zastanawiał się chwilę nad wyborem muzyki. Przeglądał płyty, które ostatnio miał w ręce, kiedy nastawiał je na prośbę Anki. Teraz to tylko kawałki pleksiglasu odlane w Chinach. Choćby trwały jeszcze tysiąc lat, to nie mają powrotu do wyjątkowej rzeczywistości, w której były jej ulubionymi płytami.

Are you going to Scarborough Fair? – zabrzmiało z głośników. To był jeden z jej ulubionych utworów. Nie przepadał za nim, ale teraz ta piosenka zdawała się rozpraszać mrok.

Rozległ się dzwonek domofonu. Michał nacisnął guzik. Zanim ona dotrze na górę, miną dwie minuty. Czy będzie młoda, czy stara, ładna czy brzydka? Zobaczymy, co przyniesie los.

Usłyszał gong dzwonka do drzwi. Miał jeszcze możliwość nie otworzyć. Klienta nie było w lokalu, nic się nie stało. Fałszywe zlecenie. Zawsze może się coś takiego zdarzyć.

Nie spojrzał w wizjer – chciał, ale wyobraził sobie, że ona zobaczy wielkie oko ocenające, czy warto otworzyć. Odryglował zamki, nacisnął klamkę i otworzył drzwi.

– Dobry wieczór. Jestem Paulina.

Kiedy oderwał wzrok od olśniewająco białego uśmiechu równych zębów (czy ta inwestycja rodziców w przyszłość córki się zwróci?), spojrzał w jej oczy. Kobiety o brązowych oczach – wydawało mu się, że większość takie miała – były dla niego zagadką. Nie potrafił w takich oczach nic wyczytać. Te też tylko zaszklily się w świetle.

– Wejdz, proszę. – Uchylił drzwi. Była zdecydowanie za młoda, żeby zwracał się

do niej per pani.

Zamknął drzwi i spojrzął na nią. Wysokie obcasy dawały wspaniały start dla smukłych nóg w obcisłych dżinsach. W przedpokoju zdjęła z ramienia mały plecak, powiesiła płaszcz. Zatrzymała się przed powierzchnią lśniących desek w salonie. Spojrzała na swoje buty, ściągnęła je dwoma zgrabnymi ruchami i odstawiła pod ścianę.

– Szykowałam się na inną imprezę – wyjaśniła, uśmiechając się do Michała.

Przeszła kilka kroków. Drobnie stopy zostawiały na drewnie szybko znikające wilgotne ślady. Stanęła, kiedy zorientowała się, że Michał tkwił w miejscu.

– To... gdzie mam iść?

– Usiądźmy może najpierw na chwilę tam. – Wskazał sofę i fotele przy niskim stoliku. – Może zrobić kawę? – zapytał, choć pomyślał, że bardziej odpowiednie byłoby zaproponowanie ciepłego mleka albo kakao.

– Dziękuję. Może później.

Położyła plecak na podłodze i usiadła wyprostowana. Wsunęła złączone dłonie pomiędzy kolana.

Zauważyła, że spojrzął na jej stopy, którymi pocierała jedna o drugą.

– Przepraszam, zawsze mi marzną, dłonie też.

– Weź koc.

Posłuchała go i okryła nogi polarowym pledem.

– Czy mogę zobaczyć twój dowód osobisty? – zapytał Michał.

– Oczywiście. – Nie była zdziwiona. – Lepiej unikać kłopotów, prawda?

Sięgnęła po plecak. Wyjęła kosmetyczkę, grubą książkę i odszukała portfel. Podała Michałowi plastikową kartę. Paulina Helena Sulik skończyła w lutym dziewiętnaście lat. Spojrzął na adres zameldowania – Krosno.

– Z daleka przyjechałaś – stwierdził, oddając jej dowód.

Nie odpowiedziała. Z powrotem pakowała rzeczy. Zauważył tytuł książki.

– Pierwszy rok prawa?

– Skąd pan wie?

– Poznałem po podręczniku – *Prawo rzymskie*.

– Ależ to kobyła! Będę drugi raz podchodziła do kolokwium, pierwsze oblałam. Jest pan prawnikiem?

– Tak.

– Chyba niezłym, sądząc po tym. – Powiodła ręką dookoła.

– Podobno.

Milczała przez chwilę, po czym podjęła:

– Ja mieszkam z dwoma koleżankami. To tak na razie, dopóki nie będzie mnie stać na coś innego. Rodzice przez mojego brata wpadli trochę w kłopoty finansowe. Poręczyli mu kredyt i nie mogą mi teraz pomagać. Dlatego biorę takie zlecenia. Tylko w nocy i w weekendy, bo poza tym jestem na uczelni albo w bibliotece.

– Ile za noc?

– Trzysta złotych. – Zawahała się. – Może być też dwieście pięćdziesiąt.

Zdaje się, że bardzo zależało jej na tych pieniądzach.

Michał się roześmiał.

– A ty co? Negocjujesz sama ze sobą? Tak nie wolno robić!

Jej twarz pokryła się rumieńcem. Odrzuciła koc i wstała.

– Wie pan co? To wszystko jakieś dziwne jest. Zupełnie inaczej niż zwykle. Zaczynam się zastanawiać, czy sobie nie pójść. A w ogóle to niech pan pokaże mi swój dowód osobisty!

– Nie złość się, Paulina. Możesz oczywiście pójść, ale proszę, żebyś została.

– Po co? Przecież widzę, że pan nie... Pan chyba nie ma...?

– Nie, nie mam dziecka.

– To dlaczego zadzwonił pan po opiekunkę do dzieci? Jakby co, to wysłałam adres do kilku koleżanek i one wiedzą, gdzie jestem.

– Bardzo dobrze. Zapewniam cię, że jesteś tu bezpieczna. Mam propozycję – jeśli zostaniesz, dam ci rano czterysta złotych. Pójdę teraz położyć się spać. Ty możesz robić, co zechcesz. Masz tu pilota od telewizora, w lodówce jest piwo, a jak zgłodniejesz, zrób sobie kanapkę. Spać możesz w drugiej sypialni. Nie jest tam posłane, ale znajdziesz poduszkę i koc. Mogę dać ci piżamę.

– Dziękuję, mam swoją. – Niby jeszcze się dąsała, ale Michał wiedział, że podjęła decyzję.

– Twój ręcznik, żółty, położę na szafce w łazience. Dobranoc.

Umył zęby i poszedł do swojej sypialni. Zamknął drzwi i zgasił światło. Położył się i czujnie wyczekiwał, czy z ciemnych kątów nie wyjdą jakieś zjawy. Nie działo się nic. Tylko przyjemnie chłodna pościel i cudowne oznaki zmęczenia. Dobra wróżba – może jednak zaśnie. Skupił się na odgłosach dochodzących z salonu.

Z początku panowała cisza. Zapewne dziewczyna nasłuchiwała, co on robi w swoim pokoju, czy czasem nie ostrzy noża, żeby poderznąć jej gardło. Po kilku minutach doszedł go odgłos kroków i dźwięk otwieranych zamków w drzwiach wejściowych. Wychodziła? Nie – sprawdzała tylko, czy może wyjść, bo zaraz doszedł go odgłos szumiącej wody nastawionej w czajniku i stukanie szafkami. Pewnie szukała kubka i herbaty albo kawy.

Po jakimś czasie, powoli zapadał już w sen, doszły go recytowane sentencje, znał je, pochodziły z najlepszego okresu w jego życiu, z czasu, kiedy wszystko stało przed nim otworem.

– *Benignius leges interpretandae sunt, quo voluntas earum conservetur* – ustawy winny być interpretowane dla zachowania ich ducha...

Ale – pomyślał Michał – jest też...

– *Clara non sunt interpretanda* – jasne przepisy nie wymagają wykładni... – dobiegło z salonu.

Dobrze – pomyślał i zasnął.

Obudził go szum wody dochodzący z łazienki. Przez chwilę czuł się zdezorientowany. Nie co do miejsca, to nie budziło wątpliwości, ale tego dawno niesłyszanego odgłosu. Ach tak, Paulina. Została do rana. Dobre dziecko. Odważna. Sama z dziwnym facetem. Dla niego to była wspaniała noc, przespana bez jednej przerwy, regenerująca. Jakby wystarczyło, że w pokoju obok przebywa ktoś żywy. Jeszcze chwila i z rozsądku zacznie szukać żony. Wszystko jedno jakiej, byle z nim mieszkała.

Kiedy w kuchni przygotowywał śniadanie, zerkał w stronę salonu, gdzie Paulina przeglądała książki w szafach. Wyciągała niektóre i zaglądała do treści. Czasami musiała wspiąć się na palce, żeby sięgnąć po wolumin, który wzbudził jej zainteresowanie. Wtedy jej wyciągnięta, szczupła sylwetka, podświetlona padającym z okien światłem, zamieniała się w napięty łuk. Młodzieńcza ciekawość przywracała życie rzeczom, które dawno uznał za martwe.

Potem, już przy stole, podziwiał, jak ze zwierzęcym nieomal apetytem pochłania jajecznicę. Od czasu do czasu podnosiła wzrok znad talerza, uśmiechała się, napotykała spojrzenie Michała, i wracała do konsumpcji.

– Krzyczał pan coś przez sen – powiedziała, kiedy posprzątał talerze i usiedli przy kawie.

– Zdarza mi się. To nic takiego. A jak twoja nauka?

– Zakuwałam do drugiej, potem odpadłam.

– *Res iudicata* ?

– *Bis de eadem re ne sit actio* – odparła.

– Dobrze! Dasz sobie radę.

– Oby. Będę już szła. Zostawiłam na stoliku numer do siebie, gdyby pan jeszcze kiedyś potrzebował... – Zawahała się. – No, usługi.

Odliczył obiecaną kwotę i odprowadził dziewczynę do drzwi. Rozległ się dzwonek.

– A kogóż to niesie tak wcześnie rano? – Otworzył drzwi.

– Siema... – zaczął Horodyński i zastygł, kiedy zobaczył Paulinę.

– Ja już się pożegnam. Dziękuję za śniadanie. – Obdarzyła ich wspaniałym uśmiechem i wyszła, stukając obcasami o granitowe płyty korytarza.

Michał zamknął drzwi, a Horodyński popatrzył na niego spod zmarszczonych brwi.

– Czy mam wymienić paragrafy grożące za kosztowanie kwaśnych jabłek?

– Jest pełnoletnia, a poza tym chodziło o coś innego.

– Zamieniam się w słuch.

– Udzielałem korepetycji z prawa rzymskiego.

– Ach, więc to tak! – Horodyński trącił Michała w pierś – To ja ci coś powiem, na wypadek, gdyby te korepetycje wydały owoc... Poczekaj, przypomnę sobie... Tak jest! *Mater semper*... Jak to szło dalej?

– Matka zawsze jest znana, a ojcem jest ten, kogo wskazuje prawo – dokończył Michał.

– Fajne, ale w sumie trąci myszką. Teraz można zrobić badania genetyczne.

– Ale dwa tysiące lat temu to było coś. Zresztą ta zasada domniemania ojcostwa obowiązuje do dzisiaj. Czemu zawdzięczam niespodziewaną wizytę?

– Zrób mi kawy – powiedział Horodyński i poszedł do kuchni. Usiadł na swoim zwyczajowym miejscu.

Michał, krzątając się przy ekspresie, kątem oka obserwował Marcina. Ten założył ręce na piersi i wpatrywał się w okno. Gdzieś zniknęła jego zwykła ruchliwość i swada.

– Wiesz... – zaczął, kiedy siedzieli już obaj przy stole. – Chyba się starzeję.

– No ja myślę, najwyższy czas!

– Nie rób sobie jaj.

Nie zabrzmiało to jak kontratak, ale słaba prośba, tak niepodobna do Horodyńskiego. Michał zapytał po chwili:

– Co się dzieje?

Horodyński upił kawy i przytrzymał kubek w rękach.

– Nic, nic. Przecież mówię, że się starzeję.

Siedzieli w ciszy. Michał patrzył na Horodyńskiego, który wciąż studiował widok za oknem.

– W sprawie Aśki użyłem kontaktów w głównej – odezwał się po chwili Horodyński. – Obiecali, że będą naciskać na rejonową. Dzwoniłem do ich komendanta. Mówi, że prowadząca sprawę jest ogarnięta.

– Agnieszka Moroz? Rzeczywiście sprawia dobre wrażenie.

Horodyński kiwnął głową. Michał kontynuował:

– Wiesz, doznałem wczoraj olśnienia, jeśli chodzi o to dziwne walne zgromadzenie Prodeve. Nie dawało mi spokoju pytanie, po co to wszystko było przedsięwzięte? Dlaczego po prostu nie powtórzyli całej akcji – co za problem zwołać kolejne walne i podjąć uchwały, które chcieli przeforsować? Czemu posunęli się do oszustwa?

– No właśnie, dlaczego?

– Ze względu na czas. To jedyne logiczne wytłumaczenie.

– Bo...?

– Bo żadne inne nie ma sensu. Jestem przekonany, że z jakiegoś powodu, na razie nie wiem jakiego, nie mogli stracić kolejnych tygodni, może miesięcy, na ponowne zwołanie walnego i czekanie na wpis zmian do rejestru sądowego. Kontrola nad Prodeve potrzebna im była, a właściwie jest, właśnie teraz.

– Co zamierzasz?

– Spotkam się z kilkoma ludźmi. Popytam i może wyłoni się z tego jakiś obraz.

Milczeli. Horodyński nie zbierał się do wyjścia.

– Powiesz mi, co cię gnębi? – zapytał Michał.

– Wiesz, tak się zacząłem zastanawiać...

– No?

– Czy ta sprawa z Aśką nie wpłynęła jakoś na twój ogląd sytuacji. Chodzi mi o współpracę z Winterem i jego firmą. Jeśli zapytałbyś mnie jako zawodowca, co o tym sądzę, powiedziałbym, że te sprawy są niezwiązane. Ludzie znikają, zdarza się. Rzeczywiście, niekiedy chodzi o pieniądze, ale wierz mi, wiem, jak działa gangsterka w tym kraju. Nie pasuje mi to.

– Co chcesz powiedzieć? Że powinienem podjąć współpracę z Radmesem, bo to nie Winter stoi za zniknięciem Joanny?

– Nie wierzę, że jej zaginięcie ma związek ze sprawami firmowymi. Tylko tyle. Lecę. Wpadłem po drodze. Myślałem, że siedzisz sam.

Kiedy za Marcinem zamknęły się drzwi, Michał wrócił do stołu. Spojrzał na rozświetlony słońcem salon, który wydał mu się przygnębiająco pusty. Mógłby częściej gościć Paulinę, karmić ją i patrzeć, jak tu się płacze.

Pokręcił głową z dezaprobatą. Chyba zaczął dziwaczeć.

Przecież łatwiej jest sprawić sobie psa.

*

Agnieszka i Maciurski z ekipą spędzali już czwartą godzinę w mieszkaniu Szymalak. Fotograf i technicy chwilę wcześniej skończyli oględziny sypialni. Teraz przeszli do łazienki, skąd zaczęły dochodzić stęknięcia i szczękanie kluczami – wzięli się za hydraulikę – odkręcanie kolanek w zlewozmywaku i w wannie (ta na szczęście nie była zabudowana i nie trzeba było kuć). Zawartość odpływów okazywała się czasami nieprzebraną skarbnicą śladów. Analizowanie ich to prawie jak archeologia. Przechodząc przez kolejne warstwy złogów, można ułożyć listę korzystających z umywalki w ciągu ostatnich miesięcy, a nawet rozpoznać niektóre choroby domowników. Liczono też na włos, skrawek naskórka, cokolwiek, z czego można wyodrębnić DNA tego, kto nie oparł się podświadomemu przymusowi umycia rąk po wszystkim.

Agnieszka niepotrzebnie obawiała się współpracy z Maciurskim. Rozgryzła go zaraz po odprawie, kiedy siedzieli nad planem. Zmienił się, gdy zostali sam na sam. Spokorniał, stał się grzeczny i ustępliwy. To był ten typ, który w grupie zgrywa wesołka, a naprawdę jest smutnym, zakompleksionym gościem z nieuświadomionym lękiem wobec kobiet.

Zostali teraz sami w sypialni mecenasa Szymalak. Maciurski dopiero co przyszedł, ostatnią godzinę spędził na zewnątrz, rozmawiając przez telefon.

– Gadałem z adwokatem – usprawiedliwił się. – W przyszłym tygodniu mam drugą rozprawę.

– Miła domaga się orzeczenia winy? – powiedziała Agnieszka, nie przerywając przeglądania szuflad w biurku.

Maciurski przyglądał się jej, najwyraźniej nie zamierzając samemu nic robić.

– Widzę, że masz to już za sobą. Tak – nie uwierzyła, że spłacę połowę mieszkania. Poszła na twardo, może prawnik jej doradził. No cóż, ma argumenty, nie przeczę.

– Cywil?

– Pielęgniarka. Poznaliśmy się osiem lat temu, kiedy moja matka leżała w Szpitalu Bródnowskim.

– Z nami niełatwo wytrzymać.

Maciurski nie odpowiedział. Usiadł na łóżku i rozejrzał się po pokoju.

– Coś ciekawego? – zapytał po chwili.

– Na pierwszy rzut oka nic.

– A w salonie?

– Też nic.

– Książki przejrzałaś?

– Książki? – Agnieszka uniosła brwi.

– No. Ludzie uwielbiają chować w nich różne rzeczy.

Przeszli do salonu. Była tam tylko jedna szafa z książkami, biała, jak reszta mebli w tym pokoju, z półkami za mlecznym szkłem. Agnieszka wyciągała książki, a jej towarzysz odwracał je grzbietem do góry i przebiegał kciukiem po stronach. Nie wypadło nic, poza kilkoma zakładkami i paragonami. Maciurski odszedł na kilka kroków od szafki, popatrzył na równe rzędy. Potem spojrzął z boku na biblioteczkę.

– Jak odstawiałaś? Tak, jak były?

– Tak.

– No to teraz dopchnij wszystkie do końca. Regał jest głębszy niż szerokość książek.

Agnieszka zaczęła wpychać książki na górnej półce w głąb szafki. Uderzały głucho o jej tył. W pewnym momencie kilka pozycji zatrzymało się wcześniej niż inne. Przycisnęła palcami kolejne – te weszły dalej.

Wyjęła kilka wystających tomów i sięgnęła głębiej. Jakaś książka wpadła do tylnego rzędu? Nie, kształt, który wyczuła przez rękawiczkę, nie był tak regularny. Ostrożnie wyjęła znalezisko.

– Co tam masz? – zapytał Maciurski.

– Sam zobacz. – Zaprezentowała intarsjowaną szkatułkę.

– A tam! – Machnął ręką. – Pewnie biżuteria. Skąd ludziom biorą się wyobrażenia, że złodziej nie wie, gdzie szukać ich skarbów? Równie dobrze mogłoby stać na lodowce. Ba! Wtedy miałyby szansę pozostać niezauważone.

Zajrzeli do środka. Rzeczywiście, pudełko pełne było splątanych złotych łańcuszków, bransoletek, pierścionków, klipsów.

– Z pięćdziesiąt koła w złocie i kamieniach – ocenił Maciurski.

– Przynajmniej możemy wykluczyć tło rabunkowe.

Dla porządku raz jeszcze przesunęła ręką w głębi szafy.

Coś jeszcze.

Mały notatnik w tekturowej oprawie dziwnie leżał w dłoni. Przyczyną było to, że prawie nie miał kartek. Pojedyncze zapisane strony tkwiły wśród strzępów tego, co zostało wyrwane.

Spojrzała na ostatni wpis. Bez daty.

Gdy spoczął zmarły, zaprzestań go wspominać.

*

Joachim Wnuk otarł czoło jedwabną chustką z monogramem.

– Prodeve? A co to jest? Chyba obilo mi się o uszy, ale nie pamiętam – stwierdził.

Poznali się na aplikacji. W tym samym roku skończyli studia – Michał w Gdańsku, a Wnuk w Katowicach. Pewnego wrześnieowego poranka dwadzieścia lat temu znaleźli się w sali konferencyjnej należącej do warszawskiego oddziału międzynarodowej kancelarii prawnej. Razem z kilkunastoma innymi osobami, bardzo przejęci, rozpoczęli dwutygodniowy kurs przygotowawczy dla nowych pracowników. W pierwszym tygodniu zajęcia prowadziła dyrektor personalna, która przedstawiała reguły odnoszenia się do siebie w pracy („Jesteśmy firmą amerykańską, mówimy do siebie na ty bez względu na zajmowane stanowisko”) i zasady ubioru w pracy („Strój w pracy jest oznaką szacunku dla koleżanek i kolegów, a przy tym wobec klientów podkreśla nasze najwyższe profesjonalne standardy”). Przy omawianiu drugiego punktu Wnuk został modelem.

– Chodź tutaj na chwilę – wywołała go na środek. – Jak masz na imię?

– Joachim – burknął Wnuk, gramoląc się z krzesła. Już wtedy miał sporą nadwagę.

– Spójrzcie na Joachima – zwróciła się do reszty. – Błagam was, nigdy tego nie róbcie. Nie wolno wam nosić koszul w takich kanarkowych kolorach ani w zielonym, czarnym, brązowym i co wam tam jeszcze przyjdzie do głowy. Tylko biały! To samo dotyczy dziewczyn. I żadnych krawatów w mazaje. – Wzięła do ręki fioletowy krawat Wnuka pokryty jakimś smoczymi szlaczkami i podniosła demonstracyjnie, co wywołało wrażenie, jakby Wnuk był krową prowadzoną na postronku. – Jedynie gładkie albo w proste, geometryczne wzory – paski, kropki. Jasne? – Puściła krawat Wnuka i klepnęła go w ramię, popychając na miejsce.

Może to pierwsze doświadczenie spowodowało, że po niecałym roku Joachim Wnuk odszedł z kancelarii do banku, a potem założył własną firmę doradztwa inwestycyjnego. Był trzecią osobą, z którą Michał dzisiaj się spotkał w ramach budowania dla Londynu listy projektów, które „są już właściwie dogadane, jeszcze tylko umowa i zaczynamy!”. Przy okazji każdego pytał o Prodeve, licząc, iż świat jest dostatecznie mały, żeby ktoś coś wiedział, a ludzie wystarczająco gadatliwi, aby podzielić się wiedzą.

Ale podobnie jak w poprzednich przypadkach, nazwa firmy jego interlokutorowi nic nie mówiła.

– A Radmes?

– Co z nimi? – Wnuk, dotychczas rozwalony w kawiarnianym angielskim fotelu, wyprostował się, a spomiędzy guzików zbyt ciasnej purpurowej koszuli wychynął kawałek bladego ciała pokrytego ciemnymi włosami.

– Zwrócili się do nas z zapytaniem, tak na miękko, że niby nie wiadomo, o co

chodzi... – Michał uznał, że właściwie nie skłamał.

– Kurde! Ja chodzę za tym od tygodni i nic, jakoś nie mogę się pod nikogo podczepić. „Wiesz, jeszcze nic na pewno nie wiemy, nie mamy na razie kontraktu” – tak gadają. Michał, jakbyście to dostali, przytuliłbyś mnie do jakiejś pracy, co? Mogę opiniować umowy, mogę chodzić na spotkania i coś mówić, albo tylko słuchać, mogę płacić za laski w go-go, kserować i robić kawę. Chłopie! To będzie największe przejęcie w branży deweloperskiej w tej części Europy! Nie może mnie to ominąć!

Szeroko otwarte oczy Joachima Wnuka błyszczały, podobnie jak drżące, wydatne wargi, które zwilżał co chwilę ruchliwym koniuszkiem języka.

– Michał, przecież wiesz, że możesz na mnie liczyć, co nie? Mam oczywiście doświadczenie w takich transakcjach.

Michał podjął decyzję.

– No jasne! No co ty?! Po co niby się z tobą umówiłem? Pomyślałem, że możemy obmyślić plan dla Radmesa, choćby hipotetyczny, i wykorzystać to przy prezentacji oferty. Wyglądałoby, że wiemy, o co chodzi, taki jest nasz plan, ale oczywiście jesteśmy gotowi opracować inną wersję, jak tylko poznamy oczekiwania.

– Super! Dziękuję ci! No więc ja widziałbym to na przykład tak: Radmes powinien... – Zawahał się. – Wiesz co, Michał? Wolę mieć warunki ustalone z góry. Dwadzieścia procent wynagrodzenia od Radmesa dla mnie. I sto tysięcy z góry, z prawem zachowania.

Michał się roześmiał.

– Też jestem z natury marzycielem. Nie dzielimy skóry na niedźwiedziu. Jeśli to będzie duża skóra, pozostanie mi niesmak, że zgodziłem się na procent. Dostaniesz minimum dwadzieścia tysięcy za każdy miesiąc pracy, jak dostaniemy ten kontrakt. Może być?

Wnuk zwinął usta i wykrzywił się, jakby posmakował gorzkiego lekarstwa. Pokręcił głową.

– Mało. – Cmoknął.

– To dwadzieścia procent od stu tysięcy. Jeśli projekt potrwa pół roku, dostaniesz łącznie dwadzieścia procent od sześciuset tysięcy. Masz swoje procenty, tylko od innej strony.

Wnuk splótł pulchne palce i międlił je przez chwilę w zadumie.

– No dobrze, niech będzie, ale minimalne wynagrodzenie za trzy miesiące. Nawet jeśli projekt potrwa krócej.

– Okej, jesteśmy dogadani. Co proponujesz dla Radmesa?

Wnuk pochylił się nad stolikiem i wyciągnął szyję.

– Najważniejsza kwestia na teraz to spacyfikowanie funduszy – szepnął. – Trzeba im przemówić do rozsądku, żeby nie zablokowały przejęcia.

Michał rozparł się w fotelu i założył ręce na piersi.

– No... mów dalej.

– M-Construct ma w swoim akcjonariacie fundusze inwestycyjne, które łącznie kontrolują trzydzieści sześć procent kapitału. Jacewicz z pociotkami trzyma jakieś...

Michał przestał słuchać. A więc M-Construct jest prawdziwym celem Wintera! Teraz nabrało sensu to, co od niego usłyszał – wykonanie skoku, zamiast dreptania, czy jak on to ujął. Kilka celów do przejęcia na oku... Mógł sam na to wpaść! Firma deweloperska, taka jak Radmes, ale działająca w zupełnie innym segmencie rynku – duże projekty, bloki z niedrogimi mieszkaniami na peryferiach Warszawy. Piotr Jacewicz – prezes i główny udziałowiec – stworzył firmę praktycznie od zera, na bazie małego przedsiębiorstwa, które prowadził jego ojciec.

– Czyli, jeśli wszystkie fundusze nie odpowiedzą na wezwanie do sprzedaży akcji, to Radmesowi nie uda się uzyskać pakietu kontrolnego akcji. Proste – spuentował Wnuk.

– Jak ich do tego skłonić? – Michał znów się skupił. – Wysoka cena może nie wystarczyć, fundusze nienawidzą gotówki. Parzy w ręce, bo nie daje minimalnego zwrotu. A bez tego nie ma bonusu. Oni nie chcą zarabiać tyle, ile kasjerzy w banku.

Wnuk rozciągnął usta w lubieżnym uśmiechu.

– Właśnie, Michał, dotknąłeś sedna sprawy. Trzeba pomagać ludziom w spełnianiu ich marzeń. A o czym marzy zarządzający funduszem akcyjnym?

– Sprzedać akcje na górze notowań.

Wnuk pokiwał z uznaniem głową.

– I to jeszcze, żeby patrzeć na cierpienia tych, którzy nie zdążyli wyjść w porę. – Zaśmiał się. – Tak, Michał, intuicja cię nie zawodzi. Właściwa strategia to doprowadzenie do spadku cen akcji M-Construct i wtedy wyjście z wezwaniem do sprzedaży.

Michał odwrócił wzrok i zauważył mężczyznę siedzącego kilka stolików dalej. Miał na sobie skórzaną kurtkę pilotkę – o takiej marzył Michał jako dwunastolatek po obejrzeniu w kinie *Top Gun*, tyle że chciał mieć taką z naszywkami, jak Maverick. Zaraz, czy czasem nie widział tego człowieka dzisiaj, kiedy w południe spotykał się ze znajomym bankierem w centrum handlowym w innej części miasta? Tyle że facet miał wtedy na sobie inną kurtkę, ale tę samą czerwoną koszulkę z czarnym napisem „Raven”, w którym R było wystylizowane na łeb ptaka. Mężczyzna popatrzył na Michała, jakby ten przyciągnął myślami jego uwagę. Natrafiwszy na spojrzenie Tumskiego, odwrócił głowę, rozejrzał się po sali, przyłożył telefon do ucha i wyszedł.

– Masz konkretny pomysł, jak to zrobić? – dociekał Michał, odprowadzając nieznanego wzrokiem.

– Nie. Trzeba by się zastanowić. Repertuar jest znany – jakiś grubszy pozew, artykuły w prasie psujące klimat wokół spółki, wpisy na forach dla inwestorów, anonimowy były pracownik ujawniający machlojki. Coś trzeba wybrać i dostosować do potrzeb. Wiesz, skoro na mieście mówi się o tym przejęciu, to idę o zakład, że Winter wdrożył już jakiś plan.

– Myślisz? – zapytał Michał, choć sam już to wiedział.

Pozostawało ustalić, jaką rolę do odegrania ma w tym Prodeve.

W drodze do samochodu pomyślał, że miał udany dzień. Z dwóch pierwszych spotkań uzyskał wystarczająco materiału, żeby sklecić notatki dokumentujące wysiłek

sprzedażowy. Ostatnie zaś przyniosło bardzo ciekawe informacje. Był na właściwym tropie, bez wątplenia. Ile mogła być warta transakcja przejęcia M-Construct? Sądził, że mniej więcej osiemset milionów, może nieco więcej. Niewiele jak na standardy światowe, zwłaszcza amerykańskie, ale zawsze to jakieś dwieście milionów dolarów. Jak tylko dotrze do domu, sprawdzi notowania i kapitalizację. W każdym razie to sporo pieniędzy i wielka rzecz, dzieło czyjegoś życia, przedsięwzięcie, które musi się udać, za wszelką cenę...

Zastanawiał się, jak wygląda statystyka przestępstw związanych z pożądaniem pieniądza – kradzieży, łapówek, oszustw (zwykłych i tych, wydawałoby się, bardziej akceptowalnych moralnie – podatkowych) – rozkład liczby występów w zależności od poziomu zamożności sprawcy. Miał przeczucie, że wykres miałby kształt litery U – dużo złodziei wśród biednych i tyle samo wśród bogatych. A w środku nielicznie reprezentowani średniacy – niemający już pierwotnej potrzeby, żeby kraść, i nieposiadający jeszcze dostępu do licznych okazji, które bogatym same pchają się w ręce każdego dnia. Ile trzeba mieć w sobie siły, żeby je od siebie odpychać?

*

Agnieszka wróciła do domu przed dwudziestą. Wysłuchiwała relacji matki z wydarzeń dnia. Marcinek nie chciał zjeść śniadania w przedszkolu – owsianka – nic dziwnego, nie znosił jej. Pani kuchenkowa zlitowała się i specjalnie dla niego zrobiła budyń. Potem byli na wycieczce w zoo.

– I będzie mała żyrafa – włączył się Marcinek siedzący przed telewizorem.

– Zostanę dzisiaj, jeśli chcesz. – Matka zauważyła plik kartek spiętych gumką, który Agnieszka wyciągnęła z torby.

– Mogłabyś?

– A co innego mam do roboty? – Wydawała się zadowolona, że zostanie z wnukiem.

Agnieszka usiadła przy blacie w kuchni. W wąskim pomieszczeniu nie było już miejsca na stół. Po kilku pierwszych stronach zorientowała się, że nie jest to pamiętnik. Wpisy przypominały jakieś filozoficzne rozważania. Sprawozdań, na które liczyła Agnieszka, w stylu: „kto z kim, kiedy, co dzisiaj miałam na sobie”, nie było wcale. Bardzo często na stronie widniało tylko jedno zdanie. Zazwyczaj niezrozumiałe, wyrwane z kontekstu. Tak jak w pierwszym wersie:

Ten, który istnieje, ma imię nad imionami – „Ten, który jest”.

Pojawiały się też takie, które wywoływały chwilę zastanowienia.

Bądźmy wobec siebie szczerzy – wysłanie starego rodzica do domu opieki jest wyrazem głębokiej miłości – miłości do samego siebie.

Albo:

Moje starania to próba rozpalenia drewnianej kłody zapalką.

Co to jest? Przemyślenia? Cytaty z jakichś książek? Pod koniec pojawiło się kilka zapisków dotyczących codzienności. Te Agnieszka rozumiała, choć nie była pewna, czy w pełni.

Są dni, kiedy trudno jest wstać z łóżka. Trudniej niż zwykle. Najtrudniejsza rzecz na świecie. Czy jeśli podźwignę się, pokonam sen i zwalczę niemoc, będę bohaterką? Zwłaszcza dzisiaj, zwłaszcza tego poranka? Poranek? Piąta trzydzieści – środek nocy. Słońce wszędzie za dwie godziny. Nie, nie jestem bohaterką. Jestem śpiochem, pluszowym zwierzątkiem, lubię ciepło mojej wygrzanej pościeli, ukochanego gniazdko. Jakże łatwo mogłabym teraz na powrót zasnąć! W pierwszym momencie po przebudzeniu wydaje mi się, że nie mogę wygrać tej bitwy. Zwierzęca część natury domaga się snu. Przez wata spowijającą świadomość przebija widmo obowiązków nadchodzącego dnia. Tak potwornie ciągnie mnie z powrotem w sen! Dzień jest nieistotny – odbity obraz świata w wodzie, nad którą zawieszasz na maksymalnie rozciągniętej linie bungee, która zaraz wystrzeli cię w górę. Jak to się więc dzieje, że ostatecznie wstaję, przemywam twarz zimną wodą, patrzę w lustro, ziewam szeroko i zaczynam się zastanawiać, co mnie dzisiaj czeka? Teraz dopiero czuję, że jestem człowiekiem. Zwierzęta nie mają takich dylematów. Kładzie je do snu i budzi instynkt, nie budzik. I nie muszą się rano malować. Jestem człowiekiem i mam siłę, i jestem (chyba) zakochana...

Agnieszka podkreśliła ostatnie słowa. Usłyszała szum wody dochodzący z łazienki. Babcia przygotowywała kąpiel dla Marcinka. Wróciła do lektury.

Nie będę nazywać go jego imieniem. Nadam mu nowe, wyryte w białym kamieniu, który trzymam w zaciśniętej dłoni. Niech będzie Anżelem.

To nie wydarzyło się wczoraj ani rok temu. Od zawsze wiedziałam, że go pokocham. Jestem może dziecinna, ale w pewnym sensie pamiętam go z czasu, kiedy bawiłam się lalkami. I był w tej zabawie potrzebny książę. Nie miałam lalki księcia, był zatem wyobrażony. Przyjeżdżał na koniu w najbardziej nieoczekiwanych chwilach, to znaczy najczęściej w trakcie uroczystej kolacji. Książę wchodził i mówił: „Witajcie, piękne damy!”, a potem: „Szmata drogi przede mną, więc muszę się pożegnać”. I odjeżdżał, damy zaś wdychały. Taki też jest Anzelem, każde jego powitanie brzmi jak „Żegnaj”.

Nigdy nie sądziłam, że TO przydarzy się mnie. Chciałam, żeby było, jak należy: znajomy – kolega – narzeczony – mąż. Nie udało się. Zakochanie jest przyjemne, ale przemija. Skoro to truizm, to powinien sprawdzać się w stu procentach przypadków. Co zrobić, jeśli nie mija? Miesiąc, dwa, trzy i ciągle trwa, nawet narasta. Jak ciekawość dziecka wobec tajemnicy zamkniętej w pokoju, do którego nie wolno wchodzić. Jednak jestem dziecinna? Dziecinada! Dziecinada! Dziecinada! Zakłęcia nie pomagają...

Tak bardzo chcę, żeby był szczęśliwy! Czy byłby szczęśliwszy, gdyby wiedział, co naprawdę czuję? Czy mogłabym go uszczęśliwić? Dlaczego w to wątpię?

Agnieszka przebiegła wzrokiem kolejne strony w poszukiwaniu jakichś szczegółów, które mogłyby wskazać, kim jest ten cholerny Angel. Nic z tego – żadnych cytatów, odniesień do innych ludzi, zdarzeń, dat. Czysta egzaltacja. Jakby pisała o zjawie. Trzeba będzie to pokazać psychologowi.

Nie mogąc odnaleźć żadnego punktu odniesienia, zniechęcona, przeszła do przedostatniego wpisu.

Nie jestem w stanie dłużej w ten sposób funkcjonować. Muszę się z nim rozmówić. Dzisiaj, jutro, wszystko jedno – byle mieć to za sobą. Jestem odważna i silna. Kocham naprawdę, więc nie można mnie zranić.

Czyżby Szymalak rozmówiła się z panem Angelem i wyniknęło z tego coś nieoczekiwanego? Co miało oznaczać to ostatnie zdanie o niewspominaniu zmarłych? Myśli samobójcze?

Sięgnęła po plik fotografii oryginału dziennika. Za tą stroną znajdowały się czyste kartki. Czyli te wpisy były ostatnie.

– Mamo! Czytać! – dobiegło z pokoju.

– Już idę, Cinek! – odkrzyknęła.

Założyła recepturkę na plik kartek i odłożyła go do torby. Spojrzała w ciemne okno i wyrecytowała w myślach początek obecnie ulubionego wiersza jej syna.

*Proszę pana, pewna kwoka
traktowała świat z wysoka .*

Zakłęcie zmieniające ją w matkę.

*

Michał spodziewał się szarego gmaszyska, a budynek komendy rejonowej jaśniał odnowioną elewacją. Może dla ocieplenia wizerunku policji pomalowano go na słomkowy kolor.

Wszedł za elegancko ubranym mężczyzną po pięćdziesiątce. Zwrócił uwagę na jego buty. Wiśniowe oksfordy wyglądały na ręcznie robione.

– Jaśkiewicz Marian – zaanonsował się mężczyzna dyżurnemu. – Mam dozór, teczka numer dziesięć.

Dyżurny wziął z półki jeden z twardo oprawionych zeszytów i znalazł właściwą stronę.

– Dowód osobisty – zażądał. Sprawdził dane i wysunął zeszyt przez szparę.

– Proszę podpisać.

– Miłego dnia. – Mężczyzna, odchodząc, pozdrowił Michała. Ten zaś, zaskoczony, nie odpowiedział.

– Też dozór? – zapytał Michała policjant.

– Nie, jestem umówiony z Agnieszką Moroz.

– Proszę poczekać. – Wskazał Michałowi ławki po drugiej stronie pomieszczenia i sięgnął po słuchawkę telefonu.

Michał rozejrzał się po poczekalni. Oprócz niego była tu tylko jedna osoba.

W kącie sali siedziała młoda, chuda kobieta w zmechaconym sweterku. Zgięta w pół opierała łokcie na udach. Spod krótkiej, wściekle fioletowej spódniczki wystawały pokryte siniakami, cienkie nogi o spiczastych kolanach. Białe, zniszczone buty na absurdalnie wielkim koturnie przenosiły ku ziemi punkt ciężkości jej sylwetki. Na paznokciach odkrytych palów stóp można było dostrzec resztki czerwonego lakieru, podobnie u rąk. Czarne, splecione długie włosy otaczały drobną, bladą twarz z głębokimi cieniami wokół oczu. Na ławce koło kobiety stała mała torba turystyczna.

Michał usiadł na skraju ławki przy drzwiach, z dala od niej. Zastanawiał się, ile może mieć lat – dałby jej góra dwadzieścia pięć. Czy mogłaby być ładna, gdyby dać jej się wyspać, odżywić, ubrać po ludzku? Czy zniknąłby z jej twarzy ten wyraz śmiertelnego znużenia, który za dziesięć lat spowoduje, iż będzie wyglądać na pięćdziesięciolatkę? Czy może jeszcze spotkać ją coś dobrego, jak Kopciuszka, czy też skazana jest na konanie w melinie, pozbawiona nawet płomienia zapałki jako pocieszenia?

Spojrzał na zegar wiszący na ścianie. Było już dwadzieścia po dziesiątej. Otworzyły się drzwi i weszło dwóch policjantów prowadzących mężczyznę skutego kajdankami. Sądząc po szerokości ramion, mógłby podnieść każdego ze swoich stróżów jedną ręką i cisnąć nimi o ścianę. A jednak szedł zgarbiony, z opuszczoną głową, nie patrząc na boki. Nie chciał zobaczyć nikogo, komu musiałby kiedyś tłumaczyć pięścią albo nożem, że ten złamany przymusem gość na komisariacie to nie był on. Michał był mu wdzięczny.

Dyżurny machnął ręką na powitanie i zwolnił zamek drzwi prowadzących w głąb budynku.

Michał z nudów zaczął studiować tablicę ze strukturą organizacyjną komendy, potem plakat ostrzegający przed oszustwami na wnuka i zawieszzone na korkowej tablicy kartki ze zdjęciami oraz portretami pamięciowymi poszukiwanych przestępców. Nikogo nie rozpoznał. Co jakiś czas ktoś wchodził albo wychodził, pozdrawiając dyżurnego, ale jego policjantki ciągle nie było.

– Ma pan fajki?

– Słucham? – Michał akurat studiował plakat dotyczący możliwości wniesienia skargi w przypadku niezadowolenia sprawy na komisariacie w ciągu sześćdziesięciu minut.

– Fajki pan ma? – Kobieta zastosowała alternatywną składnię, jakby chciała dać drugą szansę zrozumienia pytania obcokrajowcowi słabo znającemu język.

– Nie mam. Nie palę.

– Aha.

– Niedaleko, po drugiej stronie skrzyżowania jest kiosk.

– To zajebicie. – Opuściła głowę z rezygnacją, jakby wskazał lokalizację na Marsie.

Zaczął rozważać zaferowanie kobiecie pójścia do kiosku po papierosy – cóż lepszego miał do roboty? Ona może nie mogła pójść sama, bo musiała tu czekać, a może nie miała pieniędzy – mógłby jej dać, ale powiedzieć, że to pożyczka.

Ciąg altruistycznych myśli przerwało wejście do komendy starszej pani, zadbanej, ubranej w sukienkę we wzór z dużych piwonii. Pozdrowiła kobietę i Michała jak królowa Anglii – zadartą brodą i wdzięcznym przekrzywieniem szyi. Zdaje się, że zaliczeni zostali do notabli – w przeciwieństwie do dyżurnego, bo w jego przypadku starsza pani użyła gestu zarezerwowanego dla strofowania nieposłusznej służby: podniosła palec wskazujący i z tym palcem w górze pokonała ostatnie kilka metrów dzielących ją od wąsatego policjanta siedzącego w kasztelu dyżurki.

– Pani Grabowska! W czym możemy dzisiaj pomóc?

– Znowu byli u mnie w domu, a wy zupełnie nic nie robicie! Chcę zgłosić doniesienie. Czatuja. Czekają, aż wyjdę, i wtedy wchodzą. Byłam na spacerze z Milką, to moja jamniczka, a kiedy wróciłam, w popielniczce były niedopałki i szklanki po herbacie na stole!

– Oczywiście. Proszę spisać zeznanie. – Dyżurny, nie wstając, położył na blacie czystą kartkę oraz długopis i dalej zajmował się swoimi sprawami.

Kobieta stanęła przy ladzie dyżurki i zaczęła pisać. Michał, który był w pobliżu, rzucił okiem na kartkę. Zapełniała się niezrozumiałymi hieroglifami, kobieta pisała od prawej do lewej, ataktycznie poruszając dłonią z długopisem ostro w górę, dół i na boki.

Skończywszy, oddała kartkę policjantowi. Ten odłożył ją, nawet nie patrząc.

– Czy to już? – zapytała kobieta.

– Tak jest, pani Grabowska. Doniesienie przyjęte. Może pani wracać do domu.

– Niech pan podpisze, że przyjęte, i zrobi mi kopię.

– Proszę bardzo. – Dyżurny nagryzmolił coś na kartce, położył ją na chwilę na szybę kopiarki i nie zrobiwszy kopii, oddał oryginał kobiecie.

– Ile razy mam to zgłaszać, zanim coś zaczniecie robić? Przecież kiedyś mogą nie wyjść, zanim wrócę, i co wtedy? Zamordują mnie.

– Pani Grabowska, proszę się nie martwić i wracać do domu. My już działamy. Może nas pani nie zauważa, ale jesteśmy zawsze w pobliżu.

– No dobrze. Pójdę w takim razie. – Odwróciła się i wyszła, nie zwracając uwagi na nikogo.

– Ja pierdołę! Czy mam się tu zestarzeć? – Młoda kobieta zaatakowała dyżurnego. – Czekam już od ósmej.

– Przymusu nie ma, można iść. Wybranek serca czeka na prokuratora. Jeszcze nie minęło dwadzieścia cztery, a po przesłuchaniu pobyt u nas może się wydłużyć.

Kobieta nie odpowiedziała, a Michał spojrział na zegar. Dochodziła jedenasta. Czy jeśli policja wzywa cię na dziesiątą, to można zmyć się po godzinie oczekiwania? Oczywiście, że można, zwłaszcza jeśli nie było to formalne wezwanie doręczone pocztą, ale ustne zaproszenie. Dlaczego więc nie wracał do biura? Czy chodziło o to, iż doświadczenia przedpołudnia na komisariacie wydały mu się ożywcze, bo tak odmienne od codziennej rutyny? Nie, miał się spotkać z policjantką, która poszukiwała jego zaginionej pracownicy. Jeśliby nie poczekał, oznaczałoby to, że sprawa zaginięcia Joanny ma dla niego znaczenie mniejsze niż jedno zmarnowane

przedpołudnie. Miał złożyć formalne zeznanie i gdyby sobie poszedł, mógłby paść na niego cień podejrzenia, że nie chciał współpracować, że postępowanie w sprawie nie leżało w jego interesie, a tak przecież nie było. Nie miał też nic przeciwko temu, by kolejny raz spotkać się z Agnieszką Moroz. To, że zdradził jej tajemnicę swojego weekendu, a zatem – choć nie wprost – wszystkich weekendów, a ona przyjęła to ze zrozumieniem, sprawiło, pomimo dochodzeniowego kontekstu wyjścia prawdy na jaw, iż Michał poczuł ciekawą nić łączącą ich intymności. To oczywiście było tylko jego wyobrażenie, ale mimo to świadomie nie tłumił go racjonalną myślą. Przyjemnie było po latach poczuć cień choćby jednostronnej więzi z kobietą.

Niemniej jednak godzinne oczekiwanie i niejasna dalsza perspektywa wydały mu się upokarzające. Był przekonany, że dyżurny sam z siebie nie zrobi nic w jego sprawie, a przecież aspirant Moroz mogła już być dostępna, podszedł więc do kontuaru, aby zapytać o to policjanta. Wtedy usłyszał za sobą energiczny stukot damskich obcasów. Dyżurny wstał, a Michał odwrócił się w nadziei, że wreszcie przyszła ta, na którą czekał.

Ale nie. Był to ktoś inny. Ktoś, kogo nie widział od ponad dwudziestu lat.

– Michał?! Co ty tutaj robisz? – Justyna Dziejczak bez ceremonii wyciągnęła go w oba policzki.

Był wstrząśnięty nie tyle samym spotkaniem, co rozdźwiękiem pomiędzy utrwalonym w jego pamięci obrazem dziewczyny, z którą chodził na pierwszym roku studiów, a jej obecnym wyglądem. Niewiele niegdysiejszego powabu ognistej Justy dotrwało do dziś. Jej żywiołowy, nieopanowany, a pod koniec związku męczący dla Michała apetyt na seks ostatecznie nie znalazł chyba zaspokojenia i zmienił się w zamiłowanie do buszowania w lodówce. Musiała mieć więcej niż trzydzieści kilogramów nadwagi, sądząc po grubości ud i walcowatej sylwetce bez zarysu wcięcia w talii.

– Co u ciebie słychać? Tyle czasu cię nie widziałam.

– Pani prokurator, czekają... – wtrącił się dyżurny.

– No tak. Michał, muszę teraz przesłuchać zatrzymanego, a termin mi upływa. Skończę za jakieś pół godziny. Będziesz tu jeszcze?

– No... nie wiem, jestem z kimś umówiony. Nie mam pewności, kiedy przyjdzie.

– Masz moją wizytówkę. Jeśli się nie spotkamy tutaj, to zadzwoń do mnie koniecznie.

– Postaram się.

Chwyliła go za rękę.

– Obiecuj, że do mnie zadzwonisz. Obiecujesz?

– Obiecuję.

Weszła do wnętrza komendy przez drzwi, które przytrzymała Agnieszka Moroz. Michał napotkał spojrzenie granatowych oczu. Wyszła po niego i chyba była świadkiem całej sceny, bo przygryzała wargi, jakby powstrzymywała się od śmiechu.

Odczekała dłuższą chwilę, dając pani prokurator czas na zniknięcie w głębi korytarza. Dobiegał stamtąd coraz cichszy stukot obcasów. Michał uśmiechnął się

z wdzięcznością.

– Zapraszam – powiedziała do Michała i przepuszczając go w drzwiach, odwróciła głowę i zasłoniła usta wierzchem dłoni.

Najpierw weszli do techników, gdzie młody człowiek w rozciągniętym swetrze zdjął odciski jego linii papilarnych i pobrał próbkę śliny. Do porównań, nic takiego. Wiedział, że to standardowa procedura. Potem skierowali się do jej pokoju.

Kiedy usiedli – ona za komputerem, on naprzeciwko, przed jej biurkiem – wydała mu się młodsza niż przy poprzednich spotkaniach. Może przez te dżinsy, trampki do kostek i wpuszczone w spodnie białe polo, a może dlatego, że była u siebie.

– Dziękuję, że pan czekał. Przepraszam za spóźnienie, przedłużyły mi się inne czynności.

Choć znał żargon postępowania karnego, słowa o „innych czynnościach”, które się „jej przedłużyły”, wybrzmiały Michałowi nutą tajemniczą i podszytą erotyzmem. Jakby mogło chodzić o długą kąpiel w wannie albo golenie nóg, a nie o odbieranie zeznań czy przeszukiwanie baz danych.

– Nie ma problemu. Dzięki temu miałem okazję zobaczyć trochę z życia komisariatu.

– Rano jest spokojnie. Trzeba przyjść w nocy, żeby zobaczyć, jak tu jest naprawdę.

– Nie wątpię.

Zaprowadziła go do czystego, świeżo odmalowanego na biało pokoju, w którym jedyne elementy wystroju stanowiły godło państwowe zawieszona na jednej ze ścian i duża mapa Warszawy z podziałem na dzielnice. Siedział na miejscu wybranym zgodnie z zasadami sztuki przesłuchań (światło w oczy) naprzeciw pozbawionego zasłon i żaluzji okna. Widział podświetlone, pojedyncze kosmyki jej włosów i dostrzegł, że te nie są czarne, jak reszta, ale ciemnobrązowe, jakby fotony wybijały z nich cząsteczki koloru. Czy gdyby światło było mocniejsze, włosy mogłyby stać się całkiem jasne i rudo migotać?

– Czy mówi coś panu imię Angel? – zapytała, zaglądając do notesu.

– Nie wydaje mi się, żebym je słyszał, nie w takiej polskiej wersji. Czy to naprawdę imię?

– Tak, jest takie imię męskie. W bazie PESEL jest tylko kilka osób, które je noszą, ale wyłącznie jako drugie imię. Bardziej popularna jest za to wersja żeńska – Angela, w innych wersjach Aniela, a Andżelik jest już bez liku. Nie kojarzy więc pan Angela? To może być pseudonim, może też chodzić o obcokrajowca.

– Bez wątpienia zapamiętałbym, gdybym spotkał kogoś takiego. A skąd to pytanie?

– Pani Joanna najwyraźniej ma znajomego używającego takiego imienia.

– Nie znam.

Zabrali się za spisywanie zeznań Michała. Agnieszka Moroz pisała na komputerze tak wolno, że kiedy on odpowiedział na jej pytanie, ona po kilku stuknięciach w klawisze zaciągała się, jakby zapominała, co dokładnie ma napisać. Dyktował więc

cierpliwie, zdanie za zdaniem. Wypowiadała do nieregularnego *staccato* klawiatury to, co właśnie pisała, on podrzucał dalszy ciąg zdania. Od czasu do czasu przerywała pisanie i odczytywała większy fragment, upewniając się, że Michał nie ma uwag. Zadawała dodatkowe pytanie i zaczynała notować wyjaśnienia. Kilka razy wracała do tych samych kwestii, pytając w inny sposób.

Po bez mała dwóch godzinach skończyli i teraz zaczytywała zeznanie na ekranie komputera.

Była tak skupiona, że nie zwracała uwagi na przyglądającego się jej Michała. Poruszała ustami, bezdźwięcznie odczytując słowa, co przypominało mu zachowanie dziecka, które wysuniętym końcem języka pomaga sobie przy trudnym zadaniu. Czasami marszczyła czoło, kiedy natrafiła na jakiś problem w tekście; wtedy wciskała klawisz kasujący litery – i coś dopisywała.

Zaszumiała drukarka. Agnieszka Moroz wzięła kartki, przejrzała każdą po kolei i podała Michałowi.

– Proszę sprawdzić i podpisać, jeśli wszystko się zgadza.

Przeczytał i podpisał.

– Czy to wszystko?

– Tak, odprowadzę pana na dół. Chyba że ma pan jakieś pytania?

– Mam do pani w sumie wiele pytań.

– Proszę.

– Dlaczego nie wysyłają was na kursy szybkiego pisania? To byłaby wielka oszczędność czasu dla was i interesantów.

Zapadła cisza, a na policzki Agnieszki Moroz wpełzł rumieniec. Michał poczuł, że i jego policzki stają się ciepłe. Po chwili rzuciła mu koło ratunkowe.

– Zdradzę panu zawodową tajemnicę. Czy widział pan film *Wielki Szu* ?

– Oczywiście.

– Pamięta pan scenę, w której młody szuler odbiera lekcję tasowania kart od starego?

– Nie bardzo. Oglądałem to dawno temu.

– Warto sobie odświeżyć.

Podniosła się, dając sygnał do wyjścia. Zeszli na parter. Teraz szła obok niego. Przed drzwiami do holu dyżurki zatrzymała się i wyciągnęła rękę.

– Do widzenia.

– Do zobaczenia – odpowiedział Michał i odwzajemnił uścisk.

– Do widzenia – powtórzyła i nacisnęła guzik zwalniający blokadę drzwi.

Michał wyszedł do znanego mu pomieszczenia dyżurki. W boksie za szybą siedział już inny funkcjonariusz. Przybyło kilka osób na ławkach poczekalni. Kobieta w fioletowej spódniczce podniosła się na jego widok, ale zaraz na powrót usiadła. Nie na niego czekała.

Umówienie się z Jacewiczem okazało się znacznie łatwiejsze, niż się spodziewał. Zuza rano zadzwoniła do jego sekretariatu, prosząc o spotkanie w ważnej kwestii dotyczącej działalności M-Construct. To wystarczyło.

Zaparkował pod ich siedzibą – długim, dwupiętrowym budynkiem wyglądającym jak przewrócony wieżowiec.

Asystentka wprowadziła go do skąpanej w słońcu sali konferencyjnej. Podziękował za kawę i czekając na Jacewicza, obejrzał zawieszane na jednej ze ścian wielkoformatowe zdjęcia zrealizowanych projektów M-Construct – osiedli na Białoleścu, w Wawrze i Piasecznie. Mimo że ujęcia mogły być od biedy uznane za artystyczne, nie dało się nie zauważyć, iż dzieła M-Construct osadzone były architektonicznie w przebrzmiałym modernizmie. Polscy projektanci zdawali się wciąż odreagowywać socrealistyczne wypaczenie idei Le Corbusiera, próbując urzeczywistnić – tym razem prawidłowo – ideał mieszkania z dobrym dojazdem do pracy, z dostępem do światła i zieleni. Nabywca dla spełnienia marzenia o własnym lokum zadłużył się tak, że ostatnią ratę hipoteki spłacił w momencie, kiedy młodość zaczęła być blaknącym wspomnieniem, a emerytura wyrazistą perspektywą. M-Construct, podobnie jak inni deweloperzy, zdawał sobie sprawę z wagi decyzji o zakupie mieszkania i szukał argumentu przeważającego szalę. Z rozłożonych w różnych miejscach materiałów reklamowych wynikało, że tym istotnym argumentem jest bliskość hipermarketu.

Michał przeszedł w kąt pokoju, gdzie stała makieta przedstawiająca park, a w nim kilka pięciopiętrowych budynków z przestronnymi tarasami i ogrodami na dachu. Przeczytał napis pod gablota: „Twoja Wola – śródmiejska oaza zieleni”. Właśnie to mogło zainteresować Wintera – nowy projekt, tym razem w centrum miasta. Zgodnie z tym, co ustalił Marek, głównym wykonawcą tej inwestycji było konsorcjum z Prodeve jako liderem. Może zresztą nie chodziło tylko o tę inwestycję. Kwerenda w wydziale ksiąg wieczystych, którą zlecił Markowi, pokazała, że M-Construct nabył od wycofującego się z rynku hiszpańskiego dewelopera kilka innych działek na Woli i Bemowie. Czyżby Winter uznał, że wkroczyli na jego teren i trzeba zaatakować? A może po prostu uznał te nieruchomości za atrakcyjne, dokonał ich wyceny i doszedł do wniosku, iż najtańszy sposób wejścia w ich posiadanie to kupienie firmy, która jest ich właścicielem? Właściwie jeden motyw nie stał w sprzeczności z drugim.

Przeszedł pod drugą ścianę. Na tej wisiały dyplomy uznania i podziękowania od różnych fundacji i instytucji. Większość miała związek z dziećmi – uzdolnionymi z ubogich rodzin, chorymi.

Otworzyły się drzwi i wszedł Jacewicz. Był to mężczyzna około pięćdziesiątki, o okrągłej twarzy ozdobionej wąsem, niewysoki, z wydatnym brzuchem. Ubrany w wytarte dżinsy i kraciastą flanelową koszulę z podwiniętymi rękawami, sprawiał wrażenie, jakby wrócił właśnie z placu budowy. Brakowało tylko pasa z narzędziami i kasku. Jakże różna stylizacja od tej Wintera! Kwestia braku gustu czy odzwierciedlenie różnicy statusu? Świetnie opłacany najemnik w strojach od kreatorów mody i właściciel firmy, któremu wolno nosić się, jak chce, bo nikomu nie musi nic udowadniać?

– Michał Tumski. Bardzo mi miło.

– Jacewicz. Witam, mecenasie. Co nieco o panu słyszałem. Miło się wreszcie spotkać.

Miał silny uścisk ręki.

– Przepraszam za spóźnienie. Przedłużyło się poprzednie spotkanie. Jak ja tego nie lubię! Każdy uważa, że powinien coś mądrego powiedzieć. Efekt jest taki, że całe dnie spędzam, słuchając czczej gadaniny.

– Wiem coś o tym – odpowiedział Michał. – Nie zajmę panu wiele czasu.

– Jakaś ważna sprawa, tak? Mam nadzieję, bo zaraz zaczynam spotkanie z bankiem. – Spojrzał na zegarek. – Właściwie już zacząłem.

– Panie Piotrze, może zabrzmiało to zaskakująco, ale sprawa, z którą przychodzę, wymaga, żebym najpierw zadał panu pytanie. W zależności od odpowiedzi albo zaraz wyjdę, albo, jeśli pan zechce, zostanę i porozmawiamy.

– Skoro tak, to bardzo proszę – rzekł powoli. Stał się czujny.

– Jak układa się panu współpraca z Prodeve?

Jacewicz zadarł głowę, biorąc przy tym głośny wdech.

– Takie buty... A więc przysłali pana. Czego pan chce?

– Nikt mnie nie przysłał. Postanowiłem spotkać się, bo sądzę, że ktoś postanowił rozegrać z panem poważną partię. Nic nie chcę. Mogę zaoferować współpracę, oczywiście jeśli uzna to pan za dobry pomysł.

Jacewicz poczerwieniał. Ruszył do drzwi.

Każe mu wynosić się do wszystkich diabłów? Jednak nie. Wyjrzał do sąsiedniego pomieszczenia i rzucił:

– Przepraszam tych z banku. Wypadło mi coś pilnego. Umówimy nowy termin.

Zamknął drzwi i wrócił do Michała.

– Proszę siadać.

Przez chwilę palcami pocierał brwi.

– Nie ma pan więc nic wspólnego z Prodeve?

Michał pokręcił głową.

Jacewicz sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyjął portfel.

– Wiem, jak to działa. Adwokat jest zobowiązany zachować tajemnicę swojego klienta. Tak więc zatrudniam pana. – Wyciągnął w stronę Michała banknot.

Michał przyjął dwadzieścia złotych i z uśmiechem schował do swojego portfela.

Jacewicz usiadł ciężko przy stole i wskazał Michałowi miejsce naprzeciwko siebie.

– Gdyby zadał mi pan pytanie o Prodeve jeszcze dwa tygodnie temu, odparłbym, że współpraca układa się wzorcowo. Wie pan, inwestycja na Woli to nasz najbardziej ambitny projekt – inna technologia i bardziej wymagający klient. Ale też prestiż, bo wchodzimy do centrum. Nie miałem nic do zarzucenia ani im, ani reszcie konsorcjantów. Dotrzymywali terminów z odbiorem prac, nie było dużo uwag powykonawczych. Takie tam zwykłe przepychanki, jak to na budowie. My:

„poprawcie to”, a oni: „nie było w projekcie, będzie kosztować ileś tam dni z głównego harmonogramu i tyle a tyle tysięcy”. – Przerwał i spojrzął w rozświetlone okno. Po chwili podjął: – Kilka dni temu wszystko się zmieniło. Przyszło do mnie dwóch członków ich zarządu. Nie znałem ich, musieli pojawić się niedawno. I powiedzieli, że w projekcie wykonawczym jest poważny błąd. Nie będę pana zanudzał szczegółami. W każdym razie stwierdzili, że prace wykonane do tej pory zawierają wadę projektową i trzeba cofnąć się o kilka etapów – rozebrać spory kawałek inwestycji i postawić na nowo. To oznaczałoby dodatkowe koszty idące w miliony i miesiące opóźnień.

– Czy takie błędy się zdarzają? – zapytał Michał.

– Wszystko może się zdarzyć. Znam przypadek, kiedy dwa odcinki autostrady wprawdzie się spotkały, ale z półtorametrową różnicą poziomów jezdni. Taki delikatny uskok. – Zaśmiał się. – Jednak nie wierzę, żebyśmy w naszej inwestycji mieli z czymś takim do czynienia. Wczoraj zorganizowaliśmy spotkanie – nasi projektanci i ich inżynierowie. Nikt nikogo nie przekonał, ale zdaje się, że przestraszyli inspektora nadzoru, bo zaczął się wahać. Jeśli wpisze ten problem do książki budowy i nie odbierze etapu, będziemy załatwieni. Dzisiaj od rana zastanawiamy się, co robić.

– Przypuszczam, że te dodatkowe miliony kosztów mogłyby mieć katastrofalne konsekwencje dla firmy?

– O! To dobre słowo – katastrofalne. Na realizację projektu zaciągnęliśmy kredyt w banku, jak każdy z branży. Sama działka była bardzo droga. Sprzedaliśmy dotąd jakieś pięćdziesiąt procent lokali. W większości umów mamy klauzulę z odsetkami za opóźnienie w oddaniu mieszkania. Umowa kredytu też zawiera warunek zakończenia inwestycji w określonym terminie. Jeśli bank wypowie kredyt, już po nas.

Ciekawe, czy Jacewicz zdawał sobie sprawę, jak banki podchodzą do gry o duże pieniądze. Jak łatwo przychodzi im poświęcenie relacji z jednym klientem dla osiągnięcia większych zysków z innym. Winter pewnie o tym już pomyślał i podjął działania. Spotkał się z prezesem banku na lunchu, może kolacji. Luźna rozmowa, ogólne tematy, jakie słuchy dochodzą z Wiejskiej, z KNF, kto awansował, kto ma nową kochankę. Po przystawkach przejście na tematy biznesowe.

– Radzę założyć, że bank jest już wciągnięty w grę. Tak jak Prodeve – powiedział Michał.

– W grę? Czyli w co? – Jacewicz wyglądał na prawdziwie zaskoczonego.

– Pańska firma stała się obiektem wrogiego przejęcia.

*

Motycki wydawał się być w dobrym nastroju. A może takie wrażenie wywoływało radio grające złote przeboje. Z głośnika dobiegały pienia falsetem panów z Modern Talking.

– Siadajcie – powiedział, wskazując na stół konferencyjny z kilkoma krzesłami w kącie pokoju. Sam kontynuował podpisywanie dokumentów, nucąc pod nosem.

Skończył i ściszył radio jazgoczące teraz reklamami. Usiadł przy funkcjonariuszach.

– Co słyszeć?

Agnieszka spojrzała na Maciorę, a ten kiwnął głową, żeby opowiadała.

– Technicy zdjęli ślady. Część jest jeszcze w analizie. Jeśli chodzi o linie papilarne, to głównie jej – porównaliśmy z odciskami w gabinecie. Jest kilka pojedynczych śladów innych osób. Właśnie sprawdzają w bazie i porównują z pobranymi od świadków. Powinni skończyć do wieczora.

Motycki pogładził się po głowie. Czyżby pogorszyli mu nastrój?

– Świadcowie?

Agnieszka zawahała się, ale Maciurski wlepił wzrok w blat, więc kontynuowała.

– Odebraliśmy zeznania od matki, znajomych, szefa Szymalak i kilku najbliższych współpracowników. Żadne z nich nie zna szczegółów jej prywatnego życia. Nie udzielała się w internecie. Sprawdziłam miejsca wytypowane w analizie danych telekomunikacyjnych z kilku tygodni przed zniknięciem – zmiany wzorca odwiedzanych okolic, czasowe wyłączenia komórki. Nic ciekawego. Kościół parafialny, day spa na Starym Mieście.

– Day spa? Co to takiego? – zainteresował się Motycki.

– Rodzaj salonu piękności. W soboty późnym popołudniem Szymalak jeździła na Stare Miasto i wyłączała komórkę na dwie, trzy godziny, zawsze w rejonie tych samych ulic. Przeszłam się po okolicy. Rozpoznali ją jako stałą klientkę w tym salonie. Niestety nie mogli potwierdzić, czy była umówiona na wizytę w sobotę przed zniknięciem, bo kilka dni wcześniej zwolniona pracownica z zemsty wykasowała plik z danymi klientek i rezerwacjami. Zastanawiali się, czy kwalifikuje się to do zgłoszenia...

Zniecierpliwiony Motycki machnął ręką.

– Zbyszek przesłuchiwał jej byłego narzeczonego. – Posłusznie zmieniła wątek.

– Informatyk – podjął Maciurski. – Mieszkali razem przez kilka lat. Rozstali się w sierpniu zeszłego roku. Mówił, że się zmieniła, zaczęła traktować go jak obcego, w końcu kazała mu się wyprowadzić. Facet próbował nawiązać kontakt – dzwonił, pisał maile. Liczył, że jej minęło. Ale nie. Nie widział się z nią od stycznia. Ma nową narzeczoną. Od piątku szóstego do południa w niedzielę przebywał na sponsorowanym przez firmę informatyczną sympozjum w hotelu pod Warszawą. Agnieszka telefonicznie sprawdziła w recepcji, że rzeczywiście tam był. Alibi. Tyle w temacie.

Agnieszka, widząc niezadowoloną minę Motyckiego, wtrąciła się:

– Przejrzeliśmy zapisy z monitoringu na Centralnym z czasu, kiedy mogła tam być. Nie widać jej w holu, tunelach i na żadnym z peronów. Przepytaliśmy sąsiadów. Nie zauważyli nikogo obcego w pobliżu ani w sobotę, ani w niedzielę.

– No to gówno macie! – Rozłożył ręce.

– Niezupełnie... – Agnieszka odważyła się zakwestionować taką ocenę sytuacji.

– Drzę z niecierpliwości.

– Szeff Szymalak, Michał Tumski, odebrał od niej telefon w sobotę około czternastej. To dzień przed zniknięciem. Twierdzi jednak, że z nią nie rozmawiał albo że nie pamięta. Chyba trochę popija.

– Nie on jeden – skonstatował Motycki, patrząc na Maciurskiego, który nagle zainteresował się stanem czystości swoich paznokci.

– Może to bez znaczenia, ale znaleźliśmy notatnik Szymalak.

Motycki pochylił się w stronę Agnieszki.

– I co? Napisała w nim, kto na nią czyha? A może odezwały się duchy z przeszłości? Teraz wystarczy połączyć kropki i *voilà* !

Agnieszka zignorowała ironiczną uwagę.

– Niewiele tam konkretów, brak nazwisk, dat, szczegółów, głównie impresje, ale widać, że była w kimś zadurzona. W przedostatnim wpisie zapowiada, że musi się z tym kimś rozmówić. Jedyne rozmowa telefoniczna, jaką wykonała od piątku szóstego marca, to była ta z Tumskim, a on twierdzi, że tej rozmowy nie pamięta. I utrzymuje, że nigdzie nie wychodził w tamten weekend, a ochroniarz, który miał wtedy dyżur, zeznał, że Tumski wrócił skądś w niedzielę tuż przed siedemnastą.

– Przecież mówiłaś, że w tych notatkach nie ma dat. Mogła napisać to kilka lat temu. Mówisz „w przedostatnim wpisie”, a w ostatnim co? Lista zakupów?

– Nie, cytata z *Biblii* , ze *Starego Testamentu* , jedno zdanie, że nie należy zajmować się wspominaniem zmarłych.

To zrobiło chyba na Motyckim wrażenie, bo na chwilę się zadumał.

– No dobrze, jak się nazywa ten ukochany z pamiętnika. Nie Tumski?

– Nie. Angel.

– Że co? – Motycki wybałuszył oczy.

– Angel. To znaczy anioł.

– Jaki, kurwa, anioł?

– Takie imię jest, teoretycznie, bo rzadkie... – Zaczęła się płatać.

Maciurski przyszedł jej z pomocą.

– Tak go nazywa w tym swoim pamiętniku. – Spojrzał na Agnieszkę, a ta mrugnęła w podzięcie.

Motycki analizował informacje. Skronie mu pulsowały. Po chwili zdecydował:

– Dobra. Dostaniecie na jakiś czas dwóch dodatkowych ludzi. Złóżcie wnioski na skan połączeń telefonicznych i maili tego Tumskiego. Sprawdźcie, czy to ten... – Poruszył ustami, jakby słowo stawiało mu opór przy artykulacji. – ...anioł.

*

Liczyła na to, że z analizy billingów i maili Tumskiego wyniknie coś dla sprawy. Nie mieli nic. Łączył się tylko z numerami należącymi do ludzi związanych z pracą, w tym z Szymalak, ale z nią nie częściej niż z innymi pracownikami kancelarii. Nie licząc tej rozmowy w sobotę, ostatnio przez komórkę rozmawiali tydzień przed jej zniknięciem. W prywatnych mailach wystąpiła tylko jedna nietypowa sprawa.

– Ty – zwróciła się do Maciory, z którym siedziała w przydzielonym im pokoju operacyjnym – pytam cię jako faceta. Kto wysyła maile na skrzynkę zmarłej żony w dzień jej urodzin i opisuje, jak mu minął dzień?

– Skąd mam wiedzieć. Ja bym nie wysyłał. Może ma jakieś wyrzuty sumienia? Na zasadzie: „Zawinęłaś się i kogo będę teraz maltretował?”. To trochę chore.

– A może tak ją kochał? I ciągle to go trzyma?

– Eee, nie można kochać kogoś, kogo nie ma. – Urwał kęs kanapki.

– A co ty wiesz o miłości? – Westchnęła. – Jednym słowem: dupa blada. Nie ma o co się zaczepić. Motycki nas rozszarpie.

– Dostłmcoch – powiedział Maciurski z pełnymi ustami. Zaszumiała drukarka laserowa.

– Jak żresz, to nie gadaj, bo się zadławisz.

– Dostałem coś – powtórzył. – Listę jej ostatnich zakupów, tych, za które zapłaciła kartą w sobotę. – Sięgnął po wydruk.

– Pokaż! – Przysiadła się do niego, odsunęła długopisem jego dłoń, w której trzymał nadgryzioną kanapkę, i zabrała mu z ręki kartkę z wydrukiem kopii paragonu.

Zawierał ponad dwadzieścia pozycji.

– I co o tym myślisz? – zapytał Maciurski. – Jak dla mnie nic ciekawego.

– Naprawdę? Ja uważam, że wręcz przeciwnie. Mamy przynajmniej pewność, że nie planowała zniknięcia.

– Bo co?

– Bo nie kupowałyby pomidorów, kiełków, włoszczyzny i jajek. Wyobraź sobie – wyjeżdżasz na dłużej, może na zawsze... i co? Zabierasz ze sobą dziesięć jaj z chowu ekologicznego i włoszczyznę, na wszelki wypadek, bo może najdzie cię po drodze ochota na jajecznicę albo rosół?

– W sumie masz rację... Chociaż mogła pojechać do domku na wsi albo czegoś takiego i zaopatrzyła się na kilka pierwszych dni.

– No, może... – Agnieszka nie była przekonana.

Wróciła do swojego biurka i oparła czoło na dłoniach.

– Jesteś dochodzeniowcem, wymyśl coś, bo ja mam pustkę w głowie.

– Nie łam się. – Maciurski sięgnął po kolejną kanapkę. – Takie zastoje to normalka. Niedługo będą wyniki z laboratorium. W środę poszła informacja do komisariatów i do mediów. Może ktoś się zgłosi.

Miał wziąć kęs, ale zatrzymał rękę w połowie drogi do ust.

– Wiesz co?

– Co? Tylko błagam, nie mów, że postawisz mi piwo.

– To zawsze z chęcią, mam nawet kilka w szafce. Ale nie o to chodzi. Wymyśliłem coś.

– No, dajesz! – Obróciła się na krzesło w jego stronę.

– Miałaś rację z tymi zakupami, tylko że inaczej. Mogła zrobić w sobotę zakupy i wyjechać na daczę. Natomiast jest coś, co wyklucza hipotezę, że musiała zniknąć

nagle, na przykład uciec. Zresztą ten pomysł od początku wydawał mi się wydumany.

– Co to jest?

– Jedna z rzeczy, których nie robisz, kiedy się śpieszysz.

Agnieszka nie mogła wyjść poza krąg absurdalnych pomysłów, takich jak: „nie zabierasz się do prasowania”, „nie robisz sobie herbaty” albo „nie bierzesz kąpieli”.

– Dobra, widzę, że masz słabszy dzień. Podpowiedz: nie znoszę tego robić, ale czasami muszę.

– O, z pewnością jest wiele takich rzeczy – zaczęła i naraz klepnęła się dłonią w czoło. – Kurde! Sprzątanie! Gdyby opuszczała mieszkanie w pośpiechu, te cholerne zakupy zostałyby tam!

– No właśnie. – Ugryzł bułkę i zajął się czytaniem gazety.

Agnieszka spojrzała w okno. Zrobiło się już ciemno. W gruncie rzeczy to ich małe odkrycie nie wносиło wiele, poza tym, że liczba wariantów przebiegu zdarzeń zmniejszyła się o jeden.

*

Maciurski zadzwonił dopiero w sobotę przed południem. Trzymała telefon przy uchu, trąc marchewkę.

– Dupa. Nie ma nic. Ślady są tylko jej, matki i narzeczonego, czyli osób, o których wiadomo, że bywały w jej mieszkaniu. Na meblach są jakieś stare odciski palców, ale nie nadają się do zabezpieczenia. Podejrzewam, że mogli zostawić je dawno temu ludzie w sklepie macający towar. Na jednym z obrazków, tym szkicu – pamiętasz? – są świeże ślady. – Zrobił przerwę na długie ziewnięcie.

Agnieszka wbiła się w pauzę.

– Nie byłyby to jakiś punkt zahaczenia?

– W bazie ich nie ma. Pewnie zostawił je sprzedawca w sklepie. Doświadczenie mi mówi, że ślady sprawcy powinny nas zasypać. Tutaj tak nie jest.

Agnieszka rozłączyła się i wróciła do przygotowywania obiadu. Małym nożykiem zaczęła obierać fasolkę szparagową. Jej pierwsze śledztwo w dochodzeniówce nie szło najlepiej. Żadnych tropów, tylko ten Tumski... Pojawiał się w nie do końca jasnych wątkach – odebrane połączenie od Szymalak, którego twierdzi, że nie pamięta. Zznał, że cały weekend był w domu, choć ochroniarz mówił, że w niedzielę wychodził. Czy kłamie? Mogło tak być. Czy to on jest Anielem? Czy Szymalak mogła się w nim potajemnie kochać? Dlaczego potajemnie? Z jej urodą mogła chyba poderwać każdego, nawet własnego szefa, gdyby tylko chciała. Zresztą ten Tumski to niezły przystojniak. I jeszcze ta jego tajemniczość... Jak szrama, chyba związana ze zmarłą żoną. Czyli są jeszcze na świecie faceci, którzy potrafią kochać.

Nie poczuła bólu – nóż był ostry. Obserwowała jasnoczerwoną kroplę wykwitającą na opuszcze palca. Rosła – krągła, szklista, gęsta i żywa. Czy w żyłach Szymalak taka jeszcze krąży? Włożyła palec pod zimną wodę. Wizja bladych włosów pokrytych mapą przebijających spod skóry fioletowych żył i plackami ciemnych plam opadowych ustąpiła dopiero po dłuższej chwili.

*

Nie było sensu się oszukiwać – śledztwo utknęło w martwym punkcie. Motycki na porannej odprawie przeczytał ją i Macioreę, wyzywając od darmozjadów. Maciurski nie wydawał się tym przejęty, jednak ona wzięła to do siebie. Zgadzała się z Motyckim. Ludzie nie znikają bez śladu i jeśli policjant tak mówi, to w rzeczywistości tylko przyznaje, że nie potrafi tych śladów znaleźć.

Zadzwoiła do Horodyńskiego i poprosiła, aby przyjechał w pobliże komendy.

Wsiadła do jego auta.

– Zapraszam na kawę – powiedział, podając jej tekturowy kubek z kawiarni sieciowej. – Może bajgla? – Zaszeleścił papierową torebką.

– Nie, dziękuję. – Uśmiechnęła się.

Horodyński odłożył torebkę na tylne siedzenie.

– No to opowiadaj. Jak idzie śledztwo?

– Prawdę mówiąc, słabo. Nie mamy nic, czego można by się uchwycić. Żadnych ciekawych śladów w mieszkaniu, samochodzie, nic na kamerach na dworcu i w okolicach. Świadkowie na miejscu nic nie widzieli, znajomi i współpracownicy nic nie wiedzą. Dramat po prostu. – Podparła czoło dłonią.

Horodyński postukał palcem w kubek.

– Kiedy widziano ją po raz ostatni?

– Mamy nagranie z kamer z supermarketu. Robiła zakupy w sobotę przed południem. Na miejskim monitoringu widać jej samochód w drodze do domu.

– Czyli ostatni raz była widziana w sklepie?

– Na to wychodzi.

– No dobrze. Jest sobota przed południem. Wraca ze sklepu do domu. Co dalej?

– Zapis sieci komórkowej pokazuje, że przed piętnastą udała się w stronę nieodległych ogródków działkowych.

– To ciekawe!

– Niezbyt, jak sądzę. Ślad komórki ma kształt pętli. Jest tam kilka ścieżek, po których ludzie biegają. Sądzimy, że biegała, bo analizowaliśmy zapis z ostatnich dwóch tygodni i ten sam wzorec powtarzał się co kilka dni. W dni powszednie rano, a w weekendy po południu. – Agnieszka pominęła informację o telefonie do Tumskiego w sobotę po czternastej.

– Widać ją gdzieś na monitoringu?

– Nie. Sprawdzaliśmy też wcześniejsze dni. Musiała chodzić albo biegać trasą poza zasięgiem kamer. To nic dziwnego, bo monitoring w tym rejonie nastawiony jest na kontrolowanie ruchu drogowego. Na jej ulicy nie ma kamer.

– Co dalej? – Horodyński patrzył przez przednią szybę rozmytym wzrokiem.

– Tego dnia już nic. Nie ruszała się z domu. Nazajutrz o pierwszej w nocy sygnał komórki zniknął i włączył się po trzynastej na Dworcu Centralnym. Szymalak musiała się tam przemieścić.

– Jak?

– Tego nie wiemy. Sprawdziliśmy nagrania z ulicznych kamer i monitoring w autobusach, które w tym czasie odjeżdżały z okolicznych przystanków. Nie udało się jej wypatrzeć. Chłopaki sprawdzają raz jeszcze.

– Ciekawe... – Horodyński przebiegł palcami po kierownicy. – A co z analizą jej otoczenia? Nic z tego nie wynika? Przyjaciele, znajomi, miejsca, które regularnie odwiedzała?

Agnieszka wzmogła czujność. Nieformalne wskazanie, żeby z nim współpracować, to jedno, a zasady to drugie. Horodyński mógł nie być bezstronny. Pracował przecież dla Tumskiego. Postanowiła nie wspominać o tajemniczym Angelu.

– Na razie nic. Przesłuchaliśmy podstawowych świadków. Poszerzamy teraz listę.

– Pojawiał się wątek jakiegoś księdza. Ona, zdaje się, była religijna. Zbadaliście to środowisko?

– Tak. Rozmawiałam z księdzem, u którego regularnie się spowiadała. Byłam też u niej w parafii. Proboszcz jej nie kojarzył, wikary znał z widzenia, ale nie był w stanie stwierdzić, kiedy widział ją ostatnio.

Horodyński milczał przez chwilę, jakby układał sobie wszystkie informacje w głowie.

– Co na to wszystko Hubert?

– Kto?

– Motycki.

– A... on. Zapomniałam, że ma imię. No, nie jest zadowolony, delikatnie mówiąc. Horodyński się zaśmiał.

– Zawsze uważałem, że minął się z powołaniem. Powinien zostać nauczycielem. Ma talent do gnębienia ludzi.

Mogłaby podpisać się obiema rękami pod opinią Horodyńskiego, ale nic nie powiedziała.

– Pamiętaj, co ci poprzednio mówiłem. Możesz być pewna tylko tego, na co masz dowód. Reszta pozostaje spekulacją. Przykładowo – brak śladów w lokalu co do zasady może oznaczać dwie rzeczy. Albo nikogo obcego tam nie było, albo zadbał o to, żeby nie zostawić wizytówki. Telefon też potrafi wyprowadzić na manowce. Skoro nie wszczepiają ich jeszcze pod skórę, w każdej chwili może zmienić posiadacza.

– Jasne – westchnęła.

– Jeśli macie czas, a chyba macie, skoro sprawa nie nabrała wielkiego rozpędu, przesłuchajcie po raz kolejny świadków. Tylko niech robią to inne osoby. Każdy ma swój styl i wyczulenie na inne kwestie. Czasami daje to dobre wyniki.

– Tak, zaplanowaliśmy to. – Agnieszka była dumna z siebie, bo to ona wymogła na Maciurskim ponowne, krzyżowe przesłuchania świadków. On uważał, że to strata czasu. – Będę już szła – powiedziała i uściśnęła jego dłoń.

– Weź bajgle. – Sięgnął po torebkę. – Może później zgłodniejesz.

– Dziękuję.

Idąc do komendy, pomyślała, że może Horodyński nie dał jej żadnych konkretnych wskazówek co do dalszego postępowania, ale przynajmniej nie wytknął rażących błędów w dotychczasowych działaniach. To było motywujące.

- Gdzie byłaś? – zapytał Maciurski, kiedy weszła do ich pokoju.
- Zdobyć paszę dla ciebie. – Rzuciła torebkę na jego biurko.
- O! – zdziwił się. – To może jutro wpadniesz zrobić pranie?

Nie odpowiedziała, a Maciurski zajął się jedzeniem. Czekają ją dużo pracy. Chciała przygotować się do wizyty u jednego z ważnych świadków, którego wcześniej przesłuchiwał Maciurski. Tym razem nie wezwą go na komendę. Złoży mu niezapowiedzianą wizytę.

*

Kiedy drzwi się otworzyły, Agnieszka pomyślała, że pomyliła mieszkania. Fotografia załączona do akt przygotowała ją na widok pulchnego misia z długimi, przetłuszczonymi włosami. Ten, który otworzył, był dobrze zbudowany, modnie ostrzyżony, z trzydniowym zarostem. Czarna koszulka z termoaktywnego materiału podkreślała muskulaturę klatki piersiowej, miał na sobie sportowe spodnie i buty. Uśmiechnął się ujmująco.

- Zygmunt Kuśniar? – zapytała.

Kiwnął głową, nie przestając się uśmiechać.

– Aspirant Agnieszka Moroz. Szósta komenda rejonowa policji. Możemy chwilę porozmawiać? – Pokazała legitymację, a mężczyzna odsunął się, wpuszczając ją do środka.

- Proszę. Szedłem właśnie biegać – wytłumaczył się ze stroju.

Pomyślała, że może z mężczyznami jest podobnie jak z kobietami. Kończą związek i zaczynają o siebie dbać. Atawizm, który nakazuje poprawić własną atrakcyjność dla zwiększenia szansy na nową relację.

– Nie zajmę panu dużo czasu. Przejeżdżałam w pobliżu i pomyślałam, że będzie szybciej, jeśli wpadnę, niż gdybyśmy mieli wzywać do komendy.

- Jasne. Coś do picia?

– Nie, dziękuję. Mam tylko kilka pytań.

Rozejrzała się. Stała w pokoju, który można by nazwać gościnnym, ze względu na komplet wypoczynkowy – dwuosobowa sofa i dwa fotele oraz niski stolik z pomalowanego na czarno drewna. Przestrzeń w tym pomieszczeniu zdominował duży, prosty stół, na którym leżał zamknięty laptop i stały trzy wygaszone monitory oraz kilka czarnych, płaskich pudełek migających czerwonymi i zielonymi diodami. Pomieszczenie sprawiało wrażenie sterylnego. Wyglądające na niedawno malowane błękitne ściany były puste. Nigdzie nie widziała żadnych przypadkowych rzeczy, brak było jakichkolwiek ozdób. Na pokrytej szarą wykładziną podłodze nie dało się dostrzec najmniejszej plamki ani okrucha. Kable przy biurku nie tworzyły zwykłej plątaniny, ale ujarzmione zostały w kilku równo ułożonych peszlach. Jak pokazowe biuro, nie mieszkanie.

Usiadła na wskazanym przez Kuźniara fotelu w salonie, wyjęła notes i swoim zwyczajem zanotowała na czystej stronie datę, godzinę i nazwisko.

– Czy coś nowego wiadomo w sprawie Joanny, bo rozumiem, że to panią sprowadza?

– Gromadzimy informacje – powiedziała. – Zaczniemy może od tego, co pan robił w niedzielę ósmego marca.

– Tak jak już mówiłem pani koledze, byłem na kongresie, spałem do późna, gdzieś do południa. Odsypiałem sobotnią imprezę. Potem wróciłem do domu i pracowałem. Wieczorem poszedłem na piwo z kolegą. Jego nazwisko już podawałem.

– Czym pan się zajmuje?

Kuźniar westchnął.

– Jestem informatykiem, piszę oprogramowania.

– Dla kogo?

– Dostaję zlecenia od różnych firm. Nie pracuję na etacie. Jestem freelancerem.

– A co robił pan w sobotę, siódmego marca?

– Czy naprawdę konieczne jest powtarzanie wszystkiego w kółko? Byłem na kongresie. Od piątku wieczorem.

Agnieszka notowała, choć pamiętała z protokołu przesłuchania te same informacje. Traktowała to jako rozgrzewkę.

– W jakich okolicznościach poznaliście się z Joanną?

– To było jeszcze na studiach. Byliśmy na różnych uczelniach – ona na prawie na UW, ja na informatyce na politechnice. Wpadliśmy na siebie po imprezie w klubie studenckim.

– Wpadliście na siebie?

– No, niedosłownie. – Uśmiechnął się. – Wyszedłem z koncertu, a ona stała przed klubem, zdenerwowana, bo zgubiła portfel. Zaproponowałem, że ją odeskortuję do domu. Taki był początek. Zaczęliśmy się spotykać. Rok po tym, jak skończyła studia, zamieszkaliśmy razem, planowaliśmy ślub.

– Ale skończyło się. Dlaczego?

Lewa powieka Kuźniara zamigotała tikiem. Potarł skrzydełka nosa, a Agnieszce zapaliła się lampka ostrzegawcza. Mimowolne dotykanie twarzy to znak, że przesłuchiwany może zaczynać kłamać. Albo objaw zakłopotania. W sumie nic dziwnego, skoro dotknęła tak intymnego tematu.

– To nie stało się od razu. Jakiś rok temu się zmieniła. Stała się nieobecna, tajemnicza, zupełnie inna niż wcześniej. – Przerwał, jakby czekał na dalsze pytania, ale Agnieszka się nie odezwała. Chciała, żeby opowiedział to sam, bez naprowadzania.

– Zaczęły zdarzać się kłótnie, ja odpłynąłem w pracę. Przegapiłem moment, w którym można było to jeszcze naprawić. Kiedy zaczęła zostawać do późna w nocy w pracy – w ubiegłe wakacje – przestaliśmy się prawie widywać. Któregoś dnia, po kolejnej kłótni zakomunikowała, że to koniec i że mam się wyprowadzić. Tak

zrobiłem. We wrzeźniu zamieszkałem tutaj.

– To niedaleko od jej mieszkania. Trzy, cztery kilometry...

– Tak, szukałem mieszkania w pobliżu. Miałem nadzieję, że jej minie. Przez jakiś czas próbowałem, ale nie odpowiadała, więc dałem sobie spokój. Tak czasami bywa. A teraz to zaginięcie...

Głos Kuśniara zaczął się łamać. Agnieszka nie chciała, żeby się teraz rozkleił.

– Kiedy widział pan ostatnio Joannę Szymalak? – zapytała sucho.

Pociągnął nosem.

– W styczniu. Spotkaliśmy się w sklepie. Chwilę rozmawialiśmy – „Co u ciebie?“, „Jak w pracy?“, „Co robisz w ferie?“ – taka tam zdawkowa rozmowa.

– A od tamtego czasu nie widział jej pan? Nawet przelotnie – na ulicy, w mieście, sklepie?

– Nie, nie widziałem.

– Czyli nie zostaliście przyjaciółmi, nie utrzymywaliście kontaktu?

– Asia najwyraźniej nie chciała, nie czuła potrzeby.

– Czy miała kogoś?

Kuśniar milczał przez chwilę, patrząc w podłogę.

– Prawdę mówiąc, nie wiem. Zmieniła się tak nagle. Wyglądało na to, że z kimś się związała – późne powroty z pracy, wyjścia nie wiadomo dokąd. Czułem, że zacząłem jej zawadzać. Z drugiej strony myślę, że powiedziałyby mi, gdyby chodziło o innego mężczyznę. W każdym razie powinna – przecież spędziliśmy ze sobą ładnych kilka lat.

– Pan ułożył już sobie nowe życie?

– Tak, minęło już wystarczająco dużo czasu.

– Kim jest pańska obecna partnerka... – Zerknęła do notatek. – Pani Aurelia?

– Ona nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. Nie chcę, żeby była nagabywana przez policję.

– Okej, rozumiem. – Agnieszka zamknęła notes.

– Zajmuje się księgowością – dodał już spokojnie, jakby chciał się zrewanżować za okazaną empatię.

Skinęła głową w podzięcie.

– Mam jeszcze jedno pytanie. Czy mówi coś panu imię Angel?

– Nie, pierwsze słyszę – odpowiedział bez zastanowienia.

– W takim razie to wszystko. – Podniosła się.

– Czy coś w ogóle wiadomo o Joannie? – Kuśniar wrócił do swojego początkowego pytania.

– Jesteśmy na dobrej drodze, żeby wyjaśnić tę sprawę. – Agnieszka zdziwiła się, skąd w jej głosie wzięło się tyle pewności. Czyżby podświadomie zaczęła zaklinać rzeczywistość?

Michał przyjechał wcześniej. Sądził, że nikogo jeszcze nie będzie, ale nie, w otwartej przestrzeni biura siedział jeden z młodych prawników. Michał zatrzymał się w korytarzu i patrzył, jak tamten ze słuchawkami na uszach, obłożony papierami i kodeksami, pisał coś na laptopie, głośno stukając w klawisze. Palcom brakowało jeszcze tej nabywanej z kolejnymi tysiącami zapisanych stron wprawy, polegającej na minimalizacji ruchów i precyzyjnym dozowaniu siły nacisku opuszek na guziki klawiatury. Może potrafił tak pisać, ale dał się ponieść muzyce? A może to treść wzbudzała emocje? Siedział od rana, czyżby gonił go termin? Apelacja? Michał sporo ich wytworzył w czasie, kiedy wiódł jeszcze życie prawdziwego prawnika, a nie menedżera i sprzedawcy. W apelacji każde zdanie miało być pchnięciem sztyletem kompetencji w miękkie podbrzusze uzasadnienia wyroku sądu. Na koniec dekapitacja argumentów niższej instancji: „W związku z powyższym nie ulega wątpliwości, że wyrok wydano z rażącym naruszeniem prawa” i powrót do *petitum* – że wyrok uchylić... że w całości... że prawo... że sprawiedliwość...

Michał uśmiechnął się i ruszył do swojego pokoju. Przyszedł wcześniej, bo chciał w spokoju raz jeszcze przemyśleć strategię dla M-Construct. Później nie będzie miał do tego głowy. Około dziesiątej spodziewał się gości, którzy zadbają, żeby przez kilka dni poświęcał im całą uwagę.

Kiedy poinformował Jacewicza o podchodach pod przejęcie jego firmy, ten zaproponował spacer. Dołączył do nich Kociewski – zaufany członek zarządu do spraw finansowych. Właściwie przeszli tylko do restauracji kilka ulic dalej, gdzie zasiedli we trójkę w oddzielnym, zamykanym pokoju.

Jak tylko wyszedł kelner, który przyniósł napoje i słone przekąski, Jacewicz wygłosił bogatą w epitety tyradę na temat Wintera i jego planów. Kiedy opadły pierwsze emocje, Michał przedstawił spodziewany przebieg wydarzeń. Wkrótce Radmes albo ich specjalna spółka ogłosi wezwanie do sprzedaży akcji M-Construct. Zapisy zaczną się za dwa, trzy tygodnie od wezwania i potrwają, powiedzmy, miesiąc. Prawdopodobnie rozmawiają, a może są już umówieni z akcjonariuszami, którzy zadeklarowali gotowość zbycia akcji.

– Dlaczego nie odezwali się do mnie? – zapytał Jacewicz.

– A chce pan sprzedać swoje akcje?

– Nigdy w życiu!

– No właśnie. Słusznie założyli, że po dobroci się z panem i rodziną nie dogadają. W takiej sytuacji ujawnianie planu przejęcia byłoby nieroztropne – dawaliby panu czas na przygotowanie i przedsięwzięcie działań obronnych. Dla was – Jacewiczów – przygotowali inną zachętę, a właściwie straszak – możliwe wypowiedzenie kredytu przez bank.

– Skurwysyny! – Jacewicz rozszerzył zarzut złego prowadzenia się matek z ludźmi Wintera na bankierów. – Co możemy zrobić? Czy w ogóle coś można teraz zrobić?

– Mamy do dyspozycji pewien repertuar działań.

Omówili możliwości, jakie daje zmiana statutu, ale Jacewicz nie widział szans przepchnięcia tego przez walne. Oczy zaświeciły mu się przy pomysłach ofensywnych. Spodobał się zwłaszcza „Biały rycerz” – na dzień przed końcem

zapisów na akcje umówiona firma ogłasza kontrwezwanie – z wyższą oferowaną ceną.

– Najważniejsze jest, żeby nie wykonywać nerwowych ruchów – powiedział z naciskiem Michał. – Chodzi mi zwłaszcza o pana krewnych. Niech nawet w myślach nie dotykają swoich akcji i ignorują wszelkie propozycje spotkań – nie tylko od Wintera, ale też od doradców inwestycyjnych oraz prawników, którzy będą podkreślać swoją niezależność. Jedność rodzinnego akcjonariatu jest najistotniejsza dla powodzenia obrony, więc druga strona z pewnością podejmie próbę jej rozbicia.

Uśmiechnął się na wspomnienie reakcji Jacewicza, który prawie obraził się za dopuszczenie sugestii, że rodzina nie stanie za nim murem.

No cóż, wkrótce przyjdzie przekonać się o wartości tych więzów. Usiadł za biurkiem i zaczął rozrysowywać możliwe scenariusze dla M-Construct.

Po kilku minutach zmiął kartkę i rzucił do kosza. Bez treści wezwania to wróżenie z fusów. Spojrzał na zegarek. Jeszcze przez dwie godziny był panem sytuacji.

Podszedł do okna. Po kamienicy na terenie budowy Radmesa nie było już śladu. Teraz trwały prace nad przygotowaniem wykopu. Przez chwilę patrzył na manewry specjalistycznych koparek, które zanurzały w ziemię wąskie łyżki na długich łańcuchach, wyciągały z dołu ociekające wodą porcje ziemi i zrzucały je na wywrotki. Woda lała się z otworów w burtach samochodów, mokry ślad ciągnął się wzdłuż całego pasa jezdni, którym auta wyjeżdżały z placu budowy.

*

Realizacja wypracowanego z udziałem kierownictwa lokalnej praktyki planu naprawczego powinna być ściśle monitorowana w celu zwiększenia szans jego powodzenia .

Michał patrzył na ostatnie zdanie memorandum podsumowującego audyt i zastanawiał się, co to dla niego oznacza. Podpisał się pod tym dokumentem, bo ogólna wymowa raportu nie wydawała się niekorzystna. Owszem, opisywano niezadowolające wyniki finansowe, ale nie szczędzono też słów do opisanie obiektywnych przyczyn zapaści. Zadał, żeby narracja skupiała się na działaniach naprawczych, które już przedsięwziął szef oddziału.

Audyt trwał cztery dni. Michał przyjeżdżał wcześniej do biura i pił poranną kawę z dawno niezaznaną przyjemnością. Witał się z każdym z pracowników kancelarii i zagadywał z uśmiechem. Nawet jeśli początkowo załoga odczuwała niepokój w związku z wizytacją z Londynu, to dobry nastrój Michała, jego energia i pewność siebie w kontaktach z kontrolerami dawały poczucie, że sprawy mają się dobrze.

Z Londynu przyjechało troje ludzi, wśród których pierwsze skrzypce grał Mike Stetson – szpakowaty, dystyngowany partner z londyńskiego biura. Taka była zasada tych kontroli – partner z odpowiednio dużym doświadczeniem mógł właściwie ocenić sytuację i zaproponować odpowiednie postępowanie.

Przydzielił ekipie jedną z sali konferencyjnych. Sąsiednia zarezerwowana była na spotkanie. Wszystko odbywało się w przyjacielskiej atmosferze. Już na pierwszym

spotkaniu Stetson zapewnił, że przyjechali po to tylko, żeby pomóc Michałowi zdiagnozować problemy i wspólnie zastanowić się, jak im zaradzić. Michał nie wierzył w ani jedno jego słowo. Nie dlatego, że tamten kłamał, ale z powodu świadomości, iż język używany przez rodowitych Anglików zawiera inne znaczenia, niż wydaje się to tym, którzy angielski poznali w szkole. Michał zbyt długo funkcjonował w tej organizacji, aby nie zdawać sobie sprawy, że kiedy partner z Anglii ofiarowuje pomoc, to ma na myśli wtrącenie do Tower i kapturowy sąd starszych. Mail, który szef szefów roześle po wszystkim, będzie zawierał wiele miłych słów, a jego wymowa będzie czytelna: „Oto jest głowa tego, który rozczarował nas osiąganymi wynikami”.

Któregoś razu, kiedy zostali sam na sam, Stetson podjął temat Joanny.

– Mieliśmy w londyńskim biurze podobny przypadek. Josh O’Brian. Pracowałem z nim. Świetny prawnik i kandydat do promocji partnerskiej. Któregoś dnia wyszedł ze spotkania z klientem i zniknął bez śladu. Policja i rodzina szukały go przez tydzień. Odnalazł się w nadmorskim pensjonacie w Weymouth w Dorset. Wcześniej kilka razy byli tam latem z żoną i synem. Znalazła go gospodyni. Powiesił się w łazience. Nie zostawił listu. Nie miał kłopotów finansowych ani rodzinnych. Kilka dni wcześniej rozmawialiśmy o planach na zimową przerwę świąteczną. Czasami coś się człowiekowi nagle przestawia. – Zadumał się. – Czy policja ustaliła coś w sprawie Joanny?

– Zdaje się, że jeszcze nie.

Stetson pokręcił głową.

– Chciałbym, żeby to się dobrze skończyło.

– Ja również.

– Właściwie... – zaczął Stetson, sięgając do teczki. – To dobry moment, żebyśmy poruszyli zagadnienia *health and safety*.

– A niby po co? – zdziwił się Michał.

Stetson wyjął z torby zszyty plik kilkunastu kartek.

– Michael, to nie jest zagadnienie ściśle związane z przeglądem praktyki. Niby zalecenia i instrukcje mówią, że należałoby to uwzględnić, ale z tego, co wiem, tylko ja tak robię. Weź to do domu, przejrzyj, wypełnij, zrób samoocenę. Mamy centralne programy, które wykazują wysoką skuteczność w takich sprawach.

– O co chodzi?

Stetson odwrócił dokument i przesunął w stronę Michała.

– Co to ma być?

– To ankieta dotycząca zachowań ryzykownych i uzależnień.

– Potrafię czytać. Dlaczego niby miałbym to wypełniać?

– Oczywiście nie musisz tego robić, ale może byś chciał? Kwestionariusz wypełniasz sam dla siebie. Ani ja, ani nikt inny z firmy nigdy go nie zobaczymy. Możesz go wysłać na adres prywatnej kliniki w Oksfordzie, z którą MG ma umowę – jest na pierwszej stronie. Tam to analizują i ewentualnie, jeśli okaże się to potrzebne i będzie twoja zgoda, nawiążujecie kontakt, rozmawiacie, ustalacie plan działania. Oni

znajdują tutaj lokalnych specjalistów do prowadzenia terapii według ich programu. MG oczywiście płaci za wszystko. W Londynie kilka osób z tego korzysta. Nie sugeruję, że potrzebujesz. Po prostu ci to dają. Możesz wyrzucić do kosza.

– To dosyć upokarzające, nie sądzisz?

– Nie, nie uważam tak. Trochę już widziałem w życiu. Nikt z nas nie jest święty. Praca u nas to wysokie zarobki, duży stres i czasami ostra zabawa – niektórzy tak odreagowują. Wiesz, Michael, nie jest tak, jak myślisz, nie chodzi jedynie o reputację firmy. To również kwestia odpowiedzialności za pracowników i ich rodziny. Gdybyśmy byli koncernem górniczym, nie zdziwiłby cię zakładowy program zapobiegania i leczenia pylicy. W naszej branży ludzie cierpią na inny rodzaj chorób zawodowych. Po prostu.

– Nie wierzę w matczyną troskę firmy, żadnej firmy. To korporacyjna ściema.

Stetson uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Jak uważasz, ale zostawiam to i zrób, co uważasz za stosowne. Nikt w firmie nie będzie nawet wiedział, czy wysłałeś ankietę, czy nie.

Kiedy wrócił po spotkaniu do swojego gabinetu, przekartkował dokument i zanim cisnął go do kosza, stwierdził, że przypomina testy, których pełno w internecie. Z ciekawości wypełnił kiedyś kilka z nich. Gdyby uznał, że są czymś więcej niż zręcznym narzędziem do naganiania terapeutom klientów, musiałby zacząć patrzeć na siebie jako na pogrążonego w głębokiej depresji alkoholika, do czego było mu jeszcze daleko. Tak sądził.

*

Spotkania, warsztaty, codzienne wyjścia na lunch sprawiły, że dni audytu minęły szybko. Zuza wraz z drugą asystentką biegały z segregatorami i teczkami klientów na trasie archiwum – sala konferencyjna i z powrotem. Ze specjalnego pokoju, gdzie stała wysokonakładowa maszyna kserograficzna dochodził nieustanny szum. Michał kilka razy zebrał Marka i Krzysztofa na narady w swoim pokoju, gdzie ustalali, co każdy z nich do tej pory powiedział i co jeszcze należy powiedzieć dla zachowania spójności przekazu.

Zamieszanie, ekscytacja i wrażenie, że bierze się udział w wyjątkowym przedsięwzięciu – wszystko to trwało jeszcze może przez godzinę po tym, jak goście opuścili biuro wraz z kompletem dowodów w sprawie o rozstrzygnięcie dalszej kariery Michała. Teraz zapanowała zupełna cisza, która niosła niepokój. Michał odłożył swoją kopię raportu z audytu na biurko, założył ręce za głowę i spojrzął w okno.

Zgodnie z logiką działania korporacji powinien jak najszybciej poszukać sojuszników wśród partnerów w Londynie. Odpowiednio wysoko postawieni ludzie mogliby przy jakiejś okazji zagadnąć Connora o biuro w Warszawie i szepnąć kilka ciepłych słów o Michale – że miał sukcesy na trudnym, nowym rynku... że obiecujący... że lojalny... Problem w tym, iż jedyny człowiek, którego mógłby o coś takiego poprosić (z powodu więzi przyjaźni zadzierzgniętej w czasie pewnej długiej

nocy w Warszawie), rok temu wraz z grupą współpracowników odszedł z MG do konkurencyjnej kancelarii. Nie miał pojęcia, co Stetson przedstawi Connorowi. Słowa przy pożegnaniu napawały optymizmem, ale zapewne zawsze takie są.

Rozejrzał się po pokoju, zastanawiając się, ile czasu potrzebowaliby na spakowanie swoich rzeczy.

*

Kiedy Agnieszka się obudziła, poczuła, że z lewą ręką nie jest dobrze. Przez chwilę łudziła się, że może trzymała ją we śnie nad głową i dlatego zdrętwiała. Nie, to było to – lewe oko zasnutę mgłą, ledwo nim widziała. I nastrój pełzający przy dnie. Jednym słowem – kilka dni w plecach.

Usiadła na skraju łóżka i zwiesiła głowę. To gówny przychodziło zawsze, kiedy ona musiała być w formie. Za dwa dni test okresowy. Ścieżka na sali gimnastycznej i strzelnica. W tym stanie nie zdołałaby przejść toru przeszkód w wyznaczonym czasie, nawet gdyby miała się tylko przespacerować po trasie, trafiając między właściwe tyczki, a co dopiero przewroty, skoki przez przeszkody i dźwiganie manekina. Przy lewej ręce pozbawionej siły nawet nie powinna tykać broni. Może dałaby radę, ale groziłoby to oddaniem dziesięciu strzałów w ziemię, dwa metry poniżej tarczy. Celny strzał z jednej ręki to tylko w filmach.

Czym się w ogóle martwiła? Kilkadziesiąt procent policjantów w tym kraju przez lata wykpiwa się z testu zwolnieniem lekarskim. Jej problemem nie było wprawdzie brzuszysko uniemożliwiające sięgnięcie dłońmi do kolan, ale jakie to ma znaczenie? Zwolnienie to zwolnienie, trzeba sobie załatwić.

Chociaż była to zbrodnia na domowym budzecie, zamówiła taksówkę do szpitala MSW. Zarejestrowała się w przychodni i usiadła pod wyznaczonym gabinetem. Prawą dłonią ułożyła osłabioną rękę na kolanie. Przekręciła do pozycji na łódeczkę i ujęła od spodu. Zdawało jej się, że trzyma obcą dłoń.

Lekarz nie był zbyt dociekliwy, jak zwykle.

– Zwolnienie z testu? Nie chce się biegać czy coś się dzieje? – Zapatrzony w ekran komputera niewprawnie stukał w klawiaturę.

– Nadwyrężyłam rękę przy ćwiczeniach. Zdarza mi się. To taka nawracająca kontuzja.

– No właśnie widzę. To już któryś raz. – Poruszył myszką. – Pomogła ostatnio ta maść?

– Tak, tak! Właśnie miałam o nią poprosić, tylko nie pamiętam nazwy.

– Wypiszę receptę. – Powrócił do stukania w klawisze. – Przydałaby się może konsultacja ortopedyczna?

– Nie bardzo mam czas, a poza tym to zawsze w końcu przechodzi.

Zaszumiała drukarka. Lekarz podpisał receptę i przystawił pieczętkę.

– Proszę smarować trzy–cztery razy dziennie i oszczędzać rękę. Najlepiej zawiesić na temblaku. Dostanie pani w każdej aptece. Kosztuje grosze. Tydzień zwolnienia wystarczy? – Podsunął w jej stronę receptę, a ona z trudnością trafiła dłonią we

właściwe miejsce w przestrzeni. Lewe oko stało się bezużyteczne. Zaczynało boleć. Jasna cholera!

Wyszła ze szpitala i wyrzuciła receptę do pierwszego napotkanego kosza. Mazidłami można sobie smarować cellulit na tyłku. Potrzebowała skutecznego lekarstwa.

Pojechała autobusem do komendy i wstąpiła do Maciurskiego, żeby powiedzieć mu o zwolnieniu.

– I tak nic się nie dzieje. Nie oczekuję w tym tygodniu przełomu w naszej sprawie – ocenił znad gazety. – I w żadnej innej sprawie.

Trzymając się kurczowo poręczy, zeszła na pierwsze piętro. Zajrzała do pokoju kryminalnych. Na szczęście Arab akurat nie biegał po mieście. Siedział za biurkiem i przeglądał coś w internecie. Oprócz niego w pokoju nie było nikogo.

– Dżaga! Ej! Wyglądasz nieszczególnie. Robiłaś w nocy? Możesz się kimnąć. – Wskazał ręką kąt pokoju, gdzie pod ścianą stało łóżko polowe. – U nas dzisiaj melanż.

– Masz chwilę? Może pójdziemy na spacer?

Puścił do niej oko.

– Daj mi dziesięć minut. Poczekaj przy spożywcza.

Usiadła na ławce w pobliżu sklepu. Wkrótce zobaczyła, jak Arab nadchodzi – drobny, gibki, bez wątpienia przystojny. Odkąd go poznała, jeszcze kiedy pracowała w prewencji, nosił starannie utrzymany zarost na hiszpańską modłę, co pasowało do czarnych włosów i sniadej cery, którą dostał po ojcu Irakijczyk. Ciuchy kupował w lumpeksach, bo uważał, że tylko tam można znaleźć coś naprawdę interesującego. A może tylko tak mówił, a naprawdę zaopatrywał się w markowych butikach? Nigdy nie było wiadomo, czy mówił prawdę. W każdym razie jego rozpięta szeroko pod szyją koszula nie wyglądała na produkt nadwiślańskiej manufaktury.

– Masz szczęście, bo akurat wczoraj przyjechał orient express. Robiliśmy obławę na gówniarzerię. Koniec kwartału i trzeba podreperować statystyki, co nie? Robisz domówkę? Może mnie kiedyś zaprosisz? – Wsunął do jej otwartej torebki zwiniętą gazetę. – Świetnie tańczę: salsa, merengue, co tam lubisz.

– Dzięki, Józek, jestem ci naprawdę wdzięczna, jak zawsze. Jeśli kiedyś będę urządziła imprezę, na pewno o tobie nie zapomnę.

W domu przeszła od razu do kuchni. Musiała zdążyć przed powrotem matki z Marcinkiem. Wyjęła z torebki pakunek i odwinęła gazetę. Otworzywszy woreczek strunowy, wsypała kilka gramów marihuany do garnka. Wlała mleko i zapaliła gaz. Kiedy zawrzało, dodała masło i dużą porcję kakao. Usiadła na stołku, trzymając się dłonią za bolące oko, i co jakiś czas mieszała mleko. Po półgodzinie uznała, że wystarczy. Przecedziła gęsty wywar przez tetrową pieluchę i przelała do butelki po mineralnej. Nalała zimnej wody do zlewu, po czym czekała, aż mikstura wystygnie.

Napisała wiadomość do matki, że jest chora i kładzie się do łóżka. Z połową szklanki i resztą w butelce przeszła do sypialni. Zamknęła drzwi. Drobnymi łykami wypila ohydny w smaku oraz konsystencji płyn i weszła do pościeli. Za godzinę, dwie poczuje się lepiej. To tylko kilka dni. Żeby nie został jakiś większy deficyt. A jeśli za

którymś razem nie wróci do formy? Co będzie z pracą, z Marcinkiem? Kto się nim zaopiekuje, gdy ona zostanie inwalidką? Przecież to się tak skończy, nie ma się co oszukiwać. Okresy remisji się skróciły. Po pierwszym razie nic się nie działo przez kilka lat. Zdała maturę, skończyła szkołę policyjną i zaczęła służbę. Prawie zapomniała. Potem wracało co dwa, trzy lata. Odkąd Marcinek skończył rok, rzuty przychodziły częściej: raz, dwa razy do roku. Miała wrażenie, że coś po nich zostaje – coraz słabsza ręka i to niemożliwe już do opanowania drżenie dłoni.

Dość tego! Trzeba wprawić się w dobry nastrój, żeby nie dostać zaraz jakiejś schizy. Ten Tumski patrzył na nią w taki szczególny sposób. Pracowała wśród facetów i nieraz była obiektem zainteresowania, ale raczej jak samica wśród neandertalczyków. Nie, Tumski patrzył inaczej. Coś jak ten Jarek w siódmej klasie. Po feriach zimowych, gdziekolwiek się zwróciła, napotykała jego wzrok, czujny i smutny. Nigdy się nie uśmiechnął, chociaż ona czasami, tak dla zabawy, uśmiechała się do niego. Może zachęcony tym, zebrał się na odwagę i przyszedł któregoś wieczora do niej do domu. Stał na korytarzu, kiedy otworzyła drzwi.

– Cześć, pójdziesz ze mną do kina? Grają *Gliniarza z Beverly Hills* .

Tak ją to zaskoczyło, że przez dłuższą chwilę nie odpowiadała. A potem, kiedy miała już się wykręcić nieodrobioną pracą domową, dalej nie mówiła nic, bo on zaczął dziwnie podrygiwać, pociągać nosem, a policzki pokryły mu się szkarłatnymi plamami.

– No to szkoda. Cześć! – Odwrócił się i pędem zbiegł po schodach.

To zdarzenie wydało jej się z początku zabawne, ale kiedy w szkole nie dostrzegała już zapatrzonego w nią Jarka, poczuła żal. Nie to, że lubiła go jakoś szczególnie, lecz było jej szkoda, że stracił nią zainteresowanie. Taka próżność małej kobiety.

Nagle w głowie poczuła delikatne „pyk”. Pękła bańka, z której wypłynął słodki eliksir. Odetchnęła głęboko i usta same rozciągnęły się w uśmiechu, kiedy wędrująca połączeniami nerwowymi błogość rozlewała się po całym ciele. Dotarła do oka i otuliła je chłodnym kompresem. Wspomnienie spojrzeń Jarka zlało się w jedno z wyobrażeniami na temat Tumskiego. Kobiety same wybierają sobie mężczyzn. Odbierają sekretne sygnały i odpowiadają na te, na które chcą. Odepchnęła od siebie wspomnienie początku znajomości z Adamem. Wykonał kiedyś pierwszy krok i położył dłoń na jej udzie, niezgodnie z zasadami. Poszedł na skróty. Najpierw powinny być spojrzenia, rozmowy, a potem ona, jeśli by zechciała, sama wzięłaby go za rękę albo od razu chwyciła za rozporek.

Wzory na firanie śmiały się do niej teraz refleksami rozproszonego światła. Chichotała do nich, zdziwiona, że zwykły nylon potrafi być takim świetnym kompanem babskich pogaduszek.

Na chwilę otrzeźwiała, słysząc, że mama wróciła z Marcinkiem i krzątają się w przedpokoju. Schowała się pod kołdrą i parskała śmiechem na myśl o zabawie w chowanego.

– Mamo! – W głosie Marcinka, który wparował do pokoju, usłyszała niepokój, więc wystawiła stopę spod kołdry, żeby dać znak życia.

– Babcia mówiła, że jesteś chora. Ale wyzdrowiejesz, prawda? – spytał.

– Jasne! – powiedziała spod przykrycia i pokręciła stopą. Gryzła pościel, żeby się nie roześmiać. Boże! Co za towar dał jej Arab!

– Mamo, chcę cię zobaczyć! – Zaniepokojony podszedł do łóżka i zaczął szarpać skraj kołdry, ale Agnieszka trzymała go kurczowo.

– Nie mogę – zadudniła. – Bo to jest choroba, którą mógłbyś się zarazić.

– A jak ta choroba się nazywa?

– Rozmiękczenie, synku. – Wiła się skręcana bolesnymi spazmami śmiechu. – Rozmiękczenie skupione.

Kiedy Marcinek wyszedł, zamykając za sobą drzwi, śmiechowy haj wygasł wraz z ostatnimi skurczami przepony. Nastrój balansował chwilę na krawędzi, po czym runął w dół. Wepchnęła sobie kulę z pościeli w usta. Nie chciała, żeby usłyszeli jej wycie.

*

Było ciemno, gdy Michał wsiadał do taksówki pod blokiem. Odgłos otwieranych drzwi samochodu boleśnie przerwał ciszę. Kierowca o szarej twarzy wskazującej na nieprzespaną noc nie starał się na szczęście zabawić go rozmową. Mieszkańcy miasta zaczęli się budzić. Okna rozjaśniały się jedno po drugim, jakby bloki opanowywała rozsiana infekcja. Ulicami władały jeszcze autobusy, które za dwie godziny staną się niezgrabnymi czerwiami oblepionymi rojem osobówek.

Lotnisko już żyło, ale życiem niepełnym jeszcze, pozbawionym ekscytacji i wigoru, które przynosi dopiero pełnia poranka. Odprawa odbywała się przy nielicznych stanowiskach, kilku podróżnych kręciło bączki wyładowanymi wózkami bagażowymi, nie mogąc podjąć decyzji co do swojego dalszego losu. Na metalowych ławkach kulili się ci, dla których chwila snu warta była każdej niewygody. Przejście przez kontrolę bezpieczeństwa zajęło mu kwadrans, pracowała tylko jedna taśma. Stał w wolno posuwającym się ogonku wśród milczących ludzi o twarzach pozbawionych wyrazu i opuchniętych oczach. Plastikowe pojemniki na drobiazgi stukwały o rolki taśmy, z oddali dochodziły niemożliwe do zrozumienia wezwania pasażerów do bramek. Nie, nie mam laptopa, nie mam żadnych płynów. Chcę kawy.

Na tablicy z informacją o odlotach sprawdził bramkę i czas wejścia na pokład. Jeszcze pół godziny. Po przejściu kontroli paszportowej usiadł w pustym barze, zamówił kawę i wybrał kanapkę. Przez panoramiczne szyby terminalu obserwował, jak świt odsłania kolejne odcienie szarości spowijające świat na zewnątrz. Białe kadłuby samolotów z ogonami pomalowanymi w jaskrawe wzory przypominały egzotyczne ryby zawieszono nieruchomo w zamulonym akwarium.

Miał miejsce przy oknie, najlepsze do spania. Kiedy samolot przebił się przez chmury, kabinę rozświetliło słońce. Pomimo zmęczenia nie mógł zasnąć. Patrzył na pokłębione tumany, jakby odlane z białej masy i zastygłe między niebem a ziemią. Tak, ten, który widział je tylko z tej strony, mógł uznać, że były udane. Po co zaglądać pod spód? Wiadomo, co kryje się pod najpiękniejszym nawet dywanem.

Ta podróż to rewers tej, którą odbył przed dziesięciu laty. Wtedy też leciał na spotkanie z Brianem Connorem. Pamiętał swoje podekscytowanie, jak układał w głowie scenariusze rozmowy, obmyślał odpowiedzi na pytania, których się spodziewał, zastanawiał się nad granicą rozsądku oczekiwań co do wynagrodzenia i premii. Tak bardzo wtedy pragnął zostać szefem ich polskiego biura! Tak bardzo czegoś pragnął! Teraz to słońce ponad chmurami niosło złowieszczą zapowiedź kolejnego wielkiego kroku.

Komunikat kapitana o rozpoczęciu procedury schodzenia do lądowania doszedł go jak zza kołdry naciągniętej na głowę. Poczuł, że samolot przechylił się na skrzydło, wchodząc na krąg podejścia do lotniska. Ludzie z kontroli lotów zawsze ustawiali tu statki powietrzne na różnych poziomach prowadzącego ku ziemi wiru.

Samolot obniżał pułap, a siedmioletni Michał pędził ile sił w nogach wokół jabłoni w ogrodzie dziadków z liną oplecioną wokół dłoni. Za każdym okrążeniem sznur odkładał się na pniu i stawał się coraz krótszy, a on przyśpieszał. Wreszcie siła odśrodkowa oderwała nogi od ziemi. Upajał się sekundą lotu. Nagle uświadomił sobie, że linę ma nie w dłoniach, lecz na szyi. To nic, zaraz się zatrzyma. Nie, wirowanie się zwiększało, a on poczuł pęczniejący strach, jak wtedy, kiedy miał pięć lat i ojciec posadził go w krzeselku na łańcuchowej karuzeli. Roześmiany machał z dołu, nieświadomy, że panika zredukowała jego syna do grudki komórek, gotowej natychmiast wcisnąć się z powrotem do łona matki. Karuzela się kręciła, a na niej wielu ludzi uwiązanych za szyję. Jeszcze żyli, żartowali, popychali się, kręcili wokół własnej osi. Nie rozumieli, że niedługo pętle zaczną się zaciskać! Dobrze, że miał ten scyzoryk, prezent od dziadka na dziesiąte urodziny, wyciągnął go i zaczął gorączkowo ciąć napięty konopny splot nad głową. Uwolnił się. Wyrzuciło go wysoko ponad ciasno upakowanymi głowami czekających na swą kolej na karuzeli. Stał się nieważki i szybował nad ciągnącym się po horyzont morzem kształtnych wzgórz pokrytych soczystą zielenią. Przesuwały się po nich cienie rzadko rozrzuconych po niebie cumulusów, a lekka bryza wywoływała niebieskawe fale przebiegające po zboczach jak dreszcze. To kraina, do której wrota widział codziennie na ekranie uruchamianego komputera. Zobaczył jezioro o idealnie gładkiej, jakby odlanej z metalu tafli. To była bardziej kwestia woli niż fizyki, że zaczął opadać. Trzeba ułożyć się tak, by wejść w wodę nogami. Wyprężył się, nabrał powietrza i zacisnął powieki. Uderzenie wywołało bolesną kompresję kręgosłupa.

– Szanowni państwo, wylądowaliśmy na lotnisku Heathrow w Londynie. Jest dziesiąta dwadzieścia lokalnego czasu. Temperatura wynosi czternaście stopni Celsjusza. Kapitan Wójcik i cała załoga dziękują państwu za wspólny lot. Życzymy udanego dnia w Londynie. *Ladies and gentlemen ...*

Odczekał, aż korytarzem przejdą pasażerowie, którym się śpieszyło. Przeszli wszyscy. Wyjął teczkę ze schowka i przy wyjściu uśmiechnął się do stewardes. Jak linie lotnicze to robią, że chociaż dużo podróżował, nigdy nie spotkał drugi raz tej samej osoby z obsługi? Czy to androidy, które co kilka lotów utylizują i zastępują nowymi? Podejście po szarej wykładzinie w rękawie przyłączonym do terminalu było, jak zawsze, zaskakująco strome. Dalej to, co zwykle – kontrola paszportowa, wyjście

do hali przylotów, za taśmą spora grupa oczekujących, głównie kierowcy prezentujący kartki z nazwami firm i nazwiskami tych, na których czekali, hol, ruchome schody w dół do stacji metra, zakup biletu w automacie, minuta oczekiwania na pociąg i wolne miejsce na ławce obitej welurem.

Wysiadł jedną stację wcześniej – miał jeszcze czterdzieści minut do spotkania. Wszedł do Hyde Parku, znalazł pustą ławkę, usiadł, zamknął oczy i wystawił twarz do słońca. Odgłosy miasta sączyły się przez filtr drzew i osiadały niczym pył na jego ramionach. Jak dziwnie jest mieć czterdzieści lat i czuć się starcem, niczego nie pożądać – nie dlatego, że wszystko się ma, ale przez zrozumienie, że nic nie jest warte pożądania. Nieistotne, zbędne, nic niewnoszące, martwe rzeczy, sprawy, ludzie i on w środku tego jałowego pola na ławce – skąpanym w złocie tronie.

Cień niosącej ukojenie myśli pojawił się na skraju świadomości. Podążył za nią, ale umknęła spłoszona skupioną uwagą. Pozostawiła słodką tęsknotę, poczucie otrzymanej obietnicy.

Zaczął się właśnie zastanawiać nad źródłem nieokreślonej nadziei, kiedy w kieszeni marynarki zawibrował telefon z przypomnieniem o spotkaniu za kwadrans. Z niechęcią podniósł się z ławki. Zapewne już nigdy w życiu na niej nie usiadzie. Kolejna strata.

Londyńskie biuro MG zajmowało kilkupiętrową wiktoriańską kamienicę w zachodniej części Mayfair. Bywał tu raz w roku – na cyklicznych spotkaniach szefów krajowych praktyk. Lubił ten budynek – nowocześnie urządzony, ale z przemyconymi elementami nawiązującymi do stylu, z tapetami w kwiatowe wzory i ciężkimi zasłonami.

Asystentka wprowadziła go do sali konferencyjnej przylegającej do gabinetu szefa. Był w tym pomieszczeniu drugi raz w życiu. Nic się nie zmieniło. Na środku stał owalny stół z ciemnego drewna o pozbawionym jednej rysy blacie. Nad nim pysznił się kryształowy żyrandol. Jedną ze ścian, które pokryto malachitową tapetą, zdobił kominek wkomponowany w klasycystyczny portal. Palenisko przesłonięte było metalową płytą z wytłoczonym herbem – tarczą podtrzymywaną przez dwa lwy. We wnęce nad kominkiem na obrazie w złożonych ramach kecz walczył z falami. Przez dziesięć lat nie zbliżył się do swojego przeznaczenia ani o cal. Dno morza czy bezpieczny port? Szanse wciąż pół na pół.

Michał przeszedł po dywanie. Przeciągnął dłonią po szlachetnej skórze oparcia foteli. Stanął przy wykuszowym oknie i przyglądał się ruchowi ulicznemu.

Otworzyły się boczne drzwi, a do pokoju wszedł Brian Connor.

– Witaj, Michael! Jak się masz? Miałeś dobrą podróż?

– Cześć, Brian. Tak, dziękuję.

Connor był wysokim mężczyzną. Ze swoją sylwetką i wypielęgowaną twarzą mógłby pozować do zdjęć reklamujących drogie garnitury. Nie wyglądał na sześćdziesiąt dwa lata. Może to przez tę krew? „Zimnokrwisty sukinsyn” – tak określali go ci, którzy z nim bliżej współpracowali. Michał uważał, że to w istocie pochlebstwo. Connor nie zdobyłby swojego stanowiska i nie utrzymał się na nim przez dwanaście lat, gdyby był jedynie „prawdziwym mentorem”. Ciekawe, że

pomimo niezliczonych miesięcy spędzanych w podróży, pracy do późnych godzin, zapewne też w weekendy, miał, jak się zdaje, udane życie rodzinne – wciąż pierwszą żonę i trójkę dorosłych dzieci, z których żadne jeszcze się nie zapilo ani nie zaćpało. W każdym razie tak głosiła korporacyjna fama.

– Pewnie zastanawiasz się, po co cię ściągnąłem?

Wcale nie. Wiedział.

– Zdziwiająco dobrze pamiętam nasze pierwsze spotkanie. Ile to już lat? – ciągnął Connor.

– W czerwcu minie dziesięć.

– Pamiętasz siebie z tamtego czasu?

– Jak przez mgłę. Byłem młody.

– Ja mogę tylko powiedzieć, że byłem młodszy – zaśmiał się. – Spójrz na mnie! Wkrótce będę starcem. Ty, Michael, wciąż jesteś młody.

Jak długo Connor będzie krążył, zanim przejdzie do sedna sprawy? Postanowił mu tego nie ułatwiać.

– Wtedy, po pierwszym spotkaniu, wiedziałem, że jesteś inteligentnym człowiekiem, dobrym prawnikiem i obiecującym menedżerem. Nadal tak uważam.

– Ale? Teraz pasowałoby, gdybyś powiedział „ale”. Musi chodzić o coś ważnego, skoro mnie tu ściągnąłeś. – Michał spojrzał Connorowi w oczy.

– Przejrzałeś mnie. – Uśmiechnął się. – W takim razie... do rzeczy.

Popatrzył w okno. Kiedy odwrócił się w stronę Michała, na jego twarzy nie było już uśmiechu.

– Nie chodzi o wynik audytu warszawskiej praktyki, choć samo to wystarczyłoby, żebyśmy zaczęli rozmowę o warunkach zakończenia współpracy. Jest jednak coś więcej. Coś, czego nie jestem w stanie zrozumieć, zwłaszcza w świetle osiągniętych wyników. Otóż odrzuciłeś klienta, który chciał podjąć współpracę z kancelarią. Wsparcie w procesie przejęcia, milion dolarów wynagrodzenia plus milion za sukces – jeśli transakcja dojdzie do skutku. Musiałeś mieć powody, żeby odrzucić taką propozycję, i teraz chcę je poznać.

– Nie wiem, o czym mówisz. – Michał był zaskoczony.

– Dostałem maila od znajomego z Warszawy. Pisze o operacji, którą przedsięwzięli, trudnej, obarczonej ryzykiem. Dlatego chciał mieć przy sobie najlepszego z dostępnych na rynku prawników specjalizujących się w przejęciach – ciebie. Przesłali mi podpisaną z ich strony umowę.

– Winter...

– Tak. Dłaczego się z nim nie dogadałeś? To rozsądny człowiek.

– Manipulant. Zapewne też oszust, jeśli nie coś gorszego.

– A może jest po prostu dobry w tym, co robi? Od kiedy to oceniamy naszych klientów według miary moralności? Co się z tobą stało? Straciłeś instynkt? Dwa miliony dolarów wynagrodzenia! Tu w Londynie rzadko trafiają się takie strzały, w Stanach też.

– Uznałem, że jego propozycja jest blefem. Ze mną rozmawiał o znacznie niższej

kwocie i w pewnym momencie się wycofał.

– Nawet jeśli, to temat jest znowu na stole. Tamto nie ma już znaczenia. Podpisz umowę. To będzie głośna transakcja.

Michał patrzył na swoje dłonie. Splótł je, żeby powstrzymać drżenie.

– Nie.

– Słucham?

– Nie podpiszę umowy z Winterem. Nie mogę.

– Niby dlaczego?

– Nawiązałem już kontakt z drugą stroną, z ich celem. Zaoferowałem usługi obrony przed wrogim przejęciem.

– Tak? A ile tamci zamierzają zapłacić?

– Jeszcze nie rozmawialiśmy o wynagrodzeniu. Przesłałem im projekt umowy ze stawkami.

– Skoro nie ma umowy – nie ma tematu. Wszystko w porządku – stajesz po stronie Wintera, okej?

Michał pomyślał o ławce w parku, na której siedział ledwie kwadrans temu. Czy gdyby przychodził tam codziennie, obserwował zmiany światła, pogody, przemiany pór roku, zdołałby kiedyś przebić mur szarości? Znaleźć się tam, skąd nadszedł sygnał, że nie wszystko jest jeszcze stracone? Ten pokój, Connor, ich rozmowa... wszystko to elementy świata wywiniętego na lewą stronę – matowego, niekształtnego, pokrytego szwami i supłami. Oglądając je choćby przez całe życie, nie sposób się domyślić, jak piękna jest druga strona.

– Nie mogę. Nie chcę – poprawił się.

Connor nie wydawał się zaskoczony.

– Dobrze. W takim razie poproszę Maggie, żeby przyniosła umowę o zakończeniu współpracy za obopólną zgodą. Przejrzyj ją, proszę, tutaj. Chciałbym, żebyś podpisał przed wyjściem. Ja już podpisałem.

– A więc i tak byś mnie zwolnił? Nawet gdybym zgodził się na współpracę z Winterem?

– Tak, Michael, przykro mi. Czasami ścieżki ludzi muszą się rozejść. Jestem ci wdzięczny za to, co dałeś firmie, i wiem też, że będzie dla ciebie lepiej, jeśli spróbujesz czegoś nowego. Każdy koniec to też jakiś początek, prawda?

Connor wstał i wyciągnął rękę.

– Dziękuję ci, Michael, nie chowaj urazy.

Michał odwzajemnił uścisk.

– Nie jesteś ciekaw, kto cię zastąpi? – zapytał Connor, stojąc już w drzwiach swojego gabinetu.

– Mam to gdzieś.

– Zaproponowaliśmy twoje stanowisko Markowi. Zgodził się.

– Świetny wybór.

– Też tak myślę. Powodzenia, Michael. – Zniknął za drzwiami, zza których po

chwili wyszła jego asystentka z dokumentami.

Przejrzał umowę i złożył podpis.

Nastała pora lunchu, a wraz z nią zaczął się ruch w biurze. Ludzie rozmawiający w windzie o jakimś projekcie dla banku zdawali się przynależć do obcego klanu. Dziwne, wystarczyła godzina, żeby przestał czuć się jednym z nich.

Wyszedł z budynku i stanął na zalanej słońcem ulicy. Wciągnął głęboko powietrze. Kurz, spaliny, oddech starych murów i nuta curry dochodząca z pobliskiej restauracji – jedyna w swoim rodzaju mieszanka zapachów dostępna tylko tutaj, w Londynie. Pomyśleć, że jego bogata historia mogłaby nie zaistnieć, gdyby silna ręka pretorianina nie wyciągnęła chowającego się za kotarą konsula Klaudiusza. Imperia rządzą się swoją logiką. Mogą nawet uczynić cesarzem wydrwiwanego jakaś. Michał dołączył do rzeszy tych, na których to miasto odcisnęło swoje imperialne piętno. Kiedyś dostał tu pracę, teraz ją stracił.

Skierował kroki do metra. Nie lubił lotnisk, a miał jeszcze kilka godzin do odlotu. Wysiadł na stacji Earl's Court. Tutaj miasto miało inny charakter. Węższe ulice i niższe, najwyżej trzypiętrowe budynki. Po drugiej stronie ulicy, na prawo od stacji znajdował się pub, jeden z jego ulubionych. Większość z kilku wystawionych na chodnik stolików okupował typowy zestaw wczesnopopołudniowych gości – starsi mężczyźni, nieogoleni, z dawno nieprzycinanymi włosami. Lokalni, sądząc po niepozabawionych arystokratycznego rysu twarzach oraz młodzi o słowiańskiej urodzie – może Polacy, którzy trwali w oczekiwaniu na odmianę losu.

Wszedł do środka i zamówił lagera. Usiadł przy wolnym stoliku na zewnątrz. Wyjął telefon i zadzwonił do Zuzy. Nie należało zwlekać z ogłoszeniem nowiny, wkrótce i tak pojawią się plotki. Nie mówiąc, o co chodzi, poprosił ją o zwołanie nazajutrz w południe spotkania całej firmy. Drugie połączenie wykonał do Horodyńskiego. Jemu powiedział. Ten, zaskoczony, stwierdził tylko, że rano przed pracą wpadnie do Michała, aby omówić sytuację.

Kiedy zakończył rozmowy, skosztował piwa i zapatrzył się na zgrabną fasadę budynku stacji pokrytą wypolerowanymi fajansowymi płytkami. Wkrótce i on, jak miliony ludzi przed nim w ciągu z górą stu lat istnienia tego dworca, przejdzie przez tę bramę pod dużym, półokrągłym oknem, aby rozpocząć podróż. To dobry czas do namysłu. Trzeba zastanowić się nad konsekwencjami zmiany.

*

Następnego dnia Michał wstał wcześniej niż zwykle. Wziął prysznic, starannie się ogolił i uczesał.

Stanął przed otwartą szafą i przesuwał wieszaki. Zdecydował się na prążkowany garnitur w kolorze navy blue. Skontrolował wygląd w lustrze w przedpokoju. Poprawił ułożenie poszetki.

Rozległ się sygnał domofonu.

– Aleś się odpicował – powiedział w progu Horodyński, obrzucając Michała spojrzeniem.

– Jest okazja. Niech takim mnie zapamiętają.

Usiedli na fotelach w salonie. Michał streścił swoją rozmowę z Connorem.

– Maczał w tym palce Winter. Nie wiem, czy sprawy potoczyłyby się tak szybko, gdyby nie zrobił tego ruchu w kierunku Connora. Swoją drogą, to było bardzo sprytnie. Skoro nie mógł przeciągnąć mnie na swoją stronę tutaj, założył dźwignię przez Londyn. Zapewne kalkulował, że Connor nakłoni mnie do współpracy – wtedy osiągnąłby swój cel cudzymi rękami. Moje zwolnienie też nie jest dla niego najgorszym rozwiązaniem, choć zapewne mniej korzystnym.

– Dlaczego?

– Wiesz, jak jest – przyjaciół trzeba mieć blisko siebie, ale wrogów jeszcze bliżej. Wolałby, żebym został w kancelarii i pracował dla niego, miałby mnie wtedy pod kontrolą. Interes klienta, niezależność, tajemnica adwokacka – te sprawy zawsze mógłby rozgrywać. W obecnej sytuacji dobre dla Wintera jest, to, że staję się człowiekiem z zewnątrz. Tracę dostęp do dokumentów i możliwość prowadzenia oficjalnych, wspartych autorytetem i marką firmy działań przeciwko jego interesom. Teraz MG, założę się, zacznie z nim współpracę albo stanie z boku w sprawie przejęcia M-Construct. Ale Winter stracił w wyniku zwolnienia mnie kontrolę nad moimi działaniami. Jestem teraz wolny i teoretycznie mogę przejść do wrogiego obozu.

– I co? Zamierzasz to zrobić?

– Jeszcze nie wiem. – Michał przyjrzał się Horodyńskiemu. – Myślałem, że będziesz mnie pytał, jak się czuję, w czym możesz mi pomóc, a ty drążysz temat Wintera.

Horodyński przyglądał wąsy.

– Widzę, że nie trzeba cię pocieszać. Trzymasz się zastanawiająco dobrze. Prawdę mówiąc... – Zatoczył dłonią łuk. – Wyglądasz znacznie lepiej niż w ciągu kilku ostatnich lat. I nie mam na myśli tylko stroju.

Michał roześmiał się.

– Co cię nie zabije, to cię wzmocni. Zerwałem się z łańcucha i poczułem wolność.

– Życzę ci, żebyś spożytkował ją właściwie. – Dźwignął się z fotela. – Na mnie już pora. Przed spotkaniem w biurze mam jeszcze coś do załatwienia. Widzimy się o dwunastej.

Po wyjściu Horodyńskiego Michał zastanawiał się jeszcze przez chwilę nad jego ostatnimi słowami. Czy i on obawiał się o dalszy los swojej współpracy z MG? W końcu nie wiadomo, czy Marek będzie chciał ją kontynuować na obecnych zasadach. A jednak chodziło chyba o coś innego. Czyżby Horodyński niepokoił się, co Michał może zrobić z odzyskaną wolnością? Bał się, czy nie zamknie się w czterech ścianach z zapasem whisky na rok picia?

Niepotrzebnie. Może i zachowywał się inaczej, ale dobry nastrój nie był spowodowany wizją możliwości pograżenia się w abnegacji, lecz ekscytacją nadchodzącą rozgrywką. Wczoraj późnym wieczorem, kiedy wrócił do domu, podjął decyzję. Winter być może wygrał potyczkę, ale Michał Tumski nie zamierzał uznać,

że przegrał wojnę. Oprócz jego osobistej sprawy pozostawała wciąż do wyjaśnienia sprawa zaginięcia Joanny. Był pewny, że te dwie historie się łączą.

Jeszcze raz przejrzał się w lustrze. W porządku – prawnik w stroju galowym w drodze na ostatnie firmowe spotkanie. Uśmiechnął się do myśli, że jest prawie jak oficer, który usiądzie zaraz za biurkiem z ciemnego drewna, złotym piórem nakreśli odręcznie kilka słów na kartce papeterii, wyjmie z szuflady rewolwer i palnie sobie w łeb.

*

Poszło łatwiej, niż się spodziewał. Największa sala konferencyjna wypełniona była po brzegi. Ludzie zajmowali wszystkie krzesła i stali pod ścianami. Nie miał tremy, mówił pewnym głosem, trzymał kontakt wzrokowy. Nie bez satysfakcji zauważył szmer poruszenia, jakie wywołały jego pierwsze słowa o zakończeniu współpracy z kancelarią. Podziękował za współpracę, namaścił Marka na następcę, podkreślając jego osiągnięcia i poklepując po plecach, życzył jemu i pozostałym wielu sukcesów. W dziesięć minut zamknął za sobą dziesięć lat życia.

Wrócił do swojego gabinetu i rozejrzał się. Niewiele miał tu osobistych rzeczy, tylko jakieś szpargały. Zgarnął do kartonu wszystkie ułożone na stosach wizytówki, walające się wszędzie nośniki pamięci USB, pióra i notatniki. Schował też kilka przygotowanych wcześniej kopii dokumentów – swoich specjalnych pełnomocnictw z całego okresu pracy dla MG i uchwał zgromadzenia wspólników, zatwierdzających sprawozdania finansowe, kwitujące jego coroczną kadencję jako prezesa zarządu i potwierdzające wybór na następną. Nigdy nie wiadomo, czy za jakiś czas komuś nie przyjdzie do głowy pozwać go o niegospodarność.

Kiedy zaczął przeglądać szuflady biurka, sprawdzając, czy nie zostało tam nic interesującego, rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę! – rzucił.

To była Zuza.

– Mogę? – zapytała, uchylając drzwi.

– Jasne. – Michał nie przerwał wyjmowania na biurko zawartości kolejnych szuflad.

Zuza usiadła na kanapie i w ciszy przyglądała się krzątającemu się Michałowi.

– Może chciałbyś jeszcze jeden pieprzony karton?

Przerwał i spojrział na nią. Nigdy wcześniej się tak do niego nie zwracała. Może chodziło o to, że formalnie nie był już jej szefem?

– Rzeczywiście, przydałby się – powiedział, oceniając rozmiar sterty zgromadzonej na biurku.

– Co ty właściwie sobie myślisz? Że po tych wszystkich latach po prostu wyjdiesz bez słowa? – Na twarz wypłynął jej rumieniec, a w ciemnych oczach zamigotały refleksy jak na obsydianowym ostrzu.

Michał opadł na fotel i odwrócił twarz w stronę okna.

– Zuza, to nie tak. Ja po prostu muszę teraz odejść. To nie była tylko moja

decyzja.

Wzięła kilka głębszych oddechów i odchyliła głowę do tyłu, jakby nie chciała, żeby łzy przelały się przez krawędzie powiek. Po chwili podjęła:

– Wszystko zaczęło się psuć, odkąd zaginęła Joanna. Prawdę mówiąc, wcześniej też było nie za fajnie. Skoro ciebie zwolnili, i mnie to czeka. Wszyscy wiedzą, jak kryłam twoje zniknięcia i słabe dni. Marek mnie nie zatrzyma. Dokąd odchodzisz? Czy nie możesz zabrać mnie ze sobą?

Prysł dobry nastrój i poczucie kontroli nad sytuacją. Emocje Zuzy nabrzmiewały niczym balon, który – jak się zdawało – wypełniał już cały pokój i zaczynał przypierać Michała do ściany.

– Na razie nie mogę ci nic zaoferować, ale jak tylko coś się zmieni...

– A może nie chcesz, bo przypomiinałabym ci dawne czasy? A ty teraz zamierzasz zacząć nowe życie, prawda? Czyste, uporządkowane, bez przywiązania. Wiesz, powiem ci coś, bo chyba nie masz nikogo, kto by ci o tym wspomniał. Nic z tego nie będzie, jeśli nie przyznasz się przed samym sobą. Będiesz spadał, aż uderzysz o dno. Wtedy może zrozumiesz. Wszyscy jesteście tacy sami! – Nie powstrzymywała już łez, płynęły, ciągnąc za sobą smugi tuszu do rzęs. – Mogłeś mnie uprzedzić.

– Dowiedziałem się wczoraj. Prawdę mówiąc, nie wiem, o co ci chodzi. – Podjął próbę odzyskania inicjatywy. – Może umówimy się na jutro i spokojnie porozmawiamy?

– Tak, oczywiście, nie wiesz, o co mi chodzi. – Wyszarpnęła kilka chusteczek higienicznych z pudełka na stoliku. Otarła oczy i nos. – Pójdę poszukać jakiegoś kartonu. – Podniosła się. – W każdym razie możesz na mnie liczyć, nie powiedziałam im i nie powiem. Chociaż pytali.

– Komu nie powiedziałaś i o czym? – Michał również wstał.

– No, policji... o tym, że byłeś z Joanną.

– Że co?! – Zachwiał się i oparł rękami o stół.

– Nie rób ze mnie idiotki. Widziałam was na imprezie przed świętami. To było wtedy, kiedy zrobiliśmy firmowe pieczenie pierników w knajpie. Pamiętasz? Wszyscy się mocno zaprawili. Nagle zniknąłeś mi z oczu. Bałam się, że wyjdiesz na ulicę albo zaśniesz gdzieś w kącie, i szukałam cię. Znalazłam was. Całowaliście się przy szatni. – Zuza wrzuciła pęk zużytych chusteczek do kosza przy biurku. – Odczekałam, aż wsiądziecie do taksówki. Pilnowałam, żeby nikt z firmy was nie zobaczył.

Michał poczuł bolesne pulsowanie skroni. Zaczął skrupulatnie układać rzeczy rozrzucone na biurku.

– Zaraz wrócę z jakimś pudłem – powiedziała Zuza i wyszła, zamykając drzwi.

Usiadł i zaczął palcami ścisnąć skronie tak mocno, aż wywołany tym ból stał się większy od tego pod czaszką. Czuł, że jeśli nie przytrzyma głowy w tym imadle, to ta rozpadnie się na kawałki i ktoś albo coś z niej wyjdzie.

*

Nie pamiętał drogi powrotnej do domu. Wjechał do garażu i od razu poszedł do

windy – nawet nie przeszło mu przez myśl zabranie z bagażnika kartonów z rzeczami z pracy.

Przebrał się w domowe spodnie od dresu oraz luźny T-shirt i położył na łóżku z rękami założonymi nad głową. Zapatrzył się w sufit. Miał o czym rozmyślać.

Co się z nim działo? Nie pamiętał tytuł spraw! Akurat tych związanych z Joanną, tych, które teraz miały znaczenie. Tamta rozmowa telefoniczna w sobotę przed jej zniknięciem i jakiś przelotny związek. Właściwie takiego migdalenia się po kilku drinkach nie można nawet nazwać związkiem. Amory zakończyły się zapewne tym, że zasnął w taksówce; ona pojechała do siebie, a on do siebie. Z całą pewnością nie byli parą, nigdy ze sobą nie spali. To musiałby pamiętać. Czy na pewno? Tak, urwany film nie trwa nigdy dłużej niż do kolejnego poranka, a wtedy, nawet jeśli nie leżałby obok niej w łóżku, pojawiłyby się jakieś wskazówki. Ani przed tamtą imprezą, ani po niej nie odebrał żadnego sygnału, że mogłaby być nim zainteresowana. Przez cały czas ich znajomości nie było żadnych powłóczystych spojrzeń, musnięć ręką, prób skrócenia dystansu.

A jeśli sygnały były, tylko on ich nie dostrzegał przez zwichrowanie emocjonalnego radaru? W końcu nie zarejestrował nawet czegoś, co było znacznie bliżej – uczuć swojej wieloletniej asystentki, tego, że roztaczała nad nim rodzaj opieki. Czy to możliwe, że Zuza podkochiwała się w nim? Musiał teraz uznać, iż pozostawał ślepy na pewien wycinek rzeczywistości i w tym zakresie nie mógł ufać swojej pamięci. Co jeszcze może mu się przypomnieć?

Czy mogła wymyślić tę historię. Ale po co? Czy zależało jej na nim, czy jedynie na posadzie? Wzdrygnął się na wspomnienie jej wybuchu. Taka ma być cena niezależności? Chcesz, żeby nikt od ciebie nic nie chciał i niczego nie oczekujesz od innych. Nikomu nie szkodzisz, a potem słyszysz, że jesteś egoistą. Nigdy nie prosił Zuzy o żadne szczególne przysługi. Dlaczego miała pretensje?

Czy obiektywnie jest kłamcą, który złożył fałszywe zeznania w sprawie natury swojej znajomości z Joanną? No nie, z takiego zarzutu wybroniłby się pomrocnością. Tyle tylko, że takiej wymówki użył już przy tłumaczeniu się przed Agnieszką Moroz z niepamięci o odebranych połączeniu od Joanny. W przypadku ilu jeszcze matactw może liczyć na wyrozumiałość policji?

Śniąc już, zobaczył twarz Agnieszki Moroz. Uśmiechała się. Patrzył w jej granatowe, rozświetlone żółtymi punkcikami oczy. Jasne plamki układały się w kod. Chciał go złamać i odczytać, co o nim myśli, dowiedzieć się, czy ona sądzi, że jest winny.

*

Obudził go dzwonek telefonu. Sięgnął do stolika. Niezidentyfikowany numer. Odebrał.

– Słucham? – zapytał zachrypniętym głosem, konstatując jednocześnie, że na dworze zrobiło się już ciemno.

– Panie mecenasie? – wybrzmiało pytanie po drugiej stronie linii.

– Tak?

– Zostawił pan u nas swoją teczkę. Proszę po nią przyjechać.

Michał milczał zaskoczony. O jaką teczkę chodzi? Jego aktówka z pewnością leżała na swoim miejscu w przedpokoju. Gdyby nieznajomy nie nazwał go mecenasem, uznałby, że to pomyłka, i przerwałby połączenie.

– Jest pan tam? – zaniepokoił się nieznajomy.

– Jestem. – Michał liczył na jakąś dodatkową wskazówkę, która rozjaśniłaby sytuację.

– Proszę do nas przyjechać. Teraz. Niech pan po prostu wsiądzie do auta i przyjedzie. Do zobaczenia – powiedział tamten i się rozłączył.

Michał siedział chwilę, wpatrując się z niedowierzaniem w ekran telefonu. Było kilka minut po dwudziestej. Co niby miał zrobić? Ubrać się i pojechać nie wiadomo dokąd? Wstał i poszedł do przedpokoju. Teczka oczywiście stała na swoim miejscu. To tylko głupi żart. Poszedł do kuchni przygotować sobie kolację.

Dziwny telefon zasiał w nim niepokój. Kto i po co żartuje w ten sposób? Położył aparat na stole przed sobą i patrzył na niego, jedząc zapiekankę.

Choć był na to przygotowany, drgnął, kiedy ekran telefonu rozjaśnił się i zabrzmiał dźwięk oznaczający przychodzącą wiadomość. Otworzył ją. To był, zdaje się, dalszy ciąg tej samej zabawy. Otrzymał adres.

Przeszedł do gabinetu i sprawdził w internecie. Butikowy hotel w Śródmieściu. Nie kojarzył go. W ostatnim czasie powstało kilka takich miejsc. Wahał się. Sytuacja była absurda, niepozbawiona jednak intrygującej zagadki. Zadzwoń do Horodyńskiego? Nie miał już formalnego tytułu, żeby prosić go o przysługę, nie był pracownikiem kancelarii, ale od czego ma się przyjaciół? Zadzwoń – włączyła się skrzynka. Musiał sam podjąć decyzję.

Wyszedł z gabinetu. Czy byłby w stanie rozsiąść się teraz na kanapie przed telewizorem albo czytać książkę? O, nie, mógłby się co najwyżej napić.

To przeważyło. Przebrał się i wyszedł z mieszkania. Będąc już przy windzie, cofnął się, wszedł do mieszkania i oderwał kartkę z notesu leżącego w przedpokoju. Napisał, dokąd jedzie, datę i godzinę. Podpisał się. Kartkę oparł o talerz z niedokończoną zapiekanką na stole w kuchni. To było głupie, przecież w razie czego i tak nikt by go nie szukał. Chyba że policja w związku ze sprawą Joanny. No, może jeszcze Swieta, która przychodziła w piątki po południu, zainteresowałaby się jego nieobecnością. Dla spokoju sumienia zadzwonił raz jeszcze do Horodyńskiego, ale ten miał wciąż wyłączony telefon albo był poza zasięgiem. Wysłał mu wiadomość z prośbą, żeby oddzwonił.

Jechał przez miasto, które wcale nie wyglądało, żeby miało zamiar szykować się do snu. Na ulicach nadal było sporo samochodów. Na niektórych światłach musiał odstać dwie zmiany. Ciemne biurowce w centrum pocięte były jasnymi warstwami. Wiedział, że na rozświetlonych piętrach siedzieli ludzie, dla których późny wieczór nie oznaczał możliwości pójścia do domu. Sam kiedyś tak przesiadywał i miał pojęcie, jak to działa. Warto tylko wiedzieć, czy siedzi się, bo wymaga tego praca, czy

też chodzi o coś innego.

Poczuł ukłucie w piersi na wspomnienie czasu, kiedy Anka usłyszała już ostateczny wyrok i przeszła pod opiekę poradni paliatywnej. Przyjeżdżał do niej lekarz, prawie codziennie wpadała też pielęgniarka. Tak się złożyło, że miał wtedy nawał pracy. Przesiadywał w biurze do siódmej, ósmej. Często musiał chodzić też na kolacje z klientami. Czy rzeczywiście musiał? Może był tchórzem bojącym się powrotu do domu, bo mógłby zastać tam martwą żonę? Czy w ten sposób nie uśmiercał jej codziennie?

Zahamował gwałtownie, bo jadące przed nim bmw z przyciemnianymi szybami postanowiło nagle zwolnić i zająć dwa pasy jezdni. Zaniepokojony o stan własnego tylnego zderzaka, spojrział w lusterko wsteczne. Na szczęście auto za nim trzymało odpowiedni dystans. W bmw przed nim okno od strony pasażera było otwarte, wystawał przez nie łokieć. Goście z beemki zagadywali jadącą na rowerze dziewczynę z rozpuszczonymi, długimi włosami. Nie sprawiała wrażenia przestraszonej. Nie odpowiadała na zaczepki, ale śmiała się. Kiedy wymijał czarne bmw, we wnętrzu jego własnego zadudniły basy tak wyraźnie, jakby wszystkie produkty bawarskiego przemysłu samochodowego stworzone były do współbrzmienia ze sobą.

Przejechał ulicą przed hotelem, w którym ktoś wyznaczył mu spotkanie. Ulica była jasno oświetlona, chodnikami przemieszczali się ludzie – a więc bezpiecznie, żadnych ciemnych zaułków.

Zwolnił, rozglądając się za wolnym miejscem do parkowania. Auto za nim również zwolniło, co zirytowało Michała, bo nie lubił świadomości, że utrudnia komuś jazdę. Zatrzymał się dopiero dwie ulice dalej, gdzie znalazł wyrwę w ciągu zaparkowanych wzdłuż krawężnika samochodów. Musiał podjechać kilka metrów dalej, żeby zaparkować tyłem. Stał z włączonym kierunkowskazem, z dźwignią automatu ustawioną na wsteczny bieg, czekając, aż pojazd jadący za nim go wyminie. Tamten jednak zwolnił, jakby szykował się na miejsce, które upatrzył Michał. Chamski numer, ale takie rzeczy zdarzały się w tym mieście. Obcy samochód zatrzymał się, a po chwili ruszył i minął Michała. Ten odprowadził go wzrokiem, kierowca srebrnego opla nie obejrzał się.

Zaparkował, wysiadł z auta i poszedł ulicą, mijając rozświetlone witryny restauracji pełnych ludzi. Wszedł do hotelu i w lobby spostrzegł Jacewicza. Siedział w fotelu, rzucając spojrzenia znad rozpostartej gazety. Kiwnął głową, wskazując miejsce obok siebie.

A więc właśnie on zorganizował to zakonspirowane spotkanie! Ciekawe dlaczego. Michał podszedł i usiadł we wskazanym miejscu. Nie dał poznać po sobie rozbawienia szpiegowską otoczką.

– Dziękuję, że pan przyszedł. Przepraszam za tę całą tajemniczość. Są powody, objaśnię panu. Musimy jeszcze chwilę poczekać – powiedział Jacewicz, nie odrywając wzroku od płachty gazety.

Michał włożył jeszcze więcej wysiłku w powstrzymanie śmiechu.

Po dłuższej chwili, w czasie której kilka osób wyszło, ale nikt nie wszedł,

Jacewicz złożył gazetę i rzucił ją na stolik.

– Proszę za mną.

Przeszli obok recepcji do wind, wjechali na drugie piętro i ruszyli hotelowym korytarzem. W pewnym momencie Jacewicz zatrzymał się, rozejrzał i otworzył drzwi magnetyczną kartą. W przestronnym pokoju siedział znany już Michałowi Kociewski – wiceprezes do spraw finansów M-Construct, oraz dwie inne osoby – młody, modnie ubrany mężczyzna i starsza kobieta. Ta zwracała uwagę elegancją: gustowny żakiet z broszą w klapie marynarki i jedwabna apaszka owinięta wokół szyi. Starannie udrapowana fryzura à la Margaret Thatcher dopełniała obrazu kobiety aspirującej do wyższych sfer. Wszyscy troje zajmowali miejsca na kanapie i fotelach w części gościnnej apartamentu. W tym pomieszczeniu nie było łóżka, musiało być w drugim, przylegającym pokoju – sypialni.

Na widok wchodzących wstał tylko Kociewski. Pozostała dwójka podniosła się dopiero do prezentacji.

– To mecenas Tumski. – Jacewicz wskazał na Michała.

– Janina Popławska – przedstawiła się kobieta i wyciągnęła szczupłą, chłodną dłoń w geście jak do pocałunku. Michał miał wrażenie, jakby ktoś mu wręczył nieopierzone pisklę.

– Sebastian – burknął tylko młody mężczyzna i opadł w szerokim rozkroku na kanapę.

– Mirka Kociewskiego już pan zna. Janka to moja siostra, a Sebastian – wskazał na młodego – jest moim synem. Oni dwoje wraz ze mną są akcjonariuszami M-Construct.

Michał kiwnął głową i usiadł na wolnym fotelu.

– Przepraszam za niekonwencjonalny sposób zaproszenia na to spotkanie. Widzi pan, mamy pewien problem. Po naszej ostatniej rozmowie, tknięty przecuciem, zleciłem mały audyt bezpieczeństwa w biurach M-Construct. Okazało się, że pomieszczenia na piętrze zarządu, nasze gabinety – wskazał na Kociewskiego – i sale konferencyjne wyposażone zostały w urządzenia, których się tam nie spodziewaliśmy. Pluskwy – wyobraża pan sobie? W gniazdkach elektrycznych i lampach! I to aktywne! Goście od skanerów mieli połów życia – czternaście sztuk, żadne tam badziewie, izraelskie cacka, najwyższa półka!

– Powinien pan złożyć zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa – powiedział Michał.

– Na to przyjdzie stosowny czas. Dobrze jest wiedzieć, że przeciwnik słucha. Można wtedy zadbać, żeby usłyszał to, co chcemy. – Jacewicz uśmiechnął się szelmowsko. – Zanim przygotują nam telefony z szyfrowaniem połączeń, postanowiłem ograniczyć komunikację tego rodzaju. Może pomyśli pan, że to paranoja, ale podobno umiarkowani paranoicy żyją dłużej.

– Nie, nie uważam tego za nierozsądne. Wręcz przeciwnie. Często przy transakcjach wdraża się szczególne środki bezpieczeństwa. A w tym przypadku, skoro druga strona postanowiła skorzystać z nielegalnych metod, jest to według mnie jak

najbardziej uzasadnione.

– No właśnie – skwitował Jacewicz i podszedł do szafki skrywającej lodówkę minibaru. – Ktoś się czegoś napije? – zapytał, wyciągając kilka miniaturowych buteleczek whisky.

Propozycję przyjęła tylko Popławska.

Jacewicz rozlał dwie buteleczki do szklanek, jedną podał Popławskiej, drugą wziął dla siebie. Usiadł w fotelu i zwrócił się do niej i młodego:

– A więc sprawa wygląda następująco. Ktoś zamierza wymiksować nas z interesu. Postanowiłem zorganizować to spotkanie w gronie największego zaufania, żebyśmy mogli rozpatrzyć możliwe scenariusze i przygotować się na nadchodzące tygodnie. Będzie gorąco, ale najważniejsze, żebyśmy działali razem, jak rodzina, którą przecież jesteście. Mamy łącznie piętnaście procent akcji, nie można nas lekceważyć.

Michał zastanawiał się, na ile silne są to więzi. Młody Jacewicz tępo wpatrywał się w podłogę, a z ust Popławskiej nie schodził uśmiešek, który teraz wydawał się być nie tyle oznaką maniery, ile stanu kompletnego niezrozumienia. Od zachowania tych dwojga będzie dużo zależeć w najbliższym czasie. Jeśli nie zagrają z Jacewiczem, ten może utracić kontrolę nad firmą.

– Chciałem prosić, panie mecenasie, żeby przedstawił pan pokrótce przewidywany plan wydarzeń – zwrócił się do Michała.

Michał zastanowił się chwilę nad doбором słów. Nie chciał, żeby fachowe słownictwo zamazało główny przekaz.

– Proszę państwa, w najbliższych dniach albo tygodniach – nie wiemy dokładnie kiedy, Radmes, a najpewniej ich specjalna firma powołana do tego celu w Luksemburgu albo innym rajy podatkowym, ogłosi wezwanie na zakup akcji M-Construct za określoną cenę.

– Jaką? – zainteresował się Sebastian. Michał zanotował ten fakt w pamięci.

– Dokładnie nie wiadomo. Będą mieli swoją wycenę, ale nie może być ona niższa niż średnia cena giełdowa z ostatnich sześciu miesięcy.

– Aha. – Zdawało się, że młody stracił zainteresowanie tematem.

– Od ogłoszenia wezwania posiadacze akcji waszej firmy...

– W tym my – wtrącił Jacewicz.

– Tak, w tym państwo – potwierdził Michał. – Wszyscy posiadacze będą mieli określony czas, co najmniej kilka tygodni, na odpowiedź na to wezwanie – czyli podjęcie decyzji o sprzedaży swoich akcji. Najważniejszy jest element, którego obecnie nie znamy – jaki będzie poziom wezwania, czyli ile procent akcji będzie chciał skupić Radmes. Zakładając, że będzie dążył do przejęcia pełnej kontroli, ustawi poprzeczkę na poziomie dziewięćdziesięciu procent.

– Czyli bez nas to nie może się udać – stwierdził Jacewicz.

– Tak, bez puli waszych akcji przejęcie się nie powiedzie.

– No to po prostu umówmy się, że nie sprzedajemy, i rozejdźmy się do własnych zajęć – zaproponował Sebastian.

– Dobrze, młody, kombinujesz – powiedział Jacewicz. – Jest jednak pewien

problem. Mirek, opowiesz?

Kociewski odchrząknął i poluźnił krawat.

– Chodzi o to, że mamy niespodziewany problem z kredytem bankowym na wolską inwestycję – wyjaśniał. – Bank wszczął procedurę weryfikacji naszej dokumentacji. Nie wiadomo, co z tego wyniknie. W skrajnym przypadku mogą wypowiedzieć ten kredyt. To oznaczałoby poważne tąpnięcie.

– Tąpnięcie? – Popławska po raz pierwszy zabrała głos. Przez warstwy podkładu i makijażu na jej policzkach przebił się wywołany alkoholem rumieniec. Wyciągnęła rękę z pustą szklanką w stronę Jacewicza, który bez słowa wyjął kolejną flaszeczkę z lodówki, z suchym traskiem pokonał opór zakrętki i napełnił szklankę. Potem zadbał też o własną.

– Tak, właśnie, tąpnięcie – odparł. – Może nawet gorzej, czyli upadłość. – Pociągnął solidny łyk.

– To i ja się czegoś napiję – odezwał się Sebastian, który po słowach ojca zaczął mrugać powiekami, jakby dostał piaskiem w oczy.

– A proszę cię bardzo. – Jacewicz zinwentaryzował zasoby. – Obawiam się, że łycha się skończyła. Dżin, wódka, brandy? Jest jeszcze piwo i wino.

– Niech będzie dżin. I tonik.

– Mecenasio? Mirek? Coś dla was? – Jacewicz spojrzał pytająco.

Obydwaj ponownie odmówili.

Michał poczuł unoszące się w powietrzu alkoholowe wyziewy. Zaraz rozkręci się tu impreza. Zrobiło się duszno. Zaprzagnął wyjść i wrócić do domu. Towarzystwo w pokoju zaczynało działać mu na nerwy. Miał ich zbyt blisko siebie, brakowało bariery korporacyjnego oddzielenia, bezpiecznego dystansu niesionego przez klarowną relację doradca – klient. Czy naprawdę chciał się angażować w tę sprawę? Na jakich zasadach?

Poczuł wibrujący w kieszeni telefon. Sprawdził – Horodyński. Nie odebrał.

Po chwili powszechnego milczenia i raczenia się drinkami Jacewicz machnął ręką w stronę Michała.

– Panie mecenasio, proszę kontynuować, czekamy na ciąg dalszy.

– Niewiele na dzisiaj zostało do opowiedzenia. Tak jak powiedziałem wcześniej, istotna jest znajomość skali wezwania. Od tego wiele będzie zależało.

– Ale Piotrek powiedział, że zbankrutujemy przez ten bank – zaniepokoiła się Popławska.

– Sprawa z bankiem ma najprawdopodobniej ścisły związek z próbą przejęcia. To mechanizm, który ma zmusić zarząd i akcjonariuszy do działania w kierunku przewidzianym przez przejmującego. Wysyłają wiadomość: „Róbcie, co do was należy, nie kombinujcie, bo inaczej...”.

– Czyli co? Chwycili nas za jaja? – zapytał Sebastian.

Popławska na dłużej przywarła ustami do szklanki z whisky i Michałowi zdało się, że czknęła.

Uśmiechnął się.

– Może im się tak wydawać. Ale obrona przed wrogim przejęciem wymaga czasami obrania niestandardowej taktyki. Jeśli ciągną, trzeba pchać w ich stronę, wykorzystać ich własną siłę.

– Jak w dzudo?

– Właśnie. Problem z bankiem w sprzyjających okolicznościach można będzie wykorzystać na waszą korzyść.

– Uwaga... – wtrącił się Jacewicz. – Wszystko, co usłyszeliście w tym pokoju, zostaje między nami, jasne? Najważniejsze, żebyście nie robili teraz żadnych niezgodzonych wspólnie ruchów. Musimy działać w sposób skoordynowany i zdecydowany. – Mimo że Jacewiczowi nie brakowało ikry na trzeźwo, whisky dodała mu jeszcze animuszu. – Jak ruszy wezwanie, będą próbowali się z wami spotykać i przedstawiać propozycje. Nie dajcie się w to wciągnąć. Teraz nie możemy podać więcej szczegółów, ale będziemy się od czasu do czasu spotykać i omawiać dalsze działania. Najistotniejsze to siedzieć cicho i czekać na dalsze instrukcje. Zapewniam, że nie pozwolę, żeby nas wydymali.

Nastrój wyraźnie się poprawił. W ruch poszły kolejne buteleczki z minibaru. Michał podniósł się i zakomunikował, że musi już jechać.

Sebastian machnął ręką na pożegnanie. Popławska uśmiechnęła się tylko i kiwnęła dystygownie głową.

Jacewicz odprowadził go do windy.

– No to jak? Czekamy teraz?

– Tak. Jest jeszcze coś. Nie pracuję już w MG i nie reprezentuję ich. Powinien pan zatrudnić dobrą kancelarię do pomocy.

Jacewicz stropił się.

– Ale będzie pan nam dalej doradzał? Tak, powiedzmy, strategicznie?

– Myślę, że to będzie możliwe. Mam jeszcze przez pół roku zakaz prowadzenia działalności konkurencyjnej, ale ani Radmes, ani M-Construct nie były klientami mojej kancelarii. Nie powinno więc być problemu. Jednak nie chciałbym występować na pierwszej linii. To mogłoby wywołać niepotrzebne zamieszanie.

– Wszystko jasne – powiedział Jacewicz, ściskając dłoń Michała. – Proszę przysłać umowę. Nie spojrzę nawet na stawkę za godzinę.

Michał wyszedł z hotelu i odetchnął rześkim powietrzem. Stało się to, czego chciał. Był w centrum wydarzeń, miał wpływ. A jednak teraz właśnie, stojąc samotnie na nocnej ulicy w centrum miasta, zdał sobie sprawę, że nigdzie już nie przynależy. To zdumiewające, w jaki dziwny sposób człowiek przywiązuje się do organizacji. Na co dzień nie brakowało mu bliskości ludzi z firmy. Mógłby tygodniami nie pojawiać się w biurze i przez głowę nie przeszłaby mu jedna myśl o pracy. Ale wiedział, że oni ciągle tam byli i w każdej chwili mógł się pojawić, zrobić spotkanie, porozmawiać z jednym albo drugim. Teraz było inaczej. Został zupełnie sam. Pójdzie do auta, pojedzie do domu, wejdzie do pustego mieszkania, weźmie prysznic i będzie próbował zasnąć w dużym, pustym łóżku. A rano wstanie i zacznie się zastanawiać, jak zapelnąć te wszystkie godziny, które miał do dyspozycji.

Przeszedł pustawą już ulicą do samochodu. Ruszył. Z bocznej uliczki wyjechał za nim srebrny opel. Zachowując odstęp kilku samochodów, towarzyszył mu przez całą drogę. Kiedy Michał wjechał do garażu, opel zaparkował na chodniku przodem do bramy garażowej. Kierowca zgasił światła, wewnątrz kabiny rozświetlił na moment płomień zapalniczki i przez szparę uchylonego okna wypłynął kłęb dymu.

Michał wszedł do kuchni i sięgnął po karteczkę, którą zostawił przed wyjściem przy talerzu. Leżała tu przez ostatnie kilka godzin nietknięta. Czy on teraz był dokładnie tą samą osobą, która zostawiła ten nieistotny ślad swoich poczynań? Może stał się już kimś innym, w nieznacznym, ale rzeczywistym stopniu obcym – przez to, że pokonał przestrzeń miasta, w jego organizmie obumarło i odtworzyło się wiele komórek, a niepewność i lęk, które kazały mu zostawić tę informację już nie istniały? Pisząc tamte słowa, nie wiedział, co go czeka, inna przyszłość pozostawała niepewna. Tak, nadawca nie był tożsamy z adresatem. Wziął długopis i dopisał na dole kartki „Wróciłem” oraz godzinę. Potem zmiął kartkę w kulkę i razem z resztkami kolacji wrzucił do kosza na śmieci.

*

Poranek nie przyniósł oczekiwanej ulgi. Michał grzebiąc łyżką w misce owsianki, wrócił myślami do wczorajszego spotkania. Z jednej strony był zadowolony, że miał zajęcie. Przed południem zamierzał przygotować projekt umowy i wysłać go do M-Construct. Nie chodziło o pieniądze. Tych po dziesięciu latach na swoim stanowisku z wysoką pensją i corocznymi bonusami miał zaoszczędzonych dosyć, żeby przeżyć do późnej starości. Ważne było, że nie pozostawał beczynny od pierwszego dnia po odejściu z MG. To w świetle dymisji podbudowywało jego poczucie wartości. Jednak uczestniczył w tej samej grze, która bezpośrednio doprowadziła do sytuacji, w jakiej się znalazł. Fakt, że był teraz po drugiej stronie, nie zmieniał zasadniczego problemu, z jakim się zmagał już wczoraj, w czasie narady w pokoju z minibarem. Czy powinien się angażować w tę rozgrywkę?

Teraz, w przededniu wielkiej operacji – wezwania i zjadłej walki o firmę – łatwo było nie pamiętać o pewnym szczególe, który umożliwił wprawienie w ruch maszyny Wintera. Walne zgromadzenie Prodeve sprzed kilkunastu tygodni mogło wydawać się nieistotnym epizodem z zamierzchłej przeszłości. Michał jednak pamiętał, że wielka operacja, jakkolwiek miał być jej rezultat, bazowała na oszustwie, które zatrulo ją u samego zarania. Niewyjaśnione wciąż zaginięcie Joanny, możliwość, że stało jej się coś złego w związku z tą sprawą, powodowało, że próba przejęcia M-Construct nie była racjonalnym działaniem dużej firmy, która zamierzała jeszcze się powiększyć, ale stawała się emanacją zła, które się replikuje, rośnie w rozmiar i siłę rażenia. Ci, którzy zostaną wciągnięci w jego orbitę, nawet się nie zorientują, z czym mają do czynienia. Rzesze analityków i dziennikarzy będą opisywać przemyślną strategię dynamicznej firmy, obserwatorzy z biznesowych kręgów ulegną ekscytacji przy analizach kolejnych posunięć stron i spekulacjach co do zysków i strat, jakie ostatecznie przypadną w udziale uczestnikom tej zabawy w rzucanie w siebie nożami. Tabun doradców po obu stronach będzie liczył wynagrodzenie, kilkadziesiąt

życiorysów zostanie uzupełnionych o obszerny paragraf dokumentujący uczestnictwo w precedensowym, największym, wymagającym najwyższych kwalifikacji przedsięwzięciu. To nie było zwykłe przejście – będą opowiadać – ale kuźnia. W ogniu jej pieców, z kruszcu o najwyższej próbie, zostały wykute medale za męczeństwo nocnych posiadówek w biurze. Wtopione w czoła, będą jaśnieć pieczęcią na znak, że ci oto są *primus inter pares* .

Michał spędził dość czasu w takich kuźniach, żeby jego życiorys stał się kompletny. Nie brakowało w nim niczego, co w branży ceniono i uznawano za miarę sukcesu. Nie zauważył, kiedy doszedł do końca i nie było już nic do dodania. Mógł pozostać zwykłym prawnikiem, najemnym specjalistą, który pochyla głowę nad kodeksami i ustawami, dla którego każda sprawa stanowi mały wszechświat ograniczony zakresem zlecenia jak linią żywopłotu. Głupotą było sięgać wzrokiem ponad mur, próbować wnikać w nieprzenikniony obszar woli klienta i pole jego zmagania z tajemniczymi siłami, które stara się okiełznać i zaprząć do ochrony swoich interesów. Dzień, w którym prawnik zaczyna się zastanawiać nad istotą tych procesów, jest pierwszym dniem końca jego profesjonalnej kariery. Nie znaczy to wcale, iż musi odejść z zawodu. Jeśli w nim pozostanie, zacznie się stopniowo przepoczwarzać, przygotowywać do odgrywania nowej roli i być może zostanie wybranym – dostanie awans. Wtedy zacznie zbierać w otwarte dłonie możliwości płynące przez przestrzeń niczym pajęczce sieci, analizować je i kiedyś po raz pierwszy odważy się pociągnąć jedną, potem drugą. Padnie wygrana – garść monet, i to go ośmieli do działania z większą odwagą, na większą skalę. Z czasem zrozumie, że możliwości nie tylko przychodzą, ale można je tworzyć – snuć własne nici i puszczać je w obieg. A gdy stanie się już biznesmenem, inni będą pracować na jego sukces.

Kiedyś (nie pamiętał tego momentu) musiał popełnić błąd – wiedziony ciekawością podniósł głowę znad papierów, a wtedy pociągnęło go to, co zobaczył – splendor, pieniądze, wpływy. Wkroczył na ścieżkę prowadzącą do zawodowego rajku. Dotarł tam z łatwością, która miała w sobie wiele z przypadku, i pokręcił się przez kilka lat, kosztując wiszących nisko owoców. Wiedział, że niektóre z nich były zatrute, ale to mu nie przeszkadzało napychać sobie nimi kieszenie. Demoralizacja nie dokonuje się z dnia na dzień. Należy godzić się na wiele kompromisów, aż w końcu wszystkie decyzje wydają się właściwe, bo obumiera wewnętrzny cenzor, a korzyść pozostaje jedynym kryterium oceny rzeczywistości. Trzeba mieć wyjątkowego pecha, żeby coś cię wybiło z tego stanu idealnego dopasowania do środowiska, coś jak niewielki błąd w DNA, który robi z ciebie odrzucanego przez stado albinosa. Przecież to, co uczynił Winter z walnym, nie różniło się znacząco od jego, Michała, wcześniejszych poczynań w sferze prawa. A jednak nastąpiła pewna zmiana i zaczął odczuwać gorzki smak wtedy, kiedy inni wciąż mlaskali od słodyczy. Tak rozpoczął się proces, który skończył tak, jak musiał się skończyć. System, który go kiedyś pożył i pielęgnował, okazał mu za sprawą Connora pogardę należną tym, którzy przestają wyznawać jego wartości. Connor był jednak tylko wmanewrowanym pośrednikiem. Za wygnaniem Michała z ogrodu rozkoszy zawodowych stał Winter – ten mistrzowsko rozegrał ostatnią partię.

Być może powinien być mu wdzięczny za umożliwienie rozpoczęcia nowego życia. Z czasem przetrawiłby upokorzenie, przyznał się przed sobą, że miał słaby okres, kłopoty osobiste, i pogodził z oczywistym faktem, iż silni usuwają stojące na ich drodze przeszkody. Zaczęłby od nowa, a wszystko z czasem by się ułożyło. Może tak by zrobił, gdyby Joanna wzięła łąpówkę od Zion, spaliła niewłaściwą wersję dokumentów zgodnie z życzeniem klienta, dla poprawy nastroju poszła na zakupy albo pojechała do SPA i żyła dalej w spokoju.

Stary, znajomy skurcz żołądka. Najpierw Joanna, teraz on. W różny sposób obydwójce znaleźli się poza nawiasem, wyeliminowani z gry. Co z Joanną? Nie wiadomo, może wypadła na dobre, ale on powraca, przyłączając się do Jacewicza. Czy Winter nie brał tego pod uwagę? Nie był przecież idiotą. Tak do tej pory zapobiegliwy, zapewne przedsięwziął już jakieś działania nastawione na neutralizację wpływu Michała na powodzenie jego transakcji. Czego można się spodziewać?

Owsianka zgęstniała i Michał odsunął od siebie miskę. Spojrzał na zegarek – dochodziła dziewiąta. Normalnie byłby już w biurze. Czym miał wypełnić dzień? Zaczął rozważać, czy większą niechęcią napawa go myśl o wyprawie do hipermarketu po tygodniowe zakupy, czy też o włóczeniu się bez konkretnego celu po mieście, zaglądaniu do księgarni i przesiadywaniu z gazetą w kawiarniach. Właściwie nie musiał dokonywać wyboru, bo czasu miał aż nadto na realizację tych ambitnych zamierzeń. Mógłby dorzucić jeszcze wizytę w jakimś muzeum, obiad na mieście i kino. Jakie bogate spektrum możliwości! Tylko dlaczego miałyby cokolwiek z tego robić? Jak to się dzieje, że wolny czas, tak pożądany, gdy go brakuje, staje się ciężarem, kiedy występuje w nadmiarze? To był poranek – pierwszy dzień pełnej swobody, a jednak perspektywa nadchodzących pustych godzin i dni niosła wrażenie pierwszego dnia odsiadki. Od czasu, kiedy Anka odeszła, zdarzało mu się popadać w podobny nastrój w weekendy. Zwłaszcza niedziele bywały pod tym względem trudne do zniesienia. Wiedział, co mogłoby mu pomóc, ale od wieczora, kiedy otrzymał połączenie z za grobu, które wytrąciło mu z dłoni szklankę trzydziestoletniej whisky, zaprzestał stosowania lekarstwa. Mimo że tamto było jedynie zadziwiającym zbiegiem okoliczności, skutecznie odebrało mu chęć na relaks w starym stylu.

Wziął długi prysznic i starannie się ogolił. Zdecydował, że zje śniadanie na mieście. Właśnie miał wychodzić, kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi. Stała w nich Agnieszka Moroz.

– Dzień dobry. Byłam w biurze. Pańska asystentka powiedziała, że może zastanę pana w domu.

– Proszę. Zuza nie jest już moją asystentką. Rozstałem się z firmą. – Zamknął drzwi.

– Naprawdę? Czy coś się stało? – spytała, rozglądając się po pokoju.

– Nic szczególnego, normalna kolej rzeczy w biznesie. Pracuje się w jednym miejscu, potem w innym. W służbach pewnie jest większa stabilność.

– W sumie tak. Jeśli ma się chęci i zdrowie, można pracować do emerytury. O ile nie wykręci się jakiegoś numeru. Chociaż – dodała po chwili – jest u nas dużo i takich, którym się nie chce, miesiącami siedzą na zwolnieniach lekarskich

i kombinują, jak na boku zrobić interes życia.

– Tacy marzyciele zdarzają się wszędzie. Proszę usiąść. – Wskazał na fotel przy stoliku. Zaproponował kawę.

Czekając, aż ekspres się nagrzej, wyrzwał do salonu. Agnieszka Moroz oglądała zdjęcia wiszące na ścianie. Wyglądała świetnie w opinających jej kształty wytartych, niebieskich džinsach i czarnej ramonesce.

– To pańska żona? – zapytała na tyle cicho, że zrozumiał, iż go widziała. Gdyby zakładała, że jest w kuchni, musiałyby podnieść głos. Stała tyłem do niego, ale odbicie Michała wychylonego zza framugi drzwi kuchennych musiało być widoczne w szkłe pokrywającym fotografie nie gorzej niż w lustrze. Pewnie wyglądał jak sztabak zaglądający do dziewczęcej szatni.

– Tak. – Odchrząknął, bo głos uwiązał my w krtani. – Tak – powtórzył pewniej.

– Była piękną kobietą.

Nie odpowiedział. Agnieszka przesuwiała się, przystając przed kolejnymi partiami zdjęć.

– Na co zmarła?

– Na raka. Czerniak. Miała bardzo jasną karnację, a przy tym lubiła słońce.

Agnieszka oglądała w milczeniu fotografie. Ekspres wydał kilka warknięć sygnalizujących, że jest gotowy do pracy, i Michał wrócił do kuchni.

Kiedy wszedł do salonu z dwoma filiżankami w rękach, Agnieszka stała przy szybie na antresoli i patrzyła na zewnątrz.

– Właściwie możemy zostać na górze – uznał.

Pokonał pięć stopni, postawił filiżankę dla niej na podręcznym stoliku przy fotelu Anki. Uśmiechnął się na widok znajomego czarnego notesu. Zapisała w nim coś, pewnie datę, godzinę i informację, z kim rozmawiała.

– Mam jeszcze kilka pytań.

– Oczywiście. W jakim innym celu mogłaby mnie pani odwiedzić?

– No właśnie – odpowiedziała, wertując w skupieniu kartki notatnika.

Po chwili milczenia Michał dodał:

– Dziękuję, że pani przyszła, zamiast wzywać mnie do komendy.

– Dziękuję, że pan mnie przyjął, chociaż nie musiał.

Michał wzruszył ramionami.

– Gdybym pani nie wpuścił, dostałbym wezwanie na posterunek, więc właściwie działałem we własnym interesie. Nie ma w takim razie za co dziękować. Zresztą wezwania, stawianie się albo nie, doprowadzenia i tak dalej – to wszystko nie może być dobre dla śledztwa. Przecież czas ma znaczenie, chyba jeszcze ma... W każdym razie dla mnie najważniejsze jest jak najszybsze odnalezienie Joanny. Teraz najistotniejsze są czynności operacyjne, poszukiwawcze. Na procesowe zawsze przyjdzie czas.

– Mówi pan jak nasz nadzorujący prokurator. Rzeczywiście, zależy nam na czasie. Nie znaczy to, że zaniedbujemy stronę dowodową.

– Wiem, nic nie zostanie zaniedbane. Na tyle panią poznałem.

Patrzyła mu przez chwilę w oczy, potem wróciła do przeglądania zapisków w notesie, który położyła na stoliku.

Z dzielącej ich odległości nie mógł dostrzec szczegółów, ale zwrócił uwagę na nierówne linie pisma, nieforemne litery, podkreślenia, liczne strzałki odniesień. Potem przeniósł wzrok na paski bladej skóry wyglądające spod designerskich rozdarć jej dżinsów.

– Sprawdziliśmy ostatnie kilka tygodni przed zniknięciem Szymalak. Nie prowadziła, zdaje się, wielu spraw w tamtym czasie?

– Rzeczywiście, to był spokojniejszy okres. Można też powiedzieć, że biznesowo słabszy. Chyba już o tym rozmawialiśmy. Macie pełną listę jej spraw i spotkań.

– Co może pan powiedzieć o firmie Zion? – ciągnęła niewzruszenie.

– No cóż, to klient kancelarii, spółka zajmująca się inwestowaniem, nie bardzo wiem, co panią interesuje.

– W ostatnim tygodniu przed zniknięciem była na spotkaniu w tej firmie. W ciągu kilku kolejnych dni rozmawiała parę razy z Janem Mirosławem z tej firmy. To były krótkie połączenia. Wysyłał jej też wiadomości z prośbą o kontakt. Czy takie nasilenie kontaktów to normalna rzecz? W tamtym okresie komunikacja z Zion zdecydowanie zdominowała billing jej komórki. Co ciekawe, ona ani razu nie inicjowała kontaktu. Zawsze robił to albo prezes, albo prokurent Zion. Czy wie pan, o co chodziło?

Michał odstawił filiżankę. Położył splecione dłonie na kolanie.

– Joanna wykonywała zlecenie na rzecz Zion, reprezentowała ich na zgromadzeniu wspólników jednej ze spółek, w której Zion ma udziały. Sądzę, że mogło chodzić o ustalenie jakichś szczegółów. Prawdę mówiąc, nie wiem. – Pokręcił głową.

– A pan sam nie był zaangażowany w tę sprawę, nie interesował się nią? Pani Szymalak, zdaje się, przekazywała panu i innym kolegom informacje o wątpliwościach co do legalności pewnych działań Zion?

– Rzeczywiście, w trakcie jednej z cotygodniowych odpraw wspomniała, że ma wątpliwości co do prawidłowości zaprotokołowania kilku uchwał. Sprawdzaliśmy to, na ile mogliśmy. Na podstawie dokumentów, jakie posiadała kancelaria, nie dało się tego wyjaśnić. Do tego potrzebna jest Joanna.

– Czyli nie kontaktował się pan z Zion?

Michał powstrzymał uśmiech. A więc to tak policja podchodzi przesłuchiwanego! Pytanie poddające łatwą odpowiedź. A potem mają już swoje ulubione nieścistości i płatanie się w zeznaniach.

– Byłem u nich w biurze jakiś czas po zaginięciu Joanny.

– W jakim celu?

– Ponieważ prawnik prowadzący sprawę był nieobecny, należało nawiązać kontakt z klientem i ustalić status realizacji zlecenia. Z jednej strony to dbałość o relacje z klientem, z drugiej zwiększenie prawdopodobieństwa, że zapłacą za usługę. Zwykła procedura.

– I o czym rozmawialiście?

– Potwierdziłem z nimi, że zlecenie zostało wykonane, i zapowiedziałem wysłanie faktury.

Agnieszka Moroz pokiwała głową, robiąc adnotację w notesie. Michał zastanawiał się, czy pojawi się strzałka łącząca jego wypowiedź z tym, co usłyszała od Mirojada albo Jaskóły, i czy powstaną jakieś rozbieżności. Było oczywiste, że Mirojad nie zrelacjonował wiernie ich spotkania. On sam nie zamierzał opowiadać o próbie przekupstwa, skoro nie miał na to żadnych dowodów, a przeciwko niemu świadczyłyby dwie osoby. W efekcie skończyłyby jako pozwany o pomówienie.

– Czy zna pan Zygmunta Kuśniara?

Michał się zastanowił.

– Nie przypominam sobie.

– To były narzeczony Szymalak.

– Nie, nie poznałem go. Słyszałem tylko, że Joanna była z kimś związana. Mógł mieć z tym coś wspólnego?

Nie odpowiedziała. Dopiła kawę, zamknęła notes i włożyła go do torby. Podniosła się. Michał również wstał.

– Już pani idzie? Może jeszcze kawy?

– Nie, dziękuję. Muszę wracać do pracy.

– Przecież jest pani w pracy, prawda?

– No tak.

W drzwiach rzuciła jeszcze:

– Jeśli ma pan czas, proszę pójść na spacer. Jest piękny dzień.

*

Pół godziny później skorzystał z jej rady i wyszedł z domu.

Za pierwszym i drugim razem po prostu odnotował obecność niepozornego faceta w brązowej kurtce, który podążał tymi samymi co on alejkami parku Łazienkowskiego – rzecz bez znaczenia, przypadek. Zapewne wcale nie zwróciłby na niego uwagi, gdyby nie widział go wcześniej na parkingu pod Zamkiem Ujazdowskim. Michał odszedł już kilkadziesiąt kroków, kiedy stwierdził, że przydadzą się okulary słoneczne i zawrócił do samochodu. Tamten stał oparty o drzwi zaparkowanego kilkadziesiąt metrów dalej opla i patrzył w stronę Michała, paląc papierosa.

Kiedy przed kwadransem Michał usiadł na ławce nad stawem w pobliżu Nowej Kordegardy, a tamten zajął miejsce kilka ławek dalej, przekonanie o czystym przypadku zaczęło słabnąć, a w jego miejsce pojawiła się ciekawość. Wstał i nie oglądając się, ruszył w stronę mostu na wyspę. W tej okolicy było sporo ludzi. Przystanął przy grupie Azjatów i spojrzął ponad ich głowami w stronę, z której przyszedł. Nie zauważył tamtego. Przyśpieszył kroku i skręcił w lewo w stronę Podchorążówki. Założył się sam ze sobą, że w ciągu dwóch minut zobaczy brązową kurtkę. Zaczął w myśli odliczać sekundy. Gdy zamykał pętlę wokół białego budynku,

zawracając w stronę Pałacu na Wyspie, tamten wyszedł prosto na niego. Minęli się jak dwóch niezainteresowanych sobą nieznajomych.

Kiedy przechodził na powrót na drugą stronę centralnego stawu, przeszła mu ochota na dalszą zabawę. Szybkim krokiem ruszył do wyjścia. Skręcając przy bramie wychodzącej na Agrykołę, zobaczył tamtego jakieś dwieście metrów za sobą.

Rozległ się pisk opon i zgrzyt hamulców – pędzący z góry ulicy rowerzysta zrobił unik w ostatniej chwili. Michał podniósł rękę w geście przeprosin. Tamten, nie oglądając się, pognał dalej. Teraz Michał był przez chwilę niewidoczny z głębi parku. Zaczął biec pod górę. Kiedy dotarł do samochodu, czuł ogień w płucach i metaliczny smak w ustach. Pochylił się, zakasłał i splunął, nie zdziwiłby się, gdyby zobaczył krew. Spojrzał na srebrnego opla. Z tej odległości nie widział numeru rejestracyjnego, ale nie miał czasu, żeby iść go odczytać. Wsiadł do auta, zamknął zamki i ruszył. Kiedy manewrował na wąskim dojeździe do parkingu, zobaczył mężczyznę w brązowej kurtce na ostatnich stopniach stromych schodów wiodących na skarpe. Najwyraźniej też nie był wyczynowcem. Stawiał kroki, wspomagając się rękami opieranymi na kolanach. Zobaczył samochód Michała i się zatrzymał. W lusterku wstecznym Michał widział, jak tamten wyciągnął telefon komórkowy i poszedł dalej z aparatem przy uchu.

Wracając do domu, co chwilę patrzył w lusterka, sprawdzając, czy nie ma gdzieś za nim srebrnego opla. Gdy wjechał do garażu i wyłączył silnik, odetchnął.

*

– Jesteś pewny, że ci się nie zdawało? – Horodyński rozłożył ręce na oparciu sofy i wodził wzrokiem za chodzącym po pokoju Michałem.

– Nie, szedł za mną od parkingu. Kiedy się zorientowałem, zacząłem specjalnie kluczyć po alejkach, a on ciągle był w pobliżu. O mało płuc nie wyplułem, jak dobiegłem do samochodu.

– Może wpadłeś mu w oko?

– To nie jest śmieszne. Coś mi mówi, że ciebie nikt nigdy nie śledził. Nawet nie wiesz, co to za uczucie. Teraz najchętniej nie wychodziłbym z domu. Myślisz, że to może być policja?

– Policja? A niby po co mieliby cię śledzić? Gdyby coś ich interesowało, znaleźliby kilka innych sposobów, żeby dowiedzieć się, gdzie chodzisz, z kim i o czym rozmawiasz. Wierz mi.

– No, teraz to mnie naprawdę pocieszyłeś. – Michał spojrzał podejrzliwie na swój telefon leżący na stoliku, a potem na okna wychodzące na blok po przeciwnej stronie parku.

– Policja nie prowadzi obserwacji w pojedynkę. Musi być co najmniej dwoje w zespole. Wiesz, żeby pokryty był pełny zakres – jeden patrzy, drugi słucha.

– Jaja sobie ze mnie robisz. To kto to według ciebie był?

– Wygląda na prywatnego.

– Detektywa?

– No.

Michał usiadł w fotelu naprzeciwko Horodyńskiego i dłuższą chwilę wpatrywał się w okno, wybijając palcami szybki rytm na skórzanym oparciu.

– Wszystko jasne. Skoro nie mam żony, która podejrzewałaby mnie o zdradę, to jedynym zainteresowanym moimi poczynaniami może być Winter. Tak, on wynajął detektywa. Chce wiedzieć, z kim się spotykam i czy nie kombinuję czegoś, co mogłoby pomieszać mu szyki. Nawet mi to schlebia. Wiesz, teraz myślę, że mogłem być śledzony już wcześniej. Kilka razy zdawało mi się, że widzę nieznanego mi gościa, którego jednak skądś znam. Myślałem, że to zwykle *déjà vu*. – Przerwał na chwilę. – Co według ciebie powinienem zrobić?

– Po pierwsze, lepiej jest wiedzieć, że jest się śledzonym, niż ciągnąć za sobą ogon nieświadomie. Po drugie, dobrze byłoby, gdyby tamten, który szedł za tobą, nie zorientował się, że go zauważyłeś. Miałbyś nad nim przewagę. Rozumiesz? On nie wie, że ty wiesz. Oczywiście mogą zmieniać ludzi, jeśli to nie jest jednoosobowa działalność. Nawet powinni.

– Nie można ich jakoś przepłoszyć, wysłać sygnał: „Odpieprzcie się!”? Mam się teraz ciągle oglądać za siebie?

– Nie wiem, czy to by coś dało poza zmianą obserwatora i zwiększeniem dystansu. Po prostu spokojnie to przeczekaj. Żadnych nerwowych ruchów, uciekania, kluczenia i tym podobnych. Takie zlecenia zazwyczaj mają ograniczony czas trwania. Po prostu załóż, że przez najbliższe dni będziesz miał towarzystwo. Zachowuj się jak zwykle. Nie masz przecież nic do ukrycia, prawda? Jeśli zaczniesz się szamotać jak szpieg, który popadł w paranoję w obawie przed zdemaskowaniem, wzbudzisz zainteresowanie i zwiększysz szanse, że ktoś tam, kimkolwiek jest, postanowi poobserwować cię dłużej.

– Nie możesz jakoś ustalić, kto dał na mnie zlecenie? Masz przecież wszędzie znajomych? Prywatni detektywi to chyba zawsze byli policjanci. Warszawa to nie Nowy Jork, tutaj wszyscy się znają.

– Popytam oczywiście, tak. – Horodyński zadumał się. – Ale właściwie co ci da ta wiedza? I tak z tym nic nie zrobisz. Chodzenie za kimś na ulicy to nie przestępstwo.

– Wolałbym wiedzieć, kto sobie ze mną pogrywa. Mógłbym to wziąć pod uwagę w kontekście tego, czym się zajmuję.

Horodyński pokiwał głową i rozprostował nogi. Wpatrywał się w czubki swoich butów. Michał patrzył w okno.

– Dalej nic o niej nie wiadomo? – Pytanie, jak samolot z papieru, w kompletnej ciszy leciało chwilę przez pokój.

Horodyński drgnął.

– Nie – odpowiedział, pocierając dłonią policzek, jakby w to właśnie miejsce trafił go zabłąkany bezzałogowiec. – Rozmawiałem z Moroz. Na razie mają wyłącznie pytania, żadnych odpowiedzi. Na podstawie tego, co mi mówiła, nie mogę stwierdzić, że robią coś nie tak w śledztwie. Nie oszczędzą czasu i środków. Na razie – dodał po chwili. – Niektórym śledztwom potrzebny jest łut szczęścia.

- Szczęścia? Czyli konkretnie czego?
- Horodyński zastanowił się.
- Na przykład odnalezienia ciała.

*

Do przedziału wdarł się spotęgowany hałas.

- Dzień dobry. Kontrola biletów. Wsiadał pan w Działdowie?

Michał przeciągnął dłonią po twarzy, ocierając resztki snu.

– W Warszawie. – Ziewnął, zasłaniając usta. – Przepraszam. Nie zdążyłem kupić biletu. Proszę wypisać.

– Ciekawe, że załoga z Warszawy nie sprawdziła – zauważył konduktor tonem, w którym wybrzmiało poczucie profesjonalnej wyższości, wyjął z czarnej torby bloczek i zaczął wypełniać druk. Oderwał blankiet, skasował i wręczył Michałowi. Zainkasował opłatę.

- Miłej podróży. W Warsie jest pusto, jeśli ma pan na coś ochotę.

– Dziękuję. Gdzie jesteśmy?

Konduktor spojrział na zegarek.

- Planowo mamy dziesięć minut do Ławy Głównej.

Michał znów został sam. Koła wagonu wystukiwały o dylatację szyn kojąco znajomy czterotakt z pauzą. Patrzył w okno, za którym przesuwały się pokrywające się zielenią pola rozłożone na niewysokich morenowych wzgórzach. Od czasu do czasu pojawiały się połacie lasu i grupy rzadko porozrzucanych gospodarstw. Czy wstęga pociągu przelatująca kilka razy na dzień z odległym klekotem wzbudza w kimś stamtąd pragnienie zmiany? Spakować się i udać w podróż, wyjechać na trochę... na dłużej... na zawsze? Zaznać życia w mieście, wyrwać się z niewoli wstawania przed świtem, dojenia, karmienia, orki, zasiewów, oprysków, żniw, wykopków? A ilu z pasażerów tych pociągów z Warszawy patrzy na mijane siedliska z czerwonej cegły i odzywa się w nich niespodziewana tęsknota (może to zew krwi mańrolnych przodków?) za stałością, przewidywalnością, samowystarczalnością, ciszą, codziennym widokiem wiecznie zadowolonych aksamitnych krowich mord zamiast tych innych? Cóż, koncepcja punktu odniesienia precyzyjnie oddziela światy na ten, który stoi, i ten w ruchu. Nie zawsze jednak wiadomo, w którym akurat się przebywa. To zresztą traci znaczenie, jeśli chce się przeskoczyć z jednego w drugi. Takie próby bywają bolesne, a ich rezultat niejednoznaczny, bo i na wsi, i w mieście miewa się do czynienia z jakimś gnojem i trzeba uważać na szambo.

Odczekał, aż pociąg ruszy ze stacji w Ławie, wziął swoje rzeczy i przeszedł do Warsu, zaglądając po drodze do pustawych przedziałów. Nic dziwnego – sobota przed Wielkanocą. Główna fala podróżnych przewaliła się już wczoraj. W wagonie restauracyjnym większość miejsc była wolna. Jeden stolik zajmowała para młodych ludzi, przy drugim szczupły mężczyzna w średnim wieku o twarzy oszpeconej bliznami po trądziku siedział nad szklanką piwa. Podniósł wzrok na wchodzącego Michała i zaraz odwrócił się do okna. Michał zamówił jajecznicę i kawę u stojącego

za barem znużonego człowieka po pięćdziesiątce w bordowej służbowej kamizelce.

– Na święta do rodziny? – zagadnął tamten, kiedy Michał odbierał zamówienie.

– Coś w tym rodzaju.

– Ja jeszcze dzisiaj z powrotem do Krakowa, potem bus do Brzeska i już można świętować.

– No tak – skwitował Michał i odszedł z tacą do najbardziej oddalonego stolika.

Jeszcze wczoraj rano nie wiedział, że wybierze się w tę podróż. Podjął decyzję, kiedy wracając z zakupów, w skrzynce na listy znalazł kartkę z lakonicznymi życzeniami świątecznymi od swojej teściowej. Nie przestała ich przysyłać po śmierci Anki. W zasadzie nie utrzymywali kontaktu. Nie widział jej od pogrzebu. Dzwonił do niej raz, dwa razy do roku zapytać, czy nie potrzebuje jakiejś pomocy. Dziękowała i odmawiała – miała dość wysoką emeryturę, na leki i jedzenie wystarczało, więcej nie potrzebowała, zapraszała (trzeba przyznać, że niezbyt natarczywie), aby przyjechał, on czymś się wymawiał. Był taki okres, kiedy podupadła na zdrowiu i Anka obawiała się, że zbliża się koniec. Jednak pani Marianna, która pochowała męża i jedyne dziecko, jeszcze się nie wybierała na spotkanie z nimi. Może poprawiło jej się przez zwiększoną dawkę ruchu? Było trochę zasługi Michała w tym, że musiała teraz odwiedzać dwa cmentarze w Gdańsku. Ustąpił w kwestii kremacji, o czym teściowa nie chciała słyszeć, ale uparł się, żeby pochować Ankę na wspinającym się tarasami na porośnięte buczyną wzgórze Srebrzysku, zamiast na pozbawionych charakteru Łostowicach. Oczywiście dla teściowej poza dyskusją pozostawał, z wielu względów dogodny, pomysł pochówku w Warszawie.

Kartka świąteczna wysłana z Gdańska stanowiła iskrę, która padła na łatwopalny materiał. Od kilku dni, odkąd wiedział, że jest śledzony, narastało w nim pragnienie ucieczki. Świadomość, że ciągle ktoś go obserwuje, burzyła poczucie wolności w stopniu, jakiego się nie spodziewał. Wychodził z domu, jedynie aby kupić gazety w pobliskim kiosku. Zakupy zamawiał przez internet. „Uczciwy nie ma się czego obawiać” – głosili zwolennicy nowych regulacji zwiększających prawa służb do inwigilacji obywateli. Nie mieli racji. Obserwacji należy się obawiać, bo kiedy jest uświadomiona, ingeruje we wzorce zachowań i modyfikuje je w drodze mechanizmu społecznego analogicznego do zjawiska znanego z fizyki kwantowej: „każdy pomiar z samej swojej natury wpływa na badany obiekt, zmieniając jego właściwości”. Może nosił w sobie nadwrażliwość na tym punkcie? Pamiętał strach, jaki go ogarnął na lekcji religii, mógł być wtedy w piątej, może szóstej klasie podstawówki, kiedy ksiądz tłumaczył, że nic nie ukryje się przed Bogiem, że On widzi najmniejszy nawet grzech każdego człowieka. Zdanie z Listu do Hebrajczyków – napis na fresku w jednym z rzymskich kościołów, który zwiedzał z Anką: *Omnia nuda et aperta sunt ante oculos eius, ad quem nobis sermo* ³ – do dzisiaj wywoływało dreszcz niepokoju wizją wielkiego oka. Jeśliby przyjąć, że Bóg istnieje, to logicznym byłoby uznać ciągłość wszystkich rządów i ich agend do gromadzenia pełnej wiedzy o obywatelach za rodzaj bluźnierstwa, dążenia do zdobycia wiedzy przynależnej jedynie Najwyższemu.

Zamierzał odzyskać poczucie wolności przynajmniej na jakiś czas, więc wyjazd do Trójmiasta na kilka dni wydał mu się świetnym pomysłem. Należało tylko

przedsięwziąć odpowiednie środki, zrobić coś dokładnie przeciwnego, niż radził mu Horodyński – urwać się, zniknąć.

Opracował plan, skrupulatnie poddając jego poszczególne elementy krytycznej analizie pod kątem sensowności i skuteczności. Nie miał doświadczenia w prowadzeniu takich gier, ale w gruncie rzeczy chodziło przecież o zachowanie konsekwencji w ciągu pozornie bezsensownych działań. Wezwał taksówkę i zamówił kurs na Dworzec Zachodni. Kiedy wchodził do tunelu, obejrzał się kilka razy, ale nie zauważył niczego podejrzanego. Przeszedł na drugą stronę dworca i wsiadł do innej taksówki, którą wcześniej zamówił. Kazał się zawieźć na Centralny. Usiadł w kawiarni w tunelu dworcowym, przy stoliku w rogu – z widokiem na cały lokal i frontową witrynę. Obserwował przechodzących ludzi, zwracając uwagę na znajome twarze i na to, czy ktoś mu się przygląda. Niczego takiego nie dostrzegł. Dokładnie o ósmej trzydzieści wyszedł z kawiarni i ruszył tunelem wzdłuż wejść na perony. Jego pociąg odchodził za cztery minuty z trzeciego. Skręcił na ruchome schody i zjechał na dół. Intercity z Krakowa do Gdyni na szczęście nie miał opóźnienia i stał w gotowości do odjazdu. Otworzył drzwi wagonu pierwszej klasy i przez chwilę nie wsiadał, rozglądając się na boki. Od czoła pociągu szedł konduktor, zamykając z hukiem kolejne drzwi, z drugiej strony nie było nikogo. Wszedł po schodkach, zamknął drzwi i w tym momencie poczuł szarpnięcie wagonu. Znalazł pusty przedział, usiadł przy oknie i poczuł, jak opada z niego napięcie. Zasnął po kilku minutach.

Pociąg zwolnił teraz, jadąc pomiędzy szarymi od brudu kamienicami Oruni. Zbliżali się do stacji Gdańsk Główny. Nie znosił tego dziesięciominutowego postoju, który następował tak blisko celu podróży. Z jakiegoś powodu było to zupełnie inne dziesięć minut niż to spędzone na oczekiwaniu na spóźniony odjazd; dłużyło się niemiłosiernie. Pociąg z piskiem hamulców zatrzymał się na stacji. Nieliczni pasażerowie wysiedli na pusty peron. Wsiadła tylko ekipa sprzątająca. Ruszyli. Michał obojętnie patrzył na znajome szyldy mijanych stacji.

Wysiadł w Sopocie i po chwili zastanowienia postanowił nie brać taksówki. Miał torbę na kółkach, było słonecznie, ciepło, prawie wakacyjnie – a on właśnie przybył do kurortu. Poszedł w dół w stronę deptaka prowadzącego do mola. Tutaj było już sporo ludzi. Spacerowali w górę i dół ulicy Bohaterów Monte Cassino. Ogródków kawiarnianych jeszcze nie wystawiono, ale przez szyby lokali dostrzegało się spory ruch wewnątrz. Zbliżała się pora obiadu. Okupujący kurort warszawiaczy zaczęli celebrowanie długiego weekendu. Minął kilka miejsc, które pamiętał z czasów studenckich. Wydział prawa rezydował wtedy jeszcze w Sopocie. Nie był pewny, czy więcej czasu w tamtych latach spędził na zajęciach, czy przy piwie w Zagłobie. Doszedł do placu Zdrojowego i na wysokości pijalni wód skręcił w prawo. Szedł teraz alejką przez park, minął okrągły skwer, kościół i doszedł do ulicy, przy której stał dom, do którego zmierzał.

Wczoraj, kiedy przeglądał nieliczne dostępne jeszcze oferty noclegu, wahał się, czy nie wybrać pokoju w jednym z sieciowych hoteli w Gdańsku. Wolał kiedyś Gdańsk z jego gotycko-barokową starówką od imprezującego, w gruncie rzeczy jarmarcznego Sopotu. Zdecydował się jednak na to miejsce, bo jego rodzinne miasto

obecnie go odstręczało, a tutaj, z dala od deptaka, zdawał się panować szczególny klimat. No i dojście do plaży zajmowało może dwie minuty.

Willi pamiętającej czasy *fin de siècle'u* należał się remont, ale mimo obłąającego miejscami tynku epatowała uroczym eklektyzmem wykuszy, balkonów, galeryjek i wieżyczek. Pierwszy właściciel zainwestował w ozdobniki z efektem, za który gotowe było płacić piąte po nim pokolenie.

Wszedł na przedproże, pociągnął ciężkie drzwi i skierował się do małej recepcji. Formalności zabrały chwilę, po czym wspiął się po skrzypiących schodach na drugie piętro. Pokój nie był duży, ale wysoki sufit dawał wrażenie przestronności. Pokryta wytartym w kilku miejscach parkietem podłoga, stara szafa z niedomykającymi się, wypaczonymi drzwiami, dwa krzesła w stylu chippendale i stolik z lampą. Podszedł do dużego okna w drewnianych ramach, wychodziło na park. Zdjął kurtkę oraz buty i rzucił się na okryte kapą łóżko. Spojrzał na zegarek. Miał jeszcze kilka godzin. Akurat tyle, żeby wziąć prysznic, przebrać się i coś zjeść na mieście. Później zdąży jeszcze pojechać na cmentarz.

*

Wczoraj, wiedziony impulsem, zadzwonił i umówił się ze Staszkiem Rosteckim – kolegą ze studiów. Na miejsce spotkania wybrali jeden z licznych barów powstałych ostatnio przy Szerokiej. Nie widział się z Rosteckim od jakichś pięciu lat, nie licząc spotkania na pogrzebie Anki. Zapewne zaskoczeniem jest telefon od dawnego znajomego, który koniecznie chce się nazajutrz spotkać – zwłaszcza jeśli ten dzień to Wielka Sobota. Jeden z tych kilku dni w roku, kiedy spotkanie z kolegą to bodaj najmniej oczywisty scenariusz; prawie niemożliwy, jeśli miałyby to być wieczór przy piwie. A jednak Rostecki, wierny towarzysz studenckich ekscesów, nie był zaskoczony, a przynajmniej tego nie okazał. Wyraził za to niczym nieuwarunkowaną gotowość do spotkania. Są takie znajomości, dla których upływ czasu jest łaskawy. Oczywiście i te, jeśli niepielegnowane, po latach pozostaną tylko zapisem w pamięci ludzi, którzy stali się sobie obcy. W przypadku Rosteckiego najwyraźniej nie upłynęło jeszcze dość czasu, aby to nastąpiło. Michał nie był pewny, jak było z nim samym, ale to nie aż tak istotne. Najważniejsze, że nie siedział teraz sam w mieszkaniu, odliczając kolejne godziny.

Lokal był nowy, w każdym razie niedawno odnowiony. Wystrojem odbiegał od wszechobecnej sztampy spartańsko wyposażonych wnętrz z pseudoartystycznymi malunkami, plakatami i napisami mającymi kogoś zadziwić albo dać do myślenia (gdyby tylko je przeczytał). To miejsce nie pasowało do zaludniającego wszystkie miasta rozwiniętego świata brodatych drwali w kraciastych koszulach ani dziewczyn chodzących zimą i latem w czapkach dla krasnali. Miało w sobie coś z klimatu angielskiego klubu – przyciemnione główne światło, ciężkie fotele i dwuosobowe kanapy pokryte pikowaną skórą, okrągłe stoliki z małymi lampkami w stylu art déco, których światło, rozproszone na zielonkawym kloszu, nadawało widmową bladość twarzom siedzących przy stolikach ludzi. Wyszukał Mały Sekret w internecie, poprzedniego wieczora, przed telefonem do Rosteckiego.

Michał siedział w fotelu i patrzył na część lokalu, która nie pozostawiała wątpliwości, że jest jego sercem – efektownie podświetloną ścianę, na której ustawiono niezliczone butelki wszelkich rodzajów alkoholi. To była męska wersja wielopiętrowego domu dla lalek, z setką pokoi, tysiącem ruchomych detali i postaci – materiał na kilka miesięcy świetnej zabawy.

– Cześć, Misza. – Znajomy głos dobiegł z ciemności nad głową Michała.

Wstał i uścisnęli się na przywitanie.

– Dobrze cię widzieć – powiedział Michał. – Dzięki, że przyszedłeś.

– No wiesz! Jak mógłbym nie przyjść? Milena zawsze miała do ciebie słabość, więc nawet nie kwękała.

– Świetnie wyglądasz.

Rzeczywiście, Rostecki, zawsze przystojny, z wiekiem nabierał coraz więcej cech przyprawiających kobiety w każdym wieku o szybsze bicie serca. Był wysoki, ciągle szczupły, o pociągłej, arystokratycznej twarzy. Do tego dbał o ubiór. Nieskazitelnie biała koszula, krawat i malachitowy kardigan – zestaw, który czynił jednego z najbardziej wziętych gdańskich radców prawnych gotowym na przypadkowe spotkanie swojego najlepszego klienta.

– Z tą siwizną na skroniach mógłbyś startować w wyborach prezydenckich. Za sam wygląd dostałbyś się w cuglach do drugiej tury.

– Nie żartuj, to ze stresu. – Przeciągnął dłonią po włosach.

– A co? Zapominasz, pod którym drzewem zakopałeś pieniądze? Lata lecą. Musisz zacząć robić notatki.

– A jak ty sobie radzisz w tej Warszawie? Znaczysz drzewa w Puszczy Kampinoskiej?

Roześmiali się.

– Co pijemy?

– Z okazji takiego spotkania, no i oczywiście świąt, proponuję coś szlachetnego. Mogę wybrać?

– Jasne.

Michał podszedł do baru i wybrał trunk. Po chwili kelner przyniósł do stolika whisky w karafce, szklanki i syfon z wodą sodową.

– Za spotkanie – powiedział Michał, podnosząc szklankę.

– Za spotkanie.

Wspominanie dawnych znajomych zajęło dwie kolejki. Mówił Rostecki, a Michał ograniczył się do słuchania, kiwania głową i wtrącania od czasu do czasu lakonicznych podtrzymywaczy rozmowy w rodzaju „co ty powiesz?” albo „no nieźle!”. Michał ze swojej strony wspominał tylko Mirojada, stwierdzając, że ten się nic a nic nie zmienił, i Justynę Dziedzic.

– A jak się ma nasza Justynka? Nie zmarniała od wążania trupów i politycznych nacisków?

– Wręcz przeciwnie. Trzyma się całkiem solidnie.

Opróżnili karafkę i Michał odpowiedział kiwnięciem głowy na porozumiewawczy

gest barmana.

Rodzinne oraz zawodowe perypetie ludzi, z którymi nic go już nie łączyło, wywoływały emocje, jakich musi doznawać rodzina w czasie pokazu setek zrzuconych z aparatu zdjęć z wyjazdu wujostwa na wycieczkę do Egiptu. Rostecki był stąd i tutaj osiadła większość ich znajomych z roku. To zrozumiałe, że był z wszelkimi informacjami na bieżąco. Prawie wszyscy z towarzystwa pozostali w zawodzie i stanowili podstawową sieć kontaktów obrotowego mecenasa. Tak to się odbywa, zawsze się odbywało. W starym powiedzeniu „Prawnicy są jak ostrza nożyczek – tną, co jest pomiędzy nimi, nigdy siebie nawzajem” było więcej prawdy o naturze więzi łączącej prawników niż o marnym losie krojonych klientów.

Przy następnej kolejce nowy blask uzyskiwały wspomnienia najbardziej spektakularnych imprez, menażeria wykładowców i kilka brawurowych akcji zdobycia zaliczenia. Rosteckiemu rozplątał się język, błyszczały oczy – whisky działała. Michał nie odczuł za to żadnego wpływu alkoholu, poza wrażeniem ciepła bijącego z policzków. Co było niezwykle – drażnił go mocno dymny zapach single malt, którą pili.

Nalał kolejkę i tym razem w ramach eksperymentu dolał sobie mniej wody sodowej. Rostecki nie dodał wody wcale.

– Jak dzieci? – zapytał Michał. – Ile mają lat? Jakoś straciłem rachubę.

– Zosia skończy trzynaście w czerwcu, a Tymek jedenaście w listopadzie. Jest okej, dobrze się uczą, czekamy na początek problemów z Zosią. Milena twierdzi, że u dziewczynek te przejścia są gorsze niż u chłopców, ale może jest skrzywiona własnym doświadczeniem. Nie będziemy chyba gadać o dzieciach? Co u ciebie, Misza? Jak żyjesz?

– Nie jest źle. Odszedłem w końcu z MG, jestem teraz na swoim.

– Naprawdę? To świetnie! Zawsze ci mówiłem, że nie ma to jak być samemu sobie szefem. Teraz zobaczysz! Słuchaj... – Pochylił się nad stolikiem. – Mam zajebisty pomysł! Zostań moim współnikiem. Moglibyśmy otworzyć biuro w Warszawie. Zatrudnimy kilku młodych leszczy i zrobimy coś dużego. Co? Co ty na to? Czy to nie świetny plan?!

Michał się uśmiechnął.

– Tutaj, w Gdańsku, jesteś wielki. Mało ci jeszcze?

– Nie o to chodzi. Sam wiesz, że Trójmiasto to prowincja. Znam tu każdego i klepię od lat te same rzeczy dla tych samych klientów. Gdybym nie wyjeżdżał co roku na dwa miesiące urlopu, chyba popadłbym w depresję. Warszawa to co innego. Tam biznes tętni, co dzień pojawia się coś nowego, ciekawe sprawy, duże pieniądze. No i byłaby ta... no... dywersyfikacja. – Wymowa ostatniego słowa sprawiła mu niejaką trudność. – Rozumiesz, nie wsadzasz jaj do koszyka. W każdym razie nie wszystkie – poprawił się. Michał przyłożył dłoń do twarzy, kryjąc opanowujący go rehot.

– Weź się nie śmieję, bo to tragedia jest raczej – ciągnął Staszek. – Nauczyłem się może czegoś nowego, bo tutaj, w tym pierdzielniku, zaczynam się uwstecznić.

Mógłbyś przyprowadzić kilku swoich klientów na start, masz tam przecież jakichś, nie? Posłuchaj, jak to brzmi: „Rostecki, Tumski i spółka”! Pojawia się tutaj coraz więcej firm z Warszawy, deweloperzy i inni. Ciągną tu ze stolicy swoich fagasów. Trudno tam się wbić w ogóle.

– No właśnie, à propos deweloperów. – Michał zdołał opanować skurcze przepony i pchnął rozmowę w kierunku, który się nieoczekiwanie pojawił. Przecież Rostecki mógł wiedzieć coś na temat interesów Radmesa i Istrela w Trójmieście. – Zastanawiam się nad inwestycją w apartament nad morzem.

– A na co ci to? Mieszkać w czymś takim raczej się nie da, bo w sezonie masz co noc imprezy u sąsiadów, a przez resztę roku pustostany. Jak padniesz na zawalę w styczniu, to twoje zwłoki w stanie daleko posuniętego rozkładu znajdą w długi weekend majowy. Na wynajem też słabo. Lokale kosztują tyle, że z czynszu nie odzyskasz ceny przez czterdzieści lat, do tego obowiązkowy remont co dwa sezony. Daj sobie spokój, mówię ci. Jeśli chcesz fajne lokum dla siebie w Gdańsku, wyszukam ci coś lepszego. W Oliwie albo we Wrzeszczu.

– Słyszałeś o projekcie Amber Point przy nadmorskim deptaku na granicy Gdańska i Sopotu? Niedawno zaczęli sprzedaż lokali. Ktoś mi to polecił. Podobno mają niezłe ceny i buduje sprawdzony deweloper, no właśnie, z Warszawy, Radmes chyba.

Rostecki zamknął oczy, a potem powoli uniósł powieki, wbijając wzrok w Michała.

– Mój drogi, dobrze ci radzę, trzymaj swoją kasę z daleka od tego przybytku.

Michał czekał na szersze objaśnienie. Rostecki dopił whisky i podstawił pustą szklanekę Michałowi. Ten napełnił ją i dolał sobie odrobinę.

– Staszek, widzę, że chcesz mi to powiedzieć. Poczujesz ulgę, kiedy zrzucisz z siebie brzemię. – Michał zaśmiał się, a Rostecki pociągnął sporą porcję ze szklaneczki.

– Dobrze, panie oficerze, będę śpiewał... – Kolejny łyk i chwila milczenia. – Tak na serio i tylko dla ciebie – mam kogoś. Nie, żebym chciał wywracać sobie życie do góry nogami, ale wiesz, człowiek potrzebuje czasami trochę ciepła, a nie tylko rozstawiania po kątach, rozumiesz?

Michał pokiwał głową.

– Ona, Kasia, może nawet bardziej tego potrzebuje. Nie sądzę, żebyś ją znał, jest młodsza od nas, pracuje w prokuraturze, w rejonie.

Michał milczał. Rostecki obracał szklanekę w dłoni.

– Mam kilka mieszkań, coś przecież trzeba zrobić z pieniędzmi. Jakies pół roku temu przymierzałem się do zakupu kolejnego w Sopocie, właśnie na tej nowej inwestycji Radmesa. Powiedziałem o tym Kaśce, a ona powiedziała to, co ja teraz tobie – trzymaj się z daleka. Mówiąc krótko, nadzorują śledztwo CBA w sprawie łapówek przy uchwalaniu zmian planu zagospodarowania i wydawaniu pozwoleń na budowę. Może być z tego grubsza afera. Wiesz, jak jest, jak już stoi gotowe, to raczej nie zburzą, ale jeśli wszystko się rozpieprzy, to ci, co wpłacili kasę na dziurę w ziemi,

nigdy nie zobaczą ani pieniędzy, ani mieszkania. Dlatego ci o tym mówię, jako przyjacielowi, ale tylko tobie. Obiecuję, że zatrzymasz to dla siebie. Dobrze?

– Jasne. Dzięki za ostrzeżenie. – Chętnie dopytałby jeszcze o dalsze szczegóły, ale z Rosteckiego wraz z ujawnieniem tajemnicy alkowy jakby uszła cała energia. Michał podniósł szklanę do góry.

– Twoje zdrowie!

– Zdrowie – mruknął Rostecki i opróżnił szkło do dna.

Lokal opustoszał, oprócz nich zostały dwie pary siedzące w głębi sali. Michał poszedł do łazienki, obmył twarz zimną wodą i osuszył papierowym ręcznikiem. Wracając, zobaczył, że Rostecki siedzi z założonymi na piersi rękami i opuszczoną głową. Drzemał?

Uregulował w barze rachunek i poprosił o wezwanie taksówki.

Wrócił do stolika. Rostecki rzeczywiście spał.

– Staszek, zaraz będzie taksówka. Zbierajmy się.

Rostecki ocknął się i spojrzał na Michała nieprzytomnie. Zogniskował wzrok na pustej butelce i otarł usta dłonią.

– Może byśmy coś... tego... jeszcze? Malucha na drogę? Rozchodniaczka?

– Wystarczy. Jutro święto. Lepiej, żebyś był w formie, bo Milena urwie ci głowę.

– I tak mi urwie. One tak już mają, te krwiopijczynie. Jajka dzisiaj z dziećmi poświęciłem, to mam święta wykonane. Wiesz co, Misza?

– No?

– Ty to jesteś... – Oczy Rosteckiego zaszyły wilgocią. – Chodzi mi o to... rozumiesz... nie wiem, czy ja bym się na to zdobył. Milena mówiła wtedy, że jesteś gość. Ja nie wiem. Myślałem, że raczej bym pogonił. Prawdę mówiąc, teraz też tak myślę. Może to słabość. Nie obraż się. Rok, może więcej, Milena mówiła, że widywała ich wcześniej, Anka żyła tu z tym... no tym... chujem... wiesz, i ja cię podziwiam, że ją do domu przyjąłeś. Gdyby Milenka wywinęła mi taki numer, dałbym jej kopa w dupę takiego, że bez międzylądowania znalazłaby się u mamusi w Grudziądzu. Anka jak zachorowała, to wróciła, ależ tupet trzeba mieć w ogóle. – Opuścił głowę, jakby do posypania popiołem, a Michał patrzył w ciemną szybę, w której odbijały się lampki na stolikach i iluminacja baru. Po chwili w kompozycję wtargnęło światło reflektorów i żółty kogut na dachu.

– Jest taksówka, chodź.

– Ty nie jedziesz? – zapytał Rostecki z głębi auta, kiedy Michał zatrzymał się przy drzwiach. – Chodź, Misza, pojedziemy jedną.

– Pójdę jeszcze chwilę pospacerować. Trzymaj się i pozdrów Milenę.

– No, jak chcesz. Pamiętaj o mojej propozycji. Może być „Tumski, Rostecki i spółka”, jeśli o to chodzi, dobra?

– Będę myślał. Cześć. – Zatrzasnął drzwi i popatrzył za odjeżdżającym samochodem.

Ruszył w stronę Motławy. Wieczór, noc już właściwie była orzeźwiająco chłodna i bezwietrzna. Spojrzał w niebo, żeby sprawdzić, czy widać gwiazdy, ale zakreśliło mu

się w głowie. Okolica była opustoszała, większość lokali zamknięta, okna w kamienicach ciemne. Coraz mniej ludzi tutaj mieszkało, tylko sklepy, biura, restauracje i bary. Kapitał stopniowo wypierał z powojennych kwaterunków zubożałych, ciężących do marginesu społecznego potomków powojennych osiedleńców, którzy dwadzieścia lat temu dodawali dreszczyku emocji wieczornym spacerom bocznymi uliczkami starówki.

Skreślił w prawo i doszedł do Mariackiej. Szedł ulicą oświetloną stylizowanymi na gazowe latarniami, a jego kroki odbijały się echem od ciemnych murów kamienic. Wyszedł przez bramę nad rzekę. Zdecydował się pójść w lewo, w stronę Targu Rybnego. Po kilkudziesięciu krokach zatrzymał się i stanął przy żeliwnych barierkach. Patrzył na nieporuszoną, ciemną wodę. Światła nadrzecznych latarni rzucały jasne, wyraźnie wyodrębnione smugi na taflę, która zdawała się być podłużną bryłą bazaltu. Zastygła lawa, wydzielina martwego miasta.

To nigdy nie zostało wypowiedziane. Nie wiedział nawet, czy ona wiedziała, że on wie. Anka w weekendy jeździła do Gdańska prowadzić zajęcia na studium doktoranckim. Z początku raz na miesiąc, potem w każdy piątek. Jeszcze później zaczęła niekiedy zostawać pomiędzy weekendami, aż w końcu zadzwoniła i powiedziała, że na razie nie będzie wracać i żeby Michał nie przyjeżdżał. Oczywiście pojechał. Była wiosna, przyjemny, słoneczny dzień. Czekał na tyłach ratusza Starego Miasta. Mógł stamtąd obserwować jedyne wyjście z budynków mieszczących Instytut Archeologii i Historii Sztuki. Wyszła z kimś. Nie obejmowali się, nie trzymali za ręce, ale przez to, jak na siebie patrzyli, jak rozmawiali, nie było wątpliwości, że są parą. Nie zdążył przyjrzeć się tamtemu mężczyźnie. W tej krótkiej chwili, w której tamten wkładał tubę na prace na tylne siedzenie małego citroena zaparkowanego na dziedzińcu, patrzył tylko na Ankę. Miała na sobie rozpięty jasny płaszcz, przypominający fartuch, szarawary w orientalny deseń i białe tenisówki. Włosy obcięła krótko, prawie na jeża. Wyglądała tak młodo, atrakcyjnie i tak absurdalnie obco, że zatrzymał się w pół kroku. Po chwili został po nich tylko kłębek błękitnawych spalin.

Chciałby cofnąć to, co wtedy pomyślał, kiedy oparł się o nagrany mur i wystawił twarz do słońca. Ciemna, klarowna myśl. Przyszła skądś, nigdy nie przypuszczałyby, że mógłby ją wywołać. Jak zaklęcie albo prorocstwo, ale nie wierzył przecież w zabobony, światem rządzi wyłącznie przypadek. Więc w drodze takiego zupełnego przypadku spełniła się myśl wysłana tamtego majowego dnia w stronę słońca: Wolałbym, żebyś umarła.

Zawisł rękami na barierce, bo nogi nagle odmówiły mu posłuszeństwa. Dopiero teraz z całą mocą uderzył w niego wypity alkohol. Próbował się podciągnąć, ale siła grawitacji zdawała się zwiększać z każdą sekundą. Stęknął, opadł na kolana i oparł jeden łokieć na niskiej podmurówce, drugą ręką założył hak na rurze poręczy. Przy tym wszystkim umysł zdawał się pozostawać jasny, tylko ciało ogarnęło porażenie. Przyłożył czoło do zimnej żeliwnej poręczy. Musiał przeczekać albo lepiej może –

wezwać pomoc. Trzeba by wyjąć telefon, zadzwonić po miłosiernego taksówkarza, ale jeśli puściłby rurę, to siła przyciągania ziemskiego rozpląszczyłaby go w tym historycznym miejscu pod Żurawiem i będzie leżał wystawiony na pośmiewisko.

Usłyszał kroki. Obrócił głowę, rozważając różne formuły prośby o pomoc. Potężne kopnięcie w żebra oderwało go od barierki. Z jękiem padł na plecy i uderzył głową w kamienną płytę. Zamroczyło go. Coś przygniotło mu piersi, pozbawiając oddechu. Nie próbował nawet poruszyć rozrzuconymi na boki rękami. Stały się bezwładne, jakby przykute do chłodnego kamienia. Poczł macanie po kieszeniach. Napastnik znalazł w kieszeni kurki portfel. Michał otworzywszy oczy, zobaczył rozmazany błysk błędzącego w powietrzu ostrza noża i twarz młodego mężczyzny. Próbował zaczerpnąć powietrza.

Z nieodległej bazyliki zaczęło dochodzić zajadłe bicie dzwonów. Przez umysł Michała przemknęła absurdalna myśl, że to na alarm, bo w jakim innym celu miałyby bić w nocy? Zaraz jednak przypomniał sobie, że jest przecież sobota przed Wielkanocą. Wigilia Paschalna. Kościoły pękają w szwach, a na ulicach pusto.

– Weź... – stęknął.

– Co? – syknął mężczyzna.

– Weź sobie...

– Cicho, ciulu! – Ręka zaczęła wędrować po kolejnych kieszeniach, teraz zapewne w poszukiwaniu telefonu.

Głuche stęknięcie, napastnik głośno zassał powietrze. Drugi cios odrzucił go na bok. Zajęczał.

Nad Michałem stał szczupły mężczyzna z wysuniętą do przodu lewą nogą i teleskopową pałką w dłoni. Rytmicznie uderzał nią o wnętrze dłoni, jakby zastanawiał się, w co teraz przywalić napastnikowi przemienionemu w ofiarę.

Michał podparł się na łokciach i usiadł. Adrenalina zrobiła swoje. Niemoc ustąpiła. Czuł ból żebra z prawej strony, ale bez klucia przy oddychaniu. Chyba nie było złamania, zostanie tylko siniak. Odruchowo sięgnął po portfel leżący na ziemi. Sztywnymi, drżącymi palcami starał się wepchnąć go do kieszeni kurtki. Podniósł się z wysiłkiem, stanął na drżących nogach.

Jego wybawca skupił całą uwagę na przeciwniku. Tamten zbierał się powoli, postępując. Kiedy się podniósł, zobaczył uniesioną do kolejnego ciosu pałkę i rzucił się do ucieczki. Zniknął w najbliższej bramie. Mężczyzna, nie patrząc na Michała, wprawnym ruchem złożył broń, wsunął do kabury przy pasku, podciągnął suwak kurtki i szybkim krokiem ruszył w ślad za tamtym.

– Hej! Poczekaj! – zawołał Michał. – Zatrzymaj się! Dziękuję!

Tamten nie zareagował. Skręcił w prawo w Bramę Mariacką. Michał został sam. Wszystko trwało może dwie minuty. Dzwony na wieży bazyliki wydawały jeszcze ostatnie, coraz rzadsze i mniej donośne dźwięki. Gdyby nie drżące nogi i ręce, ból od kopnięcia i pulsujący guz z tyłu głowy, mógłby zacząć się zastanawiać, czy to wszystko wydarzyło się naprawdę.

Opierając się o barierkę, zaczął iść przed siebie, w stronę placu, przy którym – jak

pamiętał – stał hotel. Miał szczęście, pod budynkiem czekały dwie taksówki. Był szybciej do domu. Zmyć z siebie upokorzenie. Jakie to nowe spojrzenie na dwieście siedemnasty paragraf Kodeksu karnego! Naruszona nietykalność cielesna, a najbardziej boli godność. To byłoby pod dwieście szesnastym... Powinien walczyć, a nie leżeć rozkrzyżowany jak... jak ciul! Gdyby nie ten gość z pałką, zmagaliby się nie tylko z utratą poczucia męskości, ale też brakiem pieniędzy, dokumentów i telefonu. Ten facet... Skąd się tam wziął? I dlaczego odszedł bez słowa? Jego twarz wydawała się Michałowi znajoma.

*

Rano obejrzał bok w lustrze. Siniak nabiegł intensywnym fioletem. Guz na głowie dało się opanować lodowatym strumieniem wody jeszcze wczoraj. Została tylko bolesna tkliwość.

Podszedł do okna, przez które wpadało szare światło. Chmury koloru okrętowego przesłaniały niebo szczelną warstwą. Siąpił deszcz. Jak to często bywa, nad Zatokę Gdańską nasunęła się inna zatoka – niżowa. Teraz przez kilka dni będą do siebie cmokać, pluskać i chlipać. Skacowani depresyjnie przyjezdni zasiądą za szybami barów, umoczą dzioby w piwie i będą płuć sobie w brody, że nie pojechali na Krete.

Rzucił otwartą walizkę na zmiętą pościel i zaczął upychać w niej swoje rzeczy. Nie zobaczył nawet morza, choć dzieliły go od niego mniej niż dwie minuty spaceru. To nic, może innym razem, teraz czas się zbierać. Miał dość weekendowych atrakcji.

Kiedy pociąg do Warszawy z dudnieniem toczył się przez most na Nogacie, Michał spojrzął na bryłę krzyżackiego zamku i uzmysłowił sobie, skąd znał twarz człowieka, który wybawił go z opresji. Widział go wcześniej, wczoraj rano, w wagonie restauracyjnym ekspresu do Gdańska – to był facet z piwem siedzący przy oknie.

A więc nie udało mu się urwać. Na szczęście.

*

Wygrywane na okrągło zajadłe *arpeggio* przerwało duszny sen, którego treść uleciała przed pojawieniem się świadomości. Chwilę zajęło Michałowi ustalenie, skąd dochodzi dźwięk. Melodia ucichła, ale zaraz powróciła, tak samo nachalna. Z niechęcią odrzucił kołdrę i wstał. Chłód panujący w przewietrzonym salonie przejął go dreszczem. Przeszedł boso po zimnych deskach do kuchni. Tam zostawił podłączony do ładowarki telefon – prosty model z wgraną aplikacją szyfrującą połączenia. Przed świętami przywiózł go kurier z M-Construct wraz z koszem delikatesowych wiktuałów i butelką wina. Kosz i wino podarował tego samego dnia Swiecie. Czuł koszmarnie skrępowanie, kiedy rzuciła się do wylewnych podziękowań.

Na ekranie nie wyświetlał się numer dzwoniącego. Michał nacisnął zielony guzik.

– Halo?

– Panie mecenasie, to ja. – Poznał głos Jacewicza. – Przepraszam, że tak wcześniej, ale skurwysyny ogłosiły wezwanie. Musimy się jak najszybciej spotkać. Wyślę po

pana kierowcę. Będzie za jakąś godzinę. Zjemy razem śniadanie.

– Jasne. Czekam. – Rozłączył się.

Poszedł do gabinetu, włączył komputer, wszedł na stronę serwisu giełdowego i wysłał na drukarkę treść wezwania zamieszczonego na podstronie raportów bieżących Radmesa. Sam oglądał dokument na ekranie. Nagłówek jak zwykle nie zdradzał wiele poza samym faktem. „Wezwanie do zapisywania się na sprzedaż akcji spółki M-Construct SA”. Przewiął kilka stron w poszukiwaniu najbardziej interesującego go fragmentu, gdzie wskazywano liczbę akcji, które zamierza osiągnąć wzywający do sprzedaży. Znalazł. A jednak! Resztę przeczyta po drodze.

Studiował treść wezwania rozparty na tylnej kanapie luksusowego mercedesa obciążonej wydzielającą mdławy zapach kremową skórą. Poddawał się miękkemu kołysaniu. Ta marka samochodów zawsze wywoływała u niego skojarzenie z wielorybem, sam wołał bawarskie rekiny. Podkreślał istotne fragmenty w dokumencie i robił notatki na marginesie. Kiedy skończył, podniósł głowę i zorientował się, że jadą Puławską na południe. Zbliżali się do Piaseczna.

– Dokąd jedziemy? – zapytał kierowcę i odwrócił się, żeby spojrzeć przez tylną szybę. Do tej pory zupełnie nie myślał o ogonie, jaki być może za sobą ciągnął. W sumie po przygodzie w Gdańsku jakoś pogodził się ze świadomością potencjalnej obecności dyskretnego towarzystwa, ale Jacewicz? Przykładał tyle starań, aby utrzymać wszystko w tajemnicy, że zapewne miałyby pretensje, gdyby Michał przywłókł za sobą kogoś niepożądanego na miejsce spotkania.

– Do prezesa.

Odpowiedź zabrzmiała konkretnie, jakby wyczerpywała możliwą do udostępnienia pasażerowi wiedzę o szczegółach ich podróży. Podobnie czuł się, kiedy słuchał typowych komunikatów pilotów w samolotach. Uznał, że nie ma sensu dopytywać. Wiedział zresztą, że Jacewicz miał dom gdzieś na południe od Warszawy, w okolicach Zalesia.

Pomimo wczesnej godziny ulicą przemieszczało się sporo aut, na jezdni w stronę Warszawy utworzył się już korek. Michał wciąż patrzył przez tylną szybę. Jak wśród kilkudziesięciu samochodów, które wciąż się tasują i w losowy sposób zmieniają pozycje, wyłapać ten jeden, który połączony jest niewidzialną nicią? Nie ma szans. Osunął się na siedzenie.

– Wypatruje pan kogoś?

Michał spojrzął w oczy zerkające na niego z lusterka wstecznego. Ułożenie zmarszczek mogło sugerować, że ich właściciel się uśmiecha.

– Sam nie wiem. Może coś mi się zdawało. – Michał nie miał zamiaru opowiadać przypadkowej osobie o swoich perypetiach. Przymknął piekące z niewyspania oczy i potarł powieki.

– Granatowe mondeo na pruszkowskich tablicach. – Głos kierowcy brzmiał, jakby raportował sytuację do centrum operacyjnego. – Jedzie za nami od pana bloku.

Michał rzucił się do szyby, ale nigdzie nie mógł dostrzec granatowego forda.

– Na godzinie szóstej, trzydzieści metrów, kierowca, pasażerów – zero, za białą

toyotą i zielonym audi. Teraz go nie widać.

– Może mnie pan gdzieś wysadzi? Zadzwoń do pana Jacewicza i wytłumacz sytuację. Umówimy się jakoś inaczej. Myślę, że nie chciałby, aby... – Urwał, kiedy nim rzuciło. Napięty pas bezpieczeństwa miażdżył mu obojczyk. Samochód po odbiciu w lewo skoczył do przodu z wizgiem silnika. Głowę Michała wgniotło w zagłówek, a wnętrzości uciekły w stronę kręgosłupa. Przeciężonymi rękami macał powietrze.

Kierowca po chwili odjął gaz. Chodziło tylko o pokonanie skrzyżowania przed zmianą sygnalizacji. Michał odetchnął i obejrzał się za siebie. Za nimi została pusta przestrzeń ulicy i szereg samochodów zatrzymanych przez czerwone światło. Dogonili jadących przed nimi, wyprzedzili kilka aut i schowali się w ich strumieniu. Po niespełna minucie unieruchomione na światłach auta zniknęły przesłonięte zakrętem, a kierowca zjechał na prawy pas i skręcił w uliczkę kwartału zabudowanego domami jednorodzinnymi. Minęli jedną przecnicę, skręcili w drugą i samochód zatrzymał się, czekając, aż otworzy się brama uruchomiona przez kierowcę pilotem. Wjechali na parking i stanęli obok terenowego lexusa.

– Jesteśmy na miejscu – poinformował kierowca, wyłączając silnik.

– Dziękuję – powiedział Michał. Spojrzenia jego i kierowcy spotkały się w lusterku. – Gdzie się pan tego nauczył? Tego... widzenia?

– Tam, gdzie do tubylców trzeba przemawiać łagodnie, trzymając przy tym palec na spuście jak największego gnata. – Zaśmiał się sarkastycznie. – Kabul i Kandahar, razem cztery zmiany. Tam człowiek zaczyna rozumieć, co znaczy mieć oczy dookoła głowy.

Michał chciał jeszcze raz podziękować i wyrazić uznanie dla umiejętności kierowcy, ale otworzyły się drzwi domu i wyszedł z nich Jacewicza. Marynarka jego ciemnoszarego garnituru przechowała pamięć o szczuplejszej wersji prezesa M-Construct. Teraz jej poły, rozdzielone wyspą wydatnego brzucha, nie miały najmniejszych szans się spotkać. Podobny problem dotyczył kołnierzyka koszuli. Nie dałoby się go zapiąć bez odcięcia przy tym dopływu krwi do mózgu. Jacewicza słusznie założył, że tego dnia w każdej chwili może znaleźć się w oku kamer i uznał najwyraźniej, że lepiej wyglądać jak prowincjonalny biznesmen niż jak Bob Budowniczy. W ciągu dnia powinien jednak zorganizować sobie nowy strój. PR będzie miał znaczenie, a obraz w kamerze jest bezlitosny. Jak zestawia prząsną wersję Jacewicza z wystylizowanym Winterem, indywidualni inwestorzy podświadomie staną po stronie tego drugiego.

Kierowca wysiadł z samochodu i otworzył tylne drzwi, zanim Michał zdążył odnaleźć klamkę w naszpikowanej przyciskami tapicerce. Podziękował mu skinieniem głowy.

– Jak tam, panie Mietku? Wszystko po drodze w porządku?

– W jak najlepszym, panie prezesie.

– No to dobrze. Mecenasie, zapraszam do środka.

Michał przeszedł przez wywołującą dezorientację galerię luster w wiatrołapie

i znalazł się w urządzonym w minimalistycznym stylu salonie. W powietrzu unosił się przyjemny zapach kawy.

– Chodźmy do jadalni. Mirek Kociewski już jest. Zaczniemy od śniadania. Janka coś tam dla nas przygotowuje.

Przeszli do pomieszczenia przylegającego do dużej kuchni z centralnym stołem z czarnego kamienia. Popławska w kuchennym fartuchu wbijała jajka do srebrnej miski.

– Dzień dobry, dzień dobry! Nie przywitam się, bo mam ręce w jajkach. Zaraz zrobię panu kawy.

Uściskał dłoń Kociewskiemu i usiadł naprzeciwko niego przy wielkim stole z marmurowym blatem, który mógłby służyć za katafalk. Jacewicz usiadł u szczytu.

– Urządziłem panu wczesną pobudkę, co? – zwrócił się do Michała. – W biurze, jak pan wie, nie jest bezpiecznie rozmawiać. Mirek obudził mnie przed piątą. Stwierdziłem, że lepiej będzie od razu opuścić dom. Miałem rację – żona dzwoniła przed chwilą. Pod bramą u mnie jest już kilku dziennikarzy z kamerami. No to zaczęło się! Ale... – Zatarł ręce na widok Popławskiej niosącej talerze. – Najpierw się posilmy. Proszę, Janka robi świetne omlety. Smacznego!

Cóż, Michał musiał przyznać, że śniadanie było wyśmienite.

Po wyniesieniu naczyń pozostali przy stole w jadalni. Michał wyjął z teczki wydruk wezwania ze swoimi notatkami. Kociewski miał kilka egzemplarzy, dał po jednym Jacewiczowi i Popławskiej. Jacewicz czytał, sapiąc przy tym co jakiś czas i komentując niektóre fragmenty: „Pff, szesnaście złotych za akcję! Kretyni!”, „Ja wam, kurwa, dam kontrolę!”, „Spieprzać, złodzieje!”. Międlili wydruk w rękę i przewracał zsyte kartki, nieomal rozrywając je na strzępy. Popławska położyła swój egzemplarz przed sobą na stole i sięgnęła po zawieszony na złotym łańcuszku okulary. Pochyliła się na chwilę nad dokumentem, po czym zdjęła okulary i zastygła wpatrzona w pierwszą stronę.

Jacewicz skończył, z zamachem trzepnął plikiem kartek o stół, aż Michał musiał łapać swoje uniesione podmuchem, skrzyżował ręce na piersi i czerwony na twarzy spojrzął w okno.

– No, chuje złamane po prostu!

Wstał, poszedł do kuchni i nalał sobie szklanek wody z kranu. Wypiwszy, wrócił do nich.

– Dobra. Przynajmniej sytuacja jest jasna. Winterowi zamarzyło się przejść nas w całości. Zapisy mają się zacząć za trzy tygodnie i trwać przez miesiąc. Nie ma szans, żeby mu się udało, skoro my swoich akcji nie sprzedajemy. Sprawa jest w sumie prosta. Mirek, wiesz, co masz robić. Te kwitki przygotuj, stanowisko zarządu i co tam jeszcze trzeba.

– Naszą wycenę akcji. Mam już umówionego doradcę.

– No właśnie. Mecenasiu, ma pan coś do dodania?

– Potrzebują zgody UOKiK, ale nie sądzę, żeby mieli z nią problem. Druga rzecz, o której należy pamiętać, to kryterium powodzenia wezwania. Panowie zdają sobie

sprawę z tego, że Radmesowi wystarczy przekroczenie progu dziewięćdziesięciu procent akcji? Nie muszą skupić stu. – Zreflektował się i spojrzął na Popławską, czy aby nie uraził jej nieświadomym pominięciem. Starła tylko niewidzialny pyłek ze stołu.

– Mogą potem zrobić przymusowy wykup... – skwitował Jacewicz. – Tak, wiem o tym. Trzymamy nasze piętnaście procent, więc mogą mnie w dupę pocałować! Omówmy teraz plan najbliższych działań, a potem, Mirek, zwijamy się do firmy. Zadzwoń do banku, niech ruszą swoje wysoko opłacane dupy i przyjadą na dwunastą. Jestem bardzo ciekaw, jak im dzisiaj z oczu patrzy.

*

Nie mogło być inaczej – operacja przejęcia M-Construct przez Radmesa wdarła się przebojem na pierwsze strony biznesowych gazet i portali ekonomicznych. W pierwszych dniach ekscytacja sięgała poziomu hysterii. „Największe wrogie przejęcie w regionie!”, „Czy Goliat pokona Dawida?”, „Młodość kontra doświadczenie” – krzyczały nagłówki. Studia telewizyjne emitujące programy o giełdzie każdego dnia analizowały temat z udziałem ekspertów. Analitycy szybko podzielili się na dwa obozy – jedni twierdzili, że Radmes dzięki dostępowi do finansowania i wsparciu akcjonariatu M-Construct osiągnie swój cel, inni zauważali, że wszystko zależy od odpowiedzi rodziny Jacewiczów, a ta, reprezentowana w mediach przez Piotra Jacewicza, stanowczo krytykowała sens połączenia firm, które różniło wszystko – historia, kultura i podejście do biznesu.

Michał wieczorami, po dniach wypełnionych spotkaniami, analizowaniem i tworzeniem dokumentów, obserwował medialne doniesienia i przeglądał komentarze pod artykułami, szukając śladów rozpoczynającej się nagonki. Zastanawiał się, kiedy Winter spuści ze smyczy bank kredytujący M-Construct i w jaki sposób to przeprowadzi. Nie miał wątpliwości, iż to nastąpi. Od kilku dni przygotowywali się na odparcie ataku wraz z zespołem agencji PR, którą za namową Michała wynajął Jacewicz. Ponieważ biura M-Construct nie były uznawane za bezpieczne, pracowali w domu Popławskiej, gdzie zaanektowali cały parter.

Przez lata spędzone na zarządzaniu i rozwijaniu biznesu Michał zapomniał, jak to jest być na linii frontu. Konieczność skupienia się na mnóstwie rzeczy do zrobienia w ograniczonym czasie zamykała dostęp tym innym myślom, jałowym miazmatom. Jeśli na chwilę wyłączyć wiedzę płynącą z doświadczenia i krytyczne myślenie, można nawet było dać się ponieść tak często zaznawanemu w szczenięcych latach złudzeniu przynależności do zespołu. W nocy błogosławione zmęczenie jednym pstryknięciem wyłączało świadomość i sen przestał być zmaganiem, pozostawiającym pobjowisko w postaci wilgotnej od potu, skotłowanej pościeli. Regenerował i odchodząc o poranku, pozwalał wyświeślać się obrazom szczupłych palców Agnieszki Moroz przewracających stronice czarnego notatnika i jej granatowych prawie, rozjaśnionych plamkami minisońc, oczu. W tych pierwszych przebłyskach pojawiały się też kształtne kolana i łydki młodej konsultantki z agencji PR, z którą spędzał dużo czasu w domu Popławskiej, kiedy pracowali nad skryptem medialnej

narracji M-Construct, a która zaproponowała mu ostatnio wyjście na piwo.

Jadąc do biura M-Construct, nastawił głośno radio i śpiewał razem z Jonem Bon Jovi o Tommym, który musiał zastawić w lombardzie ukochaną gitarę, i płaczącej nocami Ginie. Klepali słodką biedę, karmiąc się modlitwą. Nigdy wcześniej nie wsłuchał się w tekst tej piosenki (chyba ze względu na pamięć o kretyńskim teledysku z czasów wczesnej MTV) i teraz dopiero naszała go refleksja, że słowa przeboju sprzed lat opisują sytuację dokładnie przeciwną do tej, w jakiej sam się znajdował. Czy nie wolałby mieć kogoś, z kim mógłby dzielić życie, nawet jeśli każdy dzień miałyby oznaczać młócenie rękami, żeby nie utonąć, zamiast odmierzać upływ lat w dostatniej samotności? Czy takie pytania mają jakikolwiek sens, skoro nic nie można zmienić? Lepiej urodzić się w dużej rodzinie w slumsach Rio de Janeiro czy jako jedynak w willi rozłożonej na kamienistym brzegu Rhode Island, z pokojówkami i salonem otwartym na oszałamiający widok na Atlantyki? Codziennie ryż i fasola, żeby pozbyć się uporczywego ssania w żołądku, czy tysiące dolarów na dietetyków i trenerów osobistych? Wybór niby oczywisty, ale gdyby jakieś magiczne zaklęcie umożliwiło zamianę miejsc, to prawidłowa odpowiedź brzmiałaby: „to zależy”. Czy dzieci rodzące się na Rhode Island mają lepsze geny? Czy ewolucja wspiera ich propagację? Przecież ci dobrze urodzeni też muszą walczyć o przetrwanie. Utrzymanie wysokiego *status quo* to zmagania jeszcze bardziej zażarte niż te związane z przeżyciem do pierwszego. I z całą pewnością okupione stratami.

Kiedy Michał wszedł, asystentka dała mu znak, żeby od razu zmierzał do gabinetu Jacewicza.

– Widział pan już? – Jacewicz siedział przy stole konferencyjnym. Pchnął gazetę w stronę Michała.

– „M-Construct w tarapatkach. Problemy z finansowaniem inwestycji na Woli mogą zachwiać płynnością spółki”. – Michał przeczytał na głos nagłówek artykułu.

– Proszę przeczytać całość.

Mniej więcej tego się spodziewali. Dziennikarz „dotarł” do informacji, że bank analizuje dokumenty związane z inwestycją, w ramach procedury uruchamianej w przypadku pojawienia się dodatkowego ryzyka. Nikt nie mówi jeszcze oficjalnie o możliwym wypowiedzeniu kredytu, ale taki scenariusz jest możliwy, a wtedy M-Construct będzie miał poważne kłopoty. Na końcu zamieszczono odpowiedź Wintera na pytanie o to, jak sprawa z bankiem wpłynie na zamiar przejęcia M-Construct przez Radmesa. „Analizujemy sytuację. Nie wykluczam radykalnego obniżenia ceny akcji w wezwaniu”.

– Rozumie pan coś z tego? – zapytał Jacewicz. – Dwa dni temu zmienili wezwanie i podwyższyli cenę o piętnaście procent.

Michał się zastanowił.

– Podwójny nelson. Marchewka i kij użyte jednocześnie w celu przekonania niezdecydowanych akcjonariuszy.

– Przecież musi sobie zdawać sprawę, że mnie nie przestraszy.

– Pana nie, ale...

– Ale co?

Michał musiał właściwie dobrać słowa.

– Od tygodnia nie widziałem Sebastiana. Rozmawialiście ostatnio?

– Sebastian? Niechże pan da spokój! Wyjechał gdzieś z narzeczoną. Do Grecji chyba albo do Włoch.

– Jeśli to możliwe, proszę go poprosić o kontakt ze mną. Tymczasem trzeba mediom dać nasz komentarz.

– Tak, wydzwaniamą od świtu. Działajcie. Ja jestem do dyspozycji, jeśli będą chcieli ze mną rozmawiać.

Redakcje otrzymały oficjalne stanowisko M-Construct w sprawie enuncjacji prasowych. Jacewicz udzielił wywiadów dla dwóch stacji telewizyjnych, do trzeciej miał zaproszenie na dwudziestą drugą. Parter domu Popławskiej opanowała grupa dziewczyn z agencji PR. Wezwane zostały posiłki i teraz dwie dodatkowe specjalistki od robienia wody z mózgu chodziły po salonie z telefonami przy uszach, strząsając słupki papierosowego popiołu na pokrytą granitowymi płytami podłogę albo do stojących na parapecie doniczek z kwiatami. Te dwie nowe różniły się od konsultantek, z którymi do tej pory współpracował Michał. Na pewno były starsze, może nawet starsze od Michała, choć trudno było to z całą pewnością stwierdzić. Największą różnicą był jednak strój i sposób bycia. Zamiast ogłady ujętej w konwencję garsonek i białych bluzek, nosiły dzinsy i T-shirty, w jednym przypadku z ciemnymi plamami potu pod pachami. Do tego bezpośrednio na granicy bezczelności:

– Zrobisz mi kawę? – zapytała Michała jedna z nich, przysadzista blondyna.

– Nie. – Z uśmiechem pokręcił głową, co wywołało taki tylko efekt, że z tym samym pytaniem zwróciła się natychmiast do jednej z młodszych koleżanek.

Popławska z początku próbowała czynić honory domu, oferowała kawę, otwierała okna, żeby przewietrzyć, i opróżniała porcelanowe filiżanki z petów gaszonych w fusach, ale koło południa powiedziała, że musi coś pilnie załatwić, i wyjechała. Michał został z kobietami, podekscytowany jak zoolog, który w dżungli natknął się na parę przedstawicieli nieznanego gatunku.

M-Construct został zaatakowany i odpowiadał w ofensywnym stylu przy wykorzystaniu pododdziału do zadań specjalnych. Michał pełnił rolę oficera sztabowego odpowiedzialnego za koordynowanie działań na polu walki.

– Nie może pójść w takiej formie. – Michał oddał kartkę blondynie w przeпоconym T-shircie z napisem „Ego on hold”. – Dodaj koniecznie, że inwestorzy indywidualni zostaną zmarginalizowani po przejęciu.

– Co zrobieni? Przekaz oparty o gównno-znaczące słowo na siedem sylab? Chryste!

Racja. Media i wiedza ekspercka to rozłączne światy. Zerknął na swój wibrujący telefon. Odrzucił połączenie.

– Okej, powiedz, że Radmes zapewne zrobi przymusowy wykup akcji drobnych inwestorów.

– Przymusowy? Czyli ich okradnie?

– No, niezupełnie...

– „Radmes może okraść drobnych inwestorów” – przejdzie? Przecież nie mówimy, że na pewno tak zrobi, nie?

Uśmiechnął się rozbrojony. Spojrzał na telefon, który zasygnalizował teraz przychodzącą wiadomość.

– Pominę też „drobnych”, żeby nikogo nie urazić – dorzuciła, wykorzystując chwilę dekoncentracji Michała. Już nadawała: – Leon, nie bądź miękkim chujem! Puść mi tego szczura. Pamiętasz, jak pomogłam ci wtedy w Krynicy? No to weź to pod uwagę, a przy tym uratujesz moją dupę przed klientem. Cieszę się, że ci się podoba. – Skinęła do Michała.

W odpowiedzi uniósł wyprostowany kciuk i odebrał połączenie. Tego dnia stał się niezwykle popularny. Po mieście musiała rozejść się informacja o jego roli w walce przeciw wrogiemu przejęciu M-Construct. Telefon grzał się od połączeń i wiadomości. Znajomych interesowało, jak się sprawy mają, i oferowali pomoc, oczywiście nie charytatywną. Tym razem dzwonił Zygmunt Sowa – szef jednej z większych warszawskich kancelarii.

– Słyszałem, że zmieniłeś barwy i robisz dla Jacewicza? Ale dzwonię w innej sprawie. Jak już ochłoniesz dzisiaj, to wpadnij do nas. Zabawimy się, pogadamy o przyszłości. Od dwudziestej w Oświęcieniu.

Nie czuł zmęczenia, głodu, nie myślał o niczym innym, tylko o tym, co działo się wokół niego w każdej kolejnej minucie. Przebudzał się, rodził na nowo. Zwątpienie i smutek ogarniają wojownika, który nie może stanąć przed wyzwaniem na jego miarę. Przy odpowiednim poziomie adrenaliny przesadzanie morw w morze nie stanowi problemu. Sowa chciał rozmawiać o przyszłości, to logiczna konsekwencja tego, co się dzieje teraz. Na tym polega bycie na fali.

Ogarnął wzrokiem pokój.

Ira – Michałowi przedstawiła się jako Irena – starała się uplasować uzgodniony komunikat na wiodącym portalu:

– Tak, tylko tobie to przesłałam. Możesz olać, zrozumiem. Czyli olewasz? Nie ma problemu, poczekaj, mam drugie połączenie. – Klawisz wyciszenia, przerwa na kilka machów i długie spojrzenie w okno. – No, już jestem, ale sorry, musimy kończyć. Mam Mokwę na drugiej linii. Tak, jest zainteresowany, ale ty nie, więc kończmy. No dobra, ciebie bardziej lubię, ale jestem z nim po słowie. Poczekaj chwilę... Gdzie jest kibel? – To pytanie skierowała do obecnych w salonie. Któraś z dziewczyn wskazała jej drogę.

– Dobra, dostajesz fory. – Wróciła do rozmowy telefonicznej. – Masz pięć minut.

Nie dostrzegł kreatywnej Anety o zgrabnych nogach, która dniami i nocami pisała pod różnymi nickami posty na forach w internecie (miały stawiać M-Construct w pozytywnym świetle).

Odnalazł ją w sypialni na piętrze. Pochrapywała, leżąc w ubraniu pod skrajem ciężkiej narzuty. Kusilo go, żeby odgarnąć kosmyk włosów, który opadł jej na nos i usta. Powstrzymał się.

Dziewczyny były skuteczne. Uruchomiły swoje kontakty i zaprzyjaźnieni dziennikarze opublikowali, co zostało ustalone. Druga strona milczała. Mimo medialnej kontrofensywy kurs akcji M-Construct, który rano odkleił się od wyższej ceny określonej w aktualnym wezwaniu, opadał w ciągu dnia jak jesienny liść, aż oparł się o minimalny poziom określony przez przepisy giełdowe. Rynek nie kupił ich historii.

Nie było wyjścia, trzeba było użyć cięższej artylerii. Wysłał umówioną wiadomość do Jacewicza, który zmierzał już do studia telewizyjnego, żeby wziąć udział w wieczornym programie na żywo.

W międzyczasie wróciła Popławska i wszyscy razem, częstując się zamówioną przez telefon pizzą (tylko Popławska użyła talerza i sztućców), zasiedli na sofach przed telewizorem.

– Powinien uważać, co robi z dłońmi. Widać, że się denerwuje – zauważyła Ira.

– Nikt mu nie powiedział, że do telewizji nie zakłada się ubrań w wąskie paski? – dodała blondyna. – Koszula miga mu tak, że można dostać padaczki.

Jacewicz odpowiedział na kilka schematycznych pytań dziennikarza i pod koniec rozmowy powiedział to, na co się wcześniej umówili – o podejrzanym działaniach Radmesa, podstępny przejęciu Prodeve przez powiązane firmy i wywołaniu całkowicie pozbawionego podstaw kryzysu z bankiem, co właściwie należy uznać za przestępstwo.

Coś jednak było nie tak.

– Kuziewicz jest ewidentnie zbriefowany! – wykrzyknęła blondyna, wskazując nadgryzionym kawałkiem pizzy na dziennikarza w studiu. – W ogóle nie dopytywał o szczegóły, a powinien, bo to temat bomba! Pyta za to, czy M-Construct nie rozważał, jak Radmes, integracji pionowej czy czegoś tam. Jakby był ich, kurwa, rzecznikiem prasowym. Ale siara!

Michał wyszedł zaraz po zakończeniu programu. Taksówka wywoziła go na tyły frontu przez sposobiące się do snu miasto. W dawnych czasach zajechałby do nocnego i kupił dwie butelki wina. Pierwszą, relacjonując dzień, wypiłby z Anką. Druga pękłaby samotnie w gabinecie, przy analizie zasług i błędów.

Teraz zastanawiał się, czy nie wpaść do klubu, do którego zapraszał Sowa. Impreza pewnie się jeszcze nie rozkręciła na dobre. Projekt M-Construct w taki czy inny sposób skończy się za kilka tygodni. Teraz, kiedy znowu poczuł krew krążącą w żyłach, był gotowy na rozpoczęcie nowego rozdziału życia.

*

Dwumetrowego wzrostu selekjoner w czarnym garniturze i golfie, stojący na trotuarze z dłońmi splecionymi z przodu w pozie agenta Secret Service, kiwnął z aprobatą. Michał schodził wąskim, słabo oświetlonym korytarzem do podziemia kamienicy w Śródmieściu, jakby zstępował do czeluści, w której znalazła schronienie bestia o sercu emitującym puls tak silny, że poruszał murami. Drzwi pierwszej służby, szatnia, ochroniarz o twarzy odlanej z plastiku i drugie drzwi otwarte przed Michałem.

Przestąpił próg i oparł się o ścianę fali dźwiękowej, którą tworzyły wstrząsające wnętrzościami uderzenia techno.

Odczekał, aż ogłuszająca magma rozwarstwi się na muzykę i gwar prowadzonych krzykiem rozmów.

W klubie kłębił się tłum ludzi z kieliszkami w rękach, roześmianych, nachylających się do uszu współtowarzyszy w próbach nawiązania komunikacji. Zaczął przeciskać się bokiem, bo środkową część sali opanowały tańczące pary.

Starając się nie spowodować szkód w postaci rozlanych drinków i plam na koszulach, wysunął do przodu rękę niczym trał i nawigował szczelinami pomiędzy niezwracającymi na niego uwagi ludźmi. Kierował się do łóż.

Zygmunt Sowa siedział w środkowej, rozparty na kanapie. Jako jeden z ostatnich w całym klubie miał jeszcze pod szyją krawat. Bez przekonania pociągał drinka ze szklanki i patrzył w pustkę, podczas gdy młody człowiek siedzący obok, przechylony ku niemu, tak, że kłęczał, perorował. Sowa albo nie słyszał, albo nie obchodziło go, co tamten mówił, bo nie dawał żadnych oznak, że bierze udział w rozmowie.

Sowa zobaczył zbliżającego się Michała i wstał, potrącając przy tym młodego. Uśmiechnął się szeroko i rozłożył ręce na boki w serdecznym geście powitania, zaskakująco harmonijnie współgrającym z jego urodą – ciemną karnacją, czarnymi włosami przeplatany pasmami siwizny i brązowymi oczami. Michał przedzierał się przez ostatni szpaler ciał, kiedy Sowa powiedział coś do młodego, a ten poderwał się i wbił w tłum.

– Cześć! Jednak wpadłeś! Ile lat się nie widzieliśmy? Trzy? Cztery? – Pokleпали się po plecach. – Siadaj, młody zaraz przyniesie coś dla mężczyzn. Przy tych cudactwach, które teraz piją szczyłe – wskazał swój drink – człowieka nachodzą myśli, że stał się nieoczekiwanie i wbrew sobie konserwatystą. Siadajmy! O, już wraca ambitny!

Michał obejrzał się i zobaczył młodego człowieka, który przeciskał się między ludźmi, przytulając do piersi wiaderko z lodem, z którego wystawała szyjka butelki.

– Ambitny? – Michał się zaśmiał.

– A co, w MG nie miałeś dupowłazów? Rozkręcanie biznesu, wiesz, lubię, ale z tym zarządzaniem zmagam się od lat. Nuży mnie codzienne zastanawianie się, kto potrzebuje przytulenia, a komu trzeba ostrego opierdolu, żeby zaczął funkcjonować. Kobiety są urodzonymi menedżerami. Zdolności i potrzebę manipulowania dostają w genach. Tak myślę. Ale po co to opowiadam? Znasz to przecież z autopsji. Wziąłeś kieliszki? – zwrócił się do młodego. – No to polej panom. – Za przyszłość! – Stuknęli się szkłem i wypili. – Radio, zostaw nas samych.

– Macie dzisiaj jakąś okazję? – zapytał Michał, wskazując na salę, w której tłoczyło się ze sto osób, na oko cała kancelaria.

– Takie tam. – Sowa machnął ręką. – Spóźnione party noworoczne. Wtedy odwołaliśmy, bo jeden z naszych młodych prawników zginął w wypadku samochodowym. Nie wypadło tak tuż po pogrzebie. Potem Wielki Post... nie, żebym był religijny, ale cholera wie, ile osób by nie przyszło.

Michał pokiwał głową ze zrozumieniem.

– I jak tam? – zapytał Sowa. – Długo się będziecie bronić z Jacewicami? Masz tam pieprzoną redutę Ordon, co nie? Jaki to ma sens? Jacewicz powinien sprzedać Winterowi wszystko w pizdu po najwyższej możliwej cenie i usiąść na kasie w oczekiwaniu na armagedon. Gwarantuję ci – napijmy się – że strategia na przyczajonego Pac-Mana to najlepsze rozwiązanie. Sprzedać akcje teraz, poczekać, aż giełda się zwali, a zwali się na sto procent, i odkupić solidny kawałek połączonych firm. Znam Piotrka. Wiem, jak emocjonalnie podchodzi do tej swojej schedy. Chciałby utrzymać rodzinne imperium. No i bardzo dobrze, ale czasami trzeba z premedytacją przegrać bitwę, żeby zachować szanse na wygranie wojny.

Wypili za sukces M-Construct.

– Wiesz, Michał, mam dla ciebie propozycję. Potrzebuję szefa działu doradztwa transakcyjnego. Mój obecny przyjął ofertę z Banku Światowego i wyjeżdża budować instytucje w Mali. A może w Malawi? Nie mogę zapamiętać, jeden pies, w każdym razie u Murzynów. Kiedy dowiedziałem się, że odszedłeś z MG, od razu o tobie pomyślałem. Wiem, wiem – szef działu to nie ten poziom, co kierownik całego bajzlu, ale może byś rozważył? Dogadamy się co do warunków. Dla mnie najważniejsze, że mam do ciebie zaufanie, a poza tym zwyczajnie cię lubię. Poczekaj, nic nie mów, poleję najpierw.

– No właśnie – podjął po kolejce. – Najważniejsze, czy chcesz w ogóle pracować. Ja bym nie mógł bez roboty. Kiedyś siedziałem przez rok na świetnie opłacanym zakazie konkurencji. Opowiadałem już? To było wtedy, jak odszedłem z McKerry, z dziesięć lat temu. Pomyślałem, że sobie odpocznę, zregeneruję się. Zamiast tego popadłem w degrengoladę. Pamiętam, jak któregoś dnia obudziłem się i zszedłem na dół w pizamie. Było prawie południe, a ja, wiesz, rozmemłany, nawet wziąć prysznic mi się nie chciało. Miałem nadać na poczcie paczkę z urodzinowym prezentem dla teściowej. Odkładałem to od kilku dni. Położyłem się na kanapie w salonie i zacząłem analizować argumenty za i przeciw pójścia na pocztę. Rozumiesz? Zaczęły mnie przerastać najprostsze zadania. A ty jak? Zamieniasz garnitur na szlafrok, wyjeżdżasz na rok do Gwatemali czy kupujesz dom nad pieprzonym rozlewiskiem i będziesz pisał książkę? A może popracujemy razem? Mógłbyś zacząć za trzy miesiące. No, Michał?

– Napijmy się – powiedział Michał i wyjął butelkę z kubelka z lodem.

*

Leżał na boku z dłońmi podłożonymi pod głowę. Beata siedziała na przeciwległym skraju łóżka i ubierała się. Drobne pieprzyki na jej plecach układały się w konstelacje. Dostrzegł pas Oriona – trzy ukośnie ułożone ciemne punkty na bladym tle skóry.

Wstała i naciągnęła do końca czarne rajstopy na pośladki. Miałby ochotę podjąć wnikliwsze studia. Trudno uznać, że coś się poznało po jednej styczności.

Odwróciła się do niego opasana biustonoszem i jednym ruchem zapięła przednie haftki, których rozbrojenie zajęło mu wczoraj w nocy dłuższą chwilę (działał po omacku na nierozpoznanym terenie).

Przykłąknęła na łóżku i spojrzała na Michała. Poprawiła dłońmi ułożenie piersi w miseczkach stanika.

– Muszę iść. Mam spotkanie z klientem o dziewiątej, a chcę jeszcze wpaść do domu i doprowadzić się do ładu. Jestem trochę... zdewastowana. – Potrząsnęła włosami i się zaśmiała.

– Odwiozę cię.

– Nie trzeba, wezwałam taksówkę. Już czeka. Zadzwoń.

– Jasne.

Chwilę patrzyła w milczeniu.

– Przez kilka dni mnie nie będzie. Karol przyjeżdża ze Stanów i jedziemy na przedłużony weekend do Łeby.

– Oczywiście. Mówiłaś wczoraj.

Poprzedniego dnia wieczorem, choć wcale go to nie interesowało, bardzo dużo dowiedział się o jej mężu – że jest bankierem inwestycyjnym, robi świetną karierę, teraz realizuje projekt w Nowym Jorku, że mądry... że maraton... triathlon... i przyrządza świetne steki. I że w ogóle Michał musi koniecznie kiedyś wpaść do nich na kolację. To wszystko było, zanim ona wpadła do niego. I nie dostała kolacji. Ani śniadania.

Wyrwała go do tańca. Podeszła do stolika, przy którym z Sową napoczęli właśnie drugą butelkę wódki, wzięła za rękę i nie pytając o zgodę, pociągnęła Michała na parkiet. Wspomnienia nie były ciągłe – szalone wirowanie przy latino i evergreenach z lat siedemdziesiątych (ktoś chyba zabił didżeja od techno i przejął kontrolę nad konsoletą), zderzenia z innymi tancerzami, mocne przytulanie przy wolnym (to była Celine Dion), jej ręka wędrująca po jego plecach, powroty do stolika na jednego z Sową, który wcale Michała nie zatrzymywał, wręcz przeciwnie – zachęcał do integracji, skoro wkrótce Michał miał „dołączyć do tej bandy”. Otrzymana i przyjęta oferta pracy, alkohol, muzyka, zabawa z Beatą, z każdą chwilą coraz bardziej atrakcyjną – wszystko wymieszane w uderzający do głowy koktajl.

„Mój Karol to... mój Karol tamto...” Facet siedział na Manhattanie, a jednak ciągle kręcił się w pobliżu. Zniknął, kiedy na bar zaczęły wjeżdżać seriami szoty tequili i wznoszono toasty. Na pewno nie było go w taksówce, gdzie jego żona zadarła spódniczkę, usiadła okrakiem na Michale i wsunęła w jego usta ciepły język. Nie zainterweniował też, gdy Michał nie mógł trafić kluczem do zamka, bo przytulona do jego pleców Beata próbowała rozpiąć mu rozporek, a on bronił się, chichocząc, gdyż mocno napięty materiał groził urażeniem zawartości. Wreszcie – to niewybaczalne – Karol nie usłyszał krzyków małżonki i nie skoczył na ratunek, kiedy gryząc poduszkę, w konwulsjach spadała z klifu, pociągając za sobą Michała.

– Potem znów wyjeżdża na kilka tygodni. – Sięgnęła po torebkę. – Będziemy mogli pójść na kawę albo coś...

– Po prostu zadzwoń, kiedy zechcesz. Nigdzie się nie wybieram.

Gdy drzwi trzasnęły, obrócił się na wznak i przymknął oczy. Poddał się odczuciu dawno niezaznanej satysfakcji. Bezskutecznie starał się przypomnieć sobie, jak to było, kiedy kochał się z Anką. Te doznania chyba są zbyt pierwotne i nie zapisują się na dobre, tak jak fizyczny ból.

Po chwili do błogości dołączył piekący dyskomfort. Skorzystał z wolności i trącił zasłonę. Próbował dostrzec, co się za nią skrywa, ale doszedł tylko do wniosku, że nigdy nie lubił imienia Karol.

*

Wiadomość od Jacewicza zawierała dwa słowa i niosła niepokojący przekaz: „Po wszystkim”. Nie odebrał telefonu. Michał, nie zważając już na możliwość zawleczenia za sobą ogona, pojechał do Popławskiej, choć nie miał pewności, czy zastanie tam Jacewicza. Jego samochód stał jednak na podjeździe willi w Pyrach. Kiedy za Michałem szczęknęły zamknięte przez Popławską drzwi, zaskoczyła go panująca w domu cisza, zdająca się wypełniać przestrzeń chłodną aurą podniosłej nieodwracalności. Przyszła mu do głowy absurdalna myśl, że zaraz zobaczy ciało Jacewicza ułożone na stole w jadalni w za małym garniturze, z różańcem owiniętym wokół dłoni.

Jacewicz rzeczywiście tam był, jednak żywy, zgarbiony nad kubkiem herbaty i talerzem nietkniętej jajecznicy. Podniósł głowę.

– A, to pan – powiedział martwym głosem, wskazał Michałowi krzesło i zaczął dłubać w talerzu.

Po chwili z brzękiem opuścił widelec i zapatrzył się w okno.

– Wie pan, mój ojciec nie miał ze swoim lekko. Ciężka praca na roli, okupacja. Co sobotę, wiem to z opowieści wujostwa, dziadek spuszczał pasem łomot swoim trzem synom – tak profilaktycznie, bo na pewno coś zbroili. Mnie mój nigdy nie uderzył, nawet kiedy ostrzem cyrkla porysowałem jego zdobytą skądś oryginalną płytę Beatlesów. To był taki eksperyment, wie pan, czy polecą muzyka. – Zaśmiał się, a Michałowi zdało się, że zaszklily mu się oczy.

– Był pracowity i miał dużo szczęścia – kontynuował. – Jak dopuścili działalność firm polonijnych, skontaktował się z nim kolega z wojska, z tych, co to wyjechali w sześćdziesiątym ósmym. Miał pieniądze, a ojciec dojechał tutaj. Zaczęli produkcję zapinek do broszek. Poszło świetnie, potem – po osiemdziesiątym dziewiątym – weszli razem w budowlankę. Kolega zmarł w dziewięćdziesiątym trzecim chyba, ojciec odkupił udziały od jego rodziny. Sam zmarł pięć lat później. Tak to się zaczęło.

Zrobił dłuższą pauzę, podniósł kubek, ale zaraz go odstawił. Wciąż patrzył na ogród. Popławska przysiadła na krzesło przy drugim krańcu stołu.

– Nie wiem, gdzieś musiałem popełnić błąd. A może tak już musi być, że co któreś pokolenie syn się wyradza. Za łatwo i za dużo, wszystko na wyciągnięcie ręki. Może dlatego... No nic, zamykamy budę – po raz pierwszy zwrócił się wprost do Michała.

– Co się stało? – zapytał Michał, choć przeczuwał odpowiedź. Jacewicz znów

uciekł wzrokiem do okna, a Popławska przymknęła powieki, jak pogodzona z losem ofiara, która woli nie widzieć spadającego ciosu.

– Sebastian zapisał swoje akcje do sprzedaży. Zadzwoił dzisiaj rano. Chce zainwestować w biotechnologię czy jakieś inne gówno. Nie rozumie, że ludzie potrzebują gdzieś mieszkać. Winter uzyskał więc ponad dziewięćdziesiąt procent, a ja nie dam się upokorzyć przy przymusowym wykupie. Zdecydowaliśmy z Janką, że nasze akcje też sprzedajemy. Niech się chuj udławi! – Pozwolił wybrzmieć przekleństwu. – Niepotrzebnie pan przyjeżdżał, miałem zamiar zadzwonić. Niech pan szybko wystawi fakturę. Zapłacę, na co się umówiliśmy. Za tydzień to już nie będzie moja firma.

*

Od rana lało. Agnieszka rzuciła się biegiem przez parking pod komendą, ale poczuła, że nie całkiem panuje nad koordynacją ruchów. Oparła się o jakiś samochód i po chwili ruszyła dalej wolnym krokiem. Kiedy weszła do pokoju operacyjnego, kontemplując ciężar nasiąkniętego wodą swetra, zastała niecodzienny widok. Stojący w centrum stół konferencyjny zasłany był kartkami wydruków. Niektóre niechlujnie połączone ze sobą pozaginaną taśmą klejącą, kaskadami spływały z blatu i układały się w małe stosy na podłodze. Zaaferowany Maciurski pochylał się nad stołem, sunął palcem po wydruku i zaznaczał coś żółtym markerem. Potem przechodził w inne miejsce i studiował kolejną płachtę.

– Jak weekend? – zapytał, nie patrząc w jej stronę.

Zdjęła z siebie sweter i rozwiesiła go na otwartym skrzydle szafy. Krople zabębniły o podłogę. Przejął ją dreszcz.

– Wiesz, dziwnie. Cały czas czekałam, aż po mnie zadzwonią. – Strząsnęła wodę z włosów. – Jak pracowałam w poszukiwaniach, to w weekendy często była jazda. Niektórzy wolą sobie zniknąć, zamiast zasiąść z najbliższymi do stołu. Hej! Co ty właściwie robisz?

– Szukam. – Nie przestawał przemieszczać się wokół stołu i nanosić znaki pisakiem.

– Czego? Największej liczby pierwszej? Co tu masz? – Podeszła do stołu. – A, wydruki logowań do stacji bazowych. Po cholere to drukowałeś? Przecież można przeglądać i analizować na komputerze.

– Jak patrzę w ekran, to po dziesięciu minutach opadają mi powieki i nachodzi mnie ochota, żeby pójść na piwo. A tak – zobacz – nie dość, że robię coś pożytecznego, to jeszcze się ruszam. No i nie musiałem siedzieć w domu i zastanawiać się, co z sobą począć.

– I co odnalazłeś w tych papierzyskach wartych ściętego zagajnika? – Usiadła przy stole, odsunęła na bok stos kartek i oparła łokcie o blat, przytrzymując dłońmi skronie i mokrą grzywkę. – Że pani A była w hotelu z panem B, kiedy w domu czekał na nią pan C?

– Pierwsze odkrycie może nie było tak spektakularne. Otóż odnalazłem numer,

który logował się do stacji bazowej w pobliżu mieszkania Szymalak od czwartku przed jej zniknięciem. Pojawił się wczesnym popołudniem, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy ona się tam zjawiła. Potem zacząłem iść śladem jej komórki, i wiesz co? Ten numer w kolejne dni logował się tam, gdzie akurat była Szymalak. Gdy docierała do domu, on tam zostawał, na całą noc. A potem znowu ruszał za nią.

– Ciekawe... Czemu nie zauważyliśmy tego wcześniej, kiedy badaliśmy jej ślad?

– Problem w tym, że w mieście stacje bazowe rozlokowane są dosyć gęsto i naszego tajemniczego łapała najczęściej inna, sąsiednia stacja. Czasami też znikał na jakiś czas. Może telefon się rozładowywał. Dlatego nam umknął.

– Ktoś ją śledził?

– Może być.

Agnieszka westchnęła.

– A ty co taka zdechła? Słaby dzień? Myślałem, że się zainteresujesz, pomożesz.

Zauważył, że drży z zimna. Wstał i podszedł do szafy. Podał jej swoją służbową bluzę z polaru. Powąchała ją i choć nie była całkowicie usatysfakcjonowana stanem świeżości, narzuciła sobie na ramiona.

– Jasne, bardzo to ciekawe. Popatrz na te zyliony cyfr. To chwile, które utrwalili na zawsze w systemie. Tyle tego i wszystko zapisane – kto, gdzie, z kim, kiedy. Nie przeraża cię czasami ta technologia? Że nic się nie ukryje? Kiedyś można było coś pokombinować, a teraz co? Odbierasz telefon od stęsknionego wujka, który pasie owce w górach na granicy z Pakistanem, i zaraz wali w ciebie rakietą wypuszczoną z drona...

– Tia, jednak gorszy dzień. Poczekaj chwilę.

Zrobił jej kawę z mlekiem i cukrem, sobie czarną. Usiedli przy stole.

– Ten numer już sprawdziłem. Zadzwoniłem do znajomego, który pracuje u operatora komórkowego. Też się nudził w weekend. Trzeba będzie potem dorobić oficjalne zapotrzebowanie, żeby było czysto w papierach. Tani telefon i karta prepaid kupione na początku marca w punkcie w centrum handlowym, za gotówkę. Aktywowany niedługo potem. Dostałem dane o połączeniach. Nie było żadnych: ani przychodzących, ani wychodzących, esemesów też nie, tylko doładowania za kilka złotych – co jakiś czas, żeby konto nie wygasło.

– Czy to nie dziwne?

– Prawdę mówiąc, nie wiem. Może to telefon zapasowy, taki na wszelki wypadek?

– Jeśli zapasowy, to powinno być widać też jakiś inny numer zawsze koło niego, nie?

– Niby tak, ale nie wyłapałem jeszcze żadnego towarzysza. Ciągłe szukam.

– Mówiłeś, że pojawił się koło Szymalak w czwartek przed jej zniknięciem. I co dalej? – Koktajl kofeiny z glukozą zaczynał działać i Agnieszce wracał wigor.

– No właśnie. To jest może najciekawsze – był tam do poniedziałku rano.

– Poniedziałku po tej niedzieli, kiedy zniknęła?!

– Dokładnie! Komórka Szymalak wypadła z systemu w niedzielę po południu, na Centralnym, a ten tkwił pod jej mieszkaniem, z krótkimi przerwami, przez kolejną

dobę.

– Co to może oznaczać?

– Nie mam bladego pojęcia.

Agnieszka wstała i zaczęła chodzić po pokoju.

– Trzeba natychmiast zamówić monitorowanie online tego numeru! I zgarnąć posiadacza, jak tylko się gdzieś objawi! Kurde! Coś wreszcie mamy!

Pokraśniał z zadowolenia, rozsiadł się na krześle i skrzyżował ręce na piersi.

– To nie wszystko, moja droga. To było wprawdzie ważne, ale w pewnym sensie mniej spektakularne odkrycie.

Zatrzymała się w pół kroku i wbiła wzrok w zadowolonego z siebie Maciurskiego.

– Ten numer, wiesz, zniknął potem na jakiś czas. Ale pojawił się znów w sieci dokładnie... – Podszedł do stołu i spojrzął na wydruk. – Dwa tygodnie później. Zgadnij, za kim się ciągnął, tak jak wcześniej za Szymalak?

– Za kim?

– Za naszym Michałem Tumskim! Co jest? – zapytał, kiedy zamknęła oczy i milczała dłuższą chwilę.

– Nic. – Odgarnęła włosy z czoła. – Chodźmy do Motyckiego z dobrą nowiną.

Przyjął ich od razu, wysłuchał, pokiwał głową i zapytał:

– Maciurski, ściągasz dane bez zgody prokuratora? Chcesz nas wsadzić na minę w sądzie? O postępowaniu wewnętrznym nie wspomnę.

– Znalazłem na śmietniku...

– A, na śmietniku! Skoro tak, to w porządku! Za pół godziny mam mieć na biurku wniosek o te dane. Z piątkową datą. A z dzisiejszą o monitoring w czasie rzeczywistym. Dobra robota! Ten numer jest wciąż aktywny?

– Według informacji, które dostałem... to znaczy znalazłem – poprawił się – był aktywny do minionego poniedziałku. Potem zniknął i nie dawał sygnału do dwudziestej czwartej w piątek, dalej nie wiem, trzeba zdobyć aktualne dane.

– Czy nie należy porozmawiać z Tumskim? – zapytała Agnieszka. – Może kogoś zauważył, moglibyśmy spróbować zrobić portret pamięciowy.

Motycki pogryzał wargę.

– Nie. Lepiej, żeby nie wiedział. Mógłby zacząć robić jakieś nerwowe ruchy. Będziemy monitorować sieć i zdejmujemy figuranta, jak się ujawni.

– A jeśli to wiąże się z jakimś niebezpieczeństwem dla Tumskiego? W końcu nie wiemy, co się stało z Szymalak – nie odpuszczała.

Motycki skreślił szyję jak indyk i łypnął na nią jednym okiem.

– No to się wreszcie dowiedźcie!

*

Kilka następnych tygodni było podobnych do siebie. Cechowało je wrażenie postępującej zmiany. Wspomnienia z okresu pracy w MG wydawały się Michałowi zbiorem historii z zamierzchłych czasów.

Utracił zdolność przywoływania z pamięci obrazu twarzy Aśki. Pamiętał za to nieistotne szczegóły. Kiedyś wszedł do jej gabinetu i zaskoczył go sposób, w jaki się poruszała – brakowało tych jej wszystkich, zdawało się naturalnych, wychyleń i balansów ciałem. Odruchowo spojrzął w dół i zobaczył drobne stopy z paznokciami pomalowanymi na jaskrawoczerwony kolor, ten sam, który miała szminka na jej ustach. Buty leżały pod ścianą – kremowe, na cienkim, wysokim obcasie, ozdobione drobnymi kryształkami.

Żałoba, jeśli jest dane przez nią przejść, nie trwa w nieskończoność. Życie, kiedy napotyka barierę, rozlewa się bokami, tworzy nowe kanały, wypełnia przepusty i rwie do przodu niepowstrzymaną mocą namnażania. Człowiek może poddać się sile tego prądu i ulec złudzeniu, które pozwala żyć – zapomnieniu. W przeciwnym razie skazany jest na szaleństwo obcowania ze zjawą snującą się gdzieś pomiędzy życiem a śmiercią.

Relacja z Beatą weszła na nowy poziom. Ku zaskoczeniu Michała zadzwoniła zaraz po powrocie z długiego weekendu. Spotkali się późnym popołudniem w gwarnej kawiarni w centrum handlowym. Pierwsze minuty odwrotnej randki w ciemno ciążyły im obojgu. To, co zaszło kilka dni wcześniej, stanowiło silnie odpychający ich od siebie ładunek antyintymności. Gdyby to było pierwsze spotkanie – w modnej kawiarni przy dużej latte i średniej americano – próbowaliby się może zauroczyć, odgrywać lepsze wersje samych siebie. Układaliby na swoich brzegach kamienie, które po odpowiednim czasie miały szanse utworzyć bród. Pewnego dnia może przekroczyliby dzielącą ich rzekę. Teraz jednak byli od siebie dalej niż dwoje nieznanym, którzy przypadkowo zasiedli przy tym samym stoliku. Problem stanowiło doświadczenie złamanego tabu. Michał nie miał zamiaru pytać, jak jej minął weekend. Ona zaś na szczęście nie opowiadała.

Siedzieli w milczeniu, patrząc każde w swoją stronę na pochłoniętych rozmowami ludzi przy sąsiednich stolikach. W pewnym momencie Michał napotkał wzrok Beaty.

– Wiesz co? Mam coś dla ciebie. – Sięgnęła do torebki, wyciągnęła owinięty w ozdobny papier pakunek i położyła przed nim.

Patrzył na mieniące się złotem i czerwienią geometryczne wzory. Pogładził palcami gładką powierzchnię.

– Nie rozpakujesz?

– Tak ładnie wygląda. Szkoda niszczyć.

– Nie żartuj. Otwórz.

– Ja nie mam nic dla ciebie.

– Nie szkodzi.

Ostrożnie rozerwał brzegi i odwinął papier.

– No nie! – Kilka razy przeniósł wzrok z okładki książki na Beatę. Uśmiechała się zadowolona, że udało jej się go zaskoczyć.

– Pewnie czytałeś?

– Kiedyś, dawno temu. Niewiele pamiętam. Z przyjemnością przeczytam raz jeszcze. Bardzo ci dziękuję. – Odłożył jednotomowe wydanie *Anny Kareniny* na

stolik. – To kończy się tragicznie...

– Oj tam! Jest dwudziesty pierwszy wiek! Teraz wszystko jest inaczej niż wtedy. – Zaśmiała się.

– Tak myślisz?

Przychodziła do Michała co jakiś czas, zostawała na noc. Przygotowywał wtedy kolację albo zamawiał jedzenie na telefon, oglądali film, wypijali butelkę wina, niekiedy więcej. Któregoś ranka, kiedy już wyszła, zastał w kubku w łazience dodatkową szczoteczkę do zębów. Później pojawił się damski dezodorant, balsam do ciała i nowe mydło w płynie w koszyku w kabine prysznicowej. Nie, nie przeprowadzała się. Zapewniła sobie tylko podróży zestaw kosmetyków. Za domowy strój służyły jego szorty i T-shirty. Do spania nie potrzebowała niczego.

Nie wyczekiwał telefonów od niej, ale kiedy przychodziła, był zadowolony z przerwy w rutynie. Beata była dobrą towarzyszką, nie narzucała własnych reguł, czuł się przy niej swobodnie. Sypialnia, choć wciąż odwiedzana, przestała stanowić oś ich relacji. Nastąpiło przyśpieszone dojrzewanie związku. W kilka tygodni doszli do etapu, który z Anką, jak pamiętał, osiągnęli po jakichś pięciu latach małżeństwa, po pierwszym poważniejszym kryzysie. Wtedy brak doświadczenia i koncentracja na sobie uczyniły niemożliwym rozpoznawanie punktów zwrotnych. Odebrał lekcję. Każdy ma jakieś oczekiwania i nadzieje do zawiedzenia. Czego chciała Beata? Była młodsza od Michała o kilka lat. Karol ciągle w Stanach, istniała możliwość, że za miesiąc, może za pół roku zadzwoni i powie: „Wiesz, poznałem kogoś, ma na imię Rachel, będziemy mieli dziecko, to kwestia odpowiedzialności, nie liczę na wybaczenie, może mogłabyś zrozumieć, ale to nieważne, wszystko moja wina, pamiętaj, nigdy nie zapomnę tego, co było między nami”.

Michał nie miał złudzeń. Nie był dla Beaty odkrytą miłością życia, jakimś Wrońskim. Ona też musiała zdawać sobie sprawę z temperatury jego uczuć. Któregoś dnia siedzieli przed telewizorem i zadzwonił jej telefon. „Cześć, kochanie!... Tak, jestem już w domu. Co u ciebie?” Strzeliła oczami na znak, że „to on” i na kwadrans zamknęła się w łazience. Nasunęła się wtedy Michałowi myśl, iż Beata, może nawet nie z premedytacją, ale instynktownie, związała się z nim nie tyle z potrzeby bliskości, ile po to, żeby uzyskać polisę ubezpieczeniową, awaryjne rozwiązanie, na wypadek gdyby widmo Rachel miało się oblec w ciało. Jak mogłoby wyglądać zgłoszenie przez Beatę roszczenia o wypłatę odszkodowania? Wręczone przy kolacji pudełeczko owinięte kokardką, a w nim biała plastikowa płytką z dwiema czerwonymi kreskami w okienku?

*

Michał zamierzał wybrać się do siedziby giełdy na otwartą dla publiczności konferencję prasową w dniu ogłoszenia wyników wezwania Radmesa na akcje M-Construct, jednak zmienił zdanie. To impreza zwycięzców. W dodatku zapowiadano gwałtowne burze z gradem i ulewnym deszczem. Miasto stanie. Dwie godziny w korku tylko po to, żeby na żywo zobaczyć triumfującego Wintera? Strata czasu.

Koło południa rzeczywiście pociemniało za oknem. Michał zasiadł na kanapie,

włączył telewizor i odnalazł właściwy kanał. Transmisja już trwała, chociaż konferencja jeszcze się nie zaczęła. Komentatorzy w studiu wypełniali czas opowieściami na temat biografii Wintera i Jacewicza, historii ich firm oraz ostatnich zmagani. Michał dostrzegł Mirojada, którego charakterystyczna postać w zbyt obszernej marynarce mignęła na chwilę w oku prowadzonej po łuku kamery. W sali notowań giełdy kłębił się tłum, większy niż zazwyczaj przy podobnych okazjach. To zrozumiałe – konferencje prasowe związane z publikacją wyników największych spółek giełdowych nie były nawet w połowie tak atrakcyjne dla mediów jak to, co zaraz miało się dokonać – ogłoszenie sukcesu największego wrogiego przejęcia w historii polskiej giełdy.

W sali narastała wrzawa. Michał pogłośnił telewizor. Reporterzy sprawdzali ustawienia aparatów i kamer, testowali mikrofony. Panowała gorączka jak na safari, kiedy w wysokiej trawie słycać pomruki i wiadomo, że za chwilę wyłoni się wspaniały drapieżnik. Nie można przegapić ani sekundy z tego spektaklu, to może być pierwszy i ostatni raz w życiu.

Otworzyły się drzwi i grupa dziennikarzy czatujących przy wejściu ścieśniła się, zassana niewidoczną siłą. Flesze aparatów fotograficznych nieprzerwanie pulsowały światłem. Nie, nie chodziło w ogóle o największe wrogie przejęcie. Chodziło o Zwycięzcę.

Zmierzając do podwyższenia, Winter właściwie nie szedł, ale stąpał. Obute w czarne mokasyny stopy stawiał w kontrolowanym tempie, jedna przed drugą, z precyzją, która nie dopuszczała niechlujnych rozrzutów na boki. Jak model na wybiegu akcentował rytm kroków wychyleniami ramion. Kiedy wchodził po kilku schodkach wiodących na scenę, światło lamp i fleszy aparatów wywołało atłasowe lśnienia na materiale kruczoczarnego garnituru. Zapewne niejednemu z obecnych na miejscu dreszcz emocji podniósł włosy na ciele.

Stanął za pulpitem w plamie światła z kierunkowego reflektora i powoli wodził głową od prawa do lewa. Tak, niech każdy nabierze przekonania, że Jan Winter Wielki patrzy właśnie na niego. Ciszę przerywał jedynie chrzęst migawek aparatów.

Winter uśmiechnął się, odgarnął z czoła kosmyk czarnych włosów, wyjął z kieszeni marynarki kartkę i położył ją na pulpicie w sposób, który sugerował, że zaraz wyjmie okulary i rozpocznie odczyt. Spojrzał raz jeszcze na widownię i rozprostował leżący przed nim kawałek papieru.

– Czy coś się stało? – zaniepokoił się dziennikarz w studio. – Czyżbyśmy mieli być świadkami jakiejś niespodzianki?

– Szanowni państwo – zaczął Winter grobowym tonem. – Mam do przekazania ważną informację. – Raz jeszcze wygładził kartkę na pulpicie. – Chciałbym zakomunikować, że... – Zawiesił głos i opuścił głowę. – Mamy to! – Wyrzucił w górę rękę z zaciśniętą pięścią. – Dziewięćdziesiąt dziewięć koma trzy procent akcji!

Podniósł się tumult i las dziennikarskich rąk wystrzelił w górę. Każdy miał pytanie.

– Pieprzony kabareciarz! – powiedział Michał do siebie i wyłączył telewizor.

Podszedł do okna. Żaden widok nie przedostawał się przez szarą ścianę deszczu.

Jednostajny szum przecinał od czasu do czasu werbel pojedynczej strugi ciśniętej podmuchem wiatru na szybę. To nic, że przegrali. Nie było siły, która mogła to powstrzymać. Trzeba się pogodzić z rzeczywistością. Za miesiąc z okładem zacznie pracę w kancelarii Sowy. Znów będzie prasował koszule i zanosił garnitury do czyszczenia, nastawiał budzik na szóstą trzydzieści, siedział w biurze do późna, odsypiał w weekendy. Dni, tygodnie i miesiące zleją się w jedno. Nie będzie pamiętał, co robił przed miesiącem, przed Bożym Narodzeniem, po Wielkanocy. Wpadnie w wir, zapomni, na nowo się przystosuje. Jak będzie z Beatą? Kiedy zacznie pracę, będą się widywać codziennie w biurze. To niedogodne, bo trzeba będzie odgrywać teatr. Czy przyjdzie dzisiaj? Pisała, że wpadnie. Może pogoda ją powstrzyma? Nie miał nic przeciwko samotnemu wieczorowi.

*

Michał dreptał w pobliżu wejścia do namiotu, doświadczając niezaznanego od czasów młodości uczucia, że dokonał aktu katastrofального samobłaźnienia. Nie był całkiem sobą, kiedy we wtorkowe popołudnie, po kilku drinkach i godzinie wpatrywania się w wizytówkę, którą dostał przy pierwszym spotkaniu, wybrał numer Agnieszki Moroz.

Odebrała ostrym, służbowym:

– Moroz. Słucham.

W tamtym momencie przemknął mu przez myśl repertuar możliwości od „Aaa, to pomyłka” przez „Halo, halo! Coś przerywa!” aż do prostego rozłączenia się. Ale przecież, gdyby zechciała, w minutę mogłaby ustalić, kto dzwonił.

– Tutaj Michał Tumski, przepraszam, że przeszkadzam.

Chwila ciszy, potrzebnej chyba na skojarzenie nazwiska.

– Nie przeszkadza pan. O co chodzi?

– Właściwie o nic. W każdym razie nic ważnego. Pomyślałem, że... – Nastąpiła dłuższa pauza. Ona, milcząc, nie pomagała.

– Halo? – zapytał dla zyskania czasu.

– Jestem, słucham. – Dosłyszał w jej głosie nutę rozbawienia, co jeszcze bardziej go zestresowało.

– Pomyślałem, że... To może głupie... – Odchrząknął. – Ale może nie pracuje pani w sobotę? Mam bilety do cyrku. Dostałem od znajomego. Na czternastą na błoniach Narodowego. Może by się pani wybrała? – Zabrakło odwagi na „ze mną”. – Inaczej się zmarnują – dodał w przebłysku intuicji, że obniżenie rangi sprawy zwiększa szanse powodzenia. Wstrzymał oddech i wykrzywił twarz w oczekiwaniu na sztampową odmowę. Zaproszenie do cyrku – pomyśl, na który wpadł po wyeliminowaniu wszystkich banalnych opcji: kino, teatr, kawa – objawiło mu się teraz, w przebłysku absolutnej trzeźwości, jako szczyt idiotyzmu.

Milczała na tyle długo, że musiał zacząć powoli wypuszczać powietrze.

– Chwileczkę. – Zakryła ręką mikrofon, mówiła coś, nie rozumiał słów. – A ile ma pan tych biletów? – Powróciła do niego.

– A ile potrzeba? – odpowiedział, zanim pomyślał.

– Dla mnie dwa.

Zatkało go.

– To znaczy ewentualnie mogłabym pójść z moim chłopakiem.

Michał poczuł, jak w miejsce ekscytacji napływa tsunami zażenowania.

– Aha. Nie ma problemu. Dwa. Jakoś podrzucić do komendy? – Starał się, żeby jego głos brzmiał naturalnie.

– Nie, lepiej spotkajmy się przed wejściem. Pan też idzie?

– No, nie wiem jeszcze...

– W takim razie widzimy się kwadrans przed przedstawieniem? Za piętnaście druga?

– Dobrze.

Przez dni dzielące go od soboty marzył o zapadnięciu na zapalenie płuc. Liczył też na telefon od Agnieszki z przeprosinami, że nowa sprawa... obowiązki... różne czynności... chętnie innym razem. Nic z tego.

Beata spytała w czwartek, czy coś się stało, bo nigdy nie widziała go jeszcze tak mruklwym. W odpowiedzi wzruszył ramionami. Nawet nie próbowała zaciągnąć go do łóżka. Spędzili wieczór przy komedii romantycznej, z której nie zapamiętał jednej sceny. Pojechała do siebie i nie odzywała się przez kolejne dni.

Dlaczego zadzwonił wtedy do Agnieszki? Impuls w stanie *in vino veritas*? Ale jaka to była prawda? Beata była świetną dziewczyną, lojalną w granicach wyznaczonych faktem posiadania za morzem cokolwiek mitycznego męża. Owszem, doskwierała mu ta niedoskonałość ich związku. Nie dlatego, że obawiał się wysportowanego Karola, który pewnego dnia wróci sam albo wyśle brata, żeby kochankowi żony zgotować los Parysa. Problemem była otaczająca ich bańka. Kiedy Beata przychodziła, nie opowiadała o tym, co się wydarzyło, z kim i o czym rozmawiała, co ją nurtuje. Nie oczekiwała też wynurzeń od niego. Żadnych wspólnych znajomych, kosmos obejmujący ich dwoje istniał wyłącznie na czas przebywania blisko siebie. Jakże dogodnie! Jeśli okoliczności ulegną zmianie, wystarczy przestać się pokazywać i skasować kontakt w komórce.

Trzeba uznać, że Agnieszka Moroz to ktoś ze środowiska, którym Beata się nie interesowała. A że zaprosił znajomą do cyrku? Cóż, czasami robi się coś dla żartu. To prawda, mógłby bardziej zadbać o Beatę, zdobyć się na jakieś drobne szaleństwo, ale czy tego oczekiwała? Czy on miał na to ochotę?

Wszystkie te rozterki bladły w porównaniu z mękami, jakie przeżywał, stojąc teraz na placu przy wejściu do cyrkowego namiotu. Szurał butem po żwirze niczym gladiator szykujący się do być może ostatniego wejścia na arenę. Kalejdoskop zmieniającego się układu kamyków pozwalał odciągnąć uwagę od tego, co miało nastąpić. Odwrócił się tyłem do parkingu i wyjścia ze stacji metra. Obawiał się, że kiedy zobaczy tych dwoje, idących za rękę, roześmianych, zrobi coś głupiego – na przykład ucieknie. Spojrzał na zegarek i zajął się uważnym studiowaniem kroju liter na afiszu.

Poczuł pociągnięcie za tył koszuli i jednocześnie skurcz żołądka. Spojrzał przez ramię i zobaczył śmiejącą się Agnieszkę. Stała kilka metrów od niego z rękami założonymi za plecami. W jaki sposób zdołała tak szybko odskoczyć? Otaksował najbliższą okolicę. Czy ten jej został w tyle, żeby kupić papierosy, wodę, zawiązać sznurowadło, dokończyć rozmowę telefoniczną? Koleś w brązowej skórze? Nie, minął ją obojętnie. Kolejne pociągnięcie spowodowało, że skierował wzrok w dół.

– Jestem Cinek. Mar-cinek. Psze pana, czy będą znikające króliki?

Michał ukucnął. Uśmiechnął się do malca i spojrzał ponad jego głową na zbliżającą się Agnieszkę.

– Hej! Lubisz magiczne sztuczki?

– Tak! – zawołał, ale zaraz zrobił smutną minę. – Tata mi dzisiaj powiedział, że w cyrkach takich nie pokazują.

– Tata ma chyba rację. Nie widziałem występów magików w programie – powiedział Michał, przenosząc wzrok z małego na Agnieszkę. – Ale wiesz co? Będzie świetny pokaz akrobacji na motocyklach.

Chłopiec przylgnął do nogi Agnieszki i zawołał:

– Mama! Będą motocykle!

Agnieszka kiwnęła głową na znak przyjęcia rewelacji do wiadomości albo uznania dla skuteczności perswazji w wykonaniu Michała.

– Marcinek, po przedstawieniu zapraszam cię z mamą na lody. Chcesz?

– Tak! – krzyknął i zaczął podskakiwać.

– Byłeś już dzisiaj na lodach, pamiętasz? Z tatą. Na dzisiaj wystarczy słodczy. – Agnieszka potarmosiła czuprynę chłopca.

– No to może jeszcze zastanowimy się później – powiedział Michał. – Teraz chodźmy już, niedługo się zacznie. Tu są wasze bilety.

– A ty? – zapytała.

Potrzebował chwili na zorientowanie się, że pytanie było skierowane do niego.

– Mam bilet w innym miejscu. Tak wyszło.

– Szkoda – skwitowała, a Michał schłostał się w myślach za to, że kilka dni temu zabrakło mu odwagi, żeby wziąć miejsce przy tamtych dwóch w sektorze VIP, które kupił wcześniej.

Jednak patrząc teraz z przeciwległej strony widowni, z poziomu kilku rzędów wyżej, stwierdził, że jego miejsce ma zalety. Mógł stąd obserwować Agnieszkę i Marcinka. Chłopiec emocjonował się występami, wstawał, skakał, wyciągał rękę w stronę areny, na żywo komentował wydarzenia. Agnieszka odpowiadała ze śmiechem albo tłumaczyła coś, kreśląc ręką kształty w powietrzu.

Kiedy jakiś element wciąż zmieniającej się scenografii przesłaniał mu widok, Michał nie odwracał spojrzenia. Czekał, aż przeszkoda usunie się z drogi i w taki sposób kilka razy natrafił na wzrok Agnieszki. Ze względu na dzielącą ich odległość nie mógł mieć pewności, że ona patrzy akurat na niego, ale w jakim innym celu mogłaby sięgać wzrokiem w górę na lewo, zamiast na wprost, na scenę? Jedno ze spojrzeń zawisło na długo, tym razem nie mogło być wątpliwości. Patrzyła z powagą,

gładząc przy tym zaaferowanego chłopca po głowie, a Michał odbierał niewypowiedziane sygnały o możliwościach, ograniczeniach, warunkach i wątpliwościach. Chciał wysłać odpowiedź, ale na scenie pojawiło się właśnie kilku motocyklistów. Po kolei wjechali do kuli ze stalowej siatki i rycząc silnikami, kręcili przecinające się pętle, w przedziwny sposób nie wpadając przy tym na siebie. Michał patrzył jednak na Agnieszkę tulącą uszczęśliwionego Marcinka.

Nie wyszedł na przerwę. Nie czuł się na siłach uczestniczyć w zdawkowej wymianie zdań. Nie teraz.

Po zakończeniu występów, kiedy ludzie podnieśli się z ławek i ruszyli do wyjścia, siedział wciąż na swoim miejscu i przepuszczał wszystkich. Euforia się ulotniła.

Wstał, kiedy wkoło niego zrobiło się pusto. Ostatni widzowie schodzili już z najniższego podestu po stalowych schodkach. Popatrzył na przeciwległą trybunę, starając się odnaleźć tamte dwa miejsca, ale już nie mógł – stały się nieodróżnialne od innych. Zwlekał. Czy będą na niego czekać przed wyjściem? To nie jest aż tak ważne. Nie chodzi o spełnienie nadziei, ale o hazard, igranie z możliwością, że tak będzie. To doznanie silniejsze i zapewniające bezpieczeństwo; lepiej, że czasami marzenia się nie spełniają. Kto potrzebuje więcej rozczarowań?

Umysł tworzył przyprawiające o zawrót głowy obrazy, wrażenia i wielowariantowe scenariusze zdarzeń w bezproduktywnej, oddzielającej od rzeczywistości iluzji.

Zbiegł po schodach i zaczął przepychać się między ludźmi skupionymi przy wyjściu. Wypadł przed namiot i zwolnił. Agnieszka trzymała Marcinka za rękę i kręciła się, robiąc synkowi karuzelę.

– Marcinek, podziękuj panu Michałowi – powiedziała, kiedy się zatrzymali.

– Dziękuję panu Michałowi!

– Będziemy już wracać do domu. Mam jeszcze pracę. Dziękuję. Marcinek był zachwycony. Ja zresztą też.

– Żółwik? – zaproponował małemu. Stuknęli się pięściami. – Może kiedyś jeszcze się spotkamy? Coś mi mówi, że dostanę niedługo bilety do kina. Nie wiem, co teraz grają, ale popcorn lubimy, co nie?

– Tak! Wiesz, byłem z tatą na *Transformersach* !

– To świetny film! Chyba...? – Michał skinął w stronę Agnieszki, szukając potwierdzenia. W odpowiedzi pokręciła głową i uniosła ramiona w geście „mnie nie pytaj”.

– Superowy! One jeździły jak normalne samochody, ale się zmieniały, żeby walczyć. Najlepszy był żółty, bo robił tak: bam! trach! trach! – Marcinek plątał ręce wokół ciała i wyginał się na wszystkie strony.

– No dobrze, starczy tych wygibasów. Idziemy, młody, do samochodu. – Wzięła go za rękę.

Michał podniósł się i spojrzał na Agnieszkę. Patrzyła na niego jednym z takich spojrzeń, które słali wcześniej ponad cyrkową areną.

– Wracając do innych spraw. Chyba będziemy musieli porozmawiać. Zdaje się, że

kiedy widzieliśmy się ostatnio, nie zadałam wszystkich pytań. Pojawiły się też nowe okoliczności.

– Jasne, pytania muszą być zadane, a odpowiedzi udzielone. W każdej chwili jestem też gotowy na omówienie nowych okoliczności.

– Nie chcę rozmawiać o tym przy dziecku.

– Rozumiem.

Michał stał jeszcze chwilę sam na placu pod cyrkowym namiotem. Patrzył, jak strumień ludzi rozdziela się na małe grupki, rodziny, każda z dzieckiem, niektóre z dwójką. Pakowali się do samochodów, manewrowali na rozległym parkingu, z chrzęstem rozjeżdżając żwir. Zaraz znajdą się w domach, gdzie będą się obdarzać miłością w tych jej wszystkich wykrzywionych formach dostępnych osiadłym w kraju Nod.

Spojrzał w niebo. Błękit wyżarzony do białości. Ruszył w stronę auta. Kiedy wyszedł z plamy cienia rzucanego przez bryłę rozpiętego nad areną namiotu, poczuł promienne ciepło na plecach. Może nic nie zyskał, ale nie odchodził pokonany.

*

Beata zadzwoniła do drzwi może minutę po tym, jak zapalił światło w pokoju. Jakby czekała pod budynkiem, wypatrując znaku, że wrócił.

– Cześć, gdzie byłeś? – Rzuciła torebkę na stolik w przedpokoju i zsunęła buty.

– Czy ja ciebie pytam, dokąd chodzisz?

– O! Jesteśmy nie w sosie? Tak tylko pytam, z ciekawości.

– W cyrku.

– Gdzie?!

– W cyrku, na przedstawieniu. Przy Narodowym.

– Hej! Ja lubię cyrk, od dziecka nie widziałam. Moglibyśmy kiedyś pójść razem. Samemu to trochę smutno, nie? Bo byłeś sam, prawda?

– Właściwie tak, ale spotkałem znajomą z dzieckiem – odpowiedział i skonstatował, że liczba kłamstw zawartych w komunikacie formalnie zgodnym z prawdą może przekraczać liczbę jego słów.

– Zamówimy coś do jedzenia? – Beata mościła się już na kanapie z pilotem od telewizora w ręce.

– Dobrze. Może chińsz... – Rozległ się natarczywy dzwonek do drzwi. – A to kto?

Pewnie Horodyński. W jaki sposób przedstawić Beatę?

Jednak nie było takiej potrzeby, bo za drzwiami stało dwóch poważnych mężczyzn. W dłoniach trzymali legitymacje z orłem w czarnej otoczce. Młodszy, o wyglądzie studenta, nerwowo żuł gumę.

– Pan Michał Tumski? – zapytał.

– Tak.

– Centralne Biuro Antykorupcyjne. Czy możemy porozmawiać?

Beata zdecydowana była pełnić rolę świadka. Dobrze jest mieć przy takich rozmowach kogoś, kto słucha i może zaświadczyć, a jeszcze lepiej, kiedy jest to adwokat. Zapewniony przez agentów, że chodzi tylko o kilka prostych pytań w związku z prowadzoną sprawą, poprosił Beatę, żeby zostawiła ich samych.

– Jasne! Tylko kilka prostych pytań, ale koniecznie muszą wpięprzyć się człowiekowi do domu w sobotę wieczorem! – gorączkowała się, kiedy Michał wprowadzał gości do gabinetu.

Był tylko jeden fotel. Michał usiadł na nim. Tamci stali.

– Czy zna pan Stanisława Rosteckiego?

Michał przełknął ślinę.

– Tak, mój kolega ze studiów nosi takie nazwisko. Stanisław Rostecki z Gdańska, jeśli to o niego chodzi.

– Właśnie tak. Utrzymywaliście kontakt?

– Nieregularny.

– Kiedy widział go pan ostatnio? – Pytania zadawał starszy z funkcjonariuszy. Nie robił notatek. Młody rozglądał się po pokoju.

– Ostatnio przed świętami wielkanocnymi.

– W sobotę jedenastego kwietnia?

– Być może, nie pamiętam daty, ale to była sobota przed Wielkanocą.

– Gdzie się widzieliście?

– W Gdańsku.

– Czy mógłby pan odpowiadać bardziej wyczerpująco?

– Być może, gdybym znał oczekiwania. Może najpierw pan mi powie, o co chodzi?

Młodszy zaprzestał lustrowania sprzętów i spojrzał na Michała. Odął wargi gumą transportowaną z jednej strony ust na drugą.

– O czym rozmawialiście? – ciągnął starszy, ignorując pytanie.

– O prywatnych sprawach. Wspomnienia, plany na przyszłość, takie tam. – Michał zaczął wychylać się na prawo i lewo na obrotowym fotelu.

– Czy Rostecki wspominał coś o nieruchomościach, o firmie Radmes? Zna pan tę firmę, prawda?

– Tak, znam. Nie, o tym akurat nie rozmawialiśmy. – Kłamstwo brzmiało tak przekonująco, że gotów był sam w nie uwierzyć.

– Tia... – prychnął młody. Starszy zgromił go wzrokiem i młody zajął się studiowaniem wzorów na tapecie, wyraźnie zwiększając tempo pracy szczęką.

– Czyli ani pan, ani Rostecki nie wspominaliście o Radmesie w trakcie tej rozmowy?

– Nie, chyba nie. Nie pamiętam. Wypiliśmy trochę whisky.

– Skoro tak, to już wszystko. Dziękuję, że poświęcił pan nam czas. – Skinięciem wskazał młodemu drzwi. Wyszli.

Sięgnął po telefon i odszukał numer Staszka. Zawahał się. Czy kontaktowanie się

z nim w tej sytuacji było rozsądnym posunięciem? Mógł mieć założony podsłuch. Z drugiej strony to byłoby przecież najbardziej naturalne – telefon z informacją, że wypytywało o niego CBA. Może bardziej podejrzane będzie, jeśli nie zadzwoni? Działo się coś nieprzyjemnego. Ta reakcja młodego, kiedy Michał zaprzeczył, że rozmawiali o Radmesie, i drugi z agentów szukający potwierdzenia, iż Michał zaprzecza... Jakby wiedzieli, że gadali o tym. Czy Staszek był pod obserwacją? Czy CBA słyszało tę rozmowę o Radmesie, którą zainicjował Michał? A może przesłuchiwali Staszka i coś takiego zeznał? Jego na niczym nie złapali. Amnezja zawsze działa. „Mniej pamiętasz – krócej zeznajesz”, mówiła maksyma. Nawet jeśli istnieje nagranie ich rozmowy, to nie będzie mogło stanowić świadectwa, że skłamał.

Pieprzyć to! Wybrał numer. Włączyła się skrzynka. Wysłał wiadomość „Zadzwoń”. Nie miał numeru do żony Staszka, Mileny, ani pomysłu, jak go zdobyć. Przeszukiwał w głowie katalog dawnych wspólnych znajomych. Nie miał kontaktu z nikim oprócz Mirojada, a do niego dzwonić nie chciał.

Na stole w kuchni znalazł kartkę: „Poszłam sobie. Jak chcesz, to zadzwoń i daj znać, o co im chodziło. B.”. Nie miał teraz ochoty na rozmowę z Beatą. Wrzucił kartkę do kosza. Od rozstania z Agnieszką minęły może trzy godziny, a jemu zdawało się, że było to w innym życiu. W Nowym Jorku, jak mu kiedyś powiedział znajomy, można prowadzić dziesięć żyć jednocześnie bez ryzyka, że ich kręgi się przetną, w Londynie pięć. A ile można w Warszawie?

*

Nazajutrz rano zadzwonił do Horodyńskiego. Umówili się na późne śniadanie w bistro na Nowogrodzkiej.

Horodyński rozsmarowywał na grzance wielką grudę powideł.

– No i co z tego? Byli, popytali i poszli sobie. Wykonali procedurę, bo musieli. Czemu drążysz? Bo to twój znajomy? E, tam. Opowiedz lepiej, jak spędzasz czas na wolności. Szukasz już jakiejś roboty?

– Jaką procedurę? – Michał nie dał się wpuścić w zmianę tematu.

– No, procedurę. Skoro mieli cię na materiałach z rozpoznania, to przyszli zapytać, co u ciebie słyhać, czy ciotka zdrowa, czy wiesz coś o sprawie, która ich interesuje. Nic nie wiesz? „A, to dziękujemy, do widzenia, co złego, to nie my”. – Wsunął grzanekę do ust, zostawiając na wąsach smugę wiśniowego ulepkę.

Michał dał mu przełknąć i zapytał:

– Jakie to rozpoznanie według ciebie? Jaka sprawa? Polują na Staszka?

– Powiem tak... – Otarł usta serwetką. – Nie przyszliby do ciebie, gdyby wciąż prowadzili działania operacyjne. Byliby idiotami, zakładając, że nie dasz mu znać. Oczywiście, możliwe, że są idiotami, to by mnie wcale nie zdziwiło. Teoretycznie wizyta u ciebie mogłaby być elementem gry operacyjnej. Wiesz, prowokacja, wypłaszanie z dziury – ty go informujesz o wizycie, on zaczyna dzwonić, spotykać się z figurantami i tym podobne. Ale wątpię, żeby to było to. Zbyt prostacko do tego podeszli. Raczej odhaczali punkty z planu działań. Z logicznego punktu widzenia

istnieją dwie możliwości: albo wcale nie polują na tego twojego znajomego – czyli to jakiś poboczny wątek innej sprawy, albo już go mają.

Wziął do ręki telefon, ale zaraz odłożył.

– Kurde, łapy mi się lepią. Zaraz wracam.

Kiedy telefon Horodyńskiego zaczął wibrować, Michał uświadomił sobie, że Marcin w czasie spotkań zawsze układał go na stole ekranem w dół. Kiedy komórka dzwoniła, odbierał albo wyłączał dzwonek i odkładał w ten sam sposób. Teraz jednak telefon leżał odwrotnie i Michał zobaczył nazwę dzwoniącego kontaktu.

Wiedziony odruchem, kontrolując wzrokiem drogę od łazienki, wstał, podszedł do pustej części lokalu i patrząc przez szybę na ulicę, zaczął prowadzić fikcyjną rozmowę telefoniczną.

– Tak, bardzo chętnie, może być nawet dzisiaj... Dostosuję się, nie powinno być problemu. Najważniejsze, że to w ogóle możliwe, że ty...

Odwrócił się i zobaczył wracającego Horodyńskiego. Dał mu znak, że jeszcze chwila.

– ...że możesz i chcesz... Świetnie, jesteśmy w takim razie umówieni. Do zobaczenia... No to pa! Cześć!

Wrócił do stolika. Odczuwał lekkie mdłości.

Horodyński przeglądał swój telefon.

– Dzwonił ktoś do mnie? – zadał pytanie, a przecież miał przed oczami historię połączeń.

– Nie wiem, może. – Michał wzruszył ramionami. – Rozmawiałem ze znajomą.

– No to co? Spadamy? Mówię ci, odpuść sobie sprawę tego gościa z Gdańska. Z czasem wszystko się wyjaśni. Winny – niewinny, mają coś – nie mają nic. To teraz bez znaczenia. Zresztą, Trójmiasto to niezły grajdoł. Chów wsobny normalnie – pani prokurator prowadzi postępowanie w sprawie o podejrzenie posiadania narkotyków przez syna sędziny, przy czym brat zatrzymanego to mąż jej kuzynki. I rozumiesz, umarzają sobie wzajemnie. Kruk krukowi oka nie wykole, wierz mi.

Michał został i czekał na rachunek. Horodyński pomachał mu jeszcze z ulicy przez szybę i zaraz przyłożył słuchawkę do ucha. Czy oddzwaniał już do dżentelmena, którego utrwał w spisie kontaktów telefonicznych pod etykietą „Jasio Winter”?

*

Powinien wpaść na to wcześniej! Wrócił do domu i w szufladzie na szpargały odnalazł wizytówkę Justyny Dziedzic. Zadzwoił. Nie odebrała. Wysłał wiadomość. Oddzwoniła po godzinie.

– Ty to masz refleks. Miałeś się odezwać od razu, a mi od wtedy urósł już centymetr włosów na nogach.

Powiedziała, że chętnie by się spotkała, szkopał w tym, że właśnie wykonywała czynności, które – jak się zanosilo – miały potrwać jeszcze kilka godzin. Nalegał jednak i podała adres.

Czekał kilkanaście minut pod klatką bloku pilnowaną przez dwóch mundurowych.

– Jakie atrakcje dzisiaj cię spotkały? – zapytał, kiedy wyszła.

– Coś w sam raz na rozwiązanie problemu samotnej niedzieli – stare zwłoki w wersalce. Do wieczora będę tu zapieprzać w smrodzie. Ale miło cię widzieć! Dałabym się zaprosić gdzieś na kawę, ale zaraz ma przyjechać dodatkowa ekipa i muszę ich ogarnąć. Powiedz, co cię tak przypiliło, żeby się spotkać. Kwiatów, jak widzę, nie przywozłeś, więc nie o mnie ci chodzi. Potrzebujesz prokuratora? Chcesz się przyznać do jakiegoś świnstewka? Byłeś niegrzecznym chłopczykiem? Gadaj zaraz, tylko ze wszystkimi pikantnymi szczegółami!

Roześmiali się.

– Chodzi o Staszka Rosteckiego. Chyba ma kłopoty.

Opowiedział Justynie o swoim ostatnim spotkaniu ze Staszkiem, wizycie CBA i podejrzeniach, że wokół wspólnego znajomego zacieśnia się krąg działania służb.

– Kurczę. – Była zaintrygowana. – Nie widziałam Staszka od czasu studiów. Poczekaj, zadzwonię do koleżanki z Gdańska. – Odeszła na bok.

Znajoma nie była w stanie nic od razu powiedzieć. Musieli poczekać, aż skontaktuje się z właściwą osobą. Michał dostrzegł zmianę wyrazu twarzy Justyny, kiedy odbierała informację.

– Nie jest dobrze – zwróciła się do Michała. – Staszek został wczoraj zatrzymany. Jest podejrzany o nieuprawnione wejście w posiadanie informacji niejawnych i utrudnianie śledztwa poprzez przekazywanie informacji osobom będącym w kręgu zainteresowania prokuratury. To nie byłoby nic wielkiego, ale na liście zarzutów jest też udział w zorganizowanej grupie przestępczej. Coś z obrotem nieruchomości. Dzisiaj jeszcze ma mieć przedstawione zarzuty. Na mojego nosa takie oskarżenie to pewność, że sędzia wyda zgodę na areszt tymczasowy. Chujowo to wygląda, przykro mi. Nawet nie myśl, że mogłabym jakoś pomóc. Machina ruszyła i nie da się jej już zatrzymać. Później można spróbować wpłynąć na prowadzącego prokuratora, żeby spał pośladki i jak najszybciej przygotował akt oskarżenia. Przewiduję trzy miesiące przymusowego urlopu, tak na początek. Wiesz, jak to działa.

Michał wbił wzrok w ziemię i w zamyśleniu przygryzał wargę.

– Zamierzasz coś zrobić w tej sprawie? – zapytała po chwili. – Jeśli wiesz coś, co mogłoby Staszka pograć, to dobrze się zastanów, czy nie lepiej trzymać gębę na kłódkę.

– Dzięki za radę. – Wierzchem dłoni otarł kroplę krwi z ust. – Właściwie nic nie wiem. Słuchaj, wracaj do swojego denata. Muszę to wszystko przemyśleć. Odezwę się.

Po drodze kilka razy popadł w odrętwienie na skrzyżowaniu, a kierowcy z tyłu poganiali go klaksonami. Manewrował na świetnie znanych sobie ulicach z niepewnością kursanta na prawo jazdy. Przestrzeń wyznaczana przez pasy jezdni zdawała się ciasna, ledwo się w niej mieścił. Parkując w garażu, zignorował ostrzegawcze piski systemu i zatrzymał się dopiero, kiedy stuknęła zderzakiem w ścianę.

W domu nalał sobie pełną szklankę whisky, usiadł w fotelu i nieruchomym

wzrokiem patrzył przez szybę. Kiedy alkohol zaczął działać, wróciła zdolność myślenia. Horodyński współpracował z Winterem. Od jak dawna? Czy już za czasów Michała w MG? Teraz bagatelizował wizytę CBA i odwodził go od zagłębiania się w gdańskie tematy. Wszystko wskazywało, że wiedział dużo więcej, niż chciał powiedzieć. A więc tak skończy się ich przyjaźń? Może nigdy nie było przyjaźni, tylko jego naiwność wykorzystywana przez Horodyńskiego?

Wykrzywił usta w szyderczym uśmiechu i pokiwał głową nad własną głupotą.

Myśli poleciały w stronę morza. Gdańsk zdawał się być elementem łączącym różne wątki. Winter prowadził tam deweloperskie interesy do społu z Makuchami, trwało śledztwo w sprawie łapownictwa, według Staszka mające jakiś związek z Radmesem. Przekłęty Gdańsk – miasto pełne wspomnień z czasów, kiedy życie za sprawą przypadków i rzadko uświadamianych wyborów zrobiło z niego tego, kim teraz był. Powinno trwać w pamięci jako zbiór sentymentalnych wspomnień, które w razie potrzeby można przywoływać niczym fotografie z rodzinnego albumu. Wraz z upływem czasu bliscy zmieniają się na nich w obcych, a pamięć o minionych chwilach staje się przedmiotem sporów. Od czasu odkrycia romansu Anki, a ostatecznie jej pogrzebu, nie jeździł tam. Dlaczego zignorował przecucia? W porządku, wybrał się nad Zatokę na długi weekend, ale powinien był siedzieć w Sopocie, chlać piwo i zabawiać się obserwacją dziwnych ludzi. Ciągnęła go jednak do siebie ta ciemna przestrzeń perwersyjną chęcią zaznania strachu u źródła. Gdyby nie umówił się ze Staszkiem w Gdańsku, wszystko byłoby może po staremu. Nie wywołałyby rozmowy o Radmesie, pijany Staszek nie zacząłby kłapać dziobem, nie usłyszałyby tego służby i nie byłoby aresztowania. Przecież możliwe, że właśnie ich rozmowa stanowiła punkt przełomowy, że w jej trakcie padło jakieś znaczące zdanie, które skłoniło śledczego do podjęcia decyzji o zatrzymaniu! Czy weszli do ich domu wczoraj o szóstej rano w kominiarkach? Powalili go na ziemię na oczach Mileny oraz płaczących dzieci i zakuli w kajdanki?

Schował twarz w dłoniach. Trzeba jechać, naradzić się, zapytać, czy Milenie czegoś nie potrzeba! Sprawdzić pociągi, już, natychmiast!

Poderwał się z fotela, otarł twarz rękawem i wziął haust whisky. Nie ruszył jednak do gabinetu. Zatrzymała go zmiana perspektywy.

– Co się z tobą dzieje? – mówił teraz do własnego odbicia w szybie. – Rozklejasz się jak panna żegnająca powstańca. O nie! Te panny były twarde jak arkadyjski marmur, a ty jesteś miękkim ciulem! Ktoś to niedawno odkrył, prawda? Nie, w ten sposób nie zajdziemy daleko. Trzeba działać systematycznie, rozważać każdy krok! A to oznacza, że teraz należy udać się do sypialni, położyć się, a rano spojrzeć na wszystko trzeźwym okiem. Właśnie tak!

Osuszył szklankę z reszty whisky i opadł na fotel. Właściwie, dlaczego tak się tym wszystkim przejmował? Nic nie mógł zrobić. Miał swoje problemy. Możliwe, że stanął wobec szansy na wielką zmianę. Za sprawą tajemniczego poruszenia elementy otaczającej go rzeczywistości zaczęły się kręcić. Nie sposób było nad tym zapanować. Przez zamieszanie związane ze Staszkiem i zdrajcą Horodyńskim wspomnienie wczorajszego spotkania z Agnieszką stało się niepewne jak pamięć starca o przeżytej

w młodości przygodzie na egzotycznej wyspie. Myśli nabierały prędkości i spinu, a on stał w miejscu i kręciło mu się w głowie. Dlaczego miałyby czuć się winnym aresztowania Staszka?

Duszno. Ściany i sufit napierały ze wszystkich stron. Trzeba by wezwać pomoc.

Wybrał numer Agnieszki i natychmiast się rozłączył. Przewinął na kontakt Beaty, kilka razy musnął zielony klawisz, zanim go nacisnął. Kiedy odezwała się poczta głosowa, rzucił telefon na stolik.

Patrzył przez chwilę na czarne urządzenie, które niosło magiczną możliwość wejścia z kimś w kontakt. Zwykle „Halo?” z drugiej strony mogłoby przekłuć ścianę balonu boleśnie kurczącego się w jego brzuchu.

Ostrożnie wziął telefon do ręki. Otworzył kontakty i przewijając po jednym, dotarł do tego, przy którym umieszczona była miniaturka zdjęcia – portret Anki na tle bryły florenckiego Palazzo Vecchio.

Zaznacz – Usuń – Usunąć kontakt?

– Trzy lata, sześć miesięcy i trzy dni. Mam nadzieję, że jakoś się trzymasz. Mówili, że po dziesięciu latach trzeba będzie poprawić pomnik, dosypać ziemi, wyrównać, bo trumna się zapadnie. To jeszcze sporo czasu. A tak przy okazji – poznałem kogoś. Słyszysz, co mówię? Słyszysz?! – Zaskoczył go pogłos w pokoju. – Do widzenia albo jeszcze lepiej – żegnaj!

Zanim zdołał trafić palcem w przycisk, telefon piknął ostrzegawczo trzy razy i się wyłączył.

*

Poranek przywitał go znajomym bólem głowy i ogólnym rozbiciem. Po półgodzinie spędzonej pod prysznicem, gdzie chlustał się naprzemiennie gorącą i lodowatą wodą, uznał, że może coś zjeść i nawet nie potrzebuje wspomagać się piwem.

Zasiadł przed komputerem. Wiadomość uznano za istotną, skoro znalazła się na głównych stronach portali. Sąd postanowił o tymczasowym aresztowaniu znanego gdańskiego radcy prawnego. Nastąpiły też inne zatrzymania w Gdańsku i Warszawie. W związku z tą samą sprawą zawieszono w obowiązkach służbowych prokurator Katarzynę W., z którą łączyły oskarżonego stosunki intymne. Wszczęto wobec niej postępowanie dyscyplinarne.

Wysłał do Agnieszki esemesa z wiadomością, że jest gotów spotkać się każdego dnia o dowolnej porze, niech tylko da znać.

Lakoniczne „OK” nadeszło po trzech długich godzinach.

Patrzył w te dwie litery, jakby były czymś więcej niż konwencjonalną, całkowicie nieprecyzyjną odpowiedzią. Mogły oznaczać: „Dobrze, dobrze, daj sobie na luz” albo „Napisz kiedy”. Obrócił telefon o dziewięćdziesiąt stopni w prawo i zobaczył zaszyfrowany znak warunku, że cokolwiek mogłoby się stać, najważniejszy będzie Marcinek. I Michał nie miał z tym problemu. Spotkanie w cyrku przypomniało mu sprawę, nad którą nie zastanawiał się od jakichś piętnastu lat, odkąd Anka oznajmiła, że to nie wchodzi w rachubę. Otóż on mógłby mieć dzieci. Może nawet chciał.

*

Odkrycie Maciurskiego miało być może przełomowy charakter dla śledztwa w sprawie zaginięcia Joanny Szymalak, ale skazywało ich na czekanie. Nie dało się nic zrobić, dopóki tajemniczy posiadacz telefonu nie włączy go, ujawniając w ten sposób miejsce swojego pobytu. Istniała możliwość, że nie ujawni się nigdy. Wystarczyło, że wyrzucił tamtą kartę SIM do śmieci.

Uważała, że czekanie to strata czasu. Całe jej dorosłe życie wypełnione było aktywnością mającą odwrócić uwagę od czekania na kolejną wizytę potwora, który składał w jej głowie drobne jak ziarnka piasku jaja. Niech czekają ci, którzy mają czas. Ale właściwie co mogła zrobić?

Maciurski zajmował się teraz nową sprawą i od kilku dni dawał Agnieszce do zrozumienia, że mogłaby pomóc. Wzięła z jego biurka kilka teczek, za co obdarzona zastała spojrzeniem pełnym wdzięczności.

Ugrzęzła na pierwszej stronie zagmatwanego protokołu zeznań.

Wróciła myślą do pomysłu, żeby wypytać Tumskiego o podejrzaną osobę, która się koło niego kręciła. Może zwrócił na kogoś uwagę? Upływ czasu nie służy pamięci. Decyzja Motyckiego, żeby nie rozmawiać z Tumskim, z jednej strony wydawała się racjonalna, z drugiej zalatywała jednak wystawieniem człowieka na wabia. A gdyby jednak porozmawiała z nim? W delikatny, oględny sposób? Spojrzała ponad głowę Maciory w okno.

Zastanawiała ją reakcja Marcinka. Zazwyczaj wycofany w stosunku do nieznanymi dorosłych, w czasie tamtego spotkania w cyrku został kumplem Tumskiego. Michał miał dobry kontakt z dziećmi. To oczywiście nie świadczyło o niczym. Ciekawe, jak zareagowałby, gdyby powiedziała mu o swojej chorobie. Zapewne zerwałby kontakt. Kto wchodziłby w związek, wiedząc, że druga strona skazana jest na powolną przemianę w nieruchomy kamień, i to taki, który trzeba karmić i przewijać?

Michał wydawał się jej zaciśnięty i zwarty jak węzeł bosmański, a jednak nie miała wątpliwości, że mogłaby znaleźć sposób, aby wydobyć z niego to wszystko, o czym on nawet nie wiedział, że ma. Że pił? Niejedno widziała w życiu. Alkohol i przemoc to, można powiedzieć, środowisko pracy policjanta, nierzadko też składnik atmosfery domowego ogniska. Michał chyba jeszcze nie pił tak, żeby stało się to jego jedyną pasją. Z czasem może się tak skończyć, ale na razie był w trakcie upadania. Szybował czy już wpadł w korkociąg? Nie wiadomo. Śmierć żony trafiła go jak pocisk. Nawet anioł może upaść pod ciężarem miłości, o której wie, że nie ma granic, ale zwątpi, iż jest dla niego dostępna.

Michał – anioł!

Parsknęła. Maciurski drgnął i popatrzył na nią z niepokojem.

Długo testowali hipotezę, że Angel z dziennika Szymalak to Tumski. Nie udało się znaleźć dowodów, nawet słabych przesłanek, które potwierdzałyby, że ofiarę wiązało z Tumskim coś więcej niż koleżeńska relacja służbowa. Jednak, jeśli czytać jej dziennik, podstawiając za Angela Tumskiego, nie byłoby się do czego przyczepić.

Wszystko spójne. A może tylko jej się tak zdawało, bo poddała się czemuś na kształt efektu horoskopowego? Anielem mógł być ktokolwiek, a ona uznała, że Michał Tumski pasuje, bo byłby wart takiego uczucia?

– Zobaczmy, jak to się dalej potoczy. – Ostatnia myśl wyrwała się spod kontroli i poleciała w przestrzeń.

– Co takiego? – jęknął Maciurski przestraszony nie na żarty.

– Nie wiem, jak to śledztwo ma iść do przodu, skoro musimy opierać się na takich materiałach. Zobacz... – Wskazała na otwarty wciąż na pierwszej stronie dokument przed sobą. – Ten, który odbierał te wyjaśnienia, cały czas dawał się wodzić za nos. Nic z tego nie wynika, figurant był tam, a kilka linijek dalej jest, że nie jest pewien kiedy; widział coś, ale nie do końca pamięta. Bła, bła, bła! Ani razu go nie przycisnął. Aktu oskarżenia na tym badziewiu nie da się zbudować.

– Daj spokój, wiesz przecież, że większość protokołów ma taki poziom. Czytaj dalej i szukaj nieścisłości.

– Tutaj są same nieścisłości.

– Skoro tak, to szukaj nieścisłości w nieścisłościach.

Strzeliły drzwi do pokoju, mocno pchnięte zanim opadła kłamka.

– Do mnie! – I Motyckiego już nie było.

Spojrzeni po sobie.

Czekał w gabinecie, patrząc w okno.

– Coś planujecie na jutro?

Pokręcili głowami.

– To dobrze, bo macie spotkanie w areszcie na Kurkowej w Gdańsku. – Rzucił na stół wydruk z policyjnej kartoteki. – Z panem Andrzejem Za... Zy... Jak mu tam? – Pochylił się nad kartką. – Właśnie, Zygniukiem. Normalnie przesłuchanie powinni zrobić lokalsi, ale odżaluję kasę na wasze delegacje.

Agnieszka wpatrywała się w zdjęcie mężczyzny o wyraźnie zarysowanych szczękach. Zgodnie z danymi z policyjnego rejestru miał czterdzieści trzy lata i mieszkał w Broku. Były żandarm.

– Kto to jest? – spytała.

Motycki uśmiechnął się, odsłaniając zęby, co nadało jego twarzy wilczy wyraz.

– Wasz tajemniczy Don Pedro!

*

Spotkali się pod komendą o piątej rano.

– Piłeś wczoraj? – zapytała Agnieszka.

– Jedno piwo, no, może dwa...

– To jedziesz. – Rzuciła mu kluczyki.

Jeszcze kilka lat temu nie dałaby nikomu prowadzić na trasie, a już na pewno nie Maciurskiemu, którego deklaracjom co do ilości spożytego alkoholu nie należało dowierzać.

Tak to się odbywa – osvajanie małymi kroczkami w tempie postępowania degeneracji. Człowiek oddaje chorobie kolejne drobne wolności i nie zauważa, jak dochodzi do punktu, kiedy nie może się wysikać bez czyjejś pomocy. Ba! Kiedy tam dotrze, wydaje mu się to całkowicie naturalne.

Myślała, że się zdrzemnie, ale przez pierwsze pięćdziesiąt kilometrów przywykała do agresywnego stylu jazdy Maciurskiego, co chwilę kopiąc nogą w przestrzeń, gdzie powinien znajdować się hamulec. Potem, kiedy jechali czteropasmówką na Płońsk i zrobiło się spokojniej, ogarnęło ją podekscytowanie możliwym wyjaśnieniem zagadki. Wczoraj rozmawiali przez telefon z oficerem CBA z zespołu prowadzącego śledztwo w sprawie przekrętów przy obrocie nieruchomościami w Gdańsku. Prawie każdy zdawał się być umoczony – urzędnicy ratusza, prawnicy, nawet jakiś prokurator. Oczywiście za wszystkim stał ten, kto miał największą korzyść i wprawił w ruch całą maszynę. Wśród zatrzymanych było dwóch członków zarządu spółki o nic Agnieszce niemówiącej nazwie Istrel. Jednak w rozmowie padło zdanie, które ją zelektryzowało: „To ci, co z Radmesem budują u nas osiedle apartamentowców przy plaży”. Z początku nie mogła sobie przypomnieć, w jakim kontekście ta firma pojawiła się w sprawie Szymalak. To musiało być coś na wczesnym etapie. Później przejrzała swój notes i znalazła notatkę. Ten pokraczny, śliniący się do niej prokurent z Zion pracował również w Radmesie jako doradca zarządu. Może to nic istotnego, a jednak ciekawe – taki związek wszystkiego ze wszystkim.

Dowiedzieli się, kim był posiadacz interesującego ich telefonu. Zyganiuk to pracownik kilkunastoosobowej, wyspecjalizowanej firmy oficjalnie świadczącej usługi ochrony. Spółka Istrel była ich największym zleceniodawcą. Jak sądziło CBA, prawdziwym przedmiotem działalności spółki było poszukiwanie haków na decydentów, urządzenie prowokacji i wykorzystywanie pozyskanych informacji oraz materiałów do szantażu. W ich siedzibie agenci znaleźli sporo nowoczesnego sprzętu szpiegującego. Działali w całej Polsce, zatrudniali ludzi z doświadczeniem w policji i służbach specjalnych.

– Wyższa liga. Ich szef to były wysoki oficer policji.
– Horodyński? – zapytała Agnieszka, a Maciurski spojrzał na nią zaskoczony.
– Nie mogę powiedzieć. Muszę ograniczyć się do informacji, które są wam niezbędne.

Nastąpiła chwila ciszy. Agnieszka przygryzała wargę.

– Ale nie, to ktoś inny – dodał.

Na trasie nie było dużego ruchu. Dopiero za Elblągiem wpadli w sznur aut. Maciurski nie certolił się i włączył policyjną sygnalizację, co zachęcało kierowców przed nimi do zjeżdżania na prawy skraj jezdni, a gnającym z tyłu odbierało śmiałość wyprzedzania.

W centrum Gdańska, kierując się wskazaniem nawigacji, skręcili za imponującym ponemieckim gmachem, gdzie mieścił się sąd okręgowy. Wjechali w uliczkę, która doprowadziła ich na brukowany dziedziniec z jednej strony zamknięty białym murem z obowiązkową stalową bramą i usytuowaną wysoko budką strażniczą. Zaparkowali pod ścianą oblażącą z tynku kamienicy i ruszyli do biura

przepustek. Minęli grupę kilkunastu kobiet. Siedziały na ławkach. Te, dla których zabrakło miejsca, podpierały ściany budynku. Kilka wózków – jedna spacerówka, reszta głębokie, z niemowlakami.

Uwagę Agnieszki zwróciła zadbana kobieta mniej więcej w jej wieku z dwójką dzieci. Wyprostowana, patrzyła w stronę drzwi biura przepustek w oczekiwaniu na sygnał, że mogą wejść. Dzieci – ładne – na oko dwunastoletnia dziewczynka o długich, rozpuszczonych kasztanowych włosach; chłopak – nieco młodszy, o przyjemnych, sugerujących inteligencję rysach twarzy. Jakiś czas temu byli normalną rodziną. Co zmalował mąż i ojciec? Wypadek drogowy ze skutkiem śmiertelnym? Przewały finansowe? Do aresztu śledczego nie trafia się bez powodu; no, zazwyczaj – przypomniawszy sobie głośne sprawy, kiedy areszt, tymczasowy z nazwy i celu, przedłużany był do kilku, a nawet kilkunastu lat, a oskarżony ostatecznie uwalniany od zarzutów.

– Matki Polki czekają na widzenie – powiedział Maciurski.

– Masz coś do matek? – warknęła.

Z wrażenia zatrzymał się na chwilę.

– Jezu, nie rozszarpiesz mnie chyba żywcem? Zażartować nie wolno?

Agent CBA, który na nich czekał, okazał się młodszy, niż wydawało się przez telefon. Po załatwieniu formalności ruszyli do właściwego pawilonu. Po drodze przedstawił dodatkowe informacje.

– Zyganiuk został zaznajomiony z zarzutami w naszej sprawie, czyli wręczenie korzyści majątkowej, tak jak wam wczoraj mówiłem. Złożył wyjaśnienia, nie przyznał się i dostał postanowienie o tymczasowym na trzy miesiące. Przyjęliśmy, że wasze spotkanie dotyczy innej sprawy. Zgodził się spotkać bez adwokata i nie ma nic przeciwko rejestrowaniu rozmowy. Generalnie jest współpracujący.

Weszli do budynku, szcękając zwolniony zdalnie jeden, a potem drugi zamek w okratowanych drzwiach służby. Korytarzem, który odbijał echem stukot kroków, doszli do miejsca, gdzie czekał strażnik. Zajrzał przez wizjer do wnętrza i otworzył przed nimi drzwi.

– Powodzenia – rzekł agent. – Będę w pokoju obserwacyjnym.

W małym pomieszczeniu nie było żadnego wyposażenia oprócz stołu i dwóch par przyśrubowanych do podłogi krzeseł. Na jednej ze ścian czernił się szkliscie prostokąt lustra weneckiego.

Zyganiuk wstał na ich widok. Był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną koło czterdziestki. Mocne ramiona wystające z opiętych rękawków polo dawały mnóstwo pola do popisu więziennemu tatuażysty, o ile sąd zawyrokuje, że powinni spędzić jakiś czas pod jednym dachem.

– Proszę usiąść – powiedziała Agnieszka i wyjęła z torby notatnik. Zajęła krzesło naprzeciwko Zyganiuka.

Maciurski z założonymi rękami oparł się o ścianę. Trzymał w zębach wykałaczkę i poruszał nią na wszystkie strony.

– Pan nie spocznie, oficerze? – zapytał Zyganiuk.

– Dupa mnie boli od jazdy do ciebie.

– No tak, hemoroidy – choroba zawodowa policjantów. Trzeba sobie czopki wkładać.

Maciurski poczerwieniał, wypluł wykałaczkę i oderwał się od ściany, ale po sekundzie namysłu ponownie się o nią oparł.

– Zobaczymy, jak ci pójdzie w więźniu z grypsującymi. Pamiętaj posmarować kako maśklą, jak ci ułani zaproszą na randkę.

Agnieszka podniosła rękę.

– Dosyć! Czy wie pan, jaki jest cel spotkania?

– Coś tam wspominał ten tam – kiwnął głową w stronę lustra – że prowadzicie śledztwo i ma to jakiś związek ze mną. Chcecie informacji? Proszę bardzo, nie mam nic do ukrycia, bo jestem niewinny w każdej sprawie, jaka mogłaby przyjść do głowy funkcjonariuszowi dowolnej służby.

– Czym zajmował się pan w firmie?

– Głównie obserwacją. Czasami doręczałem przesyłki.

– Jak długo pan tam pracował?

Założył ręce za głowę i spojrzał w sufit.

– Policzmy. Odszedłem ze służby, potem przez jakiś rok usiłowałem rozwinąć z kolegą własny biznes. Nic z tego nie wyszło, zostałem z długami, zacząłem szukać pracy i przez znajomego nawinęli się oni... Tak, to będzie jakieś półtora roku.

– Na czym polegała ta praca?

– Już mówiłem, głównie obserwacja operacyjna.

– Co to znaczy?

– No, dostaję namiar na obiekt, jeżdżę, chodzę za nim, robię zdjęcia i piszę raport. Przecież wiecie, o co chodzi. Mam licencję detektywa, nic w tym nadzwyczajnego. – Wzruszył ramionami.

– Jaki był cel prowadzenia tych obserwacji?

– Nie wiem, nie wnikałem, ale zważywszy na figurantów, sądzę, że to mogły być sprawy biznesowe, na zasadzie, że zleceniodawca chce wiedzieć, z kim delikwent się spotyka. Taka wiedza może mieć znaczenie, prawda? O ile się orientuję, moja firma nie zajmuje się obyczajówką.

Agnieszka zastanowiła się, jakie pytanie powinna teraz zadać. Korciło ją, żeby od razu zapytać o Szymalak, ale to nie byłoby zgodne ze sztuką. Kiedy padnie odpowiedź „nie pamiętam” albo „nie wiem”, można będzie zbierać się w podróż powrotną. Trzeba zadbać, żeby rozmowa nie była wymianą ciosów, ale ich połączyła – jak dwoje znajomych z biura rozmawiających o upierdliwym szefie.

– Czyli taki wywiad gospodarczy?

– Informacja w dzisiejszym świecie to podstawa. Zresztą zawsze tak było.

– Dzisiaj może jest nawet trudniej, bo tych informacji jest bez liku i nie wiadomo, która jest istotna... – Westchnęła, zaglądając do notesu.

Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

– Jak mogę pomóc?

– Prawdę mówiąc, nie wiem jak. Może w ogóle. Prowadzimy dochodzenie w sprawie, która ciągnie się od dłuższego czasu bez żadnego postępu. – Uśmiechem przykryła zakłopotanie, które powinno towarzyszyć przyznaniu się do nieudolności.

– Proszę pytać, śmiało! – I on się uśmiechnął.

– Czy pamięta pan może obserwowane przez siebie osoby? – Zamaskowała wagę pytania spojrzeniem na Maciorę, który wziął skądś kolejną wykałaczkę i międlił ją w ustach (nigdy wcześniej nie widziała, żeby to robił, chyba wczuł się w rolę). Na szczęście nie puścił do niej oka. Umówili się w trasie, że ona przepytuje, a on w razie czego wchodzi do gry jako zły policjant. Zdaje się, że nie przemyśleli tego dobrze, bo Zygniuk rozpracował ich na samym początku. Prowokacja w kierunku Maciorzy temu służyła. Cóż, facet po kilkunastu latach w żandarmerii wiedział, jak to się rozgrywa.

Wstrzymała oddech.

– Oczywiście. Nazwiska skojarzę. Z dopasowaniem do nich twarzy mogę mieć problem, ale wszystkie raporty są w firmie, zajęli je zapewne aferzyści, czytają po nocach i łączą kropki. Jak kropek jest dużo, to można je połączyć w dowolny kształt – powiedział głośniej w stronę weneckiego okna. – No, pytaj! – Powrócił wzrokiem do Agnieszki.

Odetchnęła. Nie poszedł w amnezję. Przejście na ty dobrze wróżyło.

– Tumski, Michał Tumski, mówi ci to coś? – rzucił Maciurski spod ściany.

Agnieszka spiorunowała go wzrokiem.

– Tumskiego pamiętam akurat dobrze, co cię interesuje? – Zygniuk nawet nie spojrzał na Maciorę. Mówił do Agnieszki.

– Wszystko, można powiedzieć. – Agnieszka dała Maciorze znak, że ma się zamknąć.

– Jeździłem za nim po mieście, było kilka spotkań, ale zazwyczaj siedziałem godzinami w samochodzie pod blokiem. To był taki... no... dość nieruchawy obiekt. Raz musiałem przerwać obserwację i wezwać zmiennika, bo zdawało mi się, że zwrócił na mnie uwagę. Tak czasem bywa. Pamiętam Tumskiego głównie dlatego, że kolega zgubił go w parku, miał stres, ale zaraz potem zamknęli to zlecenie. Dowiedzieliśmy się, że obserwację przejął ktoś inny. Tumski zorientował się, że jest śledzony, i informacja o tym dotarła do firmy.

– Jak?

– Nie mam pojęcia. Trzeba by zapytać szefa.

Zastanowiła się. Oceniała, że szczerowość się opłaci.

– Powód tej rozmowy jest taki, że zauważyliśmy... – Spojrzała na Maciorę i znalazła w jego oczach zrozumienie dla rozciągnięcia sukcesu na jej osobę. – ...że Tumski ciągnął za sobą ślad komórki, tej, którą znaleziono u ciebie przy zatrzymaniu i w związku z tym...

– Ach, to – wszedł jej w słowo Zygniuk. – Dałem ciała. Szefostwo...

– Czyli kto?

– No, mój przełożony – Kwaśny, to znaczy Irek Kwaśniewicz, ustalił procedurę –

miał na tym punkcie bzika. „Jeden obiekt, jedna komórka i jedna karta SIM przy sobie”. Przed rozpoczęciem nowego zlecenia należało zniszczyć stary sprzęt i kupić nowy zestaw. Mówił, że to dla „higieny obrotu” czy jakoś tak.

– Co to znaczy? Przecież prywatny detektyw nie musi zachowywać środków ostrożności jak przestępca. – Agnieszka postanowiła dać mu się wygadać.

– No właśnie. I ja się tym nie przejąłem. Może Kwaśnemu zostało to po pracy w stołecznej policji? Świadomość, że każdy może dostać dane, jeśli ma dojścia? To taka, myślę, obrona wywiadu przed kontrwywiadem przeciwnika. Kiedy w grze są duże pieniądze, ludzie popadają w paranoję. Ale nie znam się na tym.

– Okej – rzuciła. – Teraz wiemy, że za nim chodziłeś. W porządku. Interesuje nas właściwie inna osoba, którą zapewne też obserwowałeś. – Otworzyła notes, jakby musiała przypomnieć sobie nazwisko. Litery na przypadkowej stronie rozmazały się w nieostre piktogramy. – Joanna Szymalak. Pamiętasz ją?

Agnieszce wydawało się, że w zapadłej ciszy słychać uderzenia jej serca.

– To zlecenie z pewnego powodu pamiętam dobrze. Ładna dziewczyna. Z tej samej firmy, co ten Tumski.

– Właśnie – przytaknęła i zaczęła liczyć własne oddechy.

Zyganiuk założył ręce za głowę. Agnieszka prawie usłyszała trzask szwów rękawków polo rozciąganych bicepsami do granic wytrzymałości.

– Pamiętam, że trzeba było zacząć od razu. Jechałem odwiedzić matkę i potem w weekend miałem załatwić kilka prywatnych spraw. Musiałem zawrócić spod Radzymina.

– Jakiego było to dnia? O której?

Zyganiuk spojrział w sufit.

– To był czwartek, przed południem. Nazajutrz miałem umówionego kupca na samochód i musiałem odwołać. Ale dokładną datę musicie potwierdzić z nimi. – Wskazał na szybę. – W tym roku na pewno, jakoś zimą jeszcze, może wczesną wiosną, bo pamiętam, że nie było liści na drzewach.

– Opowiedz wszystko, co pamiętasz. – Agnieszce z emocji zaczęła mocniej drgać dłoń. Przycisnęła ją do kartki notatnika.

Od razu pojechał pod firmę Szymalak i ustawił się przy wyjeździe z parkingu. Miał adres, dane samochodu i fotografię wydrukowaną z firmowej strony w internecie. Nie czekał długo. Z pracy udała się prosto do domu. Na miejscu zrobił rekonesans, żeby znaleźć dogodne miejsce do obserwacji. Do wieczora nic się nie wydarzyło. Na noc przyjechał zmiennik. Nazajutrz, w piątek, przyjechał na ósmą. Rano Szymalak wyszła na chwilę do osiedlowego sklepiku. Potem wczesnym popołudniem pojawiła się przed klatką bloku w stroju sportowym i pobiegła.

– Czy w tym czasie ją obserwowałeś? – zapytała Agnieszka.

– No, musiałem. – Zygniuk się zaśmiał. – Mogła przecież z kimś się umówić po drodze. Trzy kilometry w puchowej kurtce wycisnęły ze mnie trochę potu.

– Pamiętasz, jaką trasą biegła?

– Zrobiliśmy pętlę wokół ogródków działkowych w pobliżu jej osiedla.

Agnieszka pokiwała głową – to zgadzało się z ich ustaleniami na podstawie danych sieci komórkowej.

– Co było dalej?

– Poszła na wieczorną mszę do kościoła.

– Którego?

– Taki biały. Od frontu przypomina z kształtu rakiety.

Agnieszka uśmiechnęła się, bo sama miała takie samo skojarzenie, kiedy złożyła wizytę w parafii Szymalak.

– Czy rozmawiała z kimś?

– Na zewnątrz nie. Do środka nie wchodziłem. Przyszło mało ludzi i mogłem rzucać się w oczy. Po półgodzinie wyszła razem z resztą i poszła do domu.

– A sobota? Jak wyglądała?

– No cóż, całkiem zwyczajnie. Szymalak pojechała na zakupy do marketu, zaraz potem poszła biegać i tyle. Od tego czasu nie wychodziła z domu.

Agnieszce nie uszła uwagi opadająca intonacja głosu Zygniuka i nerwowe potarcie policzka. Możesz być szkolony, ale odruchy trudno jest powstrzymać. Zastanowiła się, jak rozegrać przyłapanie go na kręceniu.

– Czyli wróciła z biegania w sobotę i od wtedy nie wychodziła?

– No tak.

– Od soboty po południu do kiedy?

Zygniuk się zawahał.

– Do poniedziałku, zdaje się. W każdym razie do odwołania obserwacji. Dlaczego tak was to interesuje?

W ciszy, jaka wypełniła pokój, słychać było tylko szum klimatyzacji.

Agnieszka wstała, przeszła kilka razy w tę i z powrotem po pokoju i wróciła na swoje krzesło. Zygniuk śledził ją wzrokiem.

– No dobrze – powiedziała. – Prowadzimy śledztwo w sprawie zaginięcia Joanny Szymalak. Od niedzieli ósmego marca nie dała znaku życia. Opowiedz ze szczegółami, co się działo w tamten weekend.

Wkrótce wyjaśniła się przyczyna zakłopotania Zygniuka. Przyznał, że w swoim raporcie z obserwacji podał kierownictwu informacje nie całkiem zgodne z rzeczywistością. W sobotę nie pobiegł za Szymalak, kiedy ta udała się na trening. Siąpił deszcz, czuł się chory i postanowił poczekać w samochodzie. Przysnął. Gdy się ocknął po godzinie, nie miał pewności, gdzie jest Szymalak. Uspokoił się po zapadnięciu zmroku, kiedy podszedł pod jej okna. W mieszkaniu paliły się światła, przez szpary w żaluzjach przedostawał się niebieski poblask od telewizora. Musiała wrócić w czasie, kiedy spał.

– I to by było właściwie na tyle. Zmiennik przyjechał wieczorem. Przekazałem, że obiekt jest w domu. Nazajutrz rozłożyło mnie na dobre, przeleżałem kilka dni. Potem dowiedziałem się od niego, że Szymalak musiała mu się zerwać w niedzielę, bo nie nawiązał kontaktu. Nie wychodziła, w mieszkaniu nie widać było żadnego ruchu, światła w kolejny wieczór się nie świeciły. Kilka razy zadzwonił do domofonu, ale

nikt nie odpowiedział. W poniedziałek, jeśli dobrze pamiętam, ze względu na brak efektów, obserwację przerwano.

Maciurski wypluł przeżutą wykałaczkę na podłogę.

– Właściwie nic nowego się nie dowiedzieliśmy. W sobotę była, w niedzielę zniknęła. I po co było tłuc się tyle kilometrów? Tylko rozrywki mu dostarczyliśmy. Czego się szczerzysz? – rzucił w stronę rozbawionego Zyganiuka.

Starli się na miny. „Możesz mi skoczyć” Zyganiuka wypadło lepiej niż Maciurskiego „Skoro tego chcesz, zorganizuję ci piekło na ziemi”.

Zaprzestali zmagać w momencie, kiedy rozległo się stukanie brzmiące jak wiadomość nadawana alfabetem Morse’a.

Agnieszka patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem i machinalnie uderzała długopisem w blat stołu.

– W sobotę była, w niedzielę zniknęła... – powtórzyła słowa Maciory. – A gdybyśmy na chwilę założyli, że zniknęła w sobotę?

*

Po opuszczeniu aresztu spędzili w Gdańsku jeszcze kilka godzin, przeglądając zeznania i zabezpieczone przez prokuraturę dokumenty. Słowa Zyganiuka znalazły w nich potwierdzenie. Obserwację Szymalak przerwano w poniedziałek. Dwuosobowy zespół zmieniających się obserwatorów nie widział jej od czasu przejścia obserwacji w sobotę wieczorem. Trzeba będzie formalnie ich przesłuchać, ale zlecą to lokalnej policji.

Przy okazji przeglądania dokumentów Agnieszka zapoznała się z charakterem usług świadczonych przez Ronin Security. Zlecenie od Istrela, pod które podpisano raporty z działań wobec Tumskiego i Szymalak, obejmowało obserwację łącznie kilkunastu osób. Ich nazwiska nic Agnieszce nie mówiły, ale w każdej z teczek zawierających informacje operacyjne umieszczono na początku opis zakresu zlecenia, a tam, w sekcji „obiekt”, oprócz imienia i nazwiska oraz innych danych (włączając w to markę, kolor i numer rejestracyjny samochodu) wpisane było stanowisko. Byli tu członkowie zarządu rozmaitych funduszy inwestycyjnych, radcy prawni, adwokaci, biegli rewidenci i główni akcjonariusze M-Construct wraz z doradcami. Skala przedsięwzięcia robiła wrażenie. Niektóre te czki były puste, a ich wstępny opis nie zawierał osób, ale kryptonimy – „Masada”, „Alamo”, „Troja” – i adnotację „Przekazano M.M.”.

– Co to jest? – zapytała agenta CBA, który pomagał przeglądać nieuporządkowane jeszcze dokumenty.

– Nie mamy pojęcia. Szef Ronina i inni zatrzymani z tej firmy twierdzą, że nie wiedzą, skąd to się wzięło. Inicjały mogą wskazywać na Mirosława Makuchę, jednego z dwóch braci – współwłaścicieli firmy. Zamierzaliśmy ich zatrzymać, ale gdzieś się zaszyli. Szukamy.

W drodze powrotnej do Warszawy, już od Pasłęka, Maciurski zaczął jęczeć, że chce mu się pić. Zlitowała się nad nim i zaproponowała, że poprowadzi przez resztę

trasy. Zatrzymali się w barze przy stacji benzynowej.

– O co ci chodzi? – Wcisnął do ust resztę hot doga, popił piwem i otarł usta serwetką. – Nic a nic się nie zmienia. Mamy świadka, który widział ją w sobotę po zakupach w supermarkecie. Okej, ale co to wnosi? Tyle samo, co świadectwo kogoś, kto widział ją w piątek, czwartek i tak dalej, aż do jej pierwszej komunii. Co tak na mnie patrzysz?

– Masz keczup na brodzie i policzku.

– Tutaj? – Wytarł twarz plikiem serwetek. – Już?

– Nie, jest jeszcze dużo.

– Gdzie? – Zmięty gałganem błędził po brwiach i czole.

– Wszędzie. – Odwróciła głowę w stronę okna.

Zatrzymał rękę. Ugniótł kulkę z zużytych serwetek i rzucił na stół. Patrzył, jak toczyła się w stronę Agnieszki. W ostatnim momencie skręciła i spadła na ziemię.

– Myślisz, że mnie to nie frustruje? Ale co mam zrobić? Złościć się jak dziecko? Ta praca jest często niewdzięczna i zawsze nisko płatna. Rozwiązanie niektórych spraw musi czekać latami na sprzyjający zbieg okoliczności – czyjaś wpadkę, zeznanie, odnalezienie przypadkowo zwłoki. Wiesz przecież, jak to jest.

– Nie oczekuję od ciebie filozoficznych rozważań na temat doli policjanta, ale wykazania odrobiny inwencji. Rozumiem, rozważanie alternatyw wymaga myślenia. To bywa bolesne.

Zakrztusił się piwem.

– Bolesna jak czyrak na dupie jest twoja obecność. Nie musisz mi tu jechać Motyckim. Pieprzona prymuska!

– Staram się tylko stymulować do pracy twój umysł, który traci energię na ciągłe kombinowanie, gdzie i jak można wciągnąć browar.

– To było nie fair! Sama zaproponowałaś!

Spojrzała przez okno na mężczyznę tankującego białe terenowe volvo. Przez przyciemnione szyby nie dało się dostrzec pasażerów. Kufer na dachu, trzy rowery przymocowane na haku na tyle samochodu. Dwa duże, jeden dziecięcy. Szczęśliwa rodzina wraca z wakacji nad morzem. Poczwała oleisty aromat rozgrzanego upałem lasu sosnowego – wspomnienie sprzed kilku lat, inne życie, czarujący Adam i radosna ekscytacja, że w jej ciele rozwija się nowa istota.

Odwróciła głowę.

– Więc raz jeszcze. Co, jeśli tak naprawdę zniknęła w sobotę?

– Jak to co? Cała praca od początku. Mdli mnie na samą myśl. Motycki zedrze z nas skórę pasami. Daj spokój! Są inne, pilniejsze sprawy do poprowadzenia. Ciągłe wchodzą nowe. Tej Szymalak w razie czego i tak już nie pomożemy. Jedźmy już. – Z trzaskiem zgniótł puszkę.

Agnieszka wstała i gestem nakazała mu siedzieć. Odeszła i wróciła po kilku minutach z czteropakami piwa. Postawiła go na stole.

– Co to ma być?

– Zapas na drogę. Będziesz grzecznie analizował ze mną alternatywne

scenariusze.

Błysk w jego oczach nie pozostawiał wątpliwości, że zapalił się do tego pomysłu.

*

Michał otworzył drzwi, a Beata od razu zauważyła, że coś jest nie tak. Nie zdjęła butów, stanęła w przedpokoju z torebką w ręce. Gestem zaprosił ją do salonu. Usiedli naprzeciw siebie. Ona wyprostowana, wpatrzona w Michała. On, wsparty łokciami o kolana, pocierał skronie.

– Masz jakieś kłopoty? – zapytała.

Pokręcił głową.

– Chciałem z tobą o czymś porozmawiać. Nie sądziłem, że do tego dojdzie... Właściwie nie myślałem w ogóle. W każdym razie do niedawna.

– O czym ty mówisz? – Objęła rękami torebkę.

– Ja... To znaczy my... – Z każdym słowem był coraz bardziej gotowy zapomnieć o wszystkim, nad czym zastanawiał się od wczoraj. – Nie widzę przyszłości dla naszego związku – rzucił z desperacją.

– Słucham?!

– Beata, nie miej mi tego za złe, nie mogę być z tobą.

Zastygła, zdawało się, że przestała oddychać. Po chwili zassała, a potem wydeła usta rozproszając na nich niewidzialną szminkę, po czym wytarła kąciki ust.

– Dlaczego? – Jej nienaturalny uśmiech dodał Michałowi odwagi. Z duetu odgrywającego tę banalną scenę na dwoje aktorów, Beata zdawała się przejawiać mniejszą tremę.

– Masz męża.

– Do tej pory ci to nie przeszkadzało.

– Przeszkadzało.

– Nie zauważyłam. Zresztą myślałam o rozwodzie. Chciałbyś?

Westchnął.

– Nie o to chodzi.

– A o co? Znużyłam ci się? Masz kogoś innego? – Podniosła głos, a w jej oczach pojawiły się niepokojące błyski.

– Czy moglibyśmy porozmawiać jak dorośli ludzie? Nasz związek...

– To był błąd? To chcesz powiedzieć?

– Nie, to nie był błąd. Potrzebowaliśmy tego. Na pewno ja. Wtedy. Jednak życie toczy się dalej.

– Może dla ciebie tak to wygląda – życie toczy się dalej. Ja wtedy... Ja nigdy wcześniej... Dlaczego mamy coś zmieniać? Czy jest nam źle? – zapytała miękko. – Przecież nigdy niczego od ciebie nie żądałam, wierności też. Skoro nie możesz dać wszystkiego, wystarczy mi to, co jest. Coś do mnie czujesz, prawda? Z czasem moglibyśmy osiągnąć więcej. Może po prostu potrzeba nam czasu. Dajmy go sobie, co nam szkodzi?

Zamknął oczy i odczekał, aż przeminie wewnętrzny przymus, który kazał mu ją teraz przytulić.

– Beata, nie mogę, nie chcę. To oszustwo. Nie może się udać.

– Zamknij się!

Rzucona z impetem szklanka przeleciała koło głowy Michała i z hukiem roztrzaskała się o ścianę.

Beata wstała. Po jej policzkach płynęły łzy, rozmazując makijaż.

Niepewnym krokiem ruszyła do łazienki. Delikatnie zamknęła za sobą drzwi. Doszedł zza nich szum strumienia wody spływającej do umywalki.

Michał spojrzął za siebie. Rozbite szkło zaścielało podłogę. Szklanka trafiła w jedno ze zdjęć wiszących na ścianie. Leżało na podłodze obrazem do dołu. Patrzył w puste miejsce wyodrębnione prostokątem jaśniejszej farby. To dziwne – nie mógł sobie przypomnieć, co przedstawiała fotografia, którą miał przed oczami przez kilka lat. Na pewno była na niej Anka, ale w jakiej scenerii?

W łazience zapadła cisza. Po chwili Beata wyszła. Poruszała się powoli, chwiejnie, jakby odurzona. Wstał.

– Nabałaganiłam, przepraszam. Zaraz posprzątam.

– Przestań, nie trzeba.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Beata uśmiechnęła się.

– W takim razie idę.

W przedpokoju oparła się o ścianę.

– Odwiozę cię. Pojedziemy twoim autem. Daj kluczyki.

Kiedy wyszli z klatki, Beata stanęła.

– Dobrze mi było z tobą. Nie miej do siebie żalu. Jesteś porządnym facetem, wiesz? Zadzwoń, kiedy się rozmyślisz. Najlepiej za godzinę. Albo chociaż jutro. – Pogładziła jego koszulę na piersi. Wtuliła się. Objął ją.

Drgnął. Ponad głową Beaty dostrzegł nadchodzącą chodnikiem elegancką kobietę. Chwilę zajęło mu uświadomienie sobie, że to Agnieszka. Odruchowo opuścił ręce.

Rozpoznała go. Choć dzieliło ich jeszcze kilkadziesiąt kroków, wyraźnie, niczym przez okular lunety, dostrzegł, jak w miejsce pogodnego uśmiechu na jej twarz wpływa wyraz zaskoczenia, a zaraz potem grymas zażenowania. Szła jeszcze przez chwilę siłą rozpędu, zwolniła, w końcu zatrzymała się. Zakręciła założonym na palec brelokiem z kluczami.

Beata, zaalarmowana poruszeniem Michała, odwróciła się. Spojrzała na Agnieszkę.

– Kto to? – Pytanie zabrzmiało jak szcęk przeładowywanej broni.

– Znajoma.

Wyrwała Michałowi kluczyki z ręki, odepchnęła go i szybkim krokiem ruszyła do samochodu.

Spojrzał za nią, a potem w stronę oddalającej się Agnieszki. Utykała, jakby dostała postrzał w nogę.

Zapiszczały opony. To Beata ruszyła z parkingu.

Zrobił kilka kroków w stronę, w którą poszła Agnieszka. Z zatoczki wyjechał granatowy golf. Michał przyskoczył do jezdni i wyciągnął rękę. Agnieszka nawet nie odwróciła głowy.

Stał na chodniku, spoglądając w stronę, gdzie przed chwilą szła chodnikiem w zwiewnej sukience nad kolana, jasnozielonej, w delikatne kwiatowe wzory. Po raz pierwszy widział ją taką.

*

Agnieszka zjechała na parking przy centrum handlowym. Stanęła na miejscu dla niepełnosprawnych. Trzeba się przyzwyczajać.

Noga odmawiała posłuszeństwa, a i ze wzrokiem działo się coś niedobrego. Silne emocje źle wpływały na jej kondycję. Wyjęła z torebki lusterko i starła z ust szminkę. Może dotrze jakoś do domu, ale musi zmienić buty. W tych nie da się prowadzić.

Wysiadła z samochodu i otworzyła klapę. Zzula buty i rzuciła je do bagażnika. Pomiedzy wypełniającymi go szpargałami wyglądały zupełnie inaczej niż w sklepie i wtedy, kiedy przeglądała się przed wyjściem w lustrze. Zakończyły karierę po pierwszym, niedokończonym występie.

Włożyła znoszone espadryle, które zabrała w przebłysku intuicji. Zamknęła kufer i oparła się o samochód. Matka zdziwi się, że tak szybko wraca. Dłużej trwało robienie fryzury i strojenie się niż jej nieobecność. Ależ miała teraz ochotę na zioło! Może coś jeszcze zostało w domu.

Obróciła twarz w stronę wiatru niosącego słodki zapach palonych w ogrodach liści. Wciągnęła do płuc porcję powietrza, przytrzymała chwilę i powoli wypuściła. Według prognozy zbliżała się fala upałów. Może pojedzie z Marcinkiem do parku linowego? Ucieszyłby się. Zostawiła go z babcią, mimo że to był jej weekend. Cholera! Z tyłu wyjść do kina i innych atrakcji trzeba będzie zrezygnować, bo wydała pieniądze na tę durną kieckę i buty!

*

Dzwonił i wysyłał wiadomości. Agnieszka nie odpowiadała. Pojechał wcześniej rano na komendę i stał w pobliżu wejścia, licząc na to, że się pojawi. Po południu wszedł do środka i zapytał o nią dyżurnego. Ten zadzwonił, wysłuchał odpowiedzi i z kpiącym uśmiechem poinformował Michała, że funkcjonariusz Moroz nie ma i nie udziela się dalszych informacji, a jeśli obywatel ma coś do powiedzenia w związku ze sprawą, to może spotkać się z nim aspirant Maciurski. Michał zostawił kartkę dla Agnieszki z prośbą o kontakt. Czekał pod budynkiem do zmierzchu.

To było dawniej. Od jakiegoś czasu nie liczył dni, nie wychodził z domu. Zwlekał się rano z łóżka, jadł byle co i kładł się z powrotem. Czasami siadał w fotelu i wpatrywał się w okno, za którym przemijała jakaś pora roku.

Któregoś dnia, kiedy tak siedział, zdało mu się, że i wewnątrz mieszkania rozpoczęła się przemiana. Szyby w oknach, podłogę, meble pokryła warstwa kurzu

przypominającego pleśń. Przyrost szarych pokładów był prawie tak zauważalny, jak ruch godzinowej wskazówki zegara. Skóra na wierzchu dłoni wyglądała obco. Podniósł ją z zaskakującą trudnością i zbliżył do oczu – blada, pomarszczona, pokryta ciemnymi plamami. Zbyt długo tak siedział. Jeśli nie podejmie wysiłku, jeśli się nie ruszy i czegoś nie zrobi, to zostanie w tym fotelu na dobre, obleżą go te szare strzępki, oklejają oczy, wejdą do nozdrzy, uszu i wyjedzą od środka, zostawiając mumię. Ostatnia szansa ratunku odejdzie wraz z trzecim dzwonkiem. Pierwszy! Drugi!

Ocknął się z drzemki. Dzwonił telefon. Zerwał się. Agnieszka?

Jednak nie. Justyna Dziedzic. Nie miał ochoty na rozmowę, ale odebrał, po starej znajomości.

– Halo? – szepnął do słuchawki.

– Cześć, Michał.

Głos matowy, pozbawiony energii. Ktoś skorzystał z jej telefonu?

– Kto mówi?

– Nie wygłupiaj się. To ja, Justyna. Widziałeś wiadomości?

– Nie.

Zapadła długa chwila ciszy. Odliczał dmuchnięcia w słuchawkę po drugiej stronie.

– Staszek Rostecki nie żyje. Powiesił się w celi.

Osunął się po ścianie na podłogę. Justyna jeszcze wyjaśniała, że tragedia, zaniedbania, pociągnięcie do odpowiedzialności, że ktoś komuś w gdańskim areszcie urwie jaja.

– Dzięki, Justyna, już dzięki. Nie trzeba więcej mówić, nie. – Rozłączył się.

Objął rękami kolana. Kiwał się ze wzrokiem zafiksowanym na plamie odłupanej farby. Anka nie lubiła sprzątać, a jednak się starała. Nigdy nie wypomniał jej tej dziury, którą zrobiła, nieostroźnie manewrując odkurzaczem przy kuchennej szafce.

Wniknął w materię rany na kremowej powierzchni, wcisnął się między drzewa, zmiażdżone, zmielone na wióry i sprasowane w płytę. Falujący szum, wywołany biciem krwi w uszach, brzmiał jak rozmowa. Słowa dochodziły go i zanikały w rytmie podmuchów wiatru, który w niepojęty sposób dał się wraz z drzewami zamknąć w październiku. Było coś o niespełnionej nadziei brzozy na stuletnie życie w przydomowym ogrodzie; o zwodniczym mchu, co rósł od zachodu, a nie od północy; o sośnie, przez której pień przechodził drut kolczasty z czasu wojny. Znał wszystkie te opowieści. To jego wspomnienia z dzieciństwa.

Przyszedł na świat za sprawą nieuwagi studentki historii i asystenta z instytutu etnologii. Moment braku czujności, ale jakie konsekwencje! Wrzucono go w ciemną dolinę i teraz ten błąd, akt głupoty właściwie, wymaga od swojego owocu odbywania pokuty. Jej znój zawsze pozostanie niewspółmierny do intensywności chwilowej ekstazy sprawców. A wszystko po to tylko, żeby stać się nawozem. Staszek już jest przygotowany do drogi w ciemne, wilgotne miejsce. Na dniach urzędniczka zaktualizuje w bazie PESEL jego status ontologiczny i Stanisława Rosteckiego, urodzonego gdzieś, kiedyś, z ojca jakiegoś i jakiejś matki, wykreśli z listy obywateli tego świata. Jeszcze jedno tylko pokolenie będzie go wspominać, bo dzieci będą

musiały czasem wpisywać w urzędowych dokumentach imię ojca.

Jego nie czekała nawet taka pamięć. Zniknie bez śladu. Nie zrobią z niego drzwiczek do kuchennej szafki, w które po latach zajrzy ktoś sprowadzony do parteru. Równie dobrze mógłby się nie urodzić. I być może tak byłoby lepiej dla świata, bo wniósł w jego historię jedynie więcej cierpienia. Staszek tak bardzo chciał żyć, ale zmienił zdanie. A jakie on ma argumenty? Że wszystko może się jeszcze odmienić? Że trzeba dalej toczyć kulę gnoju, bo tak to już jest? A może nie ma sensu zastanawianie się nad rzeczą bez wartości? Staszek postanowił opuścić towarzystwo, bo nie mógł dalej ciągnąć swojego wspaniałego życia, zupełnie jak Gajusz pieprzony Petroniusz. A jeśli ktoś ma życie do dupy? Czy śmierć wprowadza nową jakość?

Położył się twarzą do podłogi. Poczul na policzku chłód bijący od terakoty. Leżał tak długo, aż poczul w całym ciele odrętwienie. Wtedy wstał, podszedł do stolika w salonie i napełnił szklanekę whisky.

– Staszek, ty kretynie! Coś ty zrobił?! Twoje zdrowie!

*

Dzwonek domofonu wdarł się pod czaszkę. Michał przycisnął poduszkę do uszu. Otwierał tylko dostarczycielom zakupów. Odciał się od wszystkich. Na wiadomości od Horodyńskiego odpowiadał zdawkowo. Ignorował te od Sowy, u którego miał chyba zacząć pracę jakiś czas temu, i od Beaty, która z jakiegoś tajemniczego powodu ostatnio się zaktywizowała. Swiecie wręczył (kiedy to było?) tysiąc złotych i zakomunikował, że wyjeżdża. Obiecał, że odezwie się po powrocie.

Zwłókł się z łóżka i poszedł do łazienki. Napił się wody z kranu, co tylko wzmogło pragnienie. Potarł policzek. Czarny zarost przeplatała siwizna. Od biedy można by uznać to za brodę. Włosy rosną milimetr na tydzień. Wyglądało na to, że nie golił się od jakiegoś miesiąca. Patrzył w lustrze na nową wersję siebie. Strąki przetłuszczonych włosów, paradoksalna twarz – wychudła, a jednocześnie napuchła, plackowaty rumień, oczy zmniejszone do szparek.

Nadszedł czas, żeby na chwilę wyjść, podjąć wyzwanie dotarcia do sklepiu w sąsiednim bloku, załatwić sprawę i niezauważenie wrócić do norki. Skończyło się jedzenie, ale to nie był problem, bo mógł, robił to od dawna, zamówić dostawę przez internet. Zresztą bez jedzenia, to zapisano w księgach, człowiek może wytrzymać czterdzieści dni. Chodziło o coś, na co nie mógł czekać, bo czekanie mogło przynieść opłakane skutki. Czuł bolesne mikroporuszenia odwodnionych komórek ciała. Przez wypełniający uszy szum przebijał momentami piskliwy jęk, który giął mu kolana. Woda nie uspokoi stada szarpiących go od środka menad, trzeba im piwa, na początek, a potem się zobaczy. Teraz najważniejsze jest przywrócić komórkom życiodajny turgor i uciszyć wyjce.

Zszedł schodami, raz, żeby nie spotkać nikogo z sąsiadów, dwa, ze względu na możliwość, że winda mogłaby po raz pierwszy w historii budynku utknąć między piętrami, przyprawiając go o śmierć w boleściach. Bez słowa przeszedł obok stanowiska ochrony, czując na plecach wzrok staruszka w niedopasowanym uniformie ochroniarskim. Nigdy wcześniej go nie widział. Może i *vice versa* .

Zatrzymał się w drzwiach oślepiiony światłem. Poczłł zawroty głłwy i mdłłoci. To tylko pięćdziesiąt metrów, licząc w jedną stronę, bo lekarstwo zażyje od razu przy sklepie. Próbował wypluć wypełniającą usta ślinę, ale ciągnęła się jak pasta. Przecisnął się przez szpaler krzewów i wyszedł na wewnętrzną polankę klombu, przytrzymał się pnia drzewa, próbując opanować mdłłoci. Widok szklanych piersiówek po żółdkowej gorzkiej pchnął do góry treść żółdka. Zwymiotował.

– No i pięknie. – Poklepał korę w podzięce. Splunął.

– Pan Tumski? – Pytanie zadano ciemnym barytonem.

– Być może – odpowiedział, podnosząc głłwę.

Kilka metrów od niego, na przeciwnym skraju polanki stał wysoki mężczyzna, na oko przed czterdziestką. Zsunął kaptur sportowej bluzy i wpatrywał się w Michała bladoniebieskimi oczami zza opadającej grzywki włłosów o kolorze słomy.

– Kim pan jest?

– Przed chwilą dzwoniłem domofonem, ale nie otworzył mi pan.

– Widocznie nie mogłem albo nie chciałem, albo obie rzeczy naraz.

– Chciałem tylko porozmawiać. To ciekawe poznać kogoś, z kim najważniejsza w życiu osoba była tak blisko...

– Nie znam cię.

– No właśnie, a ja pana trochę znam. – Zrobił trzy kroki w stronę Michała. – Musimy być do siebie podobni, skoro pociągnęła nas w swoją orbitę ta sama gwiazda. Ja się w niej, można powiedzieć, trochę spaliłem, a pan?

Michał przełknął ślinę i skrzywił się, kiedy poczuł smak własnych wymiocin.

Mężczyzna znów się zbliżył o kilka kroków, a Michał odruchowo się cofnął.

– Nie wiem, o co chodzi. Nie znam cię ani kogoś, o kim mówisz. Idź sobie, dobry człowieku.

– Teraz, jak na pana patrzę, to zastanawiam się, co ona w panu widziała, w takim zapijaczonym łachu?

Skrócił dystans. Uderzył.

Cios odrzucił Michała w tył. Zatoczył się, ale ustał.

– Proszę mi powiedzieć, co takiego ma pan w sobie?

Krew płynęła z nosa ciepłą strugą. Ciekawe. Sądził, że jest na to zbyt gęsta.

Pociągnął nosem, splunął i otarł twarz przedramieniem. Zauważył ruch, ale nie zdążył się zasłonić. Podeszwa buta weszła miękko w jego brzuch. Zgiął się wpół. Nie mógł złapać ani wypuścić grama powietrza. Dusił się. W panice przebierał rękami w powietrzu.

Porażenie splotu słonecznego zaczęło wreszcie ustępować. Wyprostował się, odetchnął. Oblizął krew spływającą na usta. Spojrzał na przewyższającego go o pół głłwy przeciwnika. Jego twarz wykrzywił grymas obrzydzenia.

– Czy był pan dla niej dobry?

– Nie wiem, sam ją zapytaj – powiedział Michał i natychmiast zainkasował lewy i prawy w szczękę.

Zamroczyło go, opadł na kolana. Potrząsnął głową, żeby pozbyć się wirujących przed oczami ciemnych plam.

Powstał, przytrzymując się wiotkiego drzewka. Chwiał się na nogach.

Opanowało go ekscytujące pragnienie, żeby ten zdrowy osiłek Beaty zaprawiony w maratonach i triathlonach bił go dalej, aż potłuką się martwe skorupy, które zostawił za sobą i nie mógł przestać się na nie oglądać, żeby uwolnił go nie tylko od Beaty, ale i od Anki, Joanny, Agnieszki, Staszka, beznadziei pijackich poranków, niepodjętych wyzwania i zmarnowanych możliwości. Żeby uwolnił go od niego samego.

Aby utrzymać pion, kiwał się, wyginając drzewko we wszystkie strony. Zaczął mówić, ale zakrzuszył się krwią spływającą do gardła.

– Chciałby pan coś powiedzieć?

Michał splunął i wydmuchał nos w palce. Otarł lepka dłoń o koszulę.

– Mówiłem, że najbardziej, tak najbardziej ze wszystkiego lubiła robić mi...

Tamten kopnął z rozbiegu. Michał oderwał się na moment od ziemi. Zobaczył samolot, a za nim dwie białe wstążki smug kondensacyjnych.

Nie poczuł upadku. Uszy wypełnił mu ogłuszający pisk i pole widzenia zalała czerń. W stronę uciekającej plamki światła wypowiedział rozpaczliwie: „Boże!”.

¹ Wszystkie cytaty biblijne pochodzą z *Biblii Tysiąclecia*, wydanie piąte, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2003.

² *Noli me tangere!* (łac. Nie dotykaj mnie!) – dosłowne tłumaczenie słów wypowiedzianych przez Jezusa do Marii Magdaleny po zmartwychwstaniu w wersji zapisanej w *Wulgacie*. Ze względu na znaczenia niesione przez grecki oryginał, w kontekście biblijnym tłumaczone najczęściej jako „Nie zatrzymuj mnie!”. Wyrażeniem *Noli me tangere* określa się także artystyczne wizje spotkania zmartwychwstałego Chrystusa z Marią Magdaleną.

³ *List do Hebrajczyków* 4, 13.

II

Siedział wciąż na tej ławce. Z pewnością kiedyś już się zastanawiał, jak długo to trwa, ale wnioski musiały być niejednoznaczne. Upływ czasu był tylko hipotezą opartą na niepewnych przesłankach – taktowaniu myśli i starzeniu się pomalowanego na zielono drewna. W oku tej osobliwości nadrzędną zasadą było zapętlenie. Każda myśl po pewnym czasie wracała do swojego początku; dłonią gładził równą powierzchnię desek oparcia, a innym razem z chrzęstem rozgniatł suche ruloniki złuszczonej farby.

Czuł ciepło wzbudzone w ciele przez promienie słoneczne, zapach świeżo skoszonej trawy i kwiatów. Wokół niego nic nie podlegało najmniejszemu poruszeniu. Liście platana, które rzucały cienie na ławkę, wciąż tak samo filtrowały światło. Strumienie fotonów ani o milimetr nie zmieniały toru swojej podróży ze Słońca do jasnej plamy na jego nogach.

Cisza. W rozpisanej na niezliczoną liczbę pięciolinii partyturze dźwięków miasta wszystkie instrumenty grały właśnie pauzę. Uwaga, rozpięta pomiędzy pamięcią ostatnich i oczekiwaniem kolejnych głosów, wibrowała nabrzmiałym potencjałem, gotowością przyjęcia prometejskiego akordu.

Jedna myśl Anki tłumaczyła to istnienie. Kiedyś, już pod koniec, zastał ją śpiącą w fotelu. W półrozwartej dłoni trzymała zdjęcie. Utrwaliło chwilę, gdy kilkanaście lat temu czekali na swoją godzinę wjazdu na wieżę Eiffla – on na ocienionej ławce na Polu Marsowym.

*

Posiłek to misterium przeistaczania martwego w żywe, dowód, że przemiana w tym kierunku jest możliwa. Dlatego starał się codziennie przygotować dla niej jedno z ulubionych dań. Produkty z półek w supermarkecie wybierał z pieczołowitością szamana szykującego składniki leczniczej mikstury. Melodie świątecznych szlagierów płynące ze sklepowych głośników napełniały go nieoczekiwaną otuchą.

Dobry nastrój znikał wraz ubywaniem ludzi dzielących go od kasy. Do głosu dochodziła świadomość, że musi nadejść ten wieczór, kiedy nie rozpakuje siatek. Zawoła od drzwi, że już jest, odłoży zakupy na stół w kuchni. Wejdzie do salonu i zobaczy, że Anka nie siedzi jak zwykle w swoim fotelu. Zajrzy do pustej sypialni, zawoła ją – ona nie odpowie, on pobiegnie do łazienki, otworzy drzwi i ugną się pod nim kolana.

Usłyszał wysokie tony odgłosów skanowania kodów kreskowych dochodzące z kilkunastu kas. Jeszcze przed chwilą, losowo rozrzucone, były nierozróżnialną

domieszką szumu w tle. Teraz zsynchronizowały się w rytmiczny ciąg piśnięć, jak gdyby każdy z kasjerów w tym samym momencie przesuwiał towar nad czytnikiem.

Jeden z członków tej improwizującej orkiestry pomylił w pewnym momencie rytm, a pozostali wzięli jego głos za wyznacznik nowego metrum i przyśpieszyli, próbując utrzymać integralność wykonania.

Szli znów równo, ale dwa razy szybciej. Wtedy znów ktoś nie trafił w tempo i dźwięki zapulsowały migotliwie. Kolejny błąd oznaczał już przekroczenie granicy możliwego – dźwięki zlały się w jeden przeciągły pisk.

Za Michałem otworzyła się podłoga. Pchnięty w pierś podmuchem stracił równowagę i runął na plecy do głębokiej skrzyni. Widział nad sobą oślepiające światło sklepowych jarzeniówek. Miał je w oczach jeszcze chwilę po tym, jak zamknęło się nad nim wieko. Poczłł nieważkość, pojemnik leciał w dół niczym zerwana winda. Podrzuciło nim uderzenie o dno. Gdzieś w górze znów trzasnęła pokrywa, teraz dźwięk był głuchy. Kolejne spadanie, uderzenie, odgłos zamykania, uruchomiona dźwignia i lot. Dźwięk stawał się coraz bardziej przytłumiony, a ciemność nabierała materialnej konsystencji. Wpadał w coraz głębiej położone skrzynie, wstrząsy podrzucały nim jak bezwładną kukłą.

Naraz usłyszał strzęp szeptu. Wsłuchał się w niego, a wtedy opadanie ustało. Natężenie głosu rosło, jakby skrzynie otwierały się jedna po drugiej. Nie mógł jeszcze rozpoznać słów, ale brzmiały słodczą. Wreszcie zrozumiał – ktoś wołał go po imieniu.

Powtarzane melodyjne „Michał! Michał!” – słyszał teraz wyraźnie. Nie mógł wydobyć z siebie głosu, więc całą siłę woli włożył w jedną myśl: Jestem!

Ostatnie wieko odskoczyło. Leżał w łóżku, a nad nim stała ciemna postać o kobiecych kształtach wykrojonych ze światła padającego przez szparę niedomkniętych drzwi.

– Michał! – szepnęła

– Jestem – westchnął.

– Posuń się.

Anka wsunęła się pod kołdrę obok niego.

– Teraz śpimy.

Posłuszny jak dziecko obrócił się na bok, a ona przylgnęła do niego. Czuł na plecach dotyk jej piersi, uda przytuliła do jego ud. Serce tłukło się o klatkę żeber. Tchnęła mu ciepłym oddechem w kark:

– Już dobrze. Śpij.

Był bezbronny wobec tej kojącej siły.

*

Od wszystkiego oddzielała go nieprzejrzysta błona. Nie miała zarysowanych granic i stanowiła jedyny obraz, jaki widział – mleczne, rozproszone na matowej materii światło, w którym był zawieszony.

Istnienie błony było koncepcją, która pomagała zrozumieć rzadkie zjawiska

przebić z drugiej strony. Skoro miały miejsce, być może istniała bariera, którą niekiedy pokonywało odczucie ciepła, zimna, dotyku, dźwięk muzyki i słowa, których nie rozumiał. Przejścia były rzadkie, jedno od drugiego zdawała się dzielić wieczność.

Znajoma muzyka i tęskny kobiecy śpiew połączyły się ze światłem w iluzję ciepła oraz promieni sączących się spod przymkniętych żaluzji – urlop w Portugalii, dwa lata po ślubie, pokój w pensjonacie w Évorze. Leżeli nadzy, w zmiętych, wilgotnych od potu prześcieradłach.

Anka bawiła się palcami jego dłoni.

– Przynajmniej mi coś.

– No?

– Przynajmniej, że jeśli umrę, to mnie spalisz. Nie chcę się obudzić... no wiesz... tam, w dole.

– Mężczyźni żyją krócej. Musisz poprosić kogoś innego.

– Proszę. – Usiadła na nim okrakiem, ciągle trzymając za rękę. – Mogę ci za to coś dać... – Przygryzła dolną wargę, objęła dłonią pierś, puściła ją, przesunęła palce do łona.

– To by się nie liczyło, jesteś moją żoną.

– Pozwalam, żebyś sobie wyobraził, że robisz to z inną. Wyobrażasz sobie czasami? Przynaj się!

– Oczywiście, my, prawnicy, słyniemy z bogatej wyobraźni.

– No, dawaj, przysięgaj, powtórz za mną: „Spalę moją żonę, jak umrze”. Mów, to łatwe!

– Przestań, nie podoba mi się ten temat.

– Nie chcesz po dobroci? Proszę bardzo. – Odgięła jego środkowy palec, aż syknął z bólu. – Przysięgnij!

Michał roześmiał się, zrzucił Ankę na bok i przeturlał się na nią.

– Przysięgam.

Pocałował ją i wstał z łóżka.

– Idę wziąć prysznic.

Zanuciła: „Nie, nie możesz teraz odejść, bierzesz mi ostatnią wodę”.

Roześmiał się.

– Umyję się w zimnej.

*

Nie może zakręcić kranu ani otworzyć kabiny. Poziom wody szybko się podnosi. Sięga już do piersi, kiedy ona wchodzi do łazienki i zaczyna czesać włosy. On krzyczy z całych sił, bije rękami i kopie w szklaną ścianę, ale woda spowalnia jego ruchy, pozbawia siły. Dlaczego Anka mu nie pomoże? Dlaczego nawet nie spojrzy w jego stronę?

Nabiera powietrza, woda zalewa mu twarz. Obraz Anki uśmiechającej się do własnego odbicia w lustrze niknie za mętną zasłoną.

Czuje, że teraz napiera ciałem na elastyczne brzegi błony, która ugina się i faluje. Pragnie z całych sił przebić ścianę tego pęcherza, wyjść, narodzić się.

*

Pojedynczy błysk światła.

Ciemność.

Błysk i znów ciemność.

Ktoś przez oko próbuje wejść do jego głowy. Rozwiera powieki, podciera stemplami i laserem wypala otwór w galarecie wypełniającej oczodół.

Ciemność.

*

– Czy słyszy mnie pan? Jeśli tak, proszę mrugnąć.

Nie może złożyć tych słów w logiczną całość. To szyfr, a on nie zna kodu.

– *Non intellego*⁴ – chrypi.

– Słucham? Proszę powtórzyć.

– *Non intellego, non ...*

Ciemność.

*

Teraz dwie postacie przy łóżku, więcej ludzi z tyłu. Wszyscy w białych kitlach. Tylko pochylający się nad nim mężczyzna jest jak negatyw.

– Czy możesz mówić?

Zbitka szeleszczących dźwięków, znajoma i niemożliwa do precyzyjnego określenia jak zapach z wczesnego dzieciństwa. Negatyw czyta z kartki.

– *Quod nomen tibi est?*⁵

To hasło zna i wie, jak brzmi odzew.

– *Míchaël.*

Zaczynają notować. Ktoś trzyma telefon wyciągnięty przed siebie. Negatyw odchrząkuje w dłoń.

– *Loquerisne latinē?*

– *Ignoro .*

– *Quomodo te habes, fili?*

– *Volo ad somnum ...*⁶

Postać w bieli podchodzi do stojaka z kroplówkami.

Ciemność.

*

– I... raz! – Działające w zgranym tandemie pielęgniarki przeciągnęły go na bok i położyły z powrotem na wznak na przenośniku.

– Wraca pan do swoich.

Przetoczyły go na rollkach na drugie łóżko i obróciły znów, żeby wyjąć matę.

Jechali korytarzem, światła na suficie rytmicznie rozświeślały czerwoną lunę pod powiekami.

Winda, klekot kół, teraz inny, głośniejszy, wzmocniony echem, twardsza i bardziej nierówna nawierzchnia, czuć świeżą farbę olejną. Zatrzymali się.

Kolejna winda. Tym razem ruch w górę.

– Cześć, dziewczyny. Co mamy?

– Pacjent po zabiegu. Papiery jeszcze niegotowe. Doktor przyśle później.

– Nie ma problemu. Do szóstki. Marta, idź, pomóż dziewczynom.

Znajomy zapach. Ostrożnie nim manewrowały. Znów zmiana łóżka.

– Już po wszystkim. Może pan odpocząć. Lekarz zaraz tu zajrzy.

Chciałby, żeby zgasiły światło, które świeciło mu prosto w oczy, ale nie miał sił poprosić. Zasnął.

*

Zorientował się, że zwalisty człowiek z wąsem musiał być jego lekarzem prowadzącym. Teraz stał na czele kilkusobowej grupki młodych ludzi w kitlach. W ich spojrzeniach dostrzegał zainteresowanie. Michał musiał być ciekawym przypadkiem dla studentów medycyny.

– Nazywam się Jerzy Leśniewski. Kieruję tutejszym oddziałem neurologii. Jak się pan dzisiaj czuje?

Musiał się skupić. Na raz oprzeć język o górne zęby i dmuchnąć, na dwa pchnąć powietrze na zamknięte wargi, potem spokojnie dmuchać przez utworzoną szparę. „Dobrze” zabrzmiało jak „ty-pszy”.

– Cieszę się, że wraca pan do nas w świetnej formie. Słyszę, że dyzartria ustępuje. Jeszcze kilka sesji z logopedą i naprostujemy aparaturę. Przy wybudzeniu nieźle nas pan zaskoczył. Łacina! Dobrze, że kapelan pamiętał ze szkół coś jeszcze poza modlitwami. Zapyta pan, czy to była afazja bilingwalna. Sądzę, że tak. To fascynujące zjawisko. Na skutek urazu mózgu traci się na krótszy lub dłuższy czas zdolność rozumienia i mówienia w ojczystym języku, a zaczyna komunikować się w innym, takim, który poznało się później. To, zdaje się, miało miejsce w pana przypadku. Jest pan prawnikiem, musiał pan liźnąć w życiu łaciny. Swoją drogą, czy to nie zastanawiające, że trzy ostatnie zawody używające wciąż języka Cezara – lekarz, prawnik i ksiądz, są, że tak powiem, profesjami pilnej potrzeby? Biologów nie liczę, bo co oni tam wiedzą. Z jednej strony szkoda, że afazja tak szybko ustąpiła. Straciliśmy szansę na przeprowadzenie badań, a może wpadłby jakiś grant. – Leśniewski podniósł oczy w rozmarzeniu. – Ale oczywiście cieszę się, że wraca pan do zdrowia. Może chociaż pozwolą nam wstawić na oddział kilka dodatkowych łóżek dla śpiochów. Kto wie...

Przekartkował dokumenty przypięte klipsem do plastikowej podkładki.

– No właśnie – podjął po chwili. – Jeśli chodzi o zdrowie, czeka nas teraz sporo

pracy. Pierwsze tygodnie rehabilitacji nie są przyjemne. Oprócz somy zadbamy o pańską psychę. Najpewniej stoi się na dwóch nogach, nieprawdaż? Niedługo odbędziemy konsultację psychiatryczną. Nic takiego. Musimy tylko sprawdzić, czy chirurdzy nie poprzestawiali za dużo w pańskiej głowie. Wie pan, z nimi nigdy nic nie wiadomo. Jak już coś otworzą, to lubią – proszę mi wybaczyć określenie – w tym pogrzebać. Myślą, że są demiurgami. Uśmiecha się pan. Wspaniale! To dobrze wróży. Idę teraz do innych pacjentów. Proszę odpoczywać.

Michał obrócił głowę i spojrzał przez okno. Było duże, ale niewiele mógł przez nie zobaczyć. Widok przesłaniały gałęzie rozłożystej sosny kołyszące się teraz pod wpływem wiatru. Na stoliku leżał przedpotopowy odtwarzacz CD, nauszne słuchawki i płyty kompaktowe ułożone w nierówny stos. Jedną poznał po okładce. Sam ją zrobił przed laty z kolażu zdjęć; składanka fado, którą nagrał dla Anki na urodziny. To było tak dawno temu.

*

Nie wiedział, ile upłynęło dni. W początkowym okresie wielokrotnie budził się i zasypiał tak w dzień, jak i w nocy. Szacował, że od momentu, kiedy zaczął dostawać posiłki o stałych porach, minął jakiś tydzień.

Czasami, kiedy przebudzał się w ciągu dnia, widział starszą kobietę siedzącą przy jego łóżku. Drobna, zawsze w tym samym dzianinowym sweterku zapinanym na drewniane kołki. Zdawała się nie zwracać na niego uwagi. Z opuszczoną głową i wzrokiem wbitym w modlitewnik kołysała się do rytmu sączonych szeptem słów.

Teraz znów siedziała przy jego łóżku. Silne światło bijące od okna skrywało w cieniu całą postać. Podświetlone końcówki siwych włosów tworzyły aureolę wokół głowy.

– Kim pani jest?

Przerwała modlitwę i podniosła głowę. Podeszła do Michała. Z modlitewnika wyjęła obrazek i podstawiła mu pod oczy.

To nie mogło być to, o czym pomyślał w pierwszej chwili – ilustracja z jakiejś książki z gatunku fantasy. Klucza do zrozumienia powinien zapewne szukać w napisie pod postacią zamachującego się mieczem uskrzydłonego rycerza w czerwonym płaszczu. Chwilę zajęło mu odczytanie nieoczywistego kroju liter. Tekst brzmiał: *Quis ut Deus*, czyli „Któż jak Bóg”.

Kobieta pomachała obrazkiem przed oczami Michała, jakby chciała dać mu ostatnią szansę na skojarzenie, po czym wsunęła go z powrotem w modlitewnik.

– Święty Michał Archanioł! – oznajmiła i twarz rozjaśniła jej radością dziecka, które ograło rodzica w karty.

Ledwo szara spódnica i sweter w kolorze ćwikły zniknęły za drzwiami, pojawili się w nich Leśniewski i pielęgniarka.

– No, no, no! Już się podnosimy! Wspaniale! – Spojrzał na zawieszoną w nogach łóżka kartę informacyjną.

– Kto tu był? – zapytał Michał.

– Co takiego? – zdziwił się Leśniewski.

– Przed chwilą. Minęliście się w drzwiach.

Pielęgniarka zdążyła już założyć mu rękaw ciśnieniomierza i zaczęła naciskać gruszkę pompki.

– A więc mówi pan, że ktoś pana odwiedził? – Leśniewski uniósł brwi w wyrazie profesjonalnego zainteresowania.

– Pani Maria – podpowiedziała pielęgniarka, nie przerywając pracy.

– A! Marysia! Wie pan, ona jest tu od tak dawna, że – wiem, zabrzmiało to nieelegancko – przestałem ją zauważać. Przychodzi, spędza czas z pacjentami, czyta im, czasami odmówi różaniec. To przecież nie może zaszkodzić, prawda?

– Z pewnością nie – odpowiedział Michał z ulgą, że nie uległ przywidzeniu.

– Niektórzy z personelu uważają, że nie wszystko z nią w porządku, no wie pan, że tak się modli i opowiada święte historie, ale ja mam swoje zdanie. Jest bardzo taktowna. Nigdy rodzina żadnego z pacjentów się nie poskarżyła, a będzie już z pięć lat, jak jest z nami. Mieszka niedaleko. Przeprowadziła się z Radomia, bo miała tu syna po wypadku na motorze. Miał na imię Michał, tak jak pan. Zmarł nam, niestety, po pół roku, ale Marysia nie przestała przychodzić. Lubimy wolontariuszy. Gdyby nie oni, nasi podopieczni mieliby jeszcze mniej ciekawe życie.

Zasyczało powietrze spuszczone z rękawa.

– Ile, pani Moniko?

– Sto trzydzieści na osiemdziesiąt. Puls siedemdziesiąt trzy.

Leśniewski sięgnął do kolekcji długopisów wpiętych w górną kieszeń fartucha i zapisał wyniki na karcie obserwacji.

– No i pięknie. Jeszcze temperatura. Jutro konsultacja okulistyczna i tomografia. Biegnę dalej.

Michał do tej pory nie zastanawiał się nad tym, ile czasu spędził w łóżku. Owszem, czuł się słaby, ale uznał to za normalne zjawisko przy dochodzeniu do siebie po wypadku i operacji. Teraz dostrzegł, że jego ramiona są wiotkie i pozbawione mięśni. Odłożył skraj kołdry i podciągnął nogawkę piżamy. Zobaczył bulwę rzepki i odchodzący od niej patyk piszczeli zakończonej absurdalnie wielką stopą. Gdyby nie znajome brązowe znamię na podbiciu, uznałby, że patrzy na protezę.

*

Kolejny tydzień wypełniły badania i konsultacje. Rozpoczęły się też ćwiczenia, na razie ograniczone do prób stawiania oporu rękami i nogami z wykorzystaniem zmyślnych urządzeń. Fizjoterapeuta zapowiadał, że wkrótce zaczną pionizację, ale wprawdzie trzeba odbudować choć trochę tkanki mięśniowej.

W poniedziałek przyszedł Leśniewski w towarzystwie kobiety po pięćdziesiątce, dobrze prezentującej się w szarym golfie i czarnych spodniach z kantem. Szpitalny fartuch narzuciła na ramiona.

– To jest Zosia Kromcik, współpracująca z nami terapeutka. Mamy do omówienia kilka spraw, poprosiłem, żeby nam towarzyszyła. Poznajcie się, będziecie, myślę,

sporo ze sobą rozmawiać w najbliższym czasie.

Kobieta uśmiechnęła się do Michała. Wymienili uścisk dłoni. Leśniewski ustawił krzesła przy łóżku, usiedli. Otworzył teczkę.

– Teraz, kiedy ma pan za sobą najważniejsze badania i wiemy, że nie doświadczył pan wstępnej ani następczej amnezji, możemy, jak to się mówi, wyłożyć karty na stół. Zaczniemy od samego początku. – Wyjął pierwszy dokument. – „Pacjent przyjęty na oddział ratunkowy w stanie ogólnym ciężkim, nieprzytomny, podejrzenie urazu głowy”. Dalej, to już z opisu tomografii, „Układ komorowy bez przemieszczeń, nieposzerzony, nie stwierdza się cech krwawienia śródczaszkowego”. Czyli w głowie nic wtedy panu nie znaleźli. Zaburzony poziom elektrolitów, wysokie enzymy wątrobowe, toksykologia... jeden przecinek siedem promila alkoholu – wszystko jak w książce – dłuższe nadużywanie. – Rzucił znaczące spojrzenie w stronę terapeutki. – Poza tym żadnych ekstrawaganckich substancji. – Przeszedł do następnej strony. – Tego dnia tuż po dwudziestej wybrał się pan zobaczyć, co jest po drugiej stronie Styksu. Co tu mamy? „Częstokurcz komorowy z zanikiem tętna”, defibrylacja, adrenalina kilka razy. Dziesięć minut zajęło im nakłonienie pana do powrotu.

Michał wyobraził sobie to zamieszanie wokół jego osoby. Pisk alarmów, komendy wydawane podniesionym głosem, buczenie ładowanych elektrod, podrzuty ciała przy rażeniu prądem. Zapewne w rzeczywistości nie wyglądało to jak scena z amerykańskiego serialu medycznego.

– Trudno powiedzieć, co tak naprawdę było podstawową przyczyną zapaści – odpowiedział Leśniewski na pytanie, które może powinien zadać Michał. – Wszystkiego po trochu. W każdym razie ustabilizowali pana i po ośmiu tygodniach na OIOM-ie wysłali do nas. Stan apaliczny, osiem w skali Glasgow.

– Co to znaczy? – zapytał Michał.

– Był pan przez jakiś czas nie w pełni obecny – tak należałoby to ująć. Stan wegetatywny z nieznacznym poziomem reakcji na bodźce.

– Minęło trochę czasu od pana wypadku – wtrąciła się Kromcik. Miała niski, ciepły głos. – Będziemy rozmawiać o tym, co to oznacza.

Michał wodził wzrokiem od Leśniewskiego do Kromcik.

– Zakładamy, że każdy nasz pacjent jest jakoś świadomy – podjął Leśniewski. – Przebywa w swoim świecie, ale trochę też z nami. Dlatego rozmawiamy, czytamy książki, puszczaamy ulubioną muzykę, wozimy na spacer, gimnastykujemy. Odnotowujemy sukcesy, choć nie zawsze się udaje. Był pan naszym podopiecznym przez dziesięć miesięcy. To znaczy za pierwszym razem, tego pobytu nie liczę. – Zamilkł, pozwalając Michałowi oswoić się z informacją.

– A więc teraz jest czerwiec? Następnego roku? – zachrypiął.

– Dzisiaj mamy dwudziesty pierwszy lipca – wyjaśniła Kromcik. Uważnie obserwowała Michała.

– Ominął pana jeden bal sylwestrowy, trudno, ale ile z nich tak naprawdę po latach pamiętamy? – stwierdził Leśniewski. – Kiedy pan do nas trafił, martwiliśmy się brakiem postępów. Zaczął nam pan słabnąć. Szybka utrata wagi nie jest dobrym

rokowaniem. I wtedy bingo! Wynik okresowej tomografii wzbudził wątpliwości opisującego lekarza. Daliśmy do drugiej opinii. Neurochirurg nie miał wątpliwości. Małe wodogłowie, z obszarami malacji u podstawy płatów czołowych, rozumie pan? Ledwie widoczne, ale jak wiadomo, małe rzeczy w głowie mają wielkie znaczenie. No i wysłaliśmy pana na zabieg do szpitala klinicznego, dziurka, odbarczenie i po krzyku. Do wesela włosy odrosną. Na operacyjnej zdebieli, kiedy wybudził się pan i to w jakim stylu! Zaczął pan gadać, w dodatku po łacinie!

Leśniewski zamknął teczkę.

– Na dzisiaj wystarczy. Następnym razem porozmawiamy o pana obecnym stanie zdrowia i działaniach naprawczych.

Podnieśli się oboje. Kromcik przystanąła przy łóżku Michała.

– Zapewne będzie pan teraz dużo rozmyślał. Niewielu dostaje drugą szansę. Może nic już nie będzie jak dawniej, ale to przecież nie znaczy, że musi być gorzej, prawda? Wpadnę jutro i porozmawiamy dłużej.

Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, Michał pogładził koc i spojrzał na sosnę za oknem. Niepotrzebnie martwili się stanem jego psychiki. Nie znali jej kondycji przed wypadku. Nie mogło być gorzej.

Taką miał nadzieję.

*

Michał leżał, dochodząc do siebie po rehabilitacji. Polubił te chwile, kiedy po kolei skupiał się na każdym trenowanym mięśniu i ścięgnie. Nakierowana uwaga przynosiła rozluźnienie i zadziwiająco radosną świadomość własnej żywotności.

Poczuł ruch powietrza i uchylił powieki.

W drzwiach pokoju stał Horodyński. Nie przekraczał progu niepewny stanu albo reakcji Michała.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. W końcu Michał uśmiechnął się i uniósł rękę na powitanie. Horodyński pokręcił z niedowierzaniem głową. Zamknął za sobą drzwi i usiadł na krześle przy łóżku. Położył na stoliku reklamówkę z mirabelkami i plik tygodników.

– Wróciłeś, stary, z długiej podróży.

– Czas minął mi jak z bicza strzelił. – Michał podciągnął się i oparł plecami o poduszkę.

Horodyński pokiwał głową.

– Masz trochę zmieniony głos.

– Też to słyszę. Podobno to skutek mikrowylewu. No i nieużywania aparatu mowy przez dłuższy czas. Normalna rzecz, ma minąć. Jak ci wywiercą dziurę w głowie, to trzeba liczyć się ze stratami. Mogło być gorzej.

– Daj na mszę. Mówię ci to ja, który nie byłem w kościele od własnego chrztu, nie licząc odwiedzin w sprawach służbowych.

Zaczął wykładać owoce na talerz. Michał przyglądał się, jak z pietyzmem budował piramidkę z żółtych kulek.

– Teraz sezon – wyjaśnił Horodyński, poprawiając ułożenie owoców w celu uzyskania idealnej formy.

– Wiesz co? – Michał opuścił nogi z łóżka. – Chodźmy na spacer. – Stał, przytrzymując się poręczy.

Horodyński z wyraźną ulgą porzucił mirabelki i podtoczył wózek.

– No to wskakuj.

Usiedli na zacienionej ławce pod murem, na skraju rozległego trawnika. Od kilku dni cyrkulacja zwrotnikowa sprowadzała gorące powietrze znad Sahary. Na drzewach wciąż dominowały zielone liście. Tylko rosnąca w kącie ogrodu brzoza poddała się już nadchodzącej jesieni i migąta złotawo w niemrawych powiewach pustynnego wiatru.

Po alejkach spacerowało kilka osób, pchając wózki ze swoimi niezainteresowanymi światem bliskimi. Wyzdrowienie Michała stało się szeroko komentowanym wydarzeniem w małym świecie oddziału neurologii. Nie znał tych ludzi, ale oni zapewne spotykali go, kiedy zażywał tu spacerów pod czyjąś opieką. Teraz trzymali się z dala od ławki, na której siedział z Horodyńskim. Napotykał czasami czyjs wzrok, w którym była ciekawość, ale i zawiść, wywołana przeświadczeniem, że skoro jednemu się udało, to szanse wyzdrowienia ich dziecka, żony, męża spadły do zera. Limit cudów dla tego miejsca został wyczerpany.

Michał przymknął oczy. Od muru ciągnął przyjemny chłód. Uprażona sosna emitowała orzeźwiający aromat. Dochodzący z oddali szum samochodów z ledwością przebijał się przez koncert dających z siebie wszystko świerszczy. Poczul przenikającą wszystko wibrującą energię.

Wrażenie zgasło pod wpływem niepokojącej myśli.

– Marcin, co z Joanną? Czy...

– Nie, nie znaleźli jej. Umorzyli śledztwo pod koniec ubiegłego roku. Takie przepisy – nie ma ciała, nie ma sprawcy, brak dowodów popełnienia przestępstwa. Wznowią, jeśli pojawi się jakaś nowa okoliczność. Praktycznie nic więcej nie da się zrobić. Przykro mi.

Zamilkli. Michał znów przymknął oczy. Pamięć przywołała obraz Joanny śmiejącej się do łez z dowcipu Marka. Ojciec wyjaśniał synowi, co znaczy „teoretycznie” i „faktycznie”.

– Nie wiem, czy to dobry czas, żeby o tym rozmawiać – zaczął Horodyński. – Trochę gryzie mnie sumienie, że dałem ci się spławić przed tym wypadkiem. Może gdybyśmy się spotkali, pogadali, to znalazłoby się jakieś rozwiązanie. Nie musiało do tego dojść. Właściwie o co ci wtedy chodziło? Z dnia na dzień zerwałś kontakt, a potem te esemesy, żebym się odpieprzył.

– Kiedyś ci opowiem. Teraz wydaje mi się to strasznie błahe. Nie przejmuj się, nic nie mogłeś zrobić. Nikt nie mógł.

Horodyński pokiwał głową.

– A! Zapomniałem. Marek cię pozdrawia. Wpadnie w tygodniu ustalić, jak chcesz działać ze swoimi sprawami. Był już u ciebie ktoś z sądu, nie?

Michał przytaknął.

– Na dniach cofną ci ubezwłasnowolnienie, a jemu kuratelę. Będziesz musiał sam dalej kombinować. Za opiekę tutaj trzeba było coś płacić. Zakładał, że może to potrwać, więc sprzedał brykę i wynajął twoje mieszkanie. Musisz dogadać się z najemcą albo znaleźć coś innego na jakiś czas. Kiedy wychodzisz?

– Za kilka tygodni.

– Daj znać, co planujesz. Pomogę.

Zamieszkać w nowym miejscu. Zapomnieć o przeszłości. Zacząć od początku.

Ekscytująca wizja.

*

Na skutek tajemniczego przepływu informacji pomiędzy instytucjami któregoś dnia pojawiła się u Michała para policjantów po cywilnemu. On młokos, ona trochę starsza, z ziemistą cerą nałogowej palaczki. Zdawali się dokądś śpieszyć. Nawet nie usiedli.

– Czy pamięta pan wydarzenia tamtego dnia? – zapytała policjantka.

– Tak. Kto wezwał pogotowie?

– Przypadkowy przechodzień.

Najwyraźniej nie mógł liczyć na poznanie szczegółów jednego z najważniejszych momentów w jego życiu. Ile czasu leżał nieprzytomny? Kim był przechodzień, który zechciał pochylić się nad facetem leżącym w krzakach i wezwać pomoc, mimo że zapewne poczuł od niego odór alkoholu? Może jakiś sąsiad, któremu należało złożyć wizytę z podziękowaniami?

– Czy zna pan napastnika? Widział go pan już wcześniej?

Pokręcił przecząco głową.

– W takim razie proszę opisać go tak dokładnie, jak pan tylko potrafi.

Rysopis podany przez Michała przedstawiał krępego bruneta. Oczy ciemnopiwnie albo brązowe. Nieogolony i ogólnie zaniedbany. Chciał pieniędzy. Michał odmówił. Wtedy tamten przeszedł do ataku. W pewnym momencie Michał chciał się cofnąć, potknął się i upadł. Więcej nie pamięta.

– Nie wziął portfela – zauważyła policjantka.

– Może ktoś go spłoszył? Albo sam się przestraszył.

Zanotowali swoje i wyszli.

Do tej pory sądził, że to Karol, mąż Beaty, wezwał pomoc. Brał nawet pod uwagę, że ten przyznał się do napaści i dostał zarzuty. Michał wcześniej już zdecydował się w takim przypadku świadczyć na jego korzyść. Skoro jednak odszedł i nie interesowała się nim policja, zostawienie całej tej sprawy w spokoju wydawało się najwłaściwszym rozwiązaniem. To, co zrobił Beacie i jej mężowi, było być może niewybaczalne, ale przynajmniej częściowo za to odpokutował. Zostawienie ранnego bez pomocy było nie mniejszym przestępstwem niż samo pobicie. Jasne, trudno być zbrojcem, a za moment zmienić się w samarytanina z perspektywą pięciu lat odsiadki. Nie jego problem. Niech pan Karol sobie z tym radzi. Pewnie już o wszystkim

zapomniał.

*

W noc poprzedzającą wypis ze szpitala Michał spał źle. Śnił koszmar, że budzi się w tyle poruszającego się po drodze autobusu, który nie ma kierowcy. Biegnie do przodu i siada za kółko, ale nie może dosięgnąć pedałów.

Rano przyjechał Horodyński. Przywiózł zamówione przez Michała prezenty dla lekarzy i personelu. Pomagał Michałowi się spakować.

Wszedł Leśniewski ze świtą dyżurnego personelu.

Michał wstał.

– Mamy dla pana mały podarunek. – Leśniewski kiwnął na pielęgniarkę, która z uśmiechem podała Michałowi podłużny przedmiot owinięty w ozdobny papier.

Michał rozdarł opakowanie. Zważył w ręce czarną wizytową laskę ze srebrną rękojęścią.

– Jak to mówią: kij na drogę! – Leśniewski teatralnym gestem wskazał drzwi.

– Nie wiem, co powiedzieć. – Michał prznosił wzrok z prezentu na zebranych. – Odebrało mi mowę.

– Ha! – zakrzyknął Leśniewski. – Afazja! Nie ma sprawy. Położymy pana na kilka tygodni i postawimy diagnozę!

– O nie! W takim razie już sobie idę.

Wszyscy się roześmiali.

Nie pozwolili mu przejść samodzielnie do wyjścia. Musiał usiąść na wózek.

Jechał korytarzem pchany przez Horodyńskiego. Drzwi do pokoi były pootwierane na oścież. Salowe zmywały właśnie podłogi. Zbliżało się południe i słońce świeciło wprost w okna. Opuszczone rolety nie zatrzymywały wlewającego się każdą szparą żaru.

Chodzących pacjentów czas sprzątanania zagonił do łóżek. Niektórzy leżeli na boku i patrzyli tępo na korytarz. Odcisnęła na nich piętno śmiertelna szpitalna nuda.

Przy wyjściu z oddziału czekała pani Maria. Poklepała Michała po ramieniu, wręczyła kopertę i odeszła bez słowa. Patrzył za nią, jak bezszelestnie sunęła skrajem korytarza, ocierając się nieomal o ścianę. Mrugnął – i już jej nie było. Wśliznęła się zapewne do pokoju któregoś z pacjentów.

W kopercie znalazł znajomy obrazek ze Świętym Michałem Archaniołem i modlitwą wydrukowaną na rewersie. Wsunął go do kieszeni na piersi. Nie zaszkodzi mieć amulet na drogę.

*

Dwupokojowe mieszkanie na pierwszym piętrze w przedwojennej kamienicy przy placu Inwalidów wyglądało lepiej niż na zdjęciach w internecie. Ściany odmalowano na biało, nadając wysokim wnętrzom świeżość i – przy okazji – niezamierzony ascetyczny charakter. Część mebli – szafa i komoda w sypialni, kredens i lustro w drewnianej ramie w salonie – zdawało się pamiętać rok 1934, kiedy do świeżo

oddanego lokalu wprowadził się któryś z członków elitarnej spółdzielni oficerskiej.

Przeszedł po skrzypiącym parkiecie do okna balkonowego. Otworzył je i wyszedł na niewielką loggię. Asekurując się laską, usiadł na wiklinowym fotelu. Był znacznie bliżej ziemi niż w swoim dawnym mieszkaniu i od świata nie oddzielała go szyba. Mógłby nie podnosząc głosu, pozdrawiać ludzi wchodzących do ulokowanego pod jego mieszkaniem oddziału banku. Uniósł głowę i jego wzrok ugrzązł w zielonożółtym gąszczu liści klonów.

– I jak? Może być? Uzgodniłem z agentem, że jakby co, dam mu pięć stów do ręki i można się wymiksować z umowy – powiedział Horodyński zza pleców Michała.

– Jest idealnie.

– No to git! Chodź do łazienki. Pokażę ci, jak obsługiwać termę. Potem przyniosę rzeczy i będę leciał. Zuza zapowiedziała, że wpadnie późnym popołudniem zobaczyć, jak ci idzie aklimatyzacja, i weźmie cię na rekonesans po okolicy. Wiesz, że wychodzi za mąż? I dobrze, to dla niej ostatni dzwonek.

Wiedział. Kiedy odwiedziła go w szpitalu, zdał sobie sprawę, że wygląda inaczej, niż zapamiętał. Określenie „młodziej” pasowało, choć nie w pełni oddawało całościowe wrażenie. Zeszczupiała. Uwydatnione kości policzkowe nadały jej twarzy orientalny wyraz. Fryzurę zmieniła na odważniejszą, zafarbowała włosy na miedziano. Zdawało się, że promieniuje ukrytą energią. Co rusz nieświadomie dotykała skrzącego się drobnymi kamieniami pierścionka na palcu serdecznym. Zapytał o szczęśliwca, a ona w pierwszej chwili się zmieszała, jakby złapał ją na czymś niestosownym. Ślub w październiku. Dostanie zaproszenie.

Kiedy za Horodyńskim zamknęły się drzwi, Michał podszedł do połączonej z salonem kuchni. Nastawił wodę w elektrycznym czajniku i przejrzał szafki w poszukiwaniu kubka i herbaty. Nie znalazł ani jednego, ani drugiego.

Spojrzał na białe, puste ściany pokoju. Odkąd zabrzmiały tutaj podekscytowane głosy pierwszych przedwojennych lokatorów, grube mury musiały być świadkiem niejednego. Teraz z chłodną rezerwą obserwowały Michała. Kim jest człowiek z laską? Jaka będzie jego historia? Co zamierza? Czy mu się uda?

Dotknął kieszeni na piersi i poczuł kształt wypełniającego ją kartonika. Wyjął obrazek i uśmiechnął się do niezmordowanego rycerza.

Pokuśtykał do starego lustra. Lekko opadające powieka i kącik ust zmieniły nieco rysy jego twarzy. Uśmiechnął się. Miał wrażenie, że nie patrzy na siebie, ale na kogoś do siebie podobnego, na brata. Ciekawe, czy to ustąpi. Lekarze byli dobrej myśli co do nogi, ale o twarz nigdy nie zapytał.

Wetknął obrazek z archaniołem w szczelinę między ramą a lustrem.

– Pilnuj, żebym tu nie oszalał.

*

Mieszkanie okazało się dogodnie położone. Nie był jeszcze w stanie odbywać dalszych spacerów, więc doceniał, że sklep, aptekę i fryzjera miał w promieniu stu metrów.

Największą atrakcją była restauracja ulokowana na parterze przedwojennego hotelu oficerskiego. Zaszedł tam kiedyś na obiad, kuchnia okazała się dobra, i zaczął wpadać na śniadania. W końcu przeszedł na model przesiadywania od śniadania do obiadu, a czasami nawet do wieczora. Nie był jedynym, który tak robił. Przestronna restauracja z wielkimi oknami wychodzącymi na ulicę była właściwie klubem, w którym serwuje się posiłki, ale można też czytać, pracować, organizować spotkania. Po dwóch tygodniach miał już znajomych, z którymi wprawdzie nie zamienił słowa, ale kłaniali się sobie nawzajem. Wśród nich przewinęło się kilka postaci znanych mu z telewizji, choć ich tożsamości nie był pewny. Bez zawodowego makijażu, w naturalnych fryzurach i zwykłych ciuchach wyglądali jak każdy. To miejsce rządziło się swoimi prawami. Celebryta pozostawał anonimowy, tak jak informatyk pracujący nad kodem i autor poczytnych kryminałów, który przy stoliku w pobliżu toalety na przemian stukał w klawisze laptopa i bezdźwięcznie poruszał ustami, odczytując świeżo napisane fragmenty.

Michał uzyskał prawo do własnego miejsca. Kilka razy z rzędu usiadł przy tym samym stoliku, który akurat był wolny. Któregoś dnia przyszedł rano i zastał na nim tabliczkę „Rezerwacja”. Rozejrzał się po sali i już miał ruszyć w stronę wypatrzonego wolnego miejsca, gdy zjawiała się kelnerka – młoda blondynka z włosami splecionymi w warkocz, tak długi i ciężki, że mógłby służyć do samoobrony. Wsparła rękę o biodro.

– Dzień dobry. Zmienia pan miejsce?

– No tak – odpowiedział. – Siadę tam, skoro tu zarezerwowane...

– Trzymamy dla pana. – Zaśmiała się i zdjęła tabliczkę. – Śniadanie fit czy mistrzów?

Po posiłku zajął się przeglądaniem w sieci artykułów o Radmesie. Nie chciał utracić nic z dynamiki wydarzeń i aby zachować chronologię, najpierw sięgnął do publikacji sprzed roku. Ileż słów poświęcono wtedy na wychwalanie biznesowego talentu Wintera i jego determinacji w dążeniu do zbudowania zdywersyfikowanej grupy deweloperskiej! Nominacje do nagród, zdjęcia z konferencji prasowych, zapowiedzi dalszej ekspansji – nic nie zwiastowało wielkiej wolty.

Niedługo po tym, jak pan Karol zafundował Michałowi przerwę w życiorysie, nastąpiło załamanie światowej gospodarki.

Pierwsze sygnały nazwano korektą – opisywaną jako oczywista, od dawna oczekiwana. Miała przynieść rynkom poprawę zdrowia dzięki upuszczeniu miski złej krwi. Wyceny musiały spaść do racjonalnego poziomu kosztem niewielkiej porcji utraconego bogactwa.

Impuls przyszedł z Szanghaju – główny indeks giełdowy spadł w ciągu jednego dnia o ponad pięć procent. Zgodnie z koleją rzeczy spadki o podobnej skali odnotowano kilka godzin później na parkietach europejskich. Kiedy tokijscy maklerzy dopijali w nocnych barach ostatnie drinki i zaznawali ukojenia nerwów po ciężkim dniu, łąpanie dotarło do Nowego Jorku. Po dwóch dniach nastąpiło odbicie notowań, ale wzrosty nie utrzymały się nawet przez tydzień. Przez rynki giełdowe przetoczył się pomruk niedźwiedzia podnoszącego łapę do ciosu. Zbliżała się bessa.

Dzień za dniem, tydzień za tygodniem na ekranach prezentujących kursy giełdowe dominował kolor czerwony oznaczający spadek cen akcji. Giełdy się otwierały, notowania leciały w dół i zamykały się, nie dając graczom nadziei, że nazajutrz będzie lepiej. Dziennikarz we wstępniaku do jednego z numerów „Wall Street Journal” napisał o słońcu, które przechodząc nad rynkami, każdego dnia wypalało miliardy dolarów z kont przysłych emerytów.

Inwestorów na warszawskiej giełdzie ogarnęła rezygnacja – skutek wycieńczenia spowodowany tygodniami nawracających ataków paniki, wywołanych przez zagraniczny kapitał pozbywający się akcji. Początkowo pojawiali się odważni, którzy zaczęli kupować. „Ceny nie mogą spadać w nieskończoność, sięgnęły dna, mogą się tylko odbić” – zaklinali. W niektóre dni notowania rzeczywiście zamykały się małym plusem, ale w niczym nie przeszkadzało im to nazajutrz zanurkować. „Kupuj, gdy krew się leje” – podpowiadała stara maksyma, podczas gdy inna ostrzegała przed „chwytaniem spadającego noża”. Zdezorientowani inwestorzy dawali się ponieść chciwości, wierze w dobre przeczucia, a w końcu panice.

W trzy miesiące z Radmesa wyparowała ponad połowa wartości, więcej niż w przypadku innych spółek. Skoro nadchodził kryzys, najbardziej miała go odczuć branża deweloperska. Banki zakręciły już kurek z kredytami. Straszło widmo niesprzedanych mieszkań i wstrzymanych inwestycji.

Wtedy właśnie do gry wrócił Jacewicz zasobny w gotówkę, którą kilka miesięcy wcześniej dostał od Radmesa. Sprzymierzył się z jednym z funduszy i w ciągu kilkunastu tygodni wszedł w posiadanie większego procentu akcji Radmesa, niż miał przed przejściem w M-Construct. Przeworsował zmianę rady nadzorczej i został jej przewodniczącym. Pierwszą decyzją było zwolnienie Wintera, drugą powołanie na prezesa Radmesa Janiny Popławskiej.

Michał uśmiechnął się na jej wspomnienie. Nigdy nie przypuszczałby, że ta cicha, dystygowana, ale (jak mu się wtedy zdawało) niezbyt rozgarnięta osoba, byłaby w stanie pełnić taką funkcję. A jednak. Nie tylko podjęła skuteczne kroki w celu poprawy płynności finansowej spółki (między innymi sprzedała zagranicznemu funduszowi nieruchomościowemu perłę w koronie Radmesa – rozgrzebaną inwestycję Warsaw Centurion przy Jana Pawła), ale zasłynęła też z bezwzględności przy czyszczeniu organizacji z ludzi Wintera. Złożyła kilka zawiadomień o popełnieniu przestępstw przez poprzedni zarząd Radmesa. Bez względu na ich zasadność, przez kilka lat Winter miał odwiedzać prokuraturę i sąd. Dodatkowa zemsta.

Niewiele informacji dotyczyło gdańskiej afery, której ofiarą stał się Staszek. Śledztwo trwało, bracia Makuchowie zapadli się pod ziemię, wystawiono za nimi europejski nakaz aresztowania.

Zamknął laptopa. Poprosił o rachunek.

Spojrzał na szarosine, nabrzmiące deszczem chmury. Okno wychodziło na główną ulicę przecinającą owal placu Inwalidów na połowy. Na jezdni w stronę centrum panował ścisk. Wiedział, że kierowcy spoglądali teraz na zegarki na wyświetlaczach i nieświadomie ładowali się agresją, wchłaniając radiowe reklamy środków na zaparcia i infekcje intymne.

A jednak w przeciwieństwie do niego nie stali w miejscu, zmięzali do biur, by zająć się swoimi sprawami. Wiedział, że te sprawy nie trzymały świata w podstawach. Gdyby kazano im wrócić do domu, krajowa gospodarka nie odczułaby tego. Ucierpieliby sprzedawcy kanapek i śródmiejskie restauracje serwujące lunchy.

Kiedyś, w poprzednim życiu, uznawał, że tacy ludzie, do których i siebie zaliczał, byli właściwie zbędni. Wykonując nieistotne działania, żyjąc, przyczyniali się jedynie do postępu globalnego ocieplenia. Teraz, kiedy siedział przy oknie w żoliborskiej restauracji, obejmując dłońmi kubek z kawą, pomyślał, że oni w drodze do pracy i on przy stoliku to elementy ściśle ze sobą związane. Potrzebowali siebie nawzajem do rozwikłania choćby jednego węzła z nieskończonej liczby zbiegów okoliczności, których dalekosiężne układy w każdej chwili tworzyły się na nowo. Wyjrzał na ulicę, popatrzył na nich i przez to odrobinę się zmienił, zatęsknił za działaniem. Kwestią otwartą pozostawało, czym chciałby i mógłby się zająć.

*

Firma Porady Prawne i Odszkodowania. Gloria Marciniak była pierwszą, do której Michał skierował kroki w ramach rozglądania się za pracę. Kilka razy w trakcie spacerów po okolicy minął sztyd przymocowany na fasadzie kamienicy i zwrócił uwagę na rzadkie imię. Znaczenia niesione przez imiona przypisuje się ich posiadaczom. A przecież to nie oni je sobie nadali. Jaka myśl przyświecała rodzicom Glorii? Czy chcieli przełamać brzmienie zwyczajnego nazwiska? A może zamknęli w imieniu córki wszystkie swoje niespełnione nadzieje i przekazali je, jak zakłęcie, które uczynić miało życie dziecka mniej szarym niż ich własne?

Mniej więcej wiedział, czego spodziewać się po małej firmie zajmującej się poradnictwem prawnym i uzyskiwaniem odszkodowań ubezpieczeniowych – pisanie typowych pozwów, wniosków, odwołań, nieogarnięci i słabo współpracujący klienci, niskie wynagrodzenie oparte o urzędowe stawki. Jednak nie chciał wracać do środowiska dużych kancelarii. Zresztą nikt nie dzwonił z propozycjami. Wystarczył rok, żeby wypaść z obiegu. Kryzys też zrobił swoje i zapewne wszędzie zastanawiano się, jak dopasować liczbę prawników do niższych przychodów.

Pokonując kolejne półpiętra dawno nieodnawianej klatki schodowej, coraz gorzej czuł się w swoim najlepszym garniturze i wypucowanych do połysku butach. Jego strój nie pasował do tego miejsca. Być może on sam również.

Nacisnął klamkę drzwi opatrzonej nazwą firmy. Pusty przedpokój wychodził na salon zaaranżowany na biuro. Za stołem z Ikei, ustawionym pod wypełnioną równymi rzędami książek szafą, siedziała drobna, ruchliwa kobieta około trzydziestki. Widział ją już kilka razy w pobliskiej restauracji. Znowu zwrócił uwagę na okalającą jej głowę nastroszoną szopę blond włosów. Nie był w stanie stwierdzić, czy to naturalna cecha, czy też skutek zbyt oszczędnego używania szczotki.

– Dzień dobry – zagaił.

Wpatrywała się w niego, jakby analizowała, z kim ma do czynienia. Wyobraził sobie, jakimi torami biega jej myśli. Gość pociągał nogą i chodził o lasce, ale dał radę wejść na trzecie piętro. Zły znak – lekarz orzecznik może dojść do wniosku, że

ubytek na zdrowiu nie eliminuje delikwenta z życia zawodowego i z renty nici. Na zawodowego sportowca za stary. Kogoś, kto nosi taki garnitur, stać na prawnika z prawdziwego zdarzenia. To nie klient.

– Już zamknięte.

A więc miał rację. Nie wzbudził nadziei na zarobek. Nie przejął się i usiadł na jednym z dwu stojących przed biurkiem krzesel. Zachwiało się pod nim, więc podparł się laską.

– Szukam pani Glorii.

– Moja gloria właśnie wychodzi ze mną do domu.

Uśmiechnął się i dalej rozglądał się po kancelarii (szumna nazwa dla zaaranżowanych na biuro trzech pokoi z łazienką).

– Mieszkam po drugiej stronie placu. Widuję panią czasami w porze lunchu.

– Ja pana nie widuję, panie...?

– Oczywiście. Przepraszam. Nazywam się Michał Tumski. – Chwycił za laskę, żeby się podnieść i podać rękę.

– Proszę siedzieć. Skoro wspiał się pan tak wysoko, to może pan chwilę odpocząć. W międzyczasie zapytam: co pana sprowadza?

– Szukam pracy.

– Praca? W takim razie trafił pan pod zły adres. Obecnie nikogo nie szukamy. – Świdrujące spojrzenie współgrało z sarkazmem, jaki przebijał z każdej wypowiedzi.

– My? Jest tu ktoś jeszcze oprócz pani?

– Ja pracuję za dwoje.

Parsknął śmiechem, ale opanował się, kiedy dostrzegł, że na twarzy Glorii nie drgnął żaden mięsień.

Przez chwilę panowało milczenie.

– Czy już? – zapytała.

– Przepraszam, czy już co?

– Czy już pan odpoczął?

– A, tak, oczywiście. Zostawię swój życiorys. Są tu namiary na mnie. Proszę się zastanowić i odezwać. – Wstał, wyjął z kieszeni marynarki złożony plik kartek, rozprostował i położył przed nią na biurku.

Odruchowo poprawiła ułożenie wydruku.

Zmierzał już do drzwi, kiedy się odezwała.

– Niech mi pan poda jeden powód, dlaczego w ogóle miałabym to rozważać.

Odwrócił się i raz jeszcze obrzucił wzrokiem wewnątrz. Podwójna szafa z prawniczymi książkami wydanymi w tej samej serii, na biurku dwie lampki do czytania z zielonymi kloszami – jedna po prawej, druga po lewej stronie, dwa krzesła, dwa identyczne wieszaki przy drzwiach.

– Brakuje pani współpracownika. Kogoś do pary.

Po kilku dniach Gloria Marciniak zadzwoniła i zaprosiła Michała na rozmowę. Zaakceptował warunki – miał zarabiać na siebie, jej oddawać trzydzieści procent wynagrodzenia. Zobowiązał się też pokrywać połowę kosztów najmu biura. Udało mu się wynegocjować zapłatę za trzy, a nie jak chciała, sześć miesięcy z góry. Nie miał problemu z zobowiązaniem się do niedotykania niczego w jej gabinecie, niepuszczania muzyki na głos i opuszczania deski w łazience.

Pierwszego dnia jego pracy Gloria pojechała rano na rozprawę do sądu, a on zajął miejsce w bocznym pokoju przy małym biurku ustawionym przy oknie. Nie zdążył rozważyć swojej nowej sytuacji, kiedy pojawił się pierwszy klient – staruszka z drugiego piętra, która dostała wezwanie do zapłaty od firmy windykacyjnej. Udzielił porady, napisał i wydrukował treść odpowiedzi. Nie ustalił z Gorią stawek, jakie powinien pobierać, więc kiedy klientka zapytała, ile się należy, odpowiedział: „Jak szanowna pani uważa”. Zainkasował dziesięć złotych.

Tego dnia wytłumaczył też klientowi w podeszłym wieku, o co chodzi w przysłanym mu aneksie do umowy na usługi telewizji kablowej, oraz uchronił (taką przynajmniej miał nadzieję) inną klientkę od zawarcia niekorzystnej umowy o opiekę. W tym przypadku poszedł krok dalej. Po jej wyjściu wykonał telefon do kancelarii notarialnej, gdzie miały być poświadczane podpisy pod umową. Poprosił asesora, żeby zwrócił uwagę na tę sprawę. Starsza pani wróci do domu i opiekuńczy sąsiad znów mógł namieszać jej w głowie.

Kiedy Gloria wróciła z sądu pod koniec dnia, wręczył jej należne trzydzieści procent, czyli dwadzieścia złotych.

– Nie myślałaś, żeby przenieść firmę na parter? Jestem pewny, że część klientów odpuszcza, bo nie daje rady tu wejść.

– Takie są prawa doboru naturalnego – powiedziała. – Poza tym nie stać mnie na nic lepszego. Stawiasz obiad za swój dzisiejszy utarg. Widziałam twoje CV. Stać cię.

*

Bardzo szybko utrwalił się nigdy nieomówiony podział obowiązków pomiędzy Michała i Gorię. On przyjmował interesantów w biurze, ona jeździła do sądu. Liczba klientów rosła dzięki przekazywanej pocztą pantoflową informacji, że oto w tym biurze pracuje świetny prawnik, z którym wspaniale rozmawia się o wszystkim – a może z tej prostej przyczyny, że Michał całymi dniami przebywał w biurze. Kilka razy złożył wizyty domowe osobom pragnącym uporządkować sprawy majątkowe, dla których problemem było nie tylko wejście po schodach na trzecie piętro, ale nawet wstanie z łóżka. Przy stawkach, jakie pobierał, zarabiał jedynie na swoją część kosztów najmu. Od czasu do czasu pojawiała się premia w postaci ciasta drożdżowego przyniesionego przez którąś z klientek, przy czym Gloria uznawała, że z racji umowy, jaką zawarli, należy jej się jedna trzecia. Zazwyczaj pochłaniała większość.

Polubił tę dziewczynę za to, że była sobą w każdej sekundzie swojego życia. Ludzie, wśród których się kiedyś obracał, on sam, byli jej przeciwieństwem – zawsze odgrywali role. Niekoniecznie mieli złe intencje, ale ulegali, poddawali się

kształtowaniu, żeby tylko wcisnąć się w formę, którą nie wiadomo kto uznał kiedyś za obowiązujący wzorzec. Według niego dobierano adeptów szkoły sukcesu – tych, którzy wykazywali się łatwością nawiązywania kontaktów, umiejętnością współpracy w zespole, zdolnością do empatii, otwartością na innych, zdolnościami przywódczymi i tym podobnymi bzdetami. To może i szczytny zamysł, ale skończył się jak każda utopia – wynaturzeniem pierwotnej idei. W rezultacie korporacyjnego doboru naturalnego grupa ponadprzeciętnie inteligentnych psychopatów co dzień strzygła stado baranów, które co wieczór, przy drinkach przywracających na chwilę poczucie kontaktu z rzeczywistością, zadawały sobie pytanie: „Co ja tu robię?”.

Gloria, ze swoimi umiejętnościami społecznymi na poziomie komputerowego programu do gry w szachy, niczego nie udawała. Jak sądził, w młodości doświadczyła ostracyzmu, zapewne pragnęła być wtedy taka jak rówieśnicy; może do dzisiaj miała kompleksy. Pewnie nigdy nie zrozumiała, że jej cierpieniu z powodu tego, kim nie jest, odpowiada cierpienie tamtych, którzy nie mogą stać się tymi, którymi myślą, że naprawdę są.

Kiedy obydwójce siedzieli w biurze i akurat nie było interesanta, zajmowali się swoimi sprawami. Kiedyś zauważył, że udzielała się na jakichś forach, on najczęściej czytał książki.

Któregoś dnia zza przymkniętych drzwi pokoju usłyszał brzęk dzwonka domofonu. Nie zerwał się od razu, bo klientela potrzebowała zazwyczaj od pięciu do dziesięciu minut, żeby dojść do drzwi kancelarii, i kolejnych kilku na dojście do siebie.

Jednak tym razem drzwi otworzyły się nadszpiewanie szybko.

– Witaj, Iwico! Jesteś dzisiaj nastawiona krwiożerczo czy możemy pogadać? – zapytał gość, a Michał zastygł z na wpół przewróconą stroną książki w palcach.

– Rozmawialiśmy wczoraj w sądzie. Nic się od wtedy nie zmieniło.

– Jak to? Minął dzień, noc i kolejny dzień. Zobacz, już się ściemnia. Od czasu, kiedy miałem dostać odpowiedź, na świecie umarło ze sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi, a trzy razy tyle się urodziło. I mówisz, że nic się nie zmieniło?

– Nie widziałam się jeszcze z klientem. Nie wiem, czy będzie zainteresowany ugodą.

– Posłuchaj, jak mógłby nie chcieć? Będziecie się z nami wozić jeszcze ze dwa lata, zanim on i jego rodzina zobaczą jakieś pieniądze. Ty zresztą też. Rozliczmy się teraz i zapomnijmy o sprawie. Trochę mniej, ale od razu. To dobra propozycja.

– Bujaj się.

– Co? Mam się bujać? No, chyba żartu...

Coś trzasnęło. Michał wyskoczył ze swojego pokoju i zobaczył gramolącego się z ziemi Mirojada.

– Jasna cholera, zastawiłaś na mnie pułapkę? Pozwę cię o narażenie utraty życia i zdrowia!

– Pozywaj. Wisisz mi dwie stówy za zniszczenie mebla. Zachowałam paragon.

W tej chwili Mirojad odwrócił się i zobaczył Michała. Potrząsnął głową, jakby

upewniał się, że nie ma omamów.

– Niech mnie! Michu? A ty skąd, u diabła, się tu się wzięłeś?! Poczekaj, zamknę oczy, policzę do trzech, a kiedy otworzę, ciebie na pewno nie będzie. Raz, dwa...

– Znacie się? – zwróciła się Gloria do Michała. – To może pójdziecie gdzieś... – wskazała palcem – ...z nim powspominać stare czasy? Jestem w trakcie ważnej rozmowy. – Odwróciła się do ekranu komputera.

Michał przez chwilę rozważał wymówienie się nawałem pracy. W końcu uznał, że rozentuzjasmowany spotkaniem Mirojad nie da się łatwo zbyć. Trudno, trzeba przez to przejść.

*

Na zewnątrz panował już mrok. Odbijający się w wielkich szybach jasno oświetlonej restauracji obraz wnętrza wydawał się prawdziwszy niż oryginał.

Mirojad dopijał piwo.

– Słyszałem, że stałeś się warzywem, ale jakoś nie dotarło do mnie, że powróciłeś do społeczeństwa. Jesteś stratny?

– Stratny?

– No, w sensie, że na przykład nie kumasz wszystkiego, masz szumy w uszach albo że ci nie staje. Nie możesz być całkowicie zdrowy, skoro pracujesz z panną „Jak mnie jeszcze raz dotkniesz, to zjem ci oczy”.

Michał spojrzał na swoje odbicie w szybie.

– Mam to. – Podniósł laskę. – Poza tym wiele rzeczy widzę teraz klarowniej. Zawsze dawałem ci, jak każdy, kolejną szansę, może dłużej, niż powinienem. Potrafisz roztoczyć wokół siebie uwodzicielski urok. Bóg jeden wie, jak to robisz. Mam prośbę: zacznij rozmawiać jak człowiek albo sobie idź. Zapłacę za twoje piwo. Twoje teksty bawiły mnie dwadzieścia lat temu. Teraz mnie nudzą.

Mirojad powiódł wzrokiem za przechodzącą kelnerką. Cmoknął.

– Dawałeś mi fory? – Zanim spojrzał Michałowi w oczy, przez chwilę jeszcze wiódł wzrokiem za opiętymi w dżinsach pośladkami. – Wzruszające! Szkoda, że nie mogę już liczyć na więcej. Chyba się normalnie popłaczę. To, że masz teraz możliwość patrzeć w moje szlachetne oblicze, zawdzięczam dobrym ludziom, którzy podtrzymywali moją egzystencję od przedwczesnych urodzin do czasu, kiedy wzięłem sprawy w swoje ręce. Bardzo wam wszystkim dziękuję i całujcie mnie w dupę!

Podniósł się, ale zaraz opadł na krzesło. Wytrzeł kąciki ust.

– Nie chce mi się wracać do chaty. Moja obecna znów zacznie mi wiercić dziurę w brzuchu na temat wyjazdu na święta na Bali. Chyba już na Halloween wystawię jej walizkę za drzwi.

Gestem wskazał kelnerce, że chce jeszcze jedno piwo.

– Nie podoba ci się, jak pierdzielę po swojemu, to może ty coś mądrego powiesz?

– Może powspominamy Staszka Rosteckiego?

Mirojad zastukał paznokciami o szklanke.

– Tia...

– Wplątał się w waszą aferę w Gdańsku, aresztowali go...

– Wiem – uciął Mirojad. – Znam tę żalosalną historię. To żadna „nasza” afra. Rostecki pewnie robił dla Makuchów, miał dojścia do wszystkich w mieście. Nie wiem, co dokładnie mu zarzucali, ale prokuratorowi wystarczyło, żeby wysłać go na trzy miesiące do wydobywczego. Nie wytrzymał. Bywa.

Kelnerka przyniosła piwo. Mirojad za jednym podejściem opróżnił połowę szklanki i otarł pianę z ust

– Makuchy to był od początku wrzód na dupie. Janek wszedł z nimi w interes w Gdańsku, bo pasowało mu to do planu przejęcia M-Construct. Po drodze trzeba było łyknąć Prodeve, żeby capnąć Jacewicza za jaja. Wszystko było perfekcyjnie zaplanowane, tylko pewien debil od nich nie dojechał na tamto walne, bo wbił się komuś w dupę na Wilanowskiej. Janek się wściekł i zagroził Makuchom, że zrywa biznes, jeśli nie posprzątają syfu. Tamci dogadali się z Zion i jakoś załatwili z notariuszem właściwy protokół. Janek im nie dowierzał i zażądał wsadzenia mnie na prokurenta do Zion. Spotkaliśmy się jakoś wtedy. Pamiętasz?

Michał nie odpowiedział.

– Twoja lala, ta Aśka, strzeliła focha, że nie będzie podmieniać dokumentów, ale założyliśmy, że nie robi z tego zadymy. Etyka etyką, ale w środowisku trzeba jakoś funkcjonować, co nie? Janek dał sygnał, że bierzemy MG do współpracy, czyli miałeś grać z nami. Potem odrzuciłeś ofertę i jeszcze insynuowałeś coś na temat zniknięcia Aśki. Nie dziw się, że Winter postanowił ustawić cię do pionu. Sam mu podsunąłem pomysł naciśnięcia przez Londyn. – Zaśmiał się. – Nie sądziłem, że cię wyleją. Możesz mi za to dać w mordę.

– Być może powinienem ci podziękować. – Michał się zadumał.

– Właśnie! Podziękuj panu. – Mirojad wystawił dłoń jak do pocałunku. – W pierścień, niewdzięczniku! Tylko nie ośliń.

Śmiech Michała utonął w gremialnym wybuchu radości przy sąsiednim stoliku. W restauracji narastał gwar. Przybywało pustych szklanek po piwie, rozmowy stały się głośniejsze. Ludzie dawali wyraz natarczywym myślom, które potrzebowały odurzenia, żeby przebić się przez bariery – ich własne i te niesione przez kulturę.

– Mam do ciebie pytanie, Janek.

– Wał.

– Czy wy mnie wtedy, w zeszłym roku, śledziliście?

– A po co? – odparł Mirojad bez zastanowienia. – Żeby dowiedzieć się, że spotkałeś się z tym grubasem, Wnukiem? Albo że latałeś do Jacewicza? No dajże spokój! – Uśmiechnął się i puścił do Michała oko.

– I znów jestem winien podziękowanie. Za wyratowanie z opresji, wtedy, w Gdańsku.

Mirojad zmarszczył czoło.

– Z opresji? W Gdańsku? Kiedy to było?

– W sobotę przed Wielkanocą. Wasz człowiek jechał ze mną pociągiem

z Warszawy. Wieczorem nad Motławą napadł na mnie gość z nożem. Ten wasz go załatwił.

Mirojad zastanowił się chwilę.

– Przeglądałem wszystkie te raporty, a o niczym takim nie wiem. W piątek przed świętami, pamiętam, złożyliśmy kwity do KNF... Zaraz, zaraz... Detektywów na początku podstawili starszy Makucha. Winter wolał, żeby to szło przez nich, ale to gamonie były. W raportach całodniowe dziury, ciągle kogoś gubili. Powiedziałem o tym Jasiowi i zatrudnił wtedy jakiegoś znajomego fachurę. To na pewno było jeszcze przed świętami, tydzień, może dwa. Pamiętam tylko jeden raport o tobie z tego późniejszego okresu, że zwiąłeś im w drodze do Piaseczna. Przedtem i potem nie było już nic. Może dlatego, że ustawiliśmy priorytet na interesujący nas zakres kontaktów. O tym, że pracujesz dla Jacewicza, już wiedzieliśmy. Nie kontaktowałeś się z ludźmi z funduszy inwestycyjnych i dlatego nie załapałeś się na uwiecznienie w raportach. Ach, co to był za czas! Mówię ci, każdego dnia jazda na adrenalinie. Nie to co teraz. Pieprzone ubezpieczalnie płacą terminowo, ale to taka nuda!

Mirojad rozglądał się za kelnerką, żeby zamówić piwo, a Michał analizował to, co właśnie usłyszał.

– Mówisz, że Winter zatrudnił znajomego. Pamiętasz, jak się nazywał?

– Mówił, ale wyleciało mi z pamięci. Humiński, Horomski, jakoś tak.

– Horodyński może?

– Chyba. A co?

– Nic takiego. Niewykluczone, że go znam.

– Nic nie pijesz? – zapytał Mirojad Michała, kiedy podeszła kelnerka. – W takim razie, najpiękniejsza, piwo, jakieś orzeszki i uśmiech. O tak! O której kończysz?

Wyszli późno. Mirojad wziął taksówkę. Michał powoli pokonywał sto metrów dzielące go od jego kamienicy. Pachniało butwiejącymi liśćmi, mżawka osiadała wilgocią na twarzy. Wokół wysoko zawieszonych lamp ulicznych latarni tworzyła się otoczka, prawie materialny klosz.

Kiedy dotarł do swojej bramy, odwrócił się jeszcze. Światło restauracji wylewało się przez szyby na chodnik. Nie docierał stamtąd żaden dźwięk, ale wiedział, że wciąż tętniło tam życie. Uśmiechnął się i wszedł do ciemnej bramy.

*

Zabijał wolny czas w centrum handlowym. Sobotnie popołudnie, tłum ludzi. Kupił kilka drobiazgów, bez których mógł się obejść, i odpoczywał teraz w kawiarni przy głównej alejce. Odkrawał widelczykiem cienkie kawałki sernika, zanurzał w płamie wiśniowego syropu i brał do ust, mrużąc oczy.

Nagłówki na stronie tytułowej leżącej przed nim gazety straszyły pogłębiającą się zapaścią gospodarczą i oczekiwaną falą zwolnień w przedsiębiorstwach.

Podniósł wzrok na strumień klientów objuczonych torbami pełnymi zakupów. Redaktorzy dawali się ponieść czarnym myślom. Warszawa wciąż się broniła.

Przewrócił stronę. Widelczyk z transportem kolejnej porcji ciasta z brzękiem

uderzył o krawędź talerzyka.

Na dole strony, w ogłoszeniu Fundacji Itaka, zobaczył fotografię Joanny.

Kilka razy przeczytał suche informacje – imię i nazwisko, wiek, datę, kiedy ostatnio ją widziano. Znaki wykrojone czarną farbą z białego tła papieru wydawały się stanowić wprawkę do wykonania ostatecznego napisu, kutyh w granicie liter o szeryfowym kroju.

Z powodu urazu głowy, operacji albo czegoś jeszcze innego jego pamięć o Joannie uległa przeobrażeniu. Jakby zdarł z okna nieprzejrzystą folię i ujrzał bujny ogród w miejscu, gdzie przedtem widać było tylko pozbawione barwy kontury. Nie chodziło o same fakty, choć i tych przybyło we wspomnieniach, ale o szczegóły – zapach perfum, których najczęściej używała, dzwoneczki rozbrzmiewające w śmiechu, kształt dłoni otulającej policzek, kiedy podpierała głowę w czasie długich spotkań w biurze. I nieokreślony smutek w zamyślnym spojrzeniu, maskowany uśmiechem, gdy tylko zdawała sobie sprawę, że na nią patrzy.

Czy zawsze już musiał ciągnąć kogoś za sobą? Ankę, czyli swój zbiór wyrzutów sumienia i nieprzetrawionych zawodów, zgubił gdzieś w odmętach okresu nieświadomości. Joanna stała mu się za to bliższa niż kiedykolwiek. Niemożność przeżycia żałoby pozostawiała przestrzeń ssącej tęsknoty. Żałował, że kiedy miał możliwość, nie zwracał na nią takiej uwagi, na jaką zasługiwała.

Stracił ochotę na sernik. Poprosił o rachunek.

Zobaczył ich, kiedy byli od niego o kilkadziesiąt metrów. Miał jeszcze czas, żeby odwrócić się i odejść albo wejść do któregoś ze sklepów. Zawahał się, stanął, ścisnął rączkę laski.

Beata szła z jakimś mężczyzną za rękę. Rozmawiali zaaferowani. Coś tłumaczyła, gestykułując, on potakiwał. Postawny, w poszarpanych dzinsach, białej, lnianej koszuli z odpiętymi górnymi guzikami, w okularach w designerskich oprawkach, z wystylizowaną fryzurą i zadbanym kilkudniowym zarostem wyglądał, jakby właśnie zszedł z wybiegu na pokazie mody męskiej.

Kto chciałby spotkać byłego, i to kulawego, w takiej sytuacji?

Rozpoczął manewr wejścia do sklepu sportowego, kiedy jego i Beaty spojrzenia się skrzyżowały. Przez ułamek sekundy myślał, że jej wzrok prześlizgnie się po nim i jak gdyby nigdy nic, pójdą sobie dalej, pozostawiając mu dokonanie wyboru – nie poznała go czy udawała?

Jednak nie, zatrzymała się, a z nią szarpnięty za rękę mężczyzna. Spojrzał na Beatę zdziwiony i podążył za jej wzrokiem.

Michał przywołał na twarz uśmiech. Pomachał Beacie.

Powiedziała coś do towarzysza. Podeszli do Michała.

– Cześć! – Musnęli się policzkami na przywitanie. Beata krótko ścisnęła jego rękę, jakby dawała mu znak. – Tyle czasu cię nie widziałam! Doszedłeś do siebie po tym strasznym wypadku?

– Tak, wszystko w porządku – powiedział i skonstatował w duchu, bez cienia pretensji, że gdyby nie była nazbyt szczerą wobec męża, nie doszłoby do tego

„straszego wypadku”.

– Świetnie wyglądasz! Jaka elegancka laska!

Michał nie miał zamiaru podejmować tematu swoich ułomności przy przystojniaku, który przyglądał mu się z zainteresowaniem.

– Laskę noszę do obrony głównie. Mam w niej ukrytą szpadę. – Udało mu się ich rozbawić.

– Ach, nie przedstawiłam was sobie. – Wreszcie puściła jego rękę. – To jest Michał, kolega z pracy. A to mój mąż.

– Karol – powiedział nieznajomy i wyciągnął dłoń do uścisku.

– Karol? – Michał patrzył na mężczyznę, mrugając, jakby ktoś mu sypnął w oczy piaskiem.

– Czyżbyśmy się już gdzieś spotkali? – Uznał, że Michał doznał jakiegoś przebłysku pamięci.

Beata postanowiła na wszelki wypadek zagadać sytuację.

– Karol niedawno wrócił ze Stanów. Na dobre – oznajmiła z naciskiem i spojrzała na męża. – Na wiosnę kupiliśmy dom w Izabelinie i teraz biegamy po centrach handlowych, szukając detali, takich... wiesz... co dodają nastroju, jakaś fajna lampa na stolik, poduszki na kanapy i takie tam. Nie wiem, czy urządzałeś kiedyś dom. Masakra, ile trzeba się...

Michał nie słuchał. Mocno wspierał się na lasce i patrzył na poruszające się usta Beaty, ale słowa do niego nie docierały. Kiedy przestała mówić i spojrzała pytająco, uznał, że to dobry moment, aby się pożegnać. Życzył im udanych łowów.

Spojrzał jeszcze za nimi, jak znikali za zakrętem, nie mogąc uwierzyć w to, co się przed chwilą wydarzyło. Dobrze ufundowany konstrukt jego winy i pokuty runął w ciągu pięciu minut. Jednak to nie otwarty na powrót rachunek rozliczeń z Karolem zaprzętał teraz jego uwagę. Skoro to nie mąż Beaty postanowił się z nim rozmówić przed rokiem, to kto to, u diabła, był?

*

Michał stał pod blokiem na Targówku i patrzył w rozświetlone okna. Policzył piętra i odnalazł czwarte. Gdzieś tam było mieszkanie, do którego zmierzał. Było już ciemno, ale uznał, że można złożyć wizytę przed godziną, o której kiedyś rozpoczęła się dobranocka.

W celu zdobycia jej prywatnego adresu wykorzystał Horodyńskiego. Musiał przyrzec, że nie zdradzi, kto mu go dał.

Agnieszka chorowała. Horodyński nie wiedział na co, ale źródło w jej macierzystej komendzie informowało, że nie chodziło o nowotwór. Michał wahał się, czy jego odwiedziny są dobrym pomysłem. Zakładał, że nie będzie mile widziany. Poza tym Agnieszka Moroz od kilku miesięcy przebywała na zwolnieniu lekarskim, a on przyszedłby w sprawie związanej z jej pracą.

Po zastanowieniu uznał, że bez względu na to, jak zostanie przyjęty, wizyta u chorej miała sens. Odkrył okoliczność, która mogła rzucić nowe światło na

tajemnicę zaginięcia Joanny. Przy okazji podzielenia się tym z Agnieszką przeszedłby próbę charakteru. Z początku myśl o odwiedzinach wywołała niechęć podlaną standardowym zestawem samousprawiedliwień – że przecież nikt w chorobie nie chce się pokazywać ludziom, że pacjent potrzebuje spokoju, ma swoje problemy, a cudze nie będą go obchodzić. Wydało mu się, iż jego umysł odbija echem jakiś pierwotny instynkt nakazujący trzymać się z dala od chorych. Może ten sam, który dla dobra stada nakazywał pozostawić słabą jednostkę na łup drapieżcy.

Drzwi otworzyła starsza kobieta. Kształt oczu i ust nie pozostawiał wątpliwości, że to matka Agnieszki.

– Dobry wieczór. Nazywam się Michał Tumski. Czy zastałem Agnieszkę?

– Nie mówiła, że się kogoś spodziewa. Proszę, niech pan wejdzie. Pójdę zapytać. Chyba teraz ćwiczy.

Michał został w przedpokoju. W mieszkaniu panowała cisza, z wyjątkiem przytłumionego dudnienia dochodzącego zza drzwi, do których skierowała się kobieta. Kiedy je otworzyła, na korytarz wylały się dźwięki elektronicznej muzyki.

– Aga zaraz przyjdzie – powiedziała kobieta do Michała, zamykając za sobą drzwi. – Proszę do stołowego.

Michał poprosił o herbatę i usiadł na kanapie w salonie. Nie zdążył się rozejrzeć.

Agnieszka miała na sobie treningową koszulkę bez rękawów i obcisłe sportowe legginsy. Jej skóra lśniła. Na dekolcie koszulki pot pozostawił ciemną plamę. Otarła twarz i kark ręcznikiem narzuconym na ramiona.

Usiadła naprzeciw Michała, popatrzyła na niego, mrugając, napiła się wody z butelki i na chwilę schowała twarz w ręczniku. Zastanawiał się, w jakie słowa ubierze „czego chcesz?”.

– To naprawdę ty? Co słyhać? – zapytała tonem, jakby zagadnęła znajomego, którego ostatnio widziała w zeszłym tygodniu.

Michał odetchnął. Oszczędziła mu upokorzenia.

– Można by z tego zrobić opowieść na kilka wieczorów, ale to raczej niewesoła i w gruncie rzeczy nudna historia. Doszły mnie słuchy, że jesteś chora, a wyglądasz zdrowiej niż ktokolwiek, kogo znam.

– I to mówi ktoś, kto miesiącami leżał plackiem. Zamierzasz donieść na mnie do ZUS-u?

Czyli wiedziała o jego wypadku. Zapewne nie odebrał jakiegoś wezwania, a machina policyjna ustaliła, co się z nim działo. Michał uznał jej słowa za zachętę.

– Nie. – Zaśmiał się. – Bałem się, że zastanę cię w łóżku, albo coś takiego.

– Bywało różnie.

Rozległo się stukanie w szybę drzwi i do pokoju weszła matka Agnieszki. Przyniosła herbatę i talerzyk z herbatnikami. Uśmiechnęła się do Michała.

– Widzisz, Aguś, a jeszcze wczoraj narzekałaś, że nikt cię nie odwiedza.

– Mamo, przestań! Zostaw nas samych, proszę.

– Już sobie idę.

Kiedy zamknęły się drzwi, Michał podniósł torebkę, z którą przyszedł.

– Widzę, że Marcinek nieobecny. Przyniosłem dla niego mały podarunek.

– Jest dzisiaj z ojcem. Dziękuję, bardzo się ucieszy. Takiego jeszcze nie ma. – Położyła pudełko z zestawem Lego na stole.

Michał wyjął z kieszeni złożoną kartkę.

– Wiesz, przychodzę po poradę. Rozumiem, że teraz nie pracujesz, ale ponieważ prowadziłaś śledztwo w sprawie zaginięcia Joanny, pomyślałem, że będziesz wiedziała, co należy zrobić. W zeszłym roku miałem wypadek. Właściwie napadnięto mnie i na skutek uderzenia w głowę zapadłem w rodzaj śpiączki.

– Wiem.

– Widzisz, przez cały czas, to znaczy wtedy pod blokiem i potem, kiedy się wybudziłem, sądziłem, że wiem, kto mnie napadł. Byłem pewny. To, co mówił, nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Uznałem, że dostałem za swoje.

– No i?

– Cóż, całkiem niedawno spotkałem tego faceta po raz pierwszy w życiu.

– Panie Tumski, jak zwykle kluczy pan i płacze się w zeznaniach. Kogo pan w końcu spotkał? Tego, co pana napadł, czy wręcz przeciwnie? – Napiła się wody.

– Zgadza się, ta historia jest żałosna. Chętnie bym się pośmiał, gdyby nie to, że gość, ten który naprawdę mnie skasował, wygadywał dziwne rzeczy. To nie wyglądało na przypadek. Spisałem, co do mnie mówił. Myślę, że dobrze zapamiętałem. Popatrz sama. – Podał jej kartkę.

– Jak dla mnie nic nadzwyczajnego. – Oddała wydruk Michałowi. – Teksty zdradzanego faceta. Trochę nawet poetyckie. Zadawanie się z zajęтыми dziewczynami zawsze niesie ryzyko dostania w dziób.

– Nie rozumiesz. – Pomachał kartką. – Nie wiem, co to za gość, a ten, który miałby prawo dać mi w mordę, do dzisiaj nic nie wie o tamtym romansie. Kilka dni temu gwarzyłem sobie z nim przyjaźnie.

– Może to chłopak jakiejś innej panny? Takiej, o której już zapomniałeś? Z pamięcią u ciebie nigdy nie było najlepiej.

Michał wstał. Złożył i schował kartkę.

– Masz rację. Pójdę już. Powinienem życzyć ci powrotu do zdrowia, ale skoro masz się dobrze, to po prostu – powodzenia!

Zdążył zrobić trzy kroki w stronę drzwi

– Zaczekaj!

Odwrócił się.

– Masz jeszcze trochę czasu?

– Tak.

Sięgnęła po telefon.

– Zbyszek?... Tak, to ja. Mam do ciebie prośbę. Zrób jaskółkę... Ustałeś?... Za czterdzieści minut jestem u ciebie...

Rozłączyła się.

– Złożymy wizytę koledze – zwróciła się do Michała. – Masz samochód?

– Nie, nie mogę jeszcze prowadzić.

– To zamów taksówkę. Będę gotowa za piętnaście minut.

Wcześniej nie zauważyła, że utyka. Wychodząc, oparła się o framugę. Potem z korytarza doszedł klekot. Zrozumiał. Nie chciała pokazywać mu się z kulą.

*

Maciurski otworzył drzwi z szerokim uśmiechem, który znikł na widok Michała wyłaniającego się z mroku korytarza.

– Wejdźcie – powiedział i zapalił główne światło, niweczając nastrój tworzony przez lampę pod abażurem. Podeszedł do parapetu i zgasił świeczkę. Aromat dymu z tłącego się knota zmieszał się z zapachem wody kolońskiej, którą się obficie skropił.

– Napijecie się czegoś?

Zasiedli w pokoju, Agnieszka i Michał na fotelach ustawionych przy podłużnym stoliku, Maciurski przyniósł sobie krzesło z kuchni.

– Nie powinniśmy rozmawiać o czynnościach przy świadku – zwrócił uwagę Agnieszce, kiedy przedstawiła temat.

Machnęła ręką.

– Biorę to na siebie. Popatrz na to i powiedz, co myślisz.

Maciurski wziął kartkę od Michała. Czytając, przeciągnął dłonią po wilgotnych włosach. Nie zdążyły wyschnąć po pośpiesznym prysznicu.

– No nie wiem... Niby jest o jakiejś kobiecie. Widać zazdrość i lekkie odloty, jak ten o paleniu się w gwieździe, ale nie wiem, jak mielibyśmy powiązać to ze sprawą Szymalak. Poza tym to tylko słowa zapisane rok po wydarzeniu. Pamięć płata figle.

Agnieszka spojrzała na Michała i uniosła brwi.

– Mówiłam.

– Powinien pan zwrócić się z tym do prowadzącego sprawę pobicia – powiedział Maciurski. – Pewnie zabezpieczyli nagrania z monitoringu w okolicy. Może mają jego zdjęcie. Pokazywali jakieś?

– Nie. Spisali tylko okoliczności i rysopis. Podałem nieprawdziwy.

– Miał powód – dorzuciła Agnieszka. – Sądził, że sprawcą był ktoś, kogo ścigania by nie chciał.

– To niech lepiej zmieni zeznania. Może obejdzie się na pouczeniu. Sprawca ciężkiego pobicia ścigany jest z urzędu, nie z prywatnego oskarżenia. Co do związku ze sprawą Szymalak – no cóż, nie mogę odmówić przyjęcia zeznań. Proszę wpaść do mnie w przyszłym tygodniu, spisemy protokół – zwrócił się do Michała. – Prokurator pewnie dołoży je do akt i zamknie je na powrót w szafie, gdzie od miesięcy dojrzewają do przeprowadzki do archiwum.

– Nie bądź takim pesymistą, wykaż trochę inicjatywy, zagadaj odpowiednio do prokuratora, zaraz ją entuzjazmem, powiedz, że to może przełom.

– Najpierw muszę przejść przez Motyckiego. Pamiętasz, co było, kiedy dałem ci się przekonać, że Szymalak mogła zniknąć w sobotę, a nie w niedzielę? Do dzisiaj docina mi, że wiszę podatnikom za koszt tamtych poszukiwań na działkach. Nie było

cię przy tym – psy, świdry i co? Jedno psie truchło, nic poza tym.

– Sam widziałeś na danych z sieci komórkowej, że zatrzymała się w tamtym miejscu na kilka minut.

– Może zacytuję pamiętne słowa złotoustego pana naczelnika: „Poszła biegać, złapała zadyszkę i musiała odpocząć. Ewentualnie poszła się odlać w krzaki, a wy zrobiliście z tego aferę”.

Agnieszka też się podniosła.

– Kiedy wracasz? – zapytał Maciurski.

– Nie wiem. – Wskazała na kulę. – Muszę się jeszcze podciągnąć. Termin komisji mam wyznaczony na styczeń.

– Zadzwoń kiedyś. Wziąłbym kogoś z chłopaków, można by pójść na piwo, pogadać.

– Telefon działa w obie strony, nie? No, kulamy się, panie Tumski, na dół. Kto wymyślił, że w czteropiętrowym bloku nie potrzeba windy? Idź przodem, będziesz mnie w razie czego łapał.

Po pokonaniu trzech kondygnacji ruszyli asfaltową alejką pokrytą mokrymi liśćmi w stronę ulicy. Taksówka z włączonymi światłami awaryjnymi już czekała. Nieśpieszny marsz odbywał się w rytmie naprzemiennych stuknięć i klekotów.

– Prowadzasz się z niezłą laską – powiedziała Agnieszka.

Spojrzał na nią. Szła, patrząc w ziemię, skupiona, żeby się nie poślizgnąć.

– A ty jakby z kulą u nogi.

Uśmiechnęła się, nie odrywając wzroku od ziemi.

W taksówce milczeli. Z radia dobiegała rozmowa z autorem książki o problemie przemocy domowej. Wycieraczki rozmazywały rozchlapany przez auta uliczną breję. Według wskazań na tablicy rozdzielczej temperatura na zewnątrz spadła do jednego stopnia poniżej zera. Wjechali na most na Wiśle i otworzył się widok na oświetlone kominy elektrociepłowni. Szły przez nie kłęby pary – oddechy maszynierii z wysiłkiem tłoczącej ciepło w rury zaskoczonego nagłym ochłodzeniem miasta.

– Zadzwoń – powiedziała Agnieszka, wysiadając pod swoim blokiem. – Może pojedziemy razem na twój komisariat pogadać o tamtym zdarzeniu? Nasiedziałam się już w domu.

Obejrzał się, kiedy taksówka ruszyła. Agnieszka badała kulę, czy schody prowadzące do klatki schodowej się nie oblodziły.

*

Agnieszka od rana czekała na kontakt od Michała. Sądziła, że zadzwoni wcześniej, jednak minął poranek i południe, a telefon milczał.

Sama więc pojechała do rejonowego komisariatu. Z pomocą dyżurnego ustaliła, kto prowadzi sprawę pobicia Tumskiego. Okazało się, że to sierżant sztabowy Julia o szarej cerze i ufarbowanych na kasztanowo włosach. Musiała robić to w domu, bo ślady farby widać było na skórze. Agnieszka zastanawiała się, czy gdyby Julia nieco poluźniła gumkę ściągającą koński ogon, jej oczy stałyby się mniej wyłupiaste.

– Moim zdaniem to była zwykła bójka pomiędzy menelami. Dokumentacja lekarska potwierdza, że facet ostro pił od dłuższego czasu. – Zaciągnęła się łąpczywie papierosem. – Właściwie to miał szczęście, że wylądował w szpitalu. Ale piżdzi! – Pociągnęła nosem.

– Co macie z monitoringu? – zapytała Agnieszka i pokręciła przecząco głową w odpowiedzi na ofertę gumy do żucia.

– Kilku gości, których obraz złapaliśmy z okolicy w tamtym czasie. Żaden nie pasuje do rysopisu, który podał Tumski. – Rzuciła niedopałek na chodnik i rozgniotła butem. – Wracajmy do środka. – Otworzyła i przytrzymała drzwi.

– Dlaczego uważasz, że to ma związek z waszą sprawą? – zapytała.

– Nie wiem, czy ma. Chcę się upewnić. Pokażesz mi te zdjęcia?

Agnieszka dostała herbatę i teczkę ze zdjęciami. Fotografie ośmiu mężczyzn wykadrowane z nagrań monitoringu nie porażały jakością – czarno-białe, nieostre zbliżenia. Na każde patrzyła dłuższą chwilę i układała na blacie biurka jedno obok drugiego.

– Mogę je skopiować?

Policjantka wzruszyła ramionami. Agnieszka zrobiła kilka zdjęć aparatem w telefonie.

– Macie to w oryginalnym rozmiarze? – Wskazała na człowieka w bluzie z kapturem zasłaniającym twarz.

Na pełnym ujęciu widać było, że mężczyzna biegnie. Miał na sobie dresy, sportowe buty i mały plecak.

– Ciekawe... – powiedziała Agnieszka do siebie.

– Co takiego?

– Spójrz na to dziecko w spacerówce w górnym prawym rogu.

Policjantka stanęła obok Agnieszki i pochyliła się nad fotografią.

– Widzę, i co?

– Ma gołe ramiona, nogi i chustkę na głowie. Musiało być gorąco tego dnia, a ten tu biegnie okutany od stóp do głów.

– Może wytapiał tłuszcz? Słyszałam o czymś takim.

Agnieszka z powątpiewaniem pokręciła głową.

– Raczej się krył.

*

Choć aura nie zachęcała do spacerów, uznał, że nie wypada dłużej unikać odwiedzin najemców apartamentu. Pani Sylwia po raz kolejny zadzwoniła wczoraj z prośbą o spotkanie. Chodziło o obniżkę czynszu, a może postanowili wypowiedzieć umowę? W końcu nie mało płacili. Tak czy inaczej, należało w końcu się pokazać.

Pod blokiem taksówkarz wysiadł, żeby otworzyć mu drzwi. Obawiał się zapewne, czy Michał utrzyma je pod naporem wiatru. Przybyły znad Atlantyku orkan o żeńskim imieniu szalał nad Polską.

Odwracając głowę przed podmuchami, zwrócił uwagę na spękania tynku pokrywającego fasadę budynku. Jakby ktoś uderzył młotkiem w to jedno właściwe miejsce i uwolnił naprężenia w sieci kryształów. Jeszcze sekunda i całość osypie się, odsłaniając podskórną warstwę pustaków.

Wprowadził kod i otworzył drzwi. Pokonał znajome schody na półpiętro.

– Pan do kogo? – zainteresował się ochroniarz.

– Do siebie – odpowiedział Michał i wszedł do windy.

Lokatorka okazała się starsza, niż zakładał. Z pewnością po trzydziestce, ubrana w luźną sukienkę do kostek krojem przypominającą sari. Unoszący się słodkawy zapach zużytych pieluch w drodze tajemniczego mechanizmu wyłączał zdolność oceny jej atrakcyjności jako kobiety.

Wkraczając w progi dawnego mieszkania, spodziewał się wstrząsu, silnego wzruszenia, a co najmniej ukłucia nostalgii. Bez szans. Metamorfoza wnętrza objęła ściany, meble, wymieniono nawet lampy. To już nie był nowoczesny apartament świetnie zarabiającego profesjonalisty, ale enklawa orientu. Żywe, wysyczone kolory ścian kojarzyły się z proszkami sypanymi w hinduskie święto holi. Wyglądającym z każdego miejsca większym i mniejszym posążkom Buddy, ekumenicznie towarzyszył trzyoki Siwa. Gdyby nie znajomy układ pomieszczeń, mógłby uznać, że pomylił lokale.

W uchylonych drzwiach sypialni dostrzegł szczebelki niemowlęcego łóżeczka, w którym ktoś odbywał teraz jedną z kilku codziennych drzemek. Trzeba mieć nadzieję, że śnił mu się inne historie niż te, co krążyły tu kiedyś.

Prawie całą podłogę salonu pokrywał kolaż z rozrzuconych koców, pasiastych chodników i sztucznych baranich futer, przywodzący na myśl wnętrze indiańskiego tipi. W centrum stał bujak dla niemowlaka, a wokół leżały rozrzucone gryzaki i grzechotki.

– Mały bawi się tu, kiedy pracuję – powiedziała pani Sylwia, jakby szukała usprawiedliwienia dla panującego rozgardiaszu.

Michał się uśmiechnął.

– Ma świetny plac zabaw. Jest gdzie się rozpedzić.

– O tak, Mati jest bardzo żywy. Zaczyna raczkować. I dlatego właśnie chciałam z panem porozmawiać. Mąż akurat dzisiaj nie mógł być, ale uzgodniliśmy wszystko.

Przy kawie w kuchni wyjaśniła, że chodzi o projekt zabudowania antresoli i zrobienia tam pracowni. Przeszli do salonu.

– Jestem plastykiem. Potrzebuję zamykanego pomieszczenia, gdzie rozłożę materiały i prace. Wie pan, dziecko w pewnym wieku bierze wszystko do ust. Zastanawiałam się nad tym pokojem... – Wskazała na dawny gabinet Michała. – Ale światło jest za słabe. Zrobilibyśmy tutaj... – dłońmi zarysowała w powietrzu kształt – ...ściany z luksferów, żeby nie zabierać całego światła.

Michał nie miał nic przeciwko zmianie aranżacji, zwłaszcza że w pakiecie pani Sylwia zaoferowała przedłużenie umowy najmu o trzy lata.

– Nazbierało się sporo korespondencji do pana – stwierdziła, kiedy Michał czekał

już na wezwaną taksówkę. – Są też jakieś awiza na polecane, pewnie przeterminowane.

Michał włożył spięty recepturką pakiet do sportowego plecaka, z którym najwygodniej było mu chodzić.

– Może zostawi pan swój adres? Będę przesyłała, jeśli coś przyjdzie. Sprzedaję prace przez internet i prawie codziennie jestem na poczcie.

Michał zapisał adres na podsuniętym bloczku.

– Kiedyś podjadę na pocztę i zlecę przekierowanie, żeby nie musiała się pani kłopotać.

Gdy wyszedł z klatki, silny podmuch zatrzymał go w miejscu. Jego wzrok padł na rozhuśtaną kępę krzewów po drugiej stronie ulicy. Strzępy worków foliowych furgotały na krańcach nagich badyli.

Gniazdo, w którym na nowo się narodził, przedstawiało sobą żaloszny widok.

*

Agnieszka siedziała w kuchni i wpatrywała się w zdjęcie na telefonie. Zakapturzony biegacz nie dawał jej spokoju. Powiększyła obraz, który stał się przez to jeszcze mniej wyraźny. Żadnego szczegółu poza znakiem marki na sportowym bucie. Biegacz... To wprawdzie wątek pobicia Michała, ale może on ma rację i ma to związek ze sprawą Szymalak? Ona też biegła... A jeśli założyć na chwilę, że ona i ten ze zdjęcia się znali? Z jakichś zorganizowanych biegów? Nie pamiętała informacji o tym, że Szymalak brała udział w maratonach czy czymś takim, ale może nie zwrócili na to uwagi, nie zapytali.

Nie, znajomy wypłynąłby przy analizie kontaktów. W takim razie kto? Przypadkowy współtowarzysz na codziennej trasie? To też bez sensu, bo jaki miałby związek z Michałem Tumskim, skąd wiedziałby o jego istnieniu i dlaczego miałby na niego napadać?

Wyjaśnienie tej sprzeczności wydawało się niemożliwe, a jednocześnie czuła, że coś znaczącego wyświetliłoby się, gdyby jej się to udało.

Nie ma co się ekscytować. Trzeba wrócić do analizy faktów. Gdzie notes?

Dopiero kiedy znów usiadła w fotelu, zdała sobie sprawę, że poszła do pokoju i wróciła, nie podpierając się o ścianę.

Zaczęła czytać własne zapiski sprzed miesiący.

Zamarła. Nie, nie był to żaden z odnotowanych faktów ani wypowiedzi. Patrzyła na kartkę notatnika porażona wspomnieniem sceny, po której powstał ten wpis. Drobną okoliczność. Brakujący składnik. Katalizator syntezy.

*

Droga na Legionowo, zazwyczaj zakorkowana w ciągu dnia, teraz świeciła pustkami. Jechali lewym pasem pięćdziesiąt na godzinę, ignorując kierowców pobłyskujących na nich długimi światłami. Agnieszka przechylona w stronę Maciurskiego wpatrywała się w ciąg budynków po drugiej stronie czteropasmówki.

– Zawróć! – nakazała, zauważywszy ozdobny parkan. – To tutaj.

Maciurski posłusznie włączył kierunkowskaz.

Po chwili skręcili w drogę pomiędzy kamiennymi kolumnami i bliźniaczymi domkami w klasycystycznym stylu. W jednym z nich paliło się światło.

Ochrona: współcześni odźwierni – pomyślała.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła dwudziesta trzecia. Brama otwarta na oścież.

Jasne smugi reflektorów przecięły ciemność w tunelu drzew, sięgając do fasady stojącego w głębi pałacu. Aleja wychodziła na podjazd o promieniu dobrych kilkudziesięciu metrów.

– Stań tutaj. – Agnieszka wskazała miejsce pod rozłożystymi świerkami.

Maciurski zgasił silnik. Fronton pałacu podświetlony był żółtawym światłem. Okna pulsowały kolorami. Do wnętrza auta dochodziły basy. Trwała impreza. Na schodach prowadzących do wejścia stało kilka osób – przerwa na papierosa. Nie wyglądali na zziębniętych, choć temperatura nie przekraczała pięciu stopni, a oni nie mieli na sobie wierzchnich okryć.

– Co teraz? – zapytał Maciurski. – Trochę późno na wizyty...

– Chodźmy się rozejrzeć. Masz coś lepszego do roboty?

– Zanim zadzwoniłaś, miałem.

– Nie narzekaj. Wiem, że jesteś zadowolony.

– Skąd wy bierzecie to przekonanie o własnej wszechwiedzy? – Wysiadł, nie czekając na odpowiedź.

Zbliżyli się do schodów.

– Którędy do recepcji? – rzuciła Agnieszka w stronę grupy.

– O, mamy spóźnialskich! – Rozbawione towarzystwo zwróciło na nich uwagę. – Co tak długo? Wy skąd? – Rej wiódł szpakowaty mężczyzna o zaczerwienionej twarzy.

– Z Halicza – rzucił Maciurski, a Agnieszka obdarzyła go zdziwionym spojrzeniem.

– A gdzie to? – zapytał szpakowaty, wyciągając szyję.

– Koło Stanisławowa – odpowiedział bez wahania Maciurski.

– A to w pip daleko musi być, bo nie znam. Będą karniaczki, oj, będą! – Pogroził im palcem. – Hotel jest tam. – Wskazał sąsiedni budynek. – Za pięć minut was widzę. Ogacić się wytwornie i w te pędy do nas!

Ruszyli we wskazanym kierunku.

– Halo! – zawołał za nimi. – Jeszcze jedno kluczowe pytanie. – Uniósł palec. Balansował, chwiejąc się na nogach. – Jesteście miękkie chuje czy twarde?

– Miękkie. – W głosie Maciurskiego nie wybrzmiała nuta wątpliwości.

– Szacun! Twarde mogą nas całować, nie? Rzeźniki jebane!

– Co to było? – zapytała Agnieszka, kiedy się oddalili.

– *Ogniem i mieczem*. Czytam akurat i studiowałem przy tym trochę stare mapy – odpowiedział obronnym tonem.

– Ale że miękkie? – dociekała.

– Improwizacja. Pijanemu cokolwiek odpowiesz, byle nie zaczepnie, będzie dobrze. Poza tym w każdym pytaniu zawarta jest odpowiedź. Trzeba tylko słuchać. Miękkie – cokolwiek to znaczy – wymienił w pierwszej kolejności.

Agnieszka poklepała go po plecach.

Zabytkowy budynek hotelowy nie był oazą spokoju. Z piętra dochodziły pokrzykiwania. Jakiś tenor fałszywie intonował *W stepie szerokim*. Chór podejmował pieśń na jeden wers, ale zaraz rezygnował i podnosił się zgiełk przekrzykujących się ludzi. Wiele najważniejszych myśli cisnęło się ludziom na usta. Rozchodziły się donośnie wzmacniane szczerze wtrącanymi kurwami. Tenor się nie poddawał, jemu grało w duszy. Niezrażony zaczynał wciąż od początku. Może nie znał słów.

Recepcjonistka na ich widok podniosła głowę znad komputera.

– Dobry wieczór – zaczęła Agnieszka. – Mamy kilka pytań. – Skinęła na Maciurskiego, który niechętnie wyjął odznakę i się przedstawił.

– To lepiej zadzwonię po menedżera.

Na szczęście nie musieli długo czekać. Szczupły, młody mężczyzna w dżinsach i kraciastej sportowej marynarce zszedł po pięciu minutach. Przedstawił się i zaprosił ich do pokoju na zapleczu recepcji.

– Czy coś się stało? – W jego wypowiedzi nie dało się dostrzec zaniepokojenia. Potrafił się opanować, może nie pierwszy raz rozmawiał z policją.

– Nie. Chcieliśmy zadać kilka ogólnych pytań – odparła Agnieszka. – Długo pan tu pracuje?

– W lutym będzie rok.

A więc nie może pamiętać tamtego kongresu – pomyślała Agnieszka.

– Czy często organizujecie imprezy jak ta dzisiejsza?

Zaśmiał się.

– Chcielibyśmy jak najczęściej. Na tym zarabiamy. Niewielu stać na urządzenie u nas wesela, więc pozostają konferencje. Zależy od sezonu. Poza okresem wakacyjnym bywa, że co weekend coś mamy. Imprezy firmowe, sympozja naukowe. Część ma cykliczny charakter. Jak ta dzisiaj na przykład.

– A co właściwie odbywa się tu dzisiaj?

– Krajowy kongres chirurgów.

– Dobrze się bawią.

– Jak każdy.

– Czy zawsze zostawiacie otwartą bramę na noc?

Zastanowił się chwilę, jakby oceniał, czy odpowiedź może mu zaszkodzić.

– Tak jest praktycznie. Uczestnicy przyjeżdżają i wyjeżdżają o różnych porach. Znajdujemy się właściwie w obrębie miasta. Obiekty pałacowe objęte są systemem ochrony, więc nie ma potrzeby się zamykać.

– Jak długo przechowujecie nagrania monitoringu?

– Kilka tygodni. Na pewno nie dłużej.

Wrócili do samochodu.

– Może uznasz, że się powtarzam, ale po cholere tu przyjechaliśmy? – zapytał Maciurski, wyjeżdżając na główną ulicę.

– Musiałam ułożyć coś sobie w myślach.

– I co? Ułożyło ci się?

– Nawet nie wiesz jak.

– Nie wiem. Powiesz?

– Daj mi jeszcze kilka godzin.

*

– Nie powinno cię tu być – mruknął Motycki na widok Agnieszki, która weszła z Maciurskim do jego gabinetu. – Jak się czujesz?

– Coraz lepiej. Mam zamiar przejść komisję i wrócić.

– Nie musisz. Miszczuk załatwił ci etat w komendzie głównej, w logistyce.

– Chcę wrócić.

– Zobaczymy. Z czym przychodzicie? Sprawa tej zaginionej Szymalak, tak? – Spojrzał na Maciurskiego. – Ciągłe to drązycie? Śledztwo jest umorzone.

– Mam hipotezę, kto może stać za zniknięciem Szymalak – powiedziała Agnieszka. – Sądzę, że została zamordowana.

– Śmiała teza, zważywszy na brak ciała – zauważył Motycki. – Kto to?

– Ten sam człowiek, który potem napadł na Michała Tumskiego.

– Czyli?

Zapadła cisza. Zza ściany dobiegł przytłumiony odgłos kroków i rozmowy w korytarzu

– Zygmunt Kuśniar. Były narzeczony Szymalak.

– Nie pamiętam szczegółów tej sprawy – zaczął cicho Motycki. – Ale chcecie mi powiedzieć, że podejrzanym jest były narzeczony? Ktoś, kogo należy sprawdzić i wykluczyć na samym początku? – mówił coraz głośniejsze. – Jakimi ścieżkami idą wasze myśli? Twoje – zwrócił się do Agnieszki, bo Maciurski opuścił głowę.

– Zbyszek przesłuchiwał wtedy Kuśniara. Drugi raz ja. Podał wiarygodne alibi. Zeznał, że w tamten weekend był na dwudniowej konferencji pod Warszawą, z noclegiem. Zweryfikowałam, że rzeczywiście taka konferencja się odbywała i Kuśniar figurował na liście jej uczestników. Zapłacił i zarejestrował się na miejscu, zameldował się w hotelu w piątek wieczorem, wyjechał w niedzielę przed południem. Wszystko wydawało się okej.

– To dlaczego teraz się nie wydaje? – zainteresował się Motycki.

– Pojechaliśmy wczoraj w nocy do tego pałacu. Poziom rozprężenia w czasie imprez jest taki, że można wjechać i wyjechać czołgiem, i nikt nie zwróci uwagi. Kuśniar mógł wyjść i wrócić niezauważony, kiedy chciał. W nocy, wczesnym rankiem. Żadne z tego alibi. Do tego ten porządek w jego mieszkaniu i bieganie. On biegał.

– Bardzo ciekawe. Będzie świetnie wyglądało na piśmie do prokuratury: „Wnoszę o wznowienie śledztwa z uwagi na porządek w mieszkaniu podejrzanego i jego bieganie”. Nie wiem, czy nie musimy wskazać jakichś konkretów, na przykład, o jakie dystanse chodzi i czy szybko się męczy.

– Nie mam dowodów, na razie tylko przesłanki. Szymalak była bałaganiarą. Potwierdziły to wygląd jej gabinetu i zeznania kolegów z firmy. Jej mieszkanie wysprzątane było lepiej niż pokój hotelowy. Tak samo wyglądało lokum Kuźniara, kiedy go odwiedziłam. Był w jej mieszkaniu i to on je posprzątał. Ma pewnie coś z psychiką na tym punkcie. Czytałam o tym.

– Słabe, o wiele za słabe. – Motycki spojrział na zegarek.

– Wiem, że to mało, ale gdy właściwie udało się podważyć jego alibi... Potrzebne nam wznowienie śledztwa. Stosunkowo łatwo uda się potwierdzić, czy to on napadł na Michała Tumskiego. Wystarczy mu pokazać zdjęcie z akt. Jeśli Tumski potwierdzi, to zważywszy na słowa Kuźniara w czasie napadu o kobiecie, że go spaliła miłość i tak dalej, mamy połączenie ze sprawą Szymalak. Tylko ona pasuje.

– Dlaczego nie zajmą się nim ci od napadu? Niech go zgarną.

– Myślałam o tym. W takim scenariuszu Kuźniar może odpowie za napaść i spowodowanie trwałego uszczerbku na zdrowiu, ale nam to nic nie da, jeśli sam z siebie nie zechce się przyznać do niczego więcej. Jest jeszcze coś.

– No?

– Ślady. W mieszkaniu Szymalak znaleźliśmy mikroślady Kuźniara. Zignorowaliśmy to, bo założyliśmy, że mogły, a nawet musiały tam być, skoro mieszkali razem przez kilka lat. Sęk w tym, że już po rozstaniu Szymalak zrobiła gruntowny remont łącznie z wymianą wszystkich mebli, wykładzin i malowaniem. To może nie być najsilniejszy dowód, ale technicy uważają, że było tego więcej, niż powinno zostać po takim remoncie. On tam był, chociaż zeznawał, że nie widział się z Szymalak od wielu miesięcy. Jestem o tym przekonana.

– Zawsze może zmienić zeznania i przypomnieć sobie, że ją odwiedził – zauważył Motycki. – Nie zgadzam się na wznowienie. Możecie iść. – Wskazał drzwi.

Maciurski wstał, ale Agnieszka nie ruszyła się z miejsca. Miała nadzieję, że do tego nie dojdzie i nie będzie musiała pograćzyc kolegi. Zabrakło czasu, żeby z nim to przedyskutować. Odkrycie niewątpliwej ciekawostki zajęło jej ostatnie kilka godzin. Poprosiła o pomoc kolegów ze swojego starego wydziału. Naprawiła własny błąd sprzed wielu miesięcy. Powinna była sprawdzić wtedy, a spisała tylko notatkę ze spotkania z Kuźniarem i dołączyła do akt. Maciurski też to przegapił.

– Kuźniar zeznał, że jest w nowym związku, prawda, Zbyszek?

– Taaak. – Przeciągnął samogłoskę niepewny, do czego Agnieszka zmierza.

– Pamiętasz, jak nazywała się ta jego nowa narzeczona?

– Co ja jestem? Chodzący komputer?

– Aurelia Gilewicz.

– Być może. I co z tego?

– Może nic, ale sprawdziłam, że takie samo imię i nazwisko nosi księgowa

w jednej z firm, dla których pracował Kuśniar. Ma sześćdziesiąt lat, męża, troje dzieci i dwoje wnucząt.

Motycki spojrział przeciągle na Maciurskiego, a potem przeniósł wzrok na Agnieszkę.

– Dobra. Podpiszę wniosek. Sprawdźcie, czy to Kuśniar poturbował Tumskiego. Dajcie mi znać.

Maciurski nie odezwał się przez całą drogę. Ruszył ostro, jak tylko Agnieszka wysiadła pod swoim blokiem.

Motycki zgodził się, żeby to ona spotkała się z Michałem Tumskim i pokazała mu zdjęcie. Odbierze małą nagrodę. O ile miała rację.

*

Michał patrzył w mleczną szybę gabinetu, zastanawiając się, co za nią jest – park czy ulica. Stracił orientację po przejściu kilkoma przecinającymi się pod różnymi kątami korytarzami z neurologii do skrzydła, w którym znajdowały się pracownie diagnostyczne.

Lekarz jeździł sondą po jego brzuchu pokrytym żelem i od czasu do czasu zatrzymywał instrument, wciskając przycisk na klawiaturze komputera. Pociągał przy tym nosem, jakby węchem rozpoznawał echogeniczność narządu.

Skończył i podał Michałowi garść papierowych ręczników.

– Nie widzę zmian. Wszystko w normie.

Kiedy odbierał kurtkę w szatni, podszedł do niego siwy ochroniarz. Michał znał go z widzenia.

– Zdrowych i spokojnych świąt!

– Dziękuję, nawzajem.

– Zdrowie najważniejsze, ale może jeszcze ważniejsza rodzina, bo co komu ze zdrowia, kiedy człowiek sam jak kołek – powiedział ochroniarz, zaplatając ręce na plecach.

Michał starał się zapiąć suwak kurtki.

– Kiedyś, wie pan, nie doceniałem, a teraz to już za późno. Wszystko się jakoś porozłaziło. Córka w Stanach, nie odzywa się już od dziesięciu lat. A pan z rodziną dobrze żyje?

– Doskonale – odparł Michał. – Ostatnio lepiej niż kiedykolwiek. – Podciągnął energicznie zamek i zarzucił plecak.

– Cieszę się, że pogodził się pan z kuzynem. Prosił, żeby o nim nie wspominać, ale skoro się rozmówiliście, to właściwie nie ma znaczenia.

Michał robił właśnie krok i musiał oprzeć się całym ciężarem na lasce, żeby ustać w miejscu. Obrócił się w stronę ochroniarza.

– Kuzyn?

– Taki wysoki blondyn. Był u pana kilka razy w tamtym czasie. Jakiś tydzień temu przyszedł i bardzo się zdziwił, że pana nie ma. Powiedział, że wreszcie będzie miał okazję wszystko między wami wyprostować. Widzi pan, a miałem nie mówić. –

Stropił się.

– Nic nie szkodzi. – Michał przywołał na twarz uśmiech. – Wiem, o kogo chodzi. Wszystko jasne. Dziękuję.

Poprawił szelki plecaka.

– A tak z ciekawości, czy macie tu monitoring?

– Panie! – Ochroniarz machnął ręką. – Zainstalowali trzy lata temu, ale nie działa, bo coś tam niezgodnie z przetargiem dostarczone i spór jest w sądzie. W tym kraju nic nie może być normalnie.

– Wesołych świąt! – powiedział Michał i pchnął przeszklone drzwi.

Pokonał kilkadziesiąt metrów w kierunku postoju taksówek, kiedy w kieszeni zawibrował telefon.

– Dzień dobry, tu Sylwia. Nie przeszkadzam? Chciałam uprzedzić, że przyszła do pana paczka. Pewnie ktoś wysłał panu prezent świąteczny na stary adres.

Zastanawiał się chwilę, o co mogło chodzić. Nie oczekiwał żadnego prezentu.

– W porządku. Przy okazji odbiorę.

– Nie ma potrzeby. Przekierują. Podałam kurierowi nowy adres.

Kto mógł przysłać mu prezent? Z pewnością nie teściowa.

Obejrzał się w stronę, skąd przed chwilą wyszedł, gdzie właściwie nieznanemu mu człowiek opowiadał o kuzynie, którego nigdy nie miał.

– O której to było?

– Wszystko w porządku? Ma pan zmieniony głos.

– O której?

– Przed chwilą. Pięć minut może. Przepraszam, że nie zadzwoniłam, zanim... Teraz myślę, że nie powinnam była dawać adresu bez...

Rozłączył się i ruszył w kierunku taksówek, postukując laską o chodnik.

– Plac Inwalidów. Szybko – rzucił do kierowcy.

Po kilku minutach jazdy stanął wobec dylematu. Przeszukał podłogę w taksówce i szczeliny w tapicerce kanapy. To musiało się stać, kiedy wsiadał do auta. Płytką boczną kieszeń kurtki, zaferowanie. Z telefonem stracił coś, czego bardzo teraz potrzebował – łączność. Kazać kierowcy wrócić, tracąc cenne minuty, czy bez zwłoki jechać do mieszkania? Być może ktoś się już zaopiekował aparatem. Jechać więc.

Teraz dopiero dotarło do niego, że nie ma dobrego pomysłu, co zrobić. Instynktownie założył, że w domu znajdzie schronienie. Ale przecież to najgorszy z pomysłów, skoro ten człowiek najprawdopodobniej właśnie tam jedzie!

Z innej strony, czy to wszystko nie może być zwykłym zbiegiem okoliczności, który jego wyobraźnia zmieniła w ciąg powiązanych ze sobą zdarzeń? Facet w szpitalu? Ochroniarz mógł go z kimś pomylić. Nie liczył, ale na neurologii musiało być łącznie ze trzydzieści łóżek, z czego tylko kilka zajmowały śpiochy. O kurierze w ogóle nie ma co myśleć, bo mogło być tak, jak powiedziała Sylwia. Prezent mogła wysłać choćby teściowa, do której dzwonił kilka dni temu, ale nie wspomniał, że zmienił mieszkanie. Że nigdy tego nie robiła? No cóż, ludzie się zmieniają.

Odetchnął głęboko i opadł na siedzenie.

– Wszystko w porządku? – zapytał taksówkarz.

– Zgubiłem telefon. Musiał wypaść mi na postoju.

– Wracamy?

– Nie.

– Zgłoszę do centrali. Tam na postoju zawsze stoi kilku z naszej firmy. Może ktoś znajdzie.

– Wie pan co? – Michał wpadł na pomysł. – Jakby ktoś znalazł, to niech mi przywiezie pod adres. Mieszkanie numer pięć. Zapłacę jak za kurs i dodam znaleźne.

– Ho, ho! Zaraz zjadą się tam z całej okolicy. – Kierowca zaśmiał się i wywołał centralę.

Perspektywa odzyskania telefonu jeszcze bardziej rozproszyła obawy i Michał zajął się oglądaniem świątecznych dekoracji na ulicach.

Za kilka godzin zapadnie jedna z najdłuższych nocy w roku, jeśli nie ta najdłuższa. Zimowe przesilenie zawsze wypada tak jakoś na kilka dni przed Wigilią. Jutro spotka się z Glorią w pracy. Może powinien kupić jej jakiś drobiazg? Tak dawno już tego nie robił. A co dałby Agnieszce, gdyby stanął przed problemem wyboru prezentu dla niej?

Zatrzymali się na światłach na placu Bankowym. Konstatacja, że zaraz będzie na miejscu, przecięła ciąg rozbrzmiewających dzwoneczkami myśli. Wrócił niepokój.

Taksówka wyrzuciła go na chodnik pod kamienicą i uciekła, popiskując luźnym paskiem klinowym. Michał poczuł gorzki smak w ustach. Zacisnął palce na rączce laski, drugą, ze skrzypnięciem skórzanej rękawiczki, zwinął w pięść.

Miał do pokonania sień i trzy podesty schodów. To niewiele. Logika nakazywała znaleźć się jak najszybciej za drzwiami mieszkania, schronu, azylu. Każda minuta miała znaczenie. Dojazd ze szpitala był krótszy niż ze starego mieszkania, ale nie na tyle, żeby zwlekać.

Przekreślił klucz i zajrzawszy w głąb sieni, upewnił się, że nikogo tam nie ma. Wszedł i stanął bokiem, obserwując na przemian zamykające się pod własnym ciężarem drzwi i wewnątrz klatki schodowej.

Zabrzęczały szybki w zatraskujących się drzwiach. Nasłuchiwał. W zupełnej ciszy słychać było tylko szelest materiału jego kurtki, kiedy przerzucał wzrok z prawa na lewo.

Uznawszy, że tyły zabezpieczają mu drzwi wejściowe, których nie da się bezdzwięcznie otworzyć, zbliżył się do pierwszych stopni. Uderzenia laski o lastrykową posadzkę niosły się echem w górę pięter.

Zatrzymał się. Nie mógł zignorować drzwi do piwnicy. Nigdy tam nie wszedł, choć do jego mieszkania przynależał schowek.

Nacisnął klamkę i zachwiał się, kiedy drzwi nieoczekiwanie ustąpiły. Zawisł na nich całym ciężarem i mimo woli wejrzał w ciemność, z której chłodny podmuch przyniósł zapach zagrzybionych murów, odoru kociej uryny i zleżałych ziemniaków.

Pamiętał ten zapach. Jego rodzina, jak wiele innych w czasach PRL-u, trzymała

w piwnicy skrzynię, do której wsypywano jesienią worek kartofli. Chyba nigdy te skrzynie nie były opróżniane całkowicie i nowe partie ziemniaków łądowały na pozostałościach z poprzednich lat. Stare, rozkładające się warstwy dawały pożywkę i przedwcześnie budziły nowe do życia. Nie znosił, kiedy matka go tam wysyłała. Już przechodzenie przez puste korytarze oświetlone mdłym światłem z kloszy zbrojonych drutem przyprawiało o dreszcz, a na koniec należało jeszcze zapuścić rękę głęboko w ciemne wnętrze skrzyni, zapewniając samego siebie, że nie czai się w niej wygłodniały szczur. Czasami operująca po omacku dłoń zamiast na zapiaszczoną bulwę natrafiała na pręcik kielka, a wtedy...

Z piwnicy powiało zimnem. Oddech wisielców.

– Jasna cholera! – rzucił Michał w ciemność i trzasnął drzwiami.

Podciągając się na poręczy, wspiął się na pierwszy poziom i wziął pierwszy zakręt. Czy szczęknął zamek na dole? Półpiętro z oknem wychodzącym na studnię podwórza osiągnął, poprawiając własny rekord w wejściu na osiem stopni sprzed chwili. Ostatnie podciągnięcia, odepchnięcia laską i był pod drzwiami. Starając się opanować drzenie rąk, celował kluczem w zamek.

Zamarł. Z góry dobiegł go odgłos kroków. Ktoś schodził z wyższego piętra. Któryś z sąsiadów? Ale dlaczego nie usłyszał zamknięcia drzwi? Bo ten ktoś nie wyszedł z mieszkania? Bo czekał?

Zimny wąż prześlizgnął się przez jego lędźwie do barku, oplótł piersi i brzuch. Palce ogarnęła sztywność. Szczelinka wnętrza zamka wypełniła całe pole widzenia. Dziobnął kluczem – nie trafił, drugi raz – porażka. Powietrze uciekało z przyśpieszonym oddechem. Puścił laskę. Z dwóch palców zrobił celownik w kształcie litery V. Pijacki sposób zdał egzamin. Przekręcił klucz i nie oglądając się w stronę półpiętra, skąd dochodziło coraz szybsze stukanie twardych podeszew, wpadł do mieszkania. Zarygłował drzwi, odszedł kilka kroków i oparł się o ścianę.

Dzwonek.

Cisza. Tętno szumiące w uszach.

Stukanie i znów dzwonek, teraz natarczywy.

Zastygł, wrósł w ścianę, jak relief. Nie oddychał.

Czas między kolejnymi sekundami zdawała się wypełniać nieskończoność.

Po pięciu minutach ciszy podszedł do okna i przez firankę wyjrzał na ulicę. Dostrzegł starszego człowieka z utuczonym psem ubranym w kubraczek dla ochrony przed zimnem.

Nieproszony gość mógł skrócić w prawo z wyjścia i przejść poza zasięgiem jego wzroku. Może wcale nie wyszedł i czeka? Na co? Aż otworzą mu drzwi? To ostatnia rzecz, którą by teraz rozważał.

Zapadał zmierzch. Michał zaciągnął zasłony i włączył kinkiet nad lustrem w łazience. Zostawił uchylone drzwi, pozwalając niedostrzegalnemu z zewnątrz snopowi światła rozpraszać ciemność w salonie.

Spojrzał na zegarek. Zbliżała się szesnasta. Tak wiele godzin do następnego dnia i brak pomysłu, co mógłby zrobić. Dzień nie przyniesie zmiany położenia. Dopóki

tamten przebywał na wolności, on będzie więźniem u siebie. Nie pomagała świadomość, że to wszystko mogło być nieporozumieniem, rezultatem nadinterpretacji faktów. Gdyby miał pewność, mógłby wezwać policję. Ale właściwie co by im powiedział? Że wydaje mu się, iż ktoś na niego czyha? Spotkałoby go to samo, co tamtą kobietę na komisariacie, kiedy czekał na Agnieszkę – uznanie za wariata. Może rzeczywiście postradał zmysły? Zresztą w jaki sposób miałby wezwać policję? Jedyne, czym dysponował, to laptop, ale bez komórki nie miał dostępu do internetu. Miał wołać z balkonu? W ostateczności tylko to mu pozostawało.

Rozległ się dzwonek. Skoczył na równe nogi zelektryzowany myślą, że to taksówkarz z jego telefonem. Ale dlaczego dzwonek do drzwi, a nie do domofonu?

Starając się nie wywołać skrzypnięć parkietu, przeszedł do kuchni. Wyjął z szuflady nóż. Sprawdził ostrze. Syknął. Z krwawiącym palcem w ustach i nożem w ręce ruszył do okna. Zaklął, odprowadzając wzrokiem radośnie jarzącego się na dachu taksówki koguta. Rzucił nóż na stół i poszedł opatrzeć palec.

Opuściło go napięcie, poczuł zmęczenie. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zapragnął towarzystwa radia. Nastawił Trójkę i wyciągnął się na sofie. Pokój wypełnił sielski nastrój popołudniowej audycji. Ciemność to najdoskonalsza sceneria dla radia, głos prowadzącego zdaje się spływać z zawieszonych w powietrzu cząsteczek. Teraz muzyka. Idą święta, krok po krocisku, najpiękniejsze. Ciekawe, jak jest na tych wigiliach dla samotnych. Ludzie przychodzą dla towarzystwa czy tylko żeby się za darmo najeść? Czy ten ograny do kości świąteczny numer Cliffa Richarda to muzyka sfer? Drgania strun czasoprzestrzeni napiętych pomiędzy tu i teraz a centrum umiejscowionym w starożytnym palestyńskim wygwizdowie, gdzie nadszedł czas rozwiązania dla nastoletniej Miriam? Jak pogodzić niesmak wywołany obcowaniem z kiczem z wizją dziewczyny rodzącej Syna Bożego w grocie służącej za oborę?

Aromat nabitej goździkami pomarańczy zostaje przełamany piżmowym odorem bydła, dzwoneczki cichną. Skalne ściany głucho odbijają odgłosy – przebieranie kopytami, sapnięcia.

Dźwięki giną w narastającej ciszy. Wyłania się z niej pierwsza litera nowej opowieści. Jaka to litera? Nie może sobie przypomnieć.

*

– Otwórz! – Dobiegło go przytłumione wołanie.

Otworzył oczy. Przez szpary w zasłonach do pokoju wpadało światło. Leżał na kanapie. Ktoś łomotał do drzwi.

– Jesteś tam? Otwieraj do cholery!

Agnieszka. W jej głosie dawało się wyczuć irytację, ale i obawę.

Podniósł się i poszedł do drzwi. Drżały od uderzeń.

– A więc żyjesz? Zastanawiałam się już, czy nie trzeba będzie wyważyć – powiedziała, wręczając mu jego telefon i laskę. – Ktoś zostawił na wycieracze.

Rozejrzała się po mieszkaniu.

– Przytulna norka. Mogę odsłonić? – Nie czekając na odpowiedź, podeszła do okna i rozsunała zasłony.

Michał zmrużył oczy. Zauważył, że Agnieszka mu się przypatruje.

– Co?

– Urządziłeś sobie wczoraj imprezkę? Dzwonię od wieczora, nie odbierasz. W końcu pojechałam do tamtego mieszkania. Lokatorka walczyła jak lwica, żeby nie podać twojego adresu. Musiałam trochę na wyrost postraszyć ją odpowiedzialnością karną. Zrobiła zdjęcie mi i mojej legitymacji. Wyobrażasz sobie?

Michał przygładził rozwichrzone włosy.

– Zgubiłem wczoraj telefon. Miałem ciężki dzień. Położyłem się na chwilę i zasnąłem. – Spojrzał na zegarek. – Jedenasta? Nieźle, spałem piętnaście godzin albo lepiej.

– Ja nie położyłam się w ogóle. Całą noc siedziałam nad aktami.

Dopiero teraz, kiedy odeszła spod okna i stanęła w świetle, zobaczył drobne zmarszczki na bladej twarzy i ciemne gniazda wokół oczu.

– Chodź, znam miejsce, gdzie dają dobrą kawę. To tylko parę kroków stąd – zaproponował.

Po drodze nie rozmawiali. Plac zalany był słońcem i gdyby nie pogrążone w wegetacyjnym letargu drzewa, można by pomyśleć, że przyszła już wiosna.

Zwrócił uwagę, że Agnieszka szła bez kuli. Utykała, ale w sposobie stawiania przez nią kroków nie było widać niepewności, co najwyżej podświadomą ostrożność kogoś, kto niedawno wyleczył kontuzję. On taki etap osiągnie może za rok, jeśli dalej będzie pracował nad formą.

W restauracji skończył się już poranny szczyt. Usiedli przy jego stoliku i zamówili śniadanie. Zjedli w milczeniu. Nie dopisywał mu apetyt, za to Agnieszka całą uwagę poświęciła omletowi z kurkami.

– Nie jesteś ciekaw, dlaczego przyjechałam? – zapytała, odkładając sztućce.

Uśmiechnął się.

– Chyba wiem.

– Naprawdę? Mam to wypisane na twarzy? – Zasłoniła usta filiżanką, ale śmiech i tak widać było w oczach.

– Sporo endorfin musi krążyć w żyłach osoby, która ma siłę spotykać się po nieprzespanej nocy i promienieje radością, zamiast snuć się jak zombi. Co wprowiło funkcjonariuszkę Moroz w nastrój tak dobry, że można mówić o szczęściu? Dzwoniła bezskutecznie i pokonując liczne trudności, postanowiła się do mnie wybrać z nowiną. Pole zainteresowań tej policjantki ogranicza się do troski o dziecko oraz spraw zawodowych. Na nic innego nie ma czasu. Wiadomo tylko o jednej sprawie, która nas łączy, i musiał właśnie nastąpić w niej przełom.

Parsknęła, nieomal krztusząc się kawą.

– Pogratulować dedukcji. Mógłbyś zastać śledczym. – Wzięła duży haust powietrza. – Mamy trop!

Michał uciekł wzrokiem do okna.

– Nie cieszysz się? Miałaś w tym swój udział. Właściwie gdyby nie ty, dalej stalibyśmy w miejscu. Chciałabym ci coś pokazać.

Wyjęła z torebki zdjęcie i położyła przed Michałem.

– Poznajesz go?

Michał zerknął na zdjęcie i uniósł głowę. Rozkojarzonym wzrokiem minął pozbawioną nagle ostrości twarz Agnieszki.

Kelnerka przy barze wisała nad telefonem i kciukami pisała wiadomość, młody mężczyzna przy stoliku po prawej trzymał dłonie na klawiszach laptopa, zastanawiając się nad kolejnym zdaniem maila, zza okna dobiegł opadający gwizd silnika tramwaju zwalniającego przed przystankiem w kierunku Śródmieścia.

– Halo! Tu Ziemia!

– Przepraszam. Zamyśliłem się. – Kiwnął głową. – Tak. To gość, który napadł na mnie pod blokiem.

– Jesteś pewny?

– Nie mam wątpliwości. Kto to jest?

– Na razie nie mogę powiedzieć.

Sięgnęła po telefon.

– Mamy potwierdzenie – powiedziała do kogoś po drugiej stronie. – Tak, Tumski, Michał... – Poprawiła się, uśmiechając się przepraszająco. – Rozpoznał go. Na razie. – Rozłączyła się.

– I co teraz? – zapytał Michał. – Zatrzymacie go?

Agnieszka schowała telefon do torebki.

– Pewnie tak. To zależy od prokuratora.

Michał bawił się łyżeczką. Przesuwał słonecznego zajączka po pętli wokół talerza i cukierniczki.

– Lepiej się pośpieszcie.

– Dłaczego?

Odłożył łyżeczkę.

– Zdaje się, że facet mnie szuka. Był w szpitalu i w moim starym mieszkaniu. Może chce dokończyć misję.

– Skąd wiesz, że to on?

– Nie mam pewności, przypuszczam.

Agnieszka przez chwilę wpatrywała się w Michała.

– Mógłbyś się na kilka dni gdzieś zaszyć? U znajomych albo w hotelu? To nie potrwa długo. Nie proponuję ochrony policyjnej, bo jej załatwienie to droga przez mękę.

– Pomyślę.

Wstała, zarzuciła torebkę na ramię. Michał również się podniósł.

– Dzięki za śniadanie – powiedziała.

Patrzył, jak idzie przez salę, zagaduje do kelnerki, która odpowiada z uśmiechem, pociąga drzwi, brzękając dzwonkiem, i rusza ze wzrokiem wbitym w chodnik.

Mijając Michała, rzuciła krótkie spojrzenie przez szybę, zwolniła, zatrzymała się.

Po chwili z powrotem stała przed nim.

– Przyjdź do nas na Wigilię. Będę tylko z Marcinkiem i mamą. Nie chcę słuchać wykrętów. Zaczynamy o siedemnastej. I jeszcze... pamiętaj, masz zniknąć na dwa dni! – dodała po chwili.

*

Jednak nie zniknął. Postanowił zaszyć się u siebie i przeczekać. Teraz, kiedy odzyskał łączność ze światem, wizja spędzenia w mieszkaniu kilku dni wydawała się znośna. Zamówił zakupy z dostawą na górę (zażyczył sobie, żeby kurier po dotarciu zadzwonił na komórkę). Lektura, filmy, przeglądanie internetu, ćwiczenia rozpisane przez fizjoterapeutę – wszystko to miało zapełnić samotne godziny.

Próbował czytać, ale natrętne myśli nie pozwalały mu się skupić. Nastawił pranie, posprzątał, chociaż zrobił to już poprzedniego dnia.

Zapadł zmrok.

Zgasił światło i podszedł do okna, zza którego dobiegał jednostajny szum urozmaicany od czasu do czasu bębnieniem kropli o blaszany parapet. Strugi deszczu porywały zimne światło sodowej lampy ku pokrytemu kałużami chodnikowi.

Żałował teraz, że nie pojechał do jakiegoś hotelu. Może wtedy nie czułby tego narastającego dyskomfortu? Został więźniem we własnym mieszkaniu, jakby nie wystarczało, że jest samotny. Nawet osadzeni wchodzą w interakcje z innymi ludźmi, choćby tymi spod celi. A jeśli to potrwa nie dwa dni, a tydzień albo jeszcze dłużej? Prosta droga do szaleństwa.

Przecież ten gość nie może czatować na niego dniami i nocami. Jeśli w ogóle go szukał. Poza tym nie chodziło o przechadzkę w okolicy opuszczonych magazynów w dzielnicy portowej. Chrzańć to! Zajrzy na chwilę do restauracji.

Zabezpieczył ostrze kawałkiem kartonu i schował nóż w kieszeni kurtki. Schodził po schodach powoli, cały czas ściskając rękojeść.

Zimne powietrze wydało mu się wyjątkowo orzeźwiający. Deszcz chłodził rozpaloną głowę.

Jak na złość, tego wieczora jego centrum rozrywki przypominało dom pogrzebowy po zakończonej uroczystości. Przez szybę dostrzegł jedynie dwóch ludzi siedzących w odległych od siebie częściach sali.

Zawrócił. Teraz, kiedy zdobył się na opuszczenie mieszkania, powrót i spędzenie tam nawet kilku dni bez wychodzenia nie stanowiły problemu. Był jak drugi szczur z dokumentalnego filmu Czarnieckiego, filmu, który odarł go z kawałka dzieciństwa. Otrzymał nadzieję.

Kiedy mijał poprzeczną ulicę, zauważył ludzi przed wejściem do jednej z kamienic. Składali parasole, strzepywali wodę i znikali we wnętrzu. Zatrzymał się i spojrzał w stronę swojej bramy, a potem ku miejscu gromadzącemu członków tajnego stowarzyszenia. Ktoś minął go i skręcił w tamtą stronę. Poszedł za nim.

Zorientował się, że to kościół skryty za fasadą zwykłej kamienicy, który mijał

w czasie spacerów. Spędzi tu kilka chwil. Słaba rozrywka, ale z pewnością odmiana.

Wszedł do pomieszczenia, które – gdyby odrzeć je z sakralnego wystroju – mogłoby służyć za halę manufaktury. Jego laska zastukała o kamienną posadzkę.

Usiadł z tyłu i wytarł mokrą od deszczu twarz. Przed sobą widział kilkanaście osób. Dominowały berety. Całe pokolenie dzieliło go od najmłodszego z członków tego zgromadzenia. Nawet ministrant, który wyniósł klęcznik, miał siwe włosy.

Ksiądz rozpoczął modlitwę i Michał wzorem innych osunął się na kolana. Wystawiona na ołtarz monstrancja wieńczyła perspektywę niczym galion dziób żaglowca.

W momencie, kiedy rozważał opuszczenie świątyni, poczuł drgnięcie ławki. Na jej skraju, odcinając go od przejścia, ukłękła dziewczyna. Oparła się łokciami o pulpit i otworzyła przyciśniętą do skroni pięść, z której z chrzęstem przywodzącym na myśl odgłos dobywania broni, rozwinął się różaniec.

Podniósł wzrok i natrafił na namalowane na ceglach przeciwległej ściany sceny kaźni. Sens tego, co tu się odbywało, opierał się na założeniu, że ludzkość wprzęgnięta została w grę na kosmicznej planszy, której tylko niewielki, choć z jakiegoś powodu istotny, fragment dostępny był żyjącym na tej błękitnej planecie. Człowiek z obrazów przedstawił i wcielił w życie zasady gry oparte na paradoksie – im gorszy wynik teraz, tym większy kredyt do wykorzystania po drugiej stronie. Trzeba mieć dużo samozaparcia, żeby przejść całą drogę, utrzymując to poczucie sensu.

Problem w tym, wiedział o tym świetnie, że z życiem jest jak z młodzieńczymi pasjami. Z czasem zapał mija. Ekscytacja wyprawą w stronę nieznanych lądów przechodzi w znużenie podróżą. Czy granica nie przebiega tam, gdzie kończy się dzieciństwo i zaczyna dorosłość, ta prawdziwa, osiągnana w sile wieku? Młodość to głód nowych doznań pobudzany nowościami przybywającymi zza widnokregu, przegapione apogeum, a po nim pierwsze pęknięcie, poczucie straty. W szczelinę wpełza cień, głębszy z każdym rokiem i kolejnym zawodem. Nastrój siada jak w czasie wyprawy na biegun, kiedy świadomość, że nie starczy zapasów na powrót, pozostawia jedną możliwość – przeć do przodu. Uczucie wyobcowania ostatecznie obejmujące wszystko, nawet pamięć o sobie. Pierwsza miłość, wryta w kanon ulubionych piosenka z czasu młodości, wspomnienia z dzieciństwa – nic nie opisuje tego, kim się jest, tak jak larwa owada nie mówi nic o jego imago. Zerwana więź, tożsamość oparta na zbiorze hipotez, bolesne spęknięcia skrywane pod maskami. Można, jak on kiedyś, przyjmować eliksir ze strumienia zapomnienia i reintegrować się, we wprowadzie nędzną, ale całość. Starożytni się mylili. Lete nie płynie w Hadesie, ale rozlewa się ciemnymi wodami tutaj wszędzie. Wystarczy zaczerpnąć.

A może, jak niektórzy z tu obecnych wpatrzonych w białe Ciało osadzone w słońcu monstrancji, należy przyjąć, że drogą do narodzin jest uśmiercenie siebie starego, przejście przez granicę i powrót za życia? Jak dokonuje się takiej samozagłady? Trzeba prosić i czekać, odgrywając przeznaczoną sobie rolę w komedii, czy potrzebny jest wstrząs, upadek z konia?

Czy Asia zdołała się przepoczwarzyć? Czy siedzi teraz w jednym z wielu

mieszkań Ojca i patrzy przez okno na raj? To całkiem znośna perspektywa. Jeśli wszystko tutaj to tylko mit, przynajmniej ominęły ją zmarszczki, ustanie miesiączek i paniczne olśnienie, że choćby nie wiadomo co robiła, nie czeka jej nic więcej niż rozkład i rozpad na atomy w procesie nieustannego recyklingu materii.

Nabożeństwo dobiegło końca. Ludzie zaczęli podnosić się z ławek.

Przy wyjściu pozdrowiła go chyląca się ku ziemi kobieta, w której rozpoznał sąsiadkę z parteru. Pokonali razem drogę do kamienicy, wymieniając krytyczne uwagi na temat pogody. Poczucie zagrożenia zniknęło. Nie dlatego, że staruszka, tak jak on, dysponowała laską, która mogła ewentualnie służyć do obrony, ani ze względu na nóż, który wypełniając kieszeń kurtki, utrudniał nieco ruchy i nadawał temu spacerowi charakter makabrycznej groteski.

Wystarczyło, że nie szedł sam.

*

Agnieszka siedziała razem z innymi w pokoju operacyjnym. Wszyscy wydawali się bladzi w świetle jarzeniówek. Arab i Bocian zostali wyznaczeni do przejęcia zatrzymanego od szturmowców. Miszczuk udzielał ostatnich wskazówek. Zaskrzeczało radio wywołaniem kodu. Patrol donosił o ciszy przed blokiem i ciemnych oknach w mieszkaniu. Nic dziwnego, do szóstej rano brakowało jeszcze pół godziny.

– Zespół realizacyjny na miejscu za dziesięć minut – zaraportował głos przez radio.

– No to jazda! – Miszczuk klasnął w dłonie.

Arab mocniej zaciągnął pasek, poprawił ułożenie kabury z bronią, włożył białą kurtkę ze znakiem Supermana na plecach i puścił oko do Agnieszki. Wyszli.

Kiedy kończy się układać puzzle, każdy element, po który się sięga, od razu znajduje swoje miejsce w układance.

Zyganiuk po otrzymaniu wyroku w zawieszeniu za udział w procederze korupcyjnym pracował jako magazynier w centrum logistycznym pod Warszawą. Wezwany na bramę nie potwierdził, że widział kiedykolwiek człowieka uwiecznionego na okazanym zdjęciu. Nie miał za to wątpliwości, że do bloku Szymalak wszedł, a właściwie wbiegł mężczyzna w termicznym sportowym stroju z kapturem na głowie. To było w dzień, kiedy zachorował, pod koniec dyżuru. Pamiętał, bo zastanawiał się wtedy, ile pieniędzy musiałyby dostać, żeby włożyć dres i wyjść na dwór.

Dodatkowe światło na sprawę rzucił jego zmiennik. Zapadło mu w pamięć wydarzenie, które miało miejsce w pierwszą noc po objęciu przez niego stanowiska pod blokiem. Około czwartej nad ranem, co jak sprawdzili oznaczało noc z soboty na niedzielę w tamten krytyczny weekend, z bloku Szymalak wyszedł człowiek w sportowym stroju i pobiegł w kierunku głównej ulicy. Zmiennik pomyślał, że facet musiał mieć problem ze snem, może wrócił z podróży z innej strefy czasowej. Nosił czapkę albo kaptur. Było wtedy chłodno.

Trzask radia, wymiana kodów, potwierdzenie zajęcia pozycji.

Agnieszka patrzyła na duży zegar na ścianie. Wskazówka sekundowa zatrzymywała się, drżąc, i nie zaznawszy spoczynku, skakała dalej. Piąta pięćdziesiąt siedem, szósta zero zero, szósta trzy.

– Karetka na miejsce! – zadysponował przez radio operator.

Zerwali się z miejsc. Pojechała z Motyckim i Maciurskim. Przymknęła oczy, a i tak przez powieki przebijał się wariacki puls niebieskiego światła.

Kiedy podjeżdżali pod blok Kuźniara, karetka pogotowia już tam stała. Antyterrorysty w kominiarkach, z hełmami w rękach, pakowali się do swojego busa. Większość okien w bloku rozświetlały światła. Z kilku wyglądali gapie.

Odetchnęła z ulgą. Arab siedział na murku i palił papierosa. W ciasno opinającej twarz czarnej kominiarce i tej swojej kurtce wyglądał jak krzyżówka Supermana ze Spidermanem.

– Co się stało? – zapytała.

Rzucił i rozgniół podeszwą niedopałek.

– Nic. Obudziliśmy tylko sąsiadów. Nie raczył na nas poczekać. Jest tam. – Wskazał na rozświetlone okna. – W wannie. Zimna woda mu nie przeszkadza.

*

Wizyta Horodyńskiego była miłym zaskoczeniem. Ich spotkania, częste zaraz po wyjściu Michała ze szpitala, zaczęły później rozdzielać okresy liczone w tygodniach, a ostatnio miesiącach. Normalna sprawa – nie pracowali już razem, każdy miał swoje życie.

Wizycie wyjątkowości dodawało słońce, którego promienie wlewały się przez okna salonu i układały szerokimi pasami na parkiecie. Zaskakująca przerwa w panującej, zdawało się od zawsze, szarości, wywołująca nadzieję, złudną jak cisza w oku huraganu. Od jutra znów zapowiadano deszcz ze śniegiem.

– Słyszałeś? Dorwali gościa podejrzanego w sprawie Joanny. Tego, co cię napadł.

Jak zwykle Horodyński był na bieżąco. Michał nieraz zastanawiał się, ile czasu i energii Marcin musiał wkładać w utrzymywanie tych wszystkich kontaktów, które zapewniały mu dostęp do najcenniejszej rzeczy w jego zawodzie – informacji.

– Tak, Agnieszka dzwoniła. – Michał oparł nogę na wolnym krześle. Odczuwał w mięśniach przyjemne napięcie. Dał sobie rano niezły wycisk.

– Facet popełnił seppuku – uzupełnił Horodyński.

I o tym Michał wiedział, a w pewnym sensie nawet przeczuwał, jeszcze zanim odebrał telefon od Agnieszki. Tyle że z przecuciami jest podobnie jak z prorocत्वami – nikt nie przypisuje im znaczenia, dopóki się nie spełnią.

Ostatniej nocy we śnie widział stół, przy którym teraz siedzieli.

Salon pogrążony był w ciemności. Człowiek z twarzą ukrytą w kapturze wprawił w wirowanie kuchenny nóż. Michał czuł paniczny strach, że ostrze zatrzyma się i wskaże na niego. Nóż znieruchomiał, pokazując na nieskończony kartonowy model

angielskiego bombowca.

– Nie można się poddawać – powiedział ojciec. – Najważniejsza jest precyzja – tłumaczył, wycinając skalpelem śmigło z szablonu. – Pokażesz koleżance, jak skończysz? – Puścił oko. Mirka z parteru miała kucyki i piegi na nosie. Nie lubiła się śmiać. Już starsza, przyszyła ubrana na czarno.

– Żyletką nie boli i lepiej się babrze. – Podciągnęła rękaw, prezentując świeże sznyty. Spod strupów sączył się płyn.

– Dlaczego się chlastasz? – zapytał i nie otrzymał odpowiedzi. Przez chwilę wydawało się, że człowiek w kapturze tylko zamarkował cięcie, ale z otwartych żył leniwie wypłynęła ciemna krew.

– Pieprzyć poklask, interesowność, cierpliwość – to betka. Co ze wzajemnością?

Krople rosły, lepkie i ciężkie. Leciąły ku podłodze, tracąc pamięć o życiodajnym obiegu, i rozpryskiwały się o parkiet.

Nastrój, w którym trwał na chwilę po przebudzeniu, nie był oczywisty. Przepęniało go współczucie.

– Masz pozdrowienia od Janka Wintera. – Horodyński najwyraźniej uznał poprzedni wątek rozmowy za wyczerpany.

– O! Co u niego? Nie siedzi jeszcze?

Horodyński uniósł brwi.

– Nie. Przyjechał do Warszawy składać jakieś wyjaśnienia – rzekł cierpko. – Po tej całej zadymie przeniósł się do Francji. Ma dom w Normandii. Naprawdę kazał cię pozdrowić.

– Podziękuj, jeśli będziesz miał okazję. Wiesz... – zaczął Michał po chwili milczenia. – Pytałeś kiedyś, dlaczego przed moim wypadkiem zerwałem kontakt. Być może byłem niedoinformowany, z pewnością naiwny. Nie brałem pod uwagę, że pracujesz dla Wintera i dla mnie w tym samym czasie. Nie dziw się, że się wkurzyłem, kiedy to do mnie dotarło.

– Mogłem powiedzieć, rzeczywiście. – Horodyński obracał kubek w dłoniach. – To chyba nawyk, żeby nie mówić więcej niż konieczne. Tak, współpracowałem z Jasiem. Znam go znacznie dłużej niż ciebie. Widywałem go, jak jeszcze robił w pieluchy. To syn kolegi.

Michał spróbował zwizualizować sobie Wintera jako niemowlaka, ale zabrakło mu wyobraźni.

– Razem ze starym Winterem kończyliśmy szkołę w Szczytnie, a potem kurs w Starych Kiejkutach, ostatni przed zmianami. On poszedł do służby zagranicznej. Kontakt nam się urwał na początku lat dziewięćdziesiątych. Wyjechali na placówkę do Kopenhagi. Potem przenosili ich z ambasady do ambasady. Kiedy Janek wrócił do kraju, stary poprosił mnie, żebym roztoczył nad nim dyskretną opiekę. Gdy Janek zaczął robić tu karierę, pojawiły się małe zlecenia, nic takiego, głównie sprawdzanie wiarygodności kontrahentów.

– Słyszałeś kiedyś o konflikcie interesów?

Horodyński spoważniał.

– Zapewniam cię...

– Nie trzeba – przerwał mu Michał. – Było, minęło.

Zapadła cisza. Horodyńskiego najwyraźniej coś jeszcze gryzło.

– Ktoregoś dnia, to było jeszcze przed zniknięciem Joanny, Jasiek opowiedział mi o planach przejścia. Niewiele z tego zrozumiałem, ale pomyślałem, że to świetna okazja do zdobycia zlecenia dla ciebie. Wtedy dość słabo szły interesy, pamiętasz?

Michał skinął głową.

– Zasugerowałem Jankowi, żeby zaangażował twoją kancelarię. Pomysł mu się spodobał. Wiem, że się spotkaliście. A potem... – Horodyński rozłożył ręce – ...coś poszło nie tak. Może go spławiłeś, może on zmienił zdanie, nie wiem. Ważne, że wszystko się posypało: Aśka, twoja praca. Czasami człowiek chce pomóc, a rezultat jest, jaki jest. Nie miałem złych intencji, Michał. Próbowałem coś potem łagodzić, ale ani ty, ani on nie chcieliście słuchać. Może gdybym ci powiedział, inaczej by się to wszystko potoczyło.

– Być może – potwierdził Michał. – Nie ma co tego teraz roztrząsać. Mam jednak do ciebie pytanie z innej beczki. Czy twoi ludzie mnie śledzili?

Wyraz twarzy Horodyńskiego przywodził na myśl pacjenta, który poczuł ukłucie igły.

– No – zachęcił Michał. – Jak na spowiedzi!

Horodyński zastukał palcami w stół.

– To trwało krótko. Nazwałbym tę usługę raczej ochroną obiektu VIP, nie obserwacją. – Patrzył na Michała niepewny, jak ten zareaguje.

Michał się uśmiechnął.

– Jak się nazywa człowiek, który pojechał za mną do Gdańska?

Horodyński pogładził wąsy.

– Stary, znaczy Krzysio Starewicz.

– Mam do ciebie prośbę, Marcin. Przekaż mu moje najserdeczniejsze pozdrowienia. I życzenia świąteczne.

*

Michał załatwił sprawunki i usiadł przy kawie, żeby odpocząć przed drogą powrotną do domu. Nie przeszkadzały mu lecące z głośników świąteczne szlagiery ani tłum przemierzający się alejkami. Dziwił się tylko, że tak wielu zostawia zakup prezentów na ostatnią chwilę. Czy to wyraz małej wagi przypisywanej zwyczajowi obdarowywania się na Wigilię? A może braku refleksji o potrzebach czy marzeniach najbliższych – kupić cokolwiek i przetrwać jakoś te kilka dni wymuszonej bliskości? Niemała grupa wybrała sprawdzone rozwiązania – w pobliskiej perfumerii kotłowało się, a ogonek do salonu Pandora liczył ze trzydzieści metrów.

Nie chciał się spóźnić, więc dotarł na miejsce kilka minut przed czasem. Drzwi otworzyła Agnieszka. Zamurowało go. Włosy upięte do góry, suknia z lejącego się materiału w szmaragdowym, jakby elfim kolorze, lekki szal na ramionach. Staranny

makijaż sprawił, że mogłaby odgrywać rolę swojej młodszej siostry składającej rodzinną wizytę w trakcie zimowej przerwy na studiach. Zdradzały ją oczy.

Po krótkim zamieszaniu związanym z odwróceniem uwagi jedyne go w towarzystwie, który wierzył jeszcze w Świętego Mikołaja (prezenty wylądowały w szafie), Michał przywitał się z mamą Agnieszki. Marcinek przybił piątkę, ale najwyraźniej nie pamiętał, że kiedyś się już spotkali.

Michał wszedł do pograżonego w półmroku salonu. Ustawiona w kącie choinka jarzyła się lampkami wzbudzającymi mglisty poblask bombek. Głośniki małej wieży rozpylały nastrój *Mizerną cichą* w wykonaniu kwartetu smyczkowego.

– Zapalisz świece? – spytała Agnieszka, wręczając mu pudełko zapalek. – My zaczniemy nosić z kuchni.

Matka Agnieszki wyznaczyła go do funkcji lektora fragmentu *Pisma Świętego*. Wręczyła mu otwartą księgę i wskazała odpowiedni ustęp.

Zestresowany spojrzał na Agnieszkę. Mrugnęła porozumiewawczo i przeżegnała się.

Nie mógł uznać tych dwóch minut za najlepszy występ w życiu. Kika razy się zaciął i zgubił tekst z powodu małej czcionki. W gremialnym „amen” na koniec nie dało się jednak dostrzec cienia krytyki.

Podzielenie się opłatkiem z Agnieszką obyło się bez słów. Wymienili uśmiechy i lekko się uścisnęli. Zapach jej perfum skojarzył mu się z Afryką, chociaż nigdy tam nie był.

Marcinkowi życzył, żeby urósł wielki i silny, matce Agnieszki zdrowia, co ta skwitowała, że „jak człowiek stary, to już nikt mu nie życzy szczęścia”.

Zasiedli do stołu.

Przyjęto go jak członka rodziny, powiedzmy dawno niewidzianego wujka. Agnieszka i jej matka były podobne do siebie w naturalnym dążeniu do podtrzymania dobrej atmosfery. Nie dopuszczały, żeby przy stole zapadła krępująca cisza. Przekomarzały się czasami, rywalizując o pozycję gospodyni („Zmienię talerze na czyste”, „Siedź, siedź! I tak idę do kuchni”), ale Michał nie sądził, że przyczyną była jego obecność. Ot, prowadzone codziennie od lat, drobne potyczki zżytych ze sobą kobiet.

Marcinek od początku kolacji zerkał na dodatkowy pusty talerz. W pewnym momencie nie wytrzymał:

– Kiedy przyjdzie tata?

Agnieszka wytłumaczyła, że nie mógł przyjść, że wyjechał daleko, ale wróci.

Smutek nie trwał długo.

Po ceremonii z pójściem do sąsiedniego pokoju w celu wypatrzenia pierwszej gwiazdy i otwarciem balkonu, przez który wszedł i wyszedł Święty Mikołaj, Michał usiadł na podłodze, żeby wraz z Marcinkiem rozdzielać i rozpakowywać prezenty.

Kiedy rozkładali tor samochodowy – prezent od ojca spędzającego święta w Zakopanem z nową żoną i dzieckiem, kilka razy napotkał wzrok Agnieszki. Podnosiła od razu kieliszek z winem, jakby chciała zamaskować zmieszanie. Matka

przypatrywała się jej z uśmiechem.

Nadszedł czas, żeby położyć Marcinka spać. Zostali sami.

– Wiesz, dawno nie miałam takiej Wigilii – powiedziała. – Chcesz?

– Nie, dzięki. – Przejął butelkę caberneta i napełnił jej kieliszek.

– Nie dasz się skusić? – Zmrużyła oczy.

Pokręcił głową.

Wzięła łyk.

– Panie mecenasie, musimy poważnie porozmawiać.

Zaśmiał się.

– Spotkanie za trzy minuty na ogrodach. – Wskazała kierunek. – Proszę być punktualnie.

Michał wyszedł na balkon. Pogoda nie zawiodła, jak co roku. Dwanaście stopni, siąpiący deszcz. Wytarł chusteczkami dwa plastikowe krzesła. Czekaając, bawił się zbieraniem kropli zwisających z balkonowej barierki.

– Jestem. – Agnieszka podała mu jego kurtkę.

Usiadła i wyjęła z saszetki strunowy woreczek z suszem. Nałożyła kilka szczypt na bibułę, rozmasowała i zwinęła. Polizała i wygładziła bletkę.

– Czy w ten sposób nie wspierasz przestępczości? – zapytał, zafascynowany wprawą, z jaką w kilkanaście sekund zrobiła skręta.

– O nie! Zwalczam. Towar zgarnięty z ulicy. Ja go utylizuję.

Strzeliła zapalniczką. Przymrużyła oczy, kiedy jej twarz oświetlił jasny płomień.

Zaciągnęła się. Sekunda, druga, trzecia. Powoli wypuściła dym i wyciągnęła rękę z żarzącym się skrętem w stronę Michała.

Poczuł wilgoć jej śliny na bibule. Sztachnął się, przytrzymał na chwilę dym w płucach.

– Marycha dla dorosłego jest mniej szkodliwa niż woda. – Przejęła skręta. – Zresztą pałę sporadycznie, to właściwie lekarstwo. – Zaciągnęła się.

– Słuchaj – zaczął. – Co ci właściwie dolega?

Długo milczała, patrząc przed siebie. Pomyślał, że nie powinien był zadawać tego pytania.

– Przewróciłam się w pracy. Nie mogłam wstać. Zsikałam się w gacie. Zawieźli mnie na SOR. Wywiad neurologiczny robił młody lekarz, widać, że jeszcze niewypalony. Zaczął się śmiać, kiedy powiedziałam, że pierwszy epizod miałam w młodości, tuż przed maturą, i że to z pewnością stwardnienie rozsiane. Powiedział, że gdyby to było SM, od dawna jeździłabym na wózku. Bardzo mnie to podniosło na duchu, wiesz?

Michał wiedział, nawet więcej. Kolejne sztachnięcie przeniosło go w obszar całkowitego współodczuwania.

– No i ten doktor zapytał mnie, gdzie się lecę, a ja powiedziałam, że sama, ziołami. – Dostała napadu śmiechu. – O kurde! – wysapała w przerwie między skurczami przepony. – Żebyś widział jego minę! Zrozumiał, kiedy powiedziałam, że

THC. – Znów zgięła się wpół.

Kiedy doszła do siebie, kontynuowała.

– Więc ostatecznie nie wiadomo, co mi jest. Jakaś choroba neurologiczna. Jest walnięcie, rzut, który stopniowo cofa się i nie zostawia wyraźnych ubytków. Za którymś razem może się nie cofnąć, tak twierdzą. Lekarz uznał, że ta „ziołowa terapia” z pewnością mi nie zaszkodzi, zwłaszcza jeśli podłoże miałyby być autoimmunologiczne, ale nie wiedzą, bo przebieg nietypowy.

– Jesteś nietypowa – stwierdził Michał.

– Ja? Od dawna chciałam cię zapytać, co ci wtedy, pamiętasz, strzeliło do głowy, żeby mnie zaprosić do cyrku? Myślałam, że mam omamy słuchowe.

– No, miałem bilety, to znaczy kupiłem, i... – Zaśmiał się. – Po kilku głębszych uważałem, że to świetny pomysł.

– Nie pijesz już? – zapytała po chwili.

– Straciłem zapach.

Patrzyli na blok naprzeciwko. W oknach rozświetlonych salonów można było dostrzec jaśniejące lampkami stożki choinek. Ciszę macił ledwie słyszalny szum drobnego deszczu.

– Myślałam o tym cyrku, kiedy leżałam w szpitalu i wcześniej... Odwiedziłam cię, wiesz? Wydawało mi się, że słuchasz, gdy opowiadałam wtedy różne głupoty. Pamiętasz coś?

Michał przymknął oczy. To musiał być efekt haju – nagle nierealne wydało mu się, że jest Wigilia, że siedzi na balkonie mieszkania Agnieszki, że dzieli ich od siebie niecałe pół metra. Pół metra od kobiety, która bez wątplenia jest nim zainteresowana, z którą mógłby przejść przez wszystkie etapy – zauroczenia, namiętności, docierania się, kłótni, niezrozumienia i ostatecznie, samotności w związku. Samotności tak różnej od tego, w czym tkwił obecnie. Teraz nie potrzebował doświadczać odrębności, zмагаć się ze słabościami, zniechęceniem i szukać w czyichś oczach zrozumienia, kim jest.

Wystarczy drobny gest, żeby dokonała się zmiana o kolosalnych konsekwencjach.

Jak się tu znalazł?

Zobaczył historię jako zapis przebiegu gry o nieskończenie wielu zmiennych. Wydarzenia jak cząsteczki wędrowały w wypełniającym wszystko odwiecznym koloidzie wzajemnie oddziałujących na siebie prawdopodobieństw. Od czasu do czasu pojawiały się zagęszczenia przyszłych scenariuszy. Właśnie dotarł do grudki punktu zwrotnego. A wcześniej?

Zaginięcie Joanny, napaść pod blokiem, dobry dzień radiologa analizującego cyfrowy obraz jego mózgu.

Nie, trzeba sięgnąć dalej. Siedzi na tym krześle, bo dwadzieścia trzy lata wcześniej Mirojad, z którym dzielił pokój na stacji, namówił go na pójście na imprezę do Żaka. Twierdził, że dostał cynk. „Przyjdzie filologia, same laski. Zawsze da się ustrzelić jakąś łanię”. Poszedł, choć dopiero co zerwał z Justyną i nie pałał chęcią do nawiązywania nowych relacji.

Mirojad zaraz gdzieś zniknął, a on podparł ścianę koło baru, zastanawiając się, czy nie lepiej byłoby wrócić i powtórzyć materiał przed kolokwium.

Jednak nie wyszedł, bo zwrócił uwagę na wysoką blondynkę o eterycznej urodzie. Stała z rozgadaną koleżanką, uśmiechała się, potakiwała, a jej wzrok od czasu do czasu zdawał się biec ponad głową rozmówczyni w stronę Michała.

Podszedł, korzystając z chwilowej nieobecności jej towarzyszki. Byłby teraz gdzie indziej, gdyby złotowłosa studentka historii sztuki o urodzie Niamh z celtyckiej mitologii odpowiedziała „Spadaj!” na banalną zaczepkę. Pamięć o porażce nie przetrwałaby tygodnia. Sukces prowadził go przez prawie ćwierć wieku na to piętro tego właśnie bloku na Targówku. Dzisiaj dostał szansę niepodzielenia losu Osjana.

Poczuł dotyk. Obrócił dłoń. Spletli palce.

Pocałunek zmieniający losy świata.

– Zaraz – zreflektował się. – Przecież marycha wyjdzie ci w badaniach. To się utrzymuje tygodniami!

– Ale masz problemy! W takim momencie! Poproszę kogoś i honorowo odda mi mocz do słoika. Chodź tu, zanim mama nas nakryje. – Przyciągnęła go do siebie.

*

Motycki wydawał się zafascynowany stożkiem śniegu, który zawieja pracowicie usypywała w rogu okna. Wpatrywał się w niego, ignorując ciszę, jaka zapadła po referacie Maciurskiego.

– Powiedzieć, że mamy problem, to nic nie powiedzieć – stwierdził nagle. – Podejrzany udał się do krainy wiecznej szczęśliwości albo zgrzyta teraz zębami, nie nam oceniać, w każdym razie zostawił nas bez mapy z miejscem ukrycia skarbu. Jeszcze raz, Maciurski, od początku. Wszyscy słuchają, zadają pytania i zgłaszają wnioski. Dzisiaj pozwalam mieć głupie pomysły.

– Idąc od końca... – zachrypiął Maciurski nienawykły do długich przemów. – Denat Zygmunt Kuśniar znaleziony w swoim mieszkaniu. Patolog wykluczył udział osób trzecich. Zmarł z upływu krwi pomiędzy osiemnastą dwudziestego pierwszego grudnia, kiedy obserwacja zanotowała jego powrót do mieszkania, a szóstą rano dwudziestego drugiego, kiedy weszliśmy.

Otworzyły się drzwi. Wszyscy się obejrzel.

– Mogę? – zapytała Agnieszka.

Motycki machnął ręką w stronę Maciurskiego, żeby kontynuował.

– No więc Kuśniar nie zostawił listu, w jego mieszkaniu nie znaleziono śladów potwierdzających związek ze zniknięciem Szymalak. Tych za to nie brakowało w domku letniskowym w Broku, który odziedziczył po rodzicach. Co my tu mamy? – Maciurski sięgnął do protokołu. – Zdjęcia Szymalak, wiele takich samych odbitek przypinanych pinezkami w różnych miejscach, niektóre z oczami zamalowanymi markerem na czarno, wycinki prasowe dotyczące jej zaginięcia. Żadnych śladów krwi, narzędzia, jej rzeczy osobistych.

– Poszlaki jakieś są, ale słabe jak diabli – zgłosił uwagę Miro. – Może wystarczy,

żeby pogrzyść denata i zamknąć śledztwo, ale gdyby żył, jego adwokat nie pozwoliłby go wsadzić do aresztu. Skończyłoby się najwyżej na dozorze.

– Co o tych znaleziskach mówi Solaris? – zapytał Motycki. – Nie wspomniałeś jeszcze o tym.

Psycholog współpracująca z komendą na pół etatu zawdzięczała swoje przewisko okrągłej, otoczonej pasemkami blond włosów, zawsze uśmiechniętej twarzy.

Maciurski przełożył kartki.

– Możliwa deprywacja ważnych potrzeb psychologicznych... zazdrość erotyczna jako tło motywacyjne, deficytowe coś tam, coś tam... zastrzeżenia – brak wywiadu rodzinnego. Możliwe zaburzenie obsesyjno-kompulsywne nietłumaczące... typowe głębokie zaburzenia procesów poznawczych, możliwe urojenia, zaburzenia napędu i gwałtowne wyładowania *in tempore criminis* ... – Maciurski podniósł wzrok znad papierów i spojrzał po sali niepewny, czy ma kontynuować.

– Podręcznikowy profil zabójcy w afekcie. Szkoda czasu – zawyrokował Motycki. – Nie będziemy zastanawiać się, czy był poczytalny. Założmy na roboczo, że w szale zabił Szymalak, nie mógł znieść wyrzutów sumienia i dlatego wziął kąpiel z nożem tapicerskim.

Agnieszka zdecydowała się zabrać głos.

– Nie zgadzam się. Uważam, że ważne jest poruszanie się w ramach być może błędnych, ale spójnych hipotez. Jeśli zakładamy, że był niepoczytalny, to gdzie jest ciało Szymalak? Powinno leżeć na środku pokoju. Zabójstwo w afekcie to mnóstwo śladów i sprawca ustalony w ciągu kilku, kilkunastu godzin. Moim zdaniem mamy do czynienia z zaplanowaną zbrodnią. Nie jestem psychologiem, ale fakt, że Kuśniar nie zniszczył tych zdjęć Szymalak, świadczy o tym, że podświadomie chciał ponieść karę, którą ostatecznie sobie wymierzył.

– Albo... to też spójna hipoteza, jest niewinny i tylko stęsknił się śmiertelnie – rzucił Motycki, znów patrząc w okno. – Mieliśmy już w kręgu jednego tęskniącego. No właśnie, czy w lokalu znaleziono coś, co dotyczy Tumskiego? Twierdzi, że to Kuśniar na niego napadł.

– Tylko wydruk ze strony internetowej kancelarii ze zdjęciem i życiorysem – odpowiedział Maciurski.

– Zaczernione oczy, laleczki wudu? – dopytywał Motycki.

– Nic takiego nie znaleźliśmy.

Motycki pomasażował skronie.

– Ołać wszystko. Podstawowe i jedyne na teraz pytanie: gdzie jest ciało Szymalak? Jej komórka ostatni raz zalogowała się na Centralnym w niedzielę o godzinie trzynastej dwadzieścia coś. W ciągu następnego kwadransa odjechały pociągi... Maciurski, dokąd?

– Do Modlina, Warszawy Wschodniej, Legionowa i na Okęcie.

– A w ciągu pół godziny? – drążył.

– Jeszcze do Świnoujścia, Łodzi Fabrycznej, Gdyni i znów do Legionowa. No i są jeszcze autobusy...

– Pieprzona róża wiatrów – rzucił ktoś.

– W rzeczy samej – zgodził się Motycki. – Z niczym zaczęliśmy, na niczym kończymy. Gdybyście czuli naciski prokuratury w kierunku umorzenia tego śledztwa, tak jak ja je odczuwam, błagalibyście, żeby was dobić. Zapraszam jutro na dziesiątą. Przynieście mi coś albo weźcie urlop na żądanie, bo w przeciwnym razie rozszarpie.

*

W ciągu kolejnych dni nie udało się stworzyć przełomowej koncepcji tłumaczącej zniknięcie Szymalak. Agnieszka nastawała na powtórne poszukiwania na terenie ogródków działkowych, zorganizowanie georadaru, jednak pomysł nie zyskał akceptacji.

– Zgoda – przyznał Motycki. – Ostatni raz widziana była, jak wychodzi biegać w sobotę po południu. Ale w ciągu kolejnych kilkunastu godzin mogła wezwać taksówkę i pojechać dokądkolwiek. Eksperyment potwierdził, że z miejsca, gdzie prowadził obserwację Zygniuk i ten drugi, można było nie zauważyć Szymalak wsiadającej do jakiegoś auta, jeśli podjechało pod jej klatkę. Zresztą działki już sprawdzaliśmy. To byłaby strata czasu i zasobów. Zawieszamy działania – zdecydował. – Jest dużo innej roboty.

Agnieszka pojechała na osiedle Szymalak. Stanęła pod jej klatką i się rozejrzała. Po drugiej stronie ulicy, kilkadziesiąt metrów na prawo, siedział wtedy w samochodzie Zygniuk.

Ruszyła w lewo i po dwustu metrach doszła do ścieżki idącej wzdłuż granicy zajmujących dobrych kilka hektarów ogródków działkowych. Nie wierzyła, że przeszukano je dokładnie, to fizycznie niemożliwe. Kilkaset domków, zarośla, skrzynie na narzędzia. Ciało wcale nie musiało wciąż tu spoczywać. Mogło zostać rozczłonkowane i przeniesione w inne miejsce. W takim przypadku ślady wciąż gdzieś były, ale musiała przyznać przed samą sobą, że ich odnalezienie mogłoby nastąpić jedynie przypadkiem.

Przesła całą pętlę mijana co chwilę przez biegaczy i dotarła z powrotem do samochodu.

A więc sprawa miała pozostać nie do końca rozwiązana. Dobrze chociaż, że sprawca zadał sobie właściwą karę. To Kuśniar zwabił dokądś Joannę, może czatował przy trasie jej biegu, zabił i prowizorycznie ukrył ciało. Wszystko musiałyby się wydarzyć w ciągu tych kilku minut, kiedy ślad jej komórki zatrzymał się na trasie biegu. Znał się na technologii, wiedział, że będą to sprawdzać. W scenariuszu, który przygotował dla policji, Szymalak wróciła z biegania. Wziął więc jej telefon i zaniósł do mieszkania albo tylko odłożył na balkon. Odtąd miał czas, żeby rozwiązać problem pozbycia się zwłok. Potem wysprzątał mieszkanie, aby upozorować wyjazd. Rzeczy mógł znieść do garażu, schować w boksie i wywieźć później. Wrócił na konferencję w nocy z soboty na niedzielę, a na koniec złożył jeszcze wizytę na Centralnym, żeby na chwilę włączyć komórkę dla zmylenia tropu. To możliwe, nawet bardzo prawdopodobne, ale nie ma jak tego potwierdzić.

Jak dobrze byłoby mieć sto procent pewności!

*

Załamanie pogody przegoniło ich z parku Skaryszewskiego. Schronili się w kawiarni na skraju Saskiej Kępy. Byli jedynymi klientami w to piątkowe przedpołudnie.

Agnieszka dłońmi obejmowała kubek z herbatą. Jej palce nabrały różowego koloru. Zsunęła buty i wcisnęła stopy pod udo Michała.

– Ale zmarzłam!

Pogładził jej łydkę okrytą czarnymi rajstopami. Skórą dłoni haczył o materiał.

Patrzył w tafle okna, za którą świat przestawał istnieć za sprawą śnieżycy. Głośniki w kawiarni drażniły dźwiękami muzycznego radia. Myślami przeniósł się do miejsc, które odwiedził wczoraj.

Pojechał spotkać się z Markiem w swojej dawnej kancelarii. Chodziło o uregulowanie kilku spraw z czasu, kiedy był pod jego kuratelą. Marek wprawdzie wyraził gotowość przyjazdu do niego, ale wizyta na starych śmieciach wydała się Michałowi nie lada atrakcją.

Załatwili podpisy, a Michał zanim wyszedł, porozmawiał jeszcze chwilę z grupką dawnych pracowników. Wymienili wizytówki.

Stanął na chodniku pod kancelarią. Wracać do siebie? Co będzie robił? Gloria wyjechała na narty, a wizja samotnych godzin w biurze wydawała mu się dzisiaj wyjątkowo niepociągająca.

Podniósł wzrok i nad dachami kamienic dostrzegł szczyty bliźniaczych kościelnych wież. Ruszył w ich kierunku, nie mając jeszcze sprecyzowanego planu. Po chwili postanowił dokończyć coś, co zaczął przed blisko dwoma laty.

Tym razem znalazł właściwy budynek. Drzwi domu parafialnego zastał jednak zamknięte. Tabliczka informowała, że kancelaria czynna jest od dziesiątej. Jeszcze czterdzieści minut.

Postawił kolanek kurtki, aby się ochronić przed przenikliwym chłodem. Opustoszały plac Grzybowski zasnuwał siąpiący deszcz. Ze studzienek kanalizacyjnych unosiła się para. Wypatrzył szyld kawiarni w pierzei po drugiej stronie placu. Przeczeka w cieple trzy kwadransy. Ruszył w tamtą stronę.

Jak każdy, kto usilnie stara się odwrócić od czegoś uwagę, doświadczył magnetycznej siły ignorowanego obiektu. Zatrzymał się, pokręcił głową, stuknął dwa razy laską o ziemię niczym czarnoksiężnik rzucający zaklęcie i wszedł na schody prowadzące do kościoła.

Trwała msza. Skinął w stronę czerwonego światełka, uśmiechnął się do znajomej figury Chrystusa i poszedł w kierunku, który wskazywała jej wyciągnięta ręka. Usiadł w ostatniej ławce. Młody czarnoskóry ksiądz z egzaltacją odczytywał mszał. Słowa skązone silnym akcentem płynęły w przestrzeń z głośników i nabierały siły z każdym odbiciem od wysokich ścian. Tutejsi wierni mogli czuć się spłoszeni, ale jego zapewne przygotowywano do dzieł w dalekim kraju, gdzieś, gdzie wydawano za mąż dziesięcioletnie dziewczynki, a maczet używano nie tylko do cięcia trzciny.

Od strony ołtarza sunęła zakonnica z wiklinowym koszykiem. Większość z tuzina zgromadzonych wiernych nie sięgnęła do kieszeni.

Dotarła do ostatniej osoby w przednich ławkach, zatrzymała się i spojrzała na Michała, jakby oceniała, czy opłaca się podjąć wysiłek pokonania kilkudziesięciu dodatkowych kroków, aby zdobyć niepewną ofiarę. Kiedy ruszyła w jego stronę, sięgnął po portfel i stwierdził, że ma w nim tylko kilka banknotów stułotowych. Wyciągnęła rękę z koszykiem w jego stronę, wrzucił jeden z nich. Zauważyła nominał i odczekała chwilę, dając Michałowi szansę na zorientowanie się w omyłce. Kiwnął głową i uśmiechnął się do kobiety o twarzy naznaczonej wiekiem i życiowym trudem.

Po zakończeniu mszy większość osób wyszła, kilka skierowało się do prawej nawy przed tabernakulum. Zgasły światła i kościół pogrążył się w mroku. Z okien pod sklepieniem lało się ołowiane światło.

Sprawdził czas. Dwadzieścia minut.

Z zakrystii wyszła zakonnica. Zgasła świece na ołtarzu. Zauważywszy, że Michał nie opuścił świątyni, podeszła do niego.

– Jak pan ma na imię? Pomodlimy się za pana. – To było stwierdzenie, nie propozycja.

– Michał.

Kiwnęła głową.

– Z Bogiem!

– Proszę poczekać. Mam do siostry pytanie. Chciałbym spotkać się z księdzem Michalskim.

– Księdza Piotra nie ma już od dawna. Przenieśli.

Odeszła, zabierając ze sobą woń naftaliny.

*

– O czym myślisz? – zapytała Agnieszka, wrywając go z zadumy.

– Że zaskakująco wiele rzeczy okazuje się być zupełnie inne, niż się wydaje.

– Konkretnie to niby co?

– Powinniśmy jechać – powiedział, nie odrywając wzroku od okna. – Śnieg wali tak, że za godzinę będzie katastrofa na drodze.

– A niech nas zasypie. Mama wzięła Marcinka i cały weekend jest nasz. Możemy tu zostać. Będziemy jeść szarlotkę i pić herbatę. Jak turyści uwięzieni w schronisku.

Popatrzył na jej twarz, drobną w oprawie nasuniętej na czoło czapki z pomponem i wełnianego golfu. Przeniósł wzrok na szybę.

*

Wczoraj, wychodząc z kościoła, minął w kruchcie żebraka. Zatrzymał się. Mógł się mylić, ale zdawało mu się, że to ten sam człowiek, którego spotkał wtedy.

Podszedł bliżej. Wyciągnął z portfela banknot. Razem z nim wysunęła się jedna z wizytówek, które dopiero co dostał od kogoś w kancelarii, i spadła na talerzyk na

datki.

Sięgnął po zgubę, ale żebrak był szybszy. Zgarnął kartonik palcami o czarnych od brudu paznokciach i sięgnął za siebie.

Michał, wciąż trzymając w dłoni banknot, przyglądał się, jak mężczyzna przeszukuje reklamówkę. W końcu wyciągnął w stronę Michała obie dłonie. W każdej trzymał po wizytówce.

Michał przykucnął, przytrzymując się laski. Z wysoka nie mógł dojrzeć szczegółów – ręce biedaka chorobliwie się trzęsły.

Jedna z nich była tą, która mu wypadła. Na drugiej widniało to samo, tak dobrze znane mu logo kancelarii i dane: Joanna Szymalak. Partner.

Oparł się kolanem o posadzkę. Żebrak trzymał mocno, ale rozluźnił palce, kiedy Michał rzucił mu sto złotych na talerzyk.

Wpatrywał się w pomięty kartonik.

– Zna pan osobę, która to dała? – zapytał.

Odpowiedziało mu kiwanie głową, ale nie mógł stwierdzić, czy to potakiwanie, czy objaw choroby. Żebrak wydał z siebie ni to charkot, ni warknięcie. Wyciągnął dłoń.

Oddając skarb właścicielowi, Michał odruchowo spojrzął na rewers. Bez wątpienia to Joanna zapisała na odwrocie wizytówki: „Jadłodajnia”, adres i przedział godzinowy.

*

– Nie powiedziałaś mi. – Agnieszka lekko szturchnęła go nogą.

– Czego?

– Co jest inne, niż się wydaje.

– Im więcej o tym myślę, tym bardziej dochodzę do wniosku, że nic nie jest takie, jakim się wydaje.

– E, to banał. W dodatku nieprawdziwy. Moje nogi wydają się zgrabne i takie są, czyż nie?

– Niech sprawdzę.

Ścisnął jej kolano.

– Przestań! – Zwinęła się ze śmiechu. – Mam łaskotki!

– Potwierdzam. To para najpiękniejszych nóg na świecie. Mogłabyś robić za modela dla Michała Anioła. Oczywiście gdybyś była młodym chłopakiem.

– À propos anioła! Chcę ci coś pokazać. – Agnieszka sięgnęła do torebki i wyciągnęła zgiętą wpół kartkę. – Pamiętasz, jak pytałam cię o Angela? To postać z dziennika Joanny. Nie mogliśmy ustalić, kto nim był, bo większość stron była wyrwana.

Wręczyła kartkę Michałowi.

– Przeczytaj.

Rozprostował kserokopię tekstu zapisanego odręcznym pismem Joanny.

Bezwiednie zapełniasz kreskami kartkę notatnika. Nie dostrzegam drżenia palców, wahania. Czepiam się tej obserwacji ze świeżą nadzieją. Paradoksem jest, że to, czego nie ma, może być źródłem nadziei. Wszechświat jest wypełniony głównie pustką, a przez to nasze życie składa się w przeważającej mierze właśnie z tego, czego w nim nie ma. To, co istnieje, najlepiej jest definiowane przez brak. Patrzenie w ten sposób nie oznacza pójsia na kompromis z prawdą, ale otwiera kosmiczny zbiór możliwości. Jestem jego elementem. Wolę być żoną, której nie masz, niż odłączonym od ciebie niczym. Gdybyś tylko wiedział, jak nienawidzę siebie za brak odwagi!

*

Nie przejmując się chłodem i zacinającym deszczem ze śniegiem, czekał na taksówkę przy jezdni. Kazał się zawieźć pod adres z wizytówki.

Po kilkunastu minutach stanął przed drzwiami prowadzącymi do krypty innego kościoła. Tabliczka informowała, że jadłodajnia wydaje posiłki od trzynastej. Nacisnął klamkę. Zamknięte.

Rozejrzał się. Jego uwagę przyciągnął napis na witrynie nieczynnego lokalu po drugiej stronie ulicy. Biała farba, którą zapaćkano szyby od wewnątrz, robiła za żalosne tło dla złotych liter o rzymskim kroju: VENUSTAS. DAY SPA. Obietnica piękna złożona przez profanum widać nie wytrzymała konkurencji. Ci z naprzeciwka wciąż się trzymali.

Poszedł pustym chodnikiem wzdłuż klasztornego muru. Prawie fizycznie odczuwał granicę, za którą toczyło się inne życie. Wysoki na kilka metrów musiał skutecznie odcinać ludzi za nim się kryjących od monotonnego szumu położonej w betonowej dolinie trasy szybkiego ruchu.

Natrafił na schody prowadzące do drzwi. Domofon z kamerką miał kilka przycisków. Nacisnął jedyny opisany: „Furta klasztorna”.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – Takie zagajenie wydało się Michałowi najwłaściwsze.

– Na wieki wieków! – Padła odpowiedź z głośniczka. – O co chodzi?

– Ja w sprawie jadłodajni.

– Posiłki wydajemy od trzynastej. Proszę przyjść wtedy. Wejście jest od głównej ulicy.

– Nie o to chodzi. Chciałbym porozmawiać o wolontariacie.

– Proszę poczekać.

Michał zajął się podziwianiem nieciekawej panoramy miasta rozciągającej się ze skarpy. Zdążył zziębnąć, zanim szczęknął zamek i drzwi się otworzyły.

Wszedł do niewielkiego pomieszczenia przypominającego kancelarię. Na umeblowanie składało się biurko, krzesło i drewniana ławka ustawiona pod przeciwległą ścianą. Naprzeciw wyszedł mu młody mężczyzna, jeszcze prawie chłopak, w brązowym habicie przewiązanym sznurkiem.

– Proszę poczekać – powtórzył i wskazał ławkę. – Brat Józef niedługo przyjdzie.

Furtian usiadł za biurkiem i zgarbił się nad książką w czarnej oprawie. Wisząca na ścianie za jego plecami kopia ikony *Krzyża z San Damiano* zdawała się emitować promieniowanie sprzyjające skupieniu, bo ani na chwilę nie oderwał się od lektury. A może demony nie uznały go jeszcze za wartego zachodu i nie rozpraszały? Anka pokazała mu kiedyś różne malarskie wyobrażenia sceny kuszenia świętego Antoniego. Ją fascynowała symbolika detali, on śmiał się, że ludzie wierzyli w niewidzialne, złośliwe stwory, które nie miały lepszego zajęcia, niż sprowadzać ofiary na złą drogę. Stracił tę część dawnego poczucia humoru. Nie był w stanie stwierdzić, kiedy i dlaczego.

Brat Józef okazał się być mniej więcej w wieku Michała. Nosił okulary i dobrze utrzymany zarost. Przywitali się.

– Chodzi o wolontariat? Wszystkie informacje są na stronie, ale skoro pan już przyszedł, zapraszam. – Otworzył drzwi do bocznego pokoju.

– Zgodnie z charyzmatem założyciela naszego zakonu – zaczął, kiedy usiedli – niesiemy pomoc bezdomnym i innym wykluczonym, którzy potrzebują pomocy. W tym dziele współpracujemy z ludźmi świeckimi, którzy...

– Proszę mi wybaczyć – przerwał mu Michał. – Wiem, na czym to polega. Nie chcę marnować cennego czasu. Chciałem zapytać o pewną osobę, która mogła z wami współpracować. Tylko że to było jakiś czas temu.

– Opiekuję się naszym wolontariatem od dziesięciu lat.

– Chodzi o Joannę Szymalak. Prawniczka, blondynka po trzydziestce, atrakcyjna. – Zastanawiał się, co jeszcze mógłby powiedzieć dla przywołania pamięci. Niepotrzebnie.

– Pamiętam Joannę. Dlaczego pan o nią pyta?

– Byłem jej szefem. Kolegowaliśmy się. Straciłem kontakt pewien czas temu. Myślałem, że tutaj trafię na jej ślad.

– Raczej nie pomogę. Przestała do nas przychodzić jakieś dwa lata temu. Nie wiem, gdzie i co teraz porabia. – Rozłożył ręce.

– Nikt od was nie szukał z nią kontaktu?

– Nie ma takiego zwyczaju. Nadrzędną zasadą jest wolność. Nie zmuszamy nikogo do przyjmowania pomocy ani do jej udzielania. To normalne, że wolontariusze odchodzą, zwłaszcza młodzi. Rodzi się dziecko, zmieniają pracę na bardziej ograniczającą czasowo, przeprowadzają się. Zazwyczaj dają znać, ale nie zawsze.

Zapadła cisza zdawała się wróżyć zakończenie spotkania. Michał jednak nie ruszał się z miejsca. Brat Józef też siedział, pogrążony w zadumie, po czym westchnął.

– Mamy taki program, że osoba świecka współpracuje z bezdomnym, próbuje pokazać ścieżkę wyjścia z beznadziejnej, jak się mu zazwyczaj zdaje, sytuacji, zmotywować do działania. W korporacji nazwaliby to coachingiem. Joanna pracowała z Łukaszem. Dobrze im szło, byli mniej więcej rówieśnikami. Odkryła, że był uzdolniony plastycznie. Mieliśmy nadzieję... To jego. – Wskazał na oprawiony w cienkie ramki szkic na ścianie.

Michał podniósł się i stanął przed wariacją na temat watykańskiej *Piety*. Nie uważał się za znawcę rzeźby sakralnej, ale lata małżeństwa z profesjonalistką w sferze historii sztuki odcisnęły swoje piętno. Lewa dłoń Maryi nie była na tej pracy zawieszona w powietrzu w geście prezentacji, ale spoczywała na kolanie martwego Chrystusa. Drobnym szczegółem zmieniającym wymowę całości – czułość, zamiast nakłaniania do hołdu. Ta sama kreska, którą widział już na *Dawidzie* w mieszkaniu Joanny.

– Czy ten Łukasz wciąż jest waszym podopiecznym? – zapytał ze ściśniętym gardłem.

– Wspominał, że nawiązał kontakt z dalszą rodziną, we Wrocławiu, jeśli dobrze pamiętam. Może tam pojechał? W każdym razie nie pokazuje się od dawna, mniej więcej od czasu, kiedy odeszła Joanna. Wtedy zastanawiałem się nawet, czy go nie zawiodła. To był pokiereszowany życiowo, a przy tym szalenie wrażliwy człowiek. Bardzo się do niej przywiązał.

A więc w historii Joanny istniał ktoś, kogo wszyscy przegapili. Bezdomny Łukasz, który pięknie rysował inspirowany dziełami Michała Anioła. Joanna oddawała mu swój czas i uwagę. Powstała między nimi jakaś więź, może jednostronna. Zniknął w tym samym czasie co ona. Niepokojące, ale wciąż w granicach dopuszczalnych zbiegiem okoliczności.

Michał znowu usiadł za stołem.

– Proszę opowiedzieć mi więcej. To ważne. Nie tylko dla mnie.

*

Michał oddał kartkę Agnieszce.

– Dlaczego mi to pokazałaś?

– Sądzę, że byłeś tym Anielem. Nie chcę takich tajemnic między nami. Zdumiewa mnie, że nigdy nie dała ci poznać, co czuje, nie podrywała. To mi wciąż jakoś nie pasuje...

Milczał.

– Tak, naprawdę świetnie się z tobą rozmawia. Bylibyście z Szymalak dobraną parą. Każde w swoim pokoju pisałoby do drugiego długie listy. Żadnych zranień i zero radości. Ze mną na to nie licz.

Dostrzegł w jej oczach iskiereczki rozbawienia.

Dźwignął się na lasce.

– Jedźmy do domu. Tam opowiem ci pewną historię.

Posłusznie zaczęła wciągać buty. Pochyliła się z gracją, pewnie podciągnęła zamki kozaków. Poprawiła skraj wełnianej sukienki i wsunęła kosmyk włosów pod czapkę.

Czy kiedyś znudzi mu się patrzeć na nią?

– To będzie historia o miłości? – zapytała, stając przed nim. Wyglądziła fałdę jego szalika.

– A są jakieś inne warte wspomnienia?

– Może te o zbrodniach?

– To nierzadko rozdział tej samej opowieści.

Pchnął drzwi i przepuścił Agnieszkę. Stanęli obok siebie, mrużąc oczy.

Miejski krajobraz pod nawałą śniegu zmienił się w rozciągnięte na ramie płótno. Biel pokryła budynki, samochody i drzewa. Nawet wierzchnie nakrycia przechodniów, ośnieżone odcinały się od tła ledwie dostrzegalnymi liniami. Wszystko, co widzieli, nie było niczym więcej niż kreską wstępnego szkicu.

K O N I E C

4 (łac.) Nie rozumiem.

5 (łac.) Jak masz na imię?

6 (łac.) Mówisz po łacinie? Nie wiem. Jak się masz, synu? Chcę spać.

W książce pojawiają się cytaty i motywy, które autor zawdzięcza następującym twórcom (w kolejności pojawiania się): Bolesław Leśmian, Czesław Miłosz, Paul Simon, Jonasz Kofta, Jakub Strzyczkowski.

Spis treści:

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Rozdział I](#)

[Rozdział II](#)

[Karta redakcyjna](#)

Opracowanie graficzne okładki:

Karolina Michałowska

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Redaktor prowadzący

Alicja Oczko

Opracowanie redakcyjne

Bogumiła Widła

Korekta

Sylwia Kozak-Śmiech

© 2020 by Olgierd Hurka

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2020

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

ISBN 978-83-276-5494-6

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

Konwersja do formatu EPUB, MOBI: Katarzyna Rek / [Woblink](#)